Aby rozpocząć lekturę,

kliknij na taki przycisk ,

który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.

port wydawniczy
@literatura net.pl
KLIKNIJ TUTAJ

ALEKSANDER DUMAS
(OJCIEC)

Karol szalony

POWIEŚĆ HISTORYCZNA
W DWÓCH TOMACH

TOM PIERWSZY

Do godności historyka, tego „króla przeszłości", przywiązane są przeróżne przywileje. Najwspanialszym z nich jest ten, że przebiegając swoje państwo, potrzebuje dotknąć tylko piórem ruin i trupów, aby odbudować pałace i wskrzesić ludzi. Na głos jego, jak na głos Boga, rozproszone kości odnajdują się między sobą, żywe ciało je pokrywa, świetne stroje je ubierają i na tej olbrzymiej dolinie Jozafata, na którą trzy tysiące wieków prowadziło swoje dzieci, wybierać on może, według swego kaprysu, wołać po imieniu tych, którym życie przywrócić pragnie, a wezwani natychmiast podniosą głowami swymi grobowe kamienie, rozwiną całuny i odpowiedzą, jak Łazarz Chrystusowi: „Oto jestem, panie, czego chcesz ode mnie?..."

Prawda, że trzeba odwagi do zejścia w te głębie historii – potrzeba woli silnej, głosu potężnego do badania mar przeszłości, ręki pewnej i niedrżącej do spisywania wyrazów przez nie podyktowanych. Zmarli kryją czasem straszne tajemnice, które grabarz wraz z nimi w grobie zamyka. Włosy Dantego zbielały od opowiadania Ugolina, a oczy zachowały spojrzenie tak smutne i lica bladość tak śmiertelną, że gdy Wergiliusz znów go na powierzchnię ziemi wyprowadził – kobiety Florencji, odgadując skąd powrócił ten dziwny podróżny, pokazywały go synom swoim, mówiąc: „Widzicie tam oto tego człowieka, który idzie smutny i poważny? – On do piekieł zstępował!..."

Do nas to przede wszystkim – nie biorąc w rachunek geniuszów – stosuje się to dantejskie i wergiliuszowe porównanie. Brama do królewskich podziemi w Saint–Denis, która przed nami ma się otworzyć, ma pewne podobieństwo z wrotami piekielnymi. Jeden i ten sam napis obu im służyć może i gdybyśmy mieli Wergiliusza i Dantego za przewodników, niedługo potrzebowalibyśmy szukać pośród dynastii królewskich, które zaludniają grobowce starego opactwa, aby znaleźć kilku zbójców i kilka ofiar, których nieszczęście godne jest litości. W olbrzymiej tej kostnicy jest prosty grobowiec z czarnego marmuru, na którym położone są obok siebie dwie figury kamienne. Jedna wyobraża mężczyznę, druga kobietę. Minęły cztery wieki, odkąd spoczywają tak jedna obok drugiej, z rękoma złożonymi do modlitwy. Mężczyzna prosi o wyjawienie przyczyny bożego gniewu, kobieta błaga o przebaczenie za swoją zdradę. To szaleniec i wiarołomna. Przez lat dwadzieścia szał jego i jej miłostki krwią broczyły Francję i nie bez wielkiej racji, ręka, która dokoła ich grobowca wyryła napis: „Tu leży król Karol <ukochany>, VI tego imienia i królowa Izabella Bawarska jego żona", dodała pod spodem: „Módlcie się za nich!"

W Saint–Denis tedy, skoro tu już jesteśmy, otworzymy tajemne archiwa tego dziwnego panowania. Obok kilku stronic białych, spotkamy wiele innych krwią splamionych i wiele stronic czarnej żałoby.

Bóg chciał, aby wszystko tu na ziemi nosiło te trzy barwy, uczynił bowiem z nich tarczę herbową człowieka, dając na niej dewizę: „*niewinność, namiętność i śmierć*." A teraz otwórzmy księgę – jak Bóg otwiera życie – na białych stronach. I tak dość szybko dojdziemy do stronic krwi i żałoby!...

I

W niedzielę dnia 20 sierpnia 1389 r.[1] od samego brzasku drogę z Saint–Denis do Paryża zalegały tłumy ludu. Izabella, córka księcia Stefana bawarskiego, a żona Karola VI, miała, jako królowa Francji, odbyć pierwszy wjazd do stolicy swego państwa. Dla usprawiedliwienia wielkiej ciekawości tłumów wyznać trzeba, że cuda o tej księżniczce opowiadano. Wiedziano już, że od pierwszego z nią spotkania król gwałtowną zapłonął miłością i że zaledwie do poniedziałku pozostawił czas na przygotowania do uroczystych zaślubin.

Poza obrębem Paryża zebrało się takie narodu mnóstwo, że aż patrzeć było miło i zdawało się, jakby wszyscy stawili się tam na rozkaz. Wielki gościniec pokryty był gęsto ciekawymi obojga płci i wydawał się nieprzejrzanym łanem głów ludzkich. Porównanie to tym stosowniejsze, iż za każdym drobnym wydarzeniem masy pochylały się w jedną lub drugą stronę, jak kłosy na polu za powiewem wiatru.

O godzinie jedenastej na czele tłumu dały się słyszeć głośne okrzyki; wstrząśnienie, które przebiegło wzdłuż drogi, uwiadomiło niecierpliwych, że coś się stało. To królowa Joanna i księżna Orleanu, jej córka, pojawiły się poprzedzone przez straż torującą im drogę między ludem. Za nimi postępowali w dwóch rzędach znaczniejsi mieszczanie Paryża, w liczbie tysiąca dwustu. Wybrani do tej straży honorowej mieli na sobie długie szaty jedwabne koloru zielonego ze złotym, na głowach czapeczki ozdobione wstęgami, których końce spadały jeźdźcom na ramiona i powiewały jak szarfy przy każdym powiewie wiatru odświeżającego duszną atmosferę, tym cięższą, iż wszędzie, spod stóp ludzi i kopyt koni, unosiły się dokuczliwe tumany wysuszonego piasku. Wyparty z gościńca lud rozsypał się na polach, po obu stronach drogi, którą jak szerokim korytem płynął pochód królewski. Porządek zaprowadzono z większą łatwością aniżeliby się to zdawać mogło, gdyż w owe czasy lud tyle miał miłości i tyle szacunku dla swego króla, ile ciekawości, i jeżeli zdarzało się, że majestat królewski zstępował do ludu, nikomu na myśl nie przychodziło podnosić się i przedzierać ku niemu. Każdy, ustępując swego miejsca pochodowi królewskiemu, czynił to chętnie i bez oporu; w naszych czasach nie obeszłoby się bez krzyków, żandarmów i złorzeczeń.

Ponieważ poziom pola niższy był od poziomu gościńca, każdy starał się dobiec jak najprędzej do jakiegokolwiek wzniesienia, z którego widok na drogę był dogodniejszy. Wierzchołki drzew i dachy stojących w bliskości domów zostały zajęte przez ciekawych. Ci, którym brakło odwagi do tak niebezpiecznych gimnastycznych wysiłków, ustawili się szeregiem na skraju drogi, tworząc jakby żywy płot. Kobiety wspinały się na palce, dzieci wdrapywały się na ramiona ojców, każdy szukał miejsca mniej lub więcej wygodnego; jedni starali się ponad głowami swych poprzedników spojrzeć na drogę, inni szukali jakiejkolwiek szczeliny w tym żywym murze, aby chociaż rzucić okiem na dziwy przesuwające się gościńcem.

Zaledwie zamieszanie spowodowane przejściem królowej Joanny i księżnej Orleanu, udających się do pałacu, uspokoiło się, gdy spostrzeżono tak niecierpliwie oczekiwaną lektykę młodej królowej, liczącej zaledwie lat dziewiętnaście, na której spoczywała połowa nadziei całej monarchii. Pierwsze wrażenie, jakie lud odniósł spojrzawszy na swoją panią, nie potwierdziło wysokiej opinii, która ją poprzedziła w stolicy; była to bowiem piękność, z którą oswoić się wpierw trzeba było. Główną tego przyczynę stanowił silny kontrast jasnych, złotych włosów i brwi czarnych jak heban. Dwa charakterystyczne, a przeciwne sobie typy rasy północnej i południowej zmieszane w tej kobiecie, nadały sercu jej gorącą namiętność właściwą Włoszkom, a czołu znamię pogardliwej wyniosłości, cechujące księżniczki niemieckie[2]. Zaś kształtów bardziej harmonijnych żaden rzeźbiarz nie mógł nawet zapragnąć do posągu Diany wychodzącej z kąpieli. Twarz jej miała doskonały owal, taki sam, jak w dwa stulecia później Rafael swoim imieniem uwiecznił. Obcisłe suknie i rękawy nie pozostawiały żadnej wątpliwości co do zgrabnych kształtów tej figury i ślicznie wymodelowanych ramion; ręka zaś, którą więcej może przez kokieterię, niż przez niedbalstwo pozostawiła opuszczona przez jedną z portier lektyki, rysowała się na materii obicia jak alabastrowa płaskorzeźba na złotym tle. Część postaci ukryta była w głębi lektyki, jednak nietrudno od-

[1] Datę tę podaje Froissart. W rejestrach parlamentu zapisano 22. Najwięcej szczegółów do opisu tego wjazdu autor zaczerpnął z *Mnicha z Saint–Denis* Froissarta i z Juvénala des Ursins.

[2] Królowa Izabella była, jak wiadomo, córką bawarskiego księcia Stefana Ingolstadzkiego i księżniczki Tadei Mediolańskiej.

gadnąć po wdziękach i zaletach widzianych, że reszta musiała być równie delikatna i powiewna, i że podtrzymywały ją czarodziejskie nóżki i stopy dziecięce. Szczególne uczucie, doznawane na jej widok, znikało prawie natychmiast przy spotkaniu z łagodnym i gorącym zarazem spojrzeniem jej oczu, przypominającym tę potęgę wszechwładną, z której Milton, a za nim i inni poeci, uczynili charakterystyczną i fatalną piękność swych aniołów upadłych.

Lektykę królowej otaczało sześciu najpierwszych dygnitarzy Francji. Na czele ich szli: książę de Touraine i książę de Bourbon. Pod nazwiskiem księcia de Touraine, dla uniknięcia omyłki, czytelnicy nasi rozumieć zechcą młodszego brata króla Karola, młodego i pięknego księcia Ludwika Walezjusza, który, nie więcej jak cztery lata później, otrzymał tytuł księcia Orleanu i stał się słynny z rozumu, miłostek i nieszczęść. Rok przedtem ożenił się był z córką Galeasa Visconti, głośną w historii i poezji pięknością, znaną pod imieniem Walentyny Mediolańskiej, której wdzięki nie zdołały jednak zatrzymać i usidlić tego królewskiego motyla o złotych skrzydłach. Przyznać jednak należy, że był to najpiękniejszy, najbogatszy i najwykwintniejszy pan z całego dworu. Znać po nim było, że świat cały uśmiecha się doń z radością i młodością, że życie otrzymał w darze aby używać, i że też żył ochoczo; że nieszczęścia mogły go spotykać, ale że on kroku na ich spotkanie nie uczynił, że ta prześliczna główka pazia o blond włosach i niebieskich oczach nie była stworzona do przechowywania głębokiej tajemnicy lub smutnej myśli i że tak jedna, jak druga, umykać musiały przez te usta różowe i nierozważne, jak usta kobiety. Dnia tego ustroił się w przepyszny kostium, który umyślnie zrobić sobie kazał i który nosił z gracją sobie tylko właściwą. Była to suknia z aksamitu czarnego, podbita złotogłowiem. Rękawy haftowane były szeroko, w deseń przedstawiający wielką gałąź róży. Złoty pień otoczony był z obu stron liśćmi szmaragdowymi, spośród których na każdym ramieniu wykwitało jedenaście przepysznych róż z rubinów i szafirów. Dziurki od guzików, przypominających jeden z dawnych orderów ustanowionych przez królów Francji, pokryte były pysznym i kosztownym haftem w złote strączki naszywane perłami. Jedna z pół sukni, ta mianowicie, która spadała na kolano od strony przeciwnej lektyce, bramowana była bogato złotem i ozdobiona słońcem w wianku promieni, który to symbol obrał sobie król Karol za dewizę, a którą później wznowił Ludwik XIV; druga poła, na której królowa kilkakrotnie wzrok zatrzymywała, pokryta była również haftem wyobrażającym jakiś emblemat tajemniczy, którego znaczenie Izabella na próżno odgadnąć się starała. Haft ten wyobrażał lwa srebrnego, zakutego w łańcuchy, z kagańcem na paszczy. Ręka ukryta w obłokach trzymała końce łańcuchów. Jako dewiza, otaczały tę rękę wyrazy: „*Gdzie zechcę*". Bogaty ten kostium uzupełniony był aksamitną czapeczką ze złotem, której fałdy przeplatał przepyszny łańcuch z pereł; końce łańcucha spadały razem ze wstęgami tworząc kokardę, którą się książę bawił rozmawiając z królową i poprawiając od czasu do czasu włosy jedną ręką, gdy druga zręcznie kierowała koniem.

Jadący obok książę de Berri dzielił z księciem Burgundii regencję Francji w czas szaleństwa króla Karola, a przez swoje skąpstwo przyczynił się do ruiny królestwa o tyle przynajmniej, o ile książę Orleanu przez swą rozrzutność.

Za królową, na koniu bardzo bogato przybranym, krokiem wolnym postępowała księżna de Berii, prowadzona przez hrabiów de Nevers i de la Marche. Tu znowu jedno z dwóch tych wielkich nazwisk zaćmi drugie; bowiem hrabia de Nevers, syn Filipa i przodek Karola, zostanie wkrótce księciem Burgundii. Ojciec jego zwał się Śmiały, wnuk nosić będzie przydomek Zuchwały, a jemu samemu historia nada imię Nieustraszony.

Hrabia de Nevers, ożeniony dnia 12 kwietnia 1385 roku z Małgorzatą de Hainau, miał w owej chwili lat dwadzieścia, a najwyżej dwadzieścia dwa. Nie bardzo wysokiego wzrostu, był jednak barczysty, silny i doskonale zbudowany. Oko jego, jakkolwiek małe i koloru jasnoniebieskiego, jak oko wilka, miało spojrzenie pewne i gorące. Włosy, długie i przygładzone, były czarne z odcieniem prawie fioletowym, o jakim wyobrażenie dać tylko może kolor kruczych skrzydeł. Broda ogolona dozwalała zarysować się wszystkim konturom twarzy świeżej i rumianej, nacechowanej siłą i zdrowiem. Po niedbałym sposobie trzymania cugli konie znać było zręczność jeźdźca. Jakkolwiek młody i dotąd jeszcze nie pasowany na rycerza, umiał już dźwigać rycerską zbroję, gdyż nie zaniedbywał żadnej sposobności zahartowania się na trudy i niewygodny. Surowy dla siebie i dla drugich, nieczuły na głód i pragnienie, na chłody i upały, miał opinię człowieka kamiennego, na którego powszednie troski życia nie wywierały wpływu. Wyniosły wobec wyższych, uprzejmy dla maluczkich, bezustannie zasiewał nienawiść dla siebie między równymi sobie, a zyskiwał miłość u podwładnych. Dostępny dla wszelkich gwałtownych namiętności, umiał zamykać je w głębi swej piersi, a pierś swoją zakuwał w pancerz. To sklepienie ze stali i ciała

pokrywało przepaść, w którą żadne ludzkie oko zajrzeć nie mogło. Był to wulkan pozornie tylko uśpiony: trawił swe własne wnętrzności aż do chwili, w której uważał za stosowne wybuchnąć, a wtedy lawa występowała z granic i biada temu, kogo spotkał potok jego gniewu!... W dniu tym, prawdopodobnie dla kontrastu z księciem Ludwikiem de Touraine, kostium Jana de Nevers był przesadnej może skromności. Była to suknia krótsza, aniżeli zwykle noszono, z aksamitu fioletowego, z podwójnymi rękawami, jednymi obcisłymi, drugimi szerokimi, bez ozdób i haftów; na biodrach zwieszał się opięty pas z siatki stalowej, na którym wisiał miecz z rękojeścią pięknie cyzelowaną. Wycięcie utworzone na piersiach przez klapy sukni, ukazywało żupan jasnoniebieskiego koloru, ujęty przy szyi w obojczyk z czystego złota, który zastępował kołnierzyk. Czapeczkę miał czarną, aksamitną, a fałdy jej spinał jeden tylko brylant, ale był to ten sam kamień, który pod nazwą *Sancy*[3] przeszedł potem na własność korony francuskiej.

Troskliwiej i obszerniej niż innych, opisaliśmy tych dwóch młodych i szlachetnych panów, których odtąd ciągle spotykać będziemy, jednego po prawicy, drugiego po lewicy króla. Są to bowiem, obok smutnej i poetycznej postaci Karola i gorącej a namiętnej Izabelli, osobistości najwybitniejsze z epoki tego nieszczęsnego panowania.

Dla nich Francja rozdarła się na dwoje i dla nich dwa w jej łonie znalazły się serca; jedno bijące na głos Orleanów, drugie na głos Burgundii; każde stronnictwo, dzieląc nienawiści i sympatie swego przewodnika i pana, zapomniało o wszystkim i o wszystkich, nawet o królu, który powinien być najwyższym wszystkich panem, nawet o Francji, która była ich matką!...

Skrajem drogi, nie trzymając się szeregu, jechała na białym koniu księżna Walentyna, którą przedstawiliśmy już wyżej czytelnikom jako żonę księcia de Touraine. Pierwszy to raz opuściła ona piękną swoją ojczyznę – Lombardię, i po raz pierwszy przybyła do Francji, gdzie wszystko się jej zdawało nowym i bogatym. Po prawej jej stronie znajdował się pan Piotr de Craon, najukochańszy ulubieniec księcia de Touraine, ustrojony w kostium, który mu w dowód przyjaźni i sympatii książę na podobieństwo swego sporządzić kazał. Był on prawie w równym wieku z księciem; piękny jak on, i zarówno z nim dzielący spokój bez troski i radość żywota. Jednakże kto by się bliżej przypatrzyć chciał temu człowiekowi – łatwo dojrzeć mógł, że wszystkie namiętności gwałtownego serca pałały w głębi jego ciemnego oka, że przebijała zeń ta żelazna wola, która zawsze osiąga zamierzone cele w miłości czy nienawiści, że wreszcie jego przyjaźń niewiele mogła być pożyteczna, ale za to nieprzyjaźń groźna i niebezpieczna. Po lewej stronie księżnej jechał w żelaznej zbroi z taką swobodą, jak inni panowie w swych aksamitach, pan Olivier de Clisson, wielki hetman Francji. Podniesiona przyłbica odsłaniała twarz otwartą i prawą, twarz starego żołnierza, a blizna, która przedzielała mu czoło, krwawe wspomnienie bitwy pod Auray, dowodziła, że liliami ozdobiony miecz, wiszący u jego boku, nie służył nigdy podstępowi lub prywatnym względom, lecz dla dobra ojczyzny. I rzeczywiście, Clisson, urodzony w Bretanii, wychowany był w Anglii, ale w osiemnastym roku życia wrócił do Francji i od tej chwili przy każdej sposobności gorąco i mężnie walczył w szeregach królewskich.

Tyle powiedziawszy o ważniejszych, ograniczymy się do krótkich i pobieżnych wzmianek o innych osobach, biorących udział w tym uroczystym pochodzie.

Były więc tam: księżna Burgundii i hrabina de Nevers, prowadzone przez Henryka z Baru i hrabiego de Namur... Dalej księżna Orleanu na rumaku pięknie i bogato strojnym, prowadzonym przez Jacka de Bourbon i Filipa d'Artois; dalej jeszcze księżna Baru z córką, w towarzystwie Karola d'Albert i Ecguerrarda de Coucy, którego imię samo przywołuje już na pamięć niejeden z wielkich jego czynów, a który nosił najskromniejszą, a może też najdumniejszą dewizę swego czasu: „Nie jestem królem ani księciem... jestem panem de Coucy!" (*Ne suis prince, in duc aussy, je suis le seigneur de Coucy*).

O innych panach, damach i pannach, które tam były na koniach, w wozach strojnych i lektykach – nie chcemy już wspominać. Wystarczy dodać, że gdy czoło pochodu, gdzie znajdowała się królowa, dotykało już przedmieść stolicy – szereg paziów i koniuszych, którzy pochód zamykali, nie wyszedł jeszcze z głównej ulicy Saint–Denis. Przez całą długość drogi witały królową okrzyki: „Noël!", które w owym czasie występowały w miejsce późniejszego: „Niech żyje król!" Naród w tej epoce wiary nie mógł znaleźć wyrazu, który by lepiej streszczał radość, jak ów, przypominający narodziny Chrystusa. Nie

[3] Brylant ten, który od czasu bitwy pod Granson znajdował się w skarbcu Karola Zuchwałego, wpadł w ręce Szwajcarów, sprzedany był w 1492 r. w Lucernie za cenę 5000 dukatów i przeszedł do Portugalii na własność don Antonia, opata Cratońskiego. Ten ostatni potomek linii Braganckiej, która utraciła tron, przybył do Paryża i tu umarł. Wtedy brylant ów nabył Mikołaj de Harlay, pan de Sancy; stąd jego nazwa. Według ostatniej oceny inwentarza klejnotów koronnych *Sancy*, jeśli się nie mylimy, wart jest 1 820 000 franków.

potrzebujemy zapewne dodawać, że spojrzenia wszystkich mężczyzn dzieliły się pomiędzy Izabellę Bawarską i Walentynę Mediolańską, tak jak spojrzenia kobiet dostawały się w równej części księciu de Touraine i hrabiemu de Nevers.

Przybywszy do bramy Saint–Denis, królowa zatrzymała się; tam bowiem przygotowano dla niej pierwszą stację. Ustawiono tu rodzaj ołtarza, okrytego niebieskim atłasem z baldachimem w złociste gwiazdy. W chmurach, ponad gwiazdami, dzieci poprzebierane za aniołki śpiewały melodyjne pieśni około pięknej i młodej dzieweczki, wyobrażającej Matkę Boską trzymającą na kolanach małe dzieciątko, które bawiło się młynkiem zrobionym z wielkiego orzecha. Szczyt baldachimu zdobiły splecione herby Francji i Bawarii, oświetlone jarzącym słońcem – znakiem króla Karola. Królowa zachwycona była widokiem i chwaliła wielce sam pomysł, a gdy już dzieci śpiewy swe skończyły i gdy zmiarkowano, że królowa dosyć się już wszystkiemu napatrzyła, otworzyła się tylna ściana ołtarza, ukazując całą wielką ulicę Saint–Denis uformowaną na kształt olbrzymiego namiotu: wszystkie domy ozdobiono draperią z sukna i jedwabiu, jak gdyby – mówi Froissart – sukno rozdawane było darmo, lub jak gdyby rzecz się działa w Paryżu, lecz w Aleksandrii lub Damaszku.

Królowa wstrzymała się jeszcze chwilę. Można by sądzić, że zawahała się wstępując do tej stolicy, która oczekiwała na nią z taką niecierpliwością i witała ją z miłością i zapałem. A może też przeczucie mówiło tej, królowej młodej i pięknej, wprowadzanej z taką pompą i wystawą, że kiedyś zwłoki jej wyniesione zostaną z tego samego miasta na ramionach jednego tylko wyrobnika, któremu odźwierny pałacu świętego Pawła polecił oddać szczątki Izabelli Bawarskiej zakonnikiem w Saint–Denis.

Wkrótce atoli puściła się w drogę; zauważono jednak, że zbladła, wstępując w tę długą, wielką ulicę, rozdzielając tłum na dwa żywe mury, które potrzebowały tylko zbliżyć się do siebie, aby zgnieść swoją królową, jej lektykę i konie. Lecz żaden wypadek się nie wydarzył. Mieszczanie tworzący świtę utrzymywali szeregi w porządku i wkrótce zbliżono się do przepysznej fontanny pokrytej błękitnym suknem bramowanym w złote lilie. Dokoła fontanny ustawiono malowane i rzeźbione kolumny, na których pozawieszano tarcze herbowe najpierwszych domów Francji. Zamiast wody fontanna wyrzucała strumienie hypokrasu[4] zaprawionego korzeniami i wonnościami arabskimi. Dookoła kolumn stały młode i piękne dziewice trzymające w ręku srebrne dzbany i złote czasze, częstujące królową oraz panów i panie jej orszaku. Królowa wzięła jedną z podanych czasz, umoczyła w niej usta dla formy i chciała natychmiast zwrócić ją jednej z usłużnych Heb, ale książę de Touraine pochwycił czaszę szybko z rąk dziewicy i przytknął ją do ust w tym samym miejscu, którego usta królowej dotknęły, a potem duszkiem wychylił napój do dnia. Rumieńce, które na chwilę ustąpiły z policzków Izabelli, ukazały się nagle znowu, gdyż postępek księcia był zbyt wymowny, a chociaż czasu nie zajął wiele, zwrócił ogólną uwagę tak dalece, że różnie mówiono o nim wieczorem u dworu, a ludzie najsprzeczniejszych opinii zgadzali się, iż książę okazał wielką zuchwałość, pozwalając sobie na taką swobodę wobec małżonki swego pana i władcy, a królowa dała dowód wielkiej pobłażliwości, nie karząc go inaczej, jak tylko wstydliwym rumieńcem.

Zresztą nowy widok odwrócił wkrótce uwagę od tej sceny i na chwilę podał ją w niepamięć. Orszak przybył przed klasztor trynitarzy. Przed bramą klasztoru wznosiło się rusztowanie w rodzaju *teatrum*, na którym przedstawiony został pochód wojenny króla Sallach–Edina. Chrześcijanie byli ustawieni z jednej, Saraceni zaś z drugiej strony, a w obu szeregach rozpoznawano z łatwością osoby, które w tym sławnym turnieju udział wzięły. Aktorzy przebrani byli w stroje z trzynastego wieku i nosili tarcze herbowe oraz godła osób, których rolę odgrywali. W głębi siedział król Francji, Filip August, a około niego stało dwunastu parów jego państwa. W chwili, gdy lektyka królowej zatrzymała się przed rusztowaniem, król Ryszard Lwie Serce wystąpił z szeregów, zbliżył się do króla Francji, przyklął na jedno kolano i prosił o pozwolenie wyruszenia na bój z Saracenami. Gdy Filip August łaskawie pozwolenia udzielił, natychmiast Ryszard podniósł się i wróciwszy do swoich towarzyszy, ustawił ich w szyku bojowym i natarł na niewiernych. Rozpoczęła się walka, której rezultatem było wielkie zwycięstwo nad Saracenami i ich rozproszenie. Część uciekających zbiegła przez okna klasztoru, które były na równym poziomie z teatrem i które umyślnie w tym celu pozostawiono otworem. Nie zmniejszyło to jednak liczby jeńców, których król Ryszard przyprowadził przed królową. Izabella prosiła o wolność dla nich, a w okupie zdjęła z ramienia bransoletkę złotą i dała ją zwycięzcy.

[4] Mieszanina wina, cukru i cynamonu.

– O! – zawołał książę de Touraine, opierając się o lektykę – gdybym wiedział, że taka nagroda spotka aktora, ja – i nikt inny – grałbym Ryszarda.

Królowa rzuciła przelotne spojrzenie na drugą bransoletkę zdobiącą jej ramię, lecz wstrzymując ten pierwszy ruch zdradzający jej myśli, rzekła:

– Jesteś książę szalony i działasz bez zastanowienia. Podobne zabawy dobre są dla skoczków lub tancerzy, lecz nie przystoją królewskiemu bratu.

Książę de Touraine już miał odpowiedzieć, gdy Izabella dała znak by ruszać i odwróciwszy się ku księciu de Bourbon, wszczęła z nim rozmowę, nie zwracając już uwagi na swego szwagra, aż do chwili, gdy przybyli przed drugą bramę Saint–Denis, nazywaną bramą malarzy, która zniszczona została za czasów Franciszka I. Tu znowu ustawiony był przepyszny zamek, a nad nim rozpostarte niebo gwiaździste, na którym w całej potędze swej ukazywał się Bóg Ojciec, Syn i Duch Święty. Dokoła tej Trójcy chór dzieci zawodził pieśni: *Gloria* i *Veni Creator*. W chwili, gdy królowa przechodziła, wrota raju otwarły się i ukazały się dwa anioły w aureolach, ubrane w różowe i niebieskie suknie bogato haftowane. Trzymały one bardzo kosztowną koronę ze złota i drogich kamieni, którą włożyły na głowę królowej, a odśpiewawszy odpowiedni czterowiersz, wróciły za bramę, która się za nimi zamknęła.

Tymczasem z drugiej strony bramy nowe osobliwości oczekiwały królową. Posłowie sześciu korporacji kupców przychodzili domagać się dawnego przywileju towarzyszenia królom i królowym Francji przy ich wjazdach do Paryża od bramy Saint–Denis aż do samego pałacu. Za nimi szli przedstawiciele różnych rzemiosł, przebrani w stroje charakterystyczne i przedstawiające siedem cnót chrześcijańskich. Obok nich utworzona była grupa wyobrażająca: Śmierć, Czyściec, Piekło i Raj. Jakkolwiek uprzedzona, królowa okazała pewną niechęć do oddania się w ręce tym maszkarom. Książę de Touraine ze swej strony mocno był rozgniewany widząc, że musi opuścić miejsce zajmowane dotąd przy lektyce królowej, ale przywilej ludu był nienaruszalny. Książę de Bourbon i inni panowie już opuścili lektykę, ustępując na bok. Izabella zwróciła się do swego szwagra, który uparcie trzymał się drzwiczek, i rzekła:

– Mości książę, kiedyż ustąpicie miejsca tym dobrym ludziom?... A może czekacie mego zezwolenia na to?

– Tak, pani – odpowiedział książę – czekam rozkazu twego, a bardziej jeszcze spojrzenia, które by mi dało moc usłuchania twej woli.

– Panie szwagrze – rzekła Izabella, pochylając się ku niemu – nie wiem, czy podczas wieczornego festynu zobaczymy się jeszcze, ale nie zapominaj, że jutro będę nie tylko królową Francji, ale i królową turnieju, a moja bransoletka będzie nagrodą zwycięzcy.

Książę pochylił czoło aż do drzwiczek lektyki królowej. Ci, którzy już się oddalili z miejsca tej sceny, nie widzieli w tym ukłonie nic innego, jak tylko oznakę szacunku, który każdy poddany winien był królowej, ale bliżej stojącym i lepiej patrzącym wydawało się, że usta księcia dłużej i goręcej zatrzymały się na dłoni królowej, aniżeli na to przepisy etykiety pozwalały.

Jakkolwiek było, to tylko pewne, że książę podniósł się w strzemionach, ukazując twarz promieniejącą radością i szczęściem. Izabella tymczasem zasłoniła się koronką spadającą z wysokiego czepca, a książę dał koniowi ostrogę i popędził zająć miejsce obok swej żony.

Tymczasem deputowani sześciu korporacji kupieckich umieścili się przy lektyce królewskiej, po trzech z każdej strony, podtrzymując baldachim nad głową królowej. Cnoty chrześcijańskie i grzechy główne zajęły miejsce za nimi, a na końcu szły z odpowiednią powagą: Śmierć, Czyściec, Piekło i Raj. Pochód ruszył dalej, ale dziwny wypadek niespodziewanie naruszył jego porządek. Przy zbiegu ulic des Lombards i Saint–Denis, dwóch ludzi, siedzących na jednym koniu dało powód do wielkiego hałasu. Tłum był tak wielki, że cudem chyba się tu wcisnęli, lecz zdawali się nader mało troszczyć o potrącanych i mało zważać na ich złorzeczenia. Zuchwałość ich dochodziła nawet do tego, że nie słuchali miejskich strażników i z obojętnością znosili razy, którymi usiłowano spędzić ich z drogi. Pomimo wszystkich przeszkód postępowali naprzód, oddając z nawiązką odbierane razy i piersią konia rozdzielając tłumy; jak okręt dziobem swym pruje fale morza, tak oni torowali sobie wśród ludzkich fal drogę powolną, lecz ciągłą, zwierającą się natychmiast znowu po ich przejściu. W chwili, gdy lektyka królowej Izabelli zbliżyła się, jeden jeździec dał jakiś znak czy hasło, po czym drugi, rozkazowi posłuszny, uderzył kijem przednie konie honorowej straży miejskiej, które im drogę tamowały. Jeden z koni, uderzony w głowę, cofnął się, drugi wyrwał się spłoszony naprzód, a wówczas, korzystając z zamieszania i powstałej luki, rzucili się w nią, popędzając szybciej swojego konia i przewracając pod drodze Raj na Piekło, Śmierć na Czyściec, a cnoty chrześcijańskie na grzechy główne. Niewstrzymani – dotarli do lektyki wśród krzyków

pospólstwa, ścigani przez księcia de Touraine i księcia de Bourbon, którzy widząc gnających ku królowej, dobyli swych mieczy z pochew.

Królowa, przelękniona hałasem, nie wiedziała jeszcze, co się stało, gdy nagle pomiędzy deputowanymi kupiectwa spostrzegła obu winowajców. Pierwszym jej zamiarem było wcisnąć się jak najgłębiej w lektykę, ale ten z jeźdźców, który rozkazywał drugiemu, nachyliwszy się z konia, szepnął królowej kilka słów do ucha, uchylił czapeczki, zdjął z szyi gruby, złoty łańcuch, ozdobiony liliami z brylantów i włożył go na szyję królowej, która łagodnie nachyliła głowy i dar ten przyjęła; po czym jeźdźcy, spiąwszy konia ostrogą, galopem popędzili dalej. W tejże samej chwili nadbiegli książę de Touraine i książę de Bourbon, a widząc z dala, jak dwaj obcy ludzie rzucili się ku królowej, wstrząsali mieczami, wołając:

– Śmierć, śmierć zdrajcom!

Tłok tak był wielki, że nieznajomym śmiałkom nie udało się przedostać ku ulicy Saint–Denis. Wszyscy oczekiwali więc katastrofy, gdy królowa, widząc na co się zanosi – podniosła się w lektyce i wyciągając rękę ku swemu szwagrowi, zawołała:

– Mości książę, co czynić zamierzacie!?... To król!...

Dwaj książęta stanęli jak wryci, a drżąc z obawy o swego pana i władcę, podnieśli się w strzemionach i wyciągając miecze nad głowy tłumu, wykrzyknęli głosem wielkim:

– Cześć i sława królowi!

Król Karol VI siedzący na koniu za panem Karolem de Savoiry, odpowiedział na ten okrzyk, odrzucając swój kaptur, a lud po długich włosach ciemnych, po niebieskich oczach, po ustach zbyt może dużych lecz odsłaniających prześliczne zęby, po elegancji ruchów, po łagodności i uprzejmości całej postawy, z łatwością poznał swego władcę, któremu mimo nieszczęść jakie dotknęły Francję podczas jego panowania, pozostawił przydomek Ukochanego, nadany mu przy wstąpieniu na tron.

Wówczas ze wszech stron rozległy się okrzyki: „Noël!" Koniuszowie i paziowie zaczęli powiewać chorągwiami swoich panów, damy swymi szarfami i chustkami. Każdy chciał ujrzeć króla. Ale Karol VI przepuszczony z uszanowaniem, należnym majestatowi monarchy, wymknął się jedną z bocznych uliczek.

W pół godziny przywrócono porządek zmącony zupełnie tym wypadkiem. Piotr de Craon skorzystał złośliwie z tej chwili, aby zwrócić uwagę księżnej Walentyny na to, że mąż jej mógł przyśpieszyć dalszy pochód, wracając na swoje miejsce przy żonie, a przedłużał mitręgę rozmawiając z królową i zatrzymując lektykę. Księżna Walentyna zbyła te słowa obojętnym uśmiechem, ale tłumione westchnienie zadało kłam temu uśmiechowi, a w głosie jej przebijało poruszenie:

– Dlaczego nie zrobicie tej uwagi sami jego książęcej mości?

– Uczyniłbym to tylko na wasz wyraźny rozkaz, księżno; powrót jego odjąłby mi przywilej, jaki mi nadaje jego nieobecność: przywilej opieki nad wami.

– Jedynym moim i rzeczywistym opiekunem jest pan mój, książę de Touraine, ale ponieważ na mój rozkaz czekacie, mości panie, to go wam daję. Idźcie powiedzieć księciu, że go proszę, aby raczył przybyć do mnie.

Piotr de Craon skłonił się i z pokorą oddalił się zakomunikować księciu słowa jego małżonki.

W chwili gdy wracali, ze środka tłumów rozległ się krzyk kobiecy. Młoda jakaś dziewczyna zemdlała. Był to wypadek nadto zwykły w podobnych okolicznościach, powrócili tedy na swoje miejsce, nie rzuciwszy nawet okiem w stronę, z której ów krzyk dał się słyszeć i stanęli obok księżnej de Touraine, a orszak ruszył natychmiast w drogę, jakby tego tylko wszyscy oczekiwali.

Niedługo jednak nadarzył się nowy powód postoju.

U bramy du Chatelet zbudowano wysokie rusztowanie przedstawiające kamienny zamek, na którego rogach wznosiły się okrągłe baszty, a w nich stały warty, zbrojne od stóp do głowy. Wielka sala parterowa tego zamku pozbawiona była ściany zewnętrznej, pośrodku stało łoże przybrane i ustrojone tak bogato, jak łoże królewskie w pałacu Świętego Pawła, wyobrażające „łoże sprawiedliwości", a na nim spoczywała piękna i młoda dziewica, przedstawiająca świętą Annę.

Dokoła zamku zasadzono mnóstwo drzew zielonych, tworzących istny las, a w nim biegała wielka ilość zajęcy i królików, podczas gdy gromady ptactwa różnokolorowego przelatywały z gałęzi na gałąź ku wielkiemu zdziwieniu ludu, który pojąć nie mógł, jakim sposobem ułaskawić zdołano tyle, zwykle tak dzikich zwierząt. A zdziwienie wzrosło jeszcze bardziej, gdy z lasu wyszedł pyszny, biały jeleń wielkości tych, jakie hodowano w parku królewskim, tak doskonale wyrobiony jak gdyby był żywy. W jeleniu ukryty był człowiek, który zręcznie wykonywał wszystkie ruchy: otwierał i zamykał oczy, otwierał pysk

i poruszał nogami. Miał ów jeleń złocone gałęzie rogów, na szyi koronę zupełnie do królewskiej podobną, a na piersiach zawieszoną tarczę herbową, na której w polu niebieskim znajdowały się trzy złote linie – herb króla i Francji. Piękne i dumne zwierzę zbliżyło się do łoża, a wziąwszy zeń miecz – symbol sprawiedliwości, podniosło go do góry i wstrząsnęło nim silnie. Wtedy z lasu wyszedł lew i orzeł – symbole siły i chciały wydrzeć ten miecz święty, ale dwanaście dziewic trzymając różańce złote i dobyte miecze, otoczyły jelenia i poczęły go bronić. Po kilku daremnych usiłowaniach pochwycenia i pożarcia jelenia, lew i orzeł, zwyciężone, powróciły do lasu. Żywy wał, który bronił sprawiedliwości, rozwarł się, a jeleń podszedł grzecznie do lektyki królowej i ukląkł. Izabella głaskała go i pieściła, jak to zwykła była czynić w zamku królewskim z jeleniami. Zabawa ta zdała się być bardzo rozkoszną tak dla królowej jak i dla jej orszaku.

Tymczasem zmierzać się zaczęło, gdyż od samego Saint–Denis pochód szedł wolnym krokiem, a rozmaite widowiska urządzane po drodze wielce go wstrzymywały. Zbliżano się wreszcie do katedry Notre Dame. Pozostawał już tylko do przebycia most zwodzony, gdy wtem spostrzeżono widowisko niespodziewane i przecudowne. Człowiek przebrany za anioła, z płonącymi jasno pochodniami w rękach, ukazał się na szczytach świątyni i zaczął iść po sznurze tak cienkim, iż go zaledwie dojrzeć było można. Szedł ponad domami i zdawał się unosić cudownym sposobem, aż doszedł na dach jednego z domów stojących na moście. Królowa, zbliżając się właśnie do tego domu, dała człowiekowi znak, aby się nie ważył wracać tą samą drogą, tak niebezpieczną, ale on, nie domyślając się, jaki był sens tego znaku, nie zważał nań cofając się, aby nie odwracać twarzy od swej królowej i pani, doszedł znów do miejsca, z którego wyszedł i znikł na wieży katedry. Królowa zapytywała, co to był za człowiek, tak lekki i tak zręczny; odpowiedziano jej, iż był to pewien genueńczyk, mistrz w tego rodzaju sztukach.

Podczas tego widowiska zebrała się znaczna liczba ptaszników z klatkami pełnymi wróbli; ludzie ci stanąwszy na drodze, którą przechodzić miała królowa, wypuszczali skrzydlatych więźniów swych na wolność. Był to stary zwyczaj, symbolizujący nadzieję, jaką żywił zawsze lud, że nowe panowanie przyniesie mu wolność i nowe swobody. Dziś zwyczaj ten zaginął, ale nie zaginęła nadzieja...

Przybywszy do kościoła Notre Dame, królowa spotkała na stopniach biskupa Paryża, przybranego w mitrę, stułę, kask i kirys Zbawiciela Pana. Dokoła niego znajdowało się wyższe duchowieństwo i delegaci Akademii, która używając tytułu starszej córki królewskiej, miała przywilej asystowania przy koronacji. Królowa wysiadła z lektyki; damy jej orszaku uczyniły to samo, jak również panowie i rycerze, którzy oddali konie pieczy swoich paziów i służących. W towarzystwie książąt de Touraine, de Berri, de Bourbon i Burgundii, królowa weszła do świątyni, wprowadzona przez biskupa i duchowieństwo śpiewające głośno i pięknie psalmy na cześć Pana Najwyższego i Dziewicy Maryi.

Doszedłszy do wielkiego ołtarza, królowa Izabella upadła pobożnie na kolana i odmówiwszy modlitwy złożyła kościołowi Notre Dame w podarunku cztery sztuki złotogłowiu i koronę, którą aniołowie ozdobili jej skronie u drugiej bramy w ulicy Saint–Denis. W zamian panowie Jan de la Rivière i Jan Lemercier przynieśli inną, kosztowniejszą i piękniejszą, podobną do tej, jaką na głowie nosił król, gdy zasiadał na tronie. Biskup, ująwszy koronę za wierzchołek z lilii spleciony, przy pomocy czterech książąt włożył ją delikatnie na głowę Izabelli. Okrzyki radości podniosły się ze wszech stron, gdyż od tej dopiero chwili Izabella została rzeczywistą królową Francji.

Królowa i panowie wyszli tedy z kościoła i zajęli na powrót miejsca w lektykach, na koniach i w powozach. Po dwóch stronach orszaku szło sześciuset służących, niosących woskowe świece, od których blask był tak wielki, jak gdyby słońce świeciło na niebie. W ten sposób królowa odprowadzona została do pałacu, gdzie na nią oczekiwał król, mający po prawicy królową Joannę, a po lewicy księżnę Orleanu. Królowa, wysiadłszy, uklękła jak w kościele. dając tym do zrozumienia, że uznaje Pana nad Pany za swego władcę na niebie, a króla za pana swego na ziemi. Król podniósł ją i ucałował. Naród wznosił okrzyki: „Noël! Noël”; widząc ich bowiem złączonych, tak młodych i pięknych, sądził, że dwaj aniołowie–stróże królestwa Francji opuścili jeden prawicę, drugi lewicę tronu Najwyższego Boga.

Potem panowie pożegnali króla i królową, i odeszli do swoich domów; pozostali tylko ci, którzy należeli do dworu i służby. Naród pozostał przed pałacem, krzycząc: „Noël!” aż do chwili, kiedy ostatni paź wszedł za ostatnim z panów. Wtedy bramy się zamknęły, światła oświecające plac rozproszyły się i powoli pogasły, tłumy odpłynęły tysiącami ulic i uliczek, które jak arterie i żyły niosą życie do krańców stolicy. Niezadługo i ten szmer rozchodzącego się ludu ucichł zupełnie. W godzinę później panowała wszędzie ciemność i cisza, i słychać było tylko te nieokreślone i głuche odgłosy, na które składają się wszystkie niepochwycone nocne szmery, zdające się być głębokim tchnieniem uśpionego olbrzyma.

Długo i szeroko rozpisaliśmy się o wjeździe królowej Izabelli do Paryża, o osobach, które jej towarzyszyły i o uroczystościach danych z tej okazji. Uczyniliśmy to nie tylko dlatego, aby dać czytelnikom obraz obyczajów i zwyczajów ówczesnych, ale także i dlatego, aby okazać słabe i wątłe, jak rzeki u swego źródła, początki zgubnych miłostek i śmiertelnych nienawiści, które w owej chwili rodziły się i powstawały dokoła tronu. Teraz zobaczymy je ożywione, wzrastające przy każdej burzy, rozszalałe i niszczące Francję, i to panowanie, które swymi wybuchami tak nieszczęsnym uczyniły.

II

Jeżeli czytelnik nie obawia się zapuścić z nami w uliczki Paryża, któreśmy mu w końcu poprzedniego rozdziału pokazali z daleka, zaprowadzimy go na róg ulic Coquillière i du Sejour. Zobaczymy tam mężczyznę wychodzącego tajemnymi drzwiami z pałacu książąt de Touraine. Mężczyzna ten, owinięty w długi i obszerny płaszcz, z kapturem spuszczonym na czoło, zatrzymawszy się chwilkę dla policzenia uderzeń wielkiego zegara Luwru, który właśnie wydzwonił dziesiątą, wydobył z pochwy szpadę i spróbował jej sprężystości, zginając ją na progu. Zadowolony z rezultatu próby, począł iść krokiem pewnym, krzesząc końcem stali iskry z bruku i pośpiewując sobie zwrotki starej ballady o panu de Coucy.

Idźmy za nim ku ulicy de Etuves, ale idźmy wolno, zatrzyma się on bowiem u stóp krzyża du Trahoir, gdzie krótką odmówi modlitewkę. Potem podniesie się i śpiewając dalej puści się wielką ulicą Saint Honoré do ulicy de la Feronnerie. Doszedłszy do rogu, mężczyzna przestał śpiewać i w milczeniu posuwał się dalej wzdłuż muru Cmentarza Niewiniątek. Tu nagle stanął, przebiegł szybko ulicę i zatrzymał się przed małymi drzwiczkami, do których lekko po trzykroć zapukał.

Snadź oczekiwano go tutaj, gdyż pomimo cichego stukania odpowiedziano natychmiast słowami:

– Czy to wy, mości Ludwiku?

Na potakującą odpowiedź drzwi się otworzyły i zamknęły po cichu, skoro tylko próg przestąpił. Jakkolwiek śpieszno było mężczyźnie, nazwanemu Ludwikiem, jednak przystanął w korytarzu, schował szpadę do pochwy i zrzucił na ramiona kobiety, która go wprowadziła, płaszcz swój szeroki. Teraz możemy przyjrzeć mu się bliżej. Jest to człowiek młody i piękny, ubrany w skromny, lecz elegancki kostium koniuszego. Kostium ten składał się z czarnej aksamitnej czapeczki, z takiegoż kaftana, spod którego zieleniły się rękawy atłasowego żupana. Dla uzupełnienia opisu dodać należy pantalony z materii fioletowej, mające u góry wyhaftowaną tarczę herbową z trzema złotymi liliami. Nad tarczą świeciła książęca korona.

Gdy przybyły pozbył się płaszcza, poprawiwszy na sobie ubranie i przekonawszy się, że piękne jego blond włosy w regularnych zwojach opadają na ramiona, zapytał swobodnie, choć cicho:

– Dobry wieczór, mamko Joanno! Czujną jesteś, dziękuję ci... Cóż robi śliczna twoja pani? Jest w swoim pokoju, nieprawdaż?

– Tak, panie.

– A ojciec?

– Śpi.

Stanął na kręconych schodach, prowadzących na wyższe piętra domostwa, z pewnością człowieka dobrze z miejscem obeznanego. Przybywszy na piętro, dostrzegł światło przedostające się przez szparę drzwi. Po cichutku zbliżył się do nich i popchnąwszy je znalazł się w pokoju, którego umeblowanie znamionowało mieszkańców średniego stanu. Niedosłyszany mógł przez chwilę sycić oczy prześlicznym obrazem, jaki mu się przedstawił.

Przy łóżku rzeźbionym, osłoniętym zieloną adamaszkową kotarą, klęczała młoda dziewica. Ubrana była w długą suknię białą, której szerokie rękawy spadały aż do ziemi, odsłaniając od łokcia ramiona wdzięcznie zaokrąglone i zakończone białymi i prześlicznymi rączkami, na których w tej chwili spoczywała jej główka. Jej długie blond włosy, spadające falisto na ramiona, sięgały niby płaszcz złocisty aż do posadzki. W stroju tym było coś tak prostego, tak powiewnego i anielskiego, że dziewica wydawałaby

się zjawiskiem nie z tego świata, gdyby nie tłumione łkania z piersi jej się wydzierające, które wyraźnie dowodziły, że i ona jest córką ziemi, zrodzoną z kobiety i do cierpień stworzoną.

Słysząc te łkania, nieznajomy poruszył się, dziewczę się odwróciło... Nieznajomy pozostał nieruchomy przy drzwiach, widząc ją tak smutną i tak bladą. Wtedy ona podniosła się i powoli postąpiwszy ku młodzieńcowi, który patrzał na nią milczący i zdziwiony, przyklękła na jedno kolano.

– Co robisz, Odetto? – zawołał – i co znaczy ta postawa?

– Robię to – odpowiedziała dziewica – co robić powinnam i co każda mnie równa zrobić powinna, gdy się znajduje wobec tak wielkiego pana i księcia.

– Ty śnisz chyba, Odetto?

– Obym śniła, mości książę, i obym po zbudzeniu była taką, jaką byłam, zanim was poznałam, bez łez w oczach i bez miłości w sercu!

– Na moją duszę! Albo ci się w głowie pomieszało, albo ci kto kłam jakiś podszepnął!

Przy tych słowach objął ją ramionami i podniósł z ziemi, ale ona, choć nie mogła zerwać więzów, które ją trzymały, cofnęła się i rzekła:

– Nie pomieszało mi się w głowie, książę, ani też nikt kłamliwymi słowy mnie nie złudził. Widziałam was!...

– Gdzież to?!

– W orszaku, rozmawiającego z królową, panią naszą; poznałam was, chociaż byliście wspaniale przystrojeni, mości książę!...

– Ależ mylisz się, Odetto – jakieś podobieństwo cię łudzi!

– Tak!... I ja tak wierzyć chciałam i byłabym uwierzyła, ale był tam także pan, który przedwczoraj przybył tu z wami, a który z wami – jak mówiliście, mości książę, zostaje w służbie księcia de Touraine.

– Piotr de Craon?!

– Tak, to właśnie, jak mi się zdaje, nazwisko które mi wymieniono.

Po chwili milczenia, ze smutkiem mówiła dalej:

– Wy, mości książę, nie widzieliście mnie, boście mieli oczy jeno dla królowej i nie słyszeliście krzyku, z którym upadłam zemdlona, gdy mi się zdawało, że umieram, bo słuchaliście tylko głosu królowej pani! Tak jest i tak być musiało! Ona tak piękna!... Ach!... Boże mój, Boże!...

– Ależ, Odetto droga – rzekł książę – o cóż chodzi? Mniejsza o to, kim jestem, jeśli cię kocham prawdziwie!

– Mniejsza o to, mości książę? – powtórzyła Odetta, usuwając się znowu. – Mniejsza o to, mówicie?... Nie rozumiem was, panie!

I jakby znużona tym wysiłkiem, położyła głowę na jego ramieniu i ciągle w oczy mu patrząc, mówiła:

– A czym bym się stała wierząc, że jesteście mi równi stanem i uległa naleganiom waszym, w nadziei, że mnie poślubicie? Gdyby tak było, dziś znaleźlibyście mnie martwą! Och! Jednak prędko byście o mnie zapomnieli; królowa pani jest tak piękna!...

– Uspokój się, Odetto; tak, w istocie, kłamałem przed tobą, mówiąc, że jestem tylko koniuszym. Jestem księciem de Touraine, to prawda!

Odetta westchnęła głęboko.

– Ale powiedzże mi sama, najmilsza moja, czy bogatego i możnego pana, którego widziałaś wczoraj, nie kochałabyś bardziej, niż skromnego biedaka, który przed tobą stoi w tej chwili?

– Ja, mości książę... Ja was nie kocham!

– Jak to!... wszakże tyle razy mówiłaś...

– Kochałam koniuszego Ludwika, kochałam tego, który był równym biednej Odetcie de Champdivers i oddałabym zań z uśmiechem krew moją i życie. Oddałabym je także za wielkiego i potężnego księcia de Touraine, ale uczyniłabym to z obowiązku; lecz cóż po życiu moim i po krwi mojej możnemu i szlachetnemu małżonkowi Walentyny Mediolańskiej i kawalerowi królowej Izabelli?!

Książę chciał odpowiedzieć, gdy w tej chwili wpadła stara mamka z wyrazem przerażenia na twarzy.

– O, dziecię moje biedne! – zawołała, biegnąc ku Odetcie. – Czego oni chcą od ciebie?

– Kto taki? – zapytał książę.

– O, mości Ludwiku, przysłali po panienkę ze dworu. Książę spojrzał na Odettę.

– I któż to taki po panią przysyła, niech się raz dowiem! – dodał, patrząc nieufnie na Joannę.

– Jej książęca mość, Walentyna Mediolańska.

– Moja żona? – zawołał książę.

– Jego żona? – powtórzyła Joanna z przerażeniem.

– Tak, jego żona – rzekła Odetta, opierając rękę na ramieniu swej mamki – oto widzisz przed sobą jego wysokość brata królewskiego. Tak, ma on żonę i powiedział, śmiejąc się, żonie tej: „Tam na ulicy de la Feronnerie, naprzeciw Cmentarza Niewiniątek, mieszka pewna biedna dziewczyna, która przyjmuje mnie co wieczór, podczas gdy jej ojciec śpi na górze... To nie do uwierzenia, jak mnie kocha to biedne dziewczę!..."

I Odetta poczęła śmiać się cierpko.

– Odetto! – przerwał gwałtownie książę. – Niech skonam natychmiast, jeżeli jest jak mówisz! Wolałbym stracić sto tysięcy liwrów, aniżeli doczekać tego, co się tu stało. O, przysięgam ci, że wykryję, kto zdradził nasze tajemnice, a biada temu, który sobie tak ze mnie zażartować pozwolił!...

Postąpił kilka kroków ku drzwiom.

– Dokąd idziecie, książę? – spytała Odetta.

– Nikt w m o i m pałacu de Touraine nie ma prawa wydawać rozkazów, tylko ja sam; idę wydać rozkaz ludziom, czekającym tam na dole, aby odeszli natychmiast!

– Mości książę, macie wszelkie prawo i władzę po temu, ale... ludzie ci, powiedzą księżnej, że was tu zastali, o czym ona nie wie może, a wtedy uważać mnie będzie za bardziej winną, niż jestem, i zgubiona będę bez miłosierdzia.

– Ale ty nie pójdziesz do pałacu de Touraine?

– I owszem, mości książę, należy mi pójść koniecznie. Zobaczę księżnę Walentynę, wyznam jej wszystko, upadnę do kolan i prosić będę o przebaczenie. Co do was, książę, nawet przebaczenie łatwiej otrzymacie ode mnie!

– Rób, jak chcesz, Odetto – rzekł książę. – Zawsze masz słuszność, zawsze jesteś aniołem!

Odetta uśmiechnęła się smutnie i dała znak Joannie, aby jej przyniosła okrycie.

– Jakżeż pójdziesz do pałacu? – zapytał książę.

– Ludzie ci mają lektykę ze sobą – odparła Joanna, zarzucając płaszcz na ramiona swej pani.

– W każdym razie czuwać będę nad tobą – rzekł książę.

– Bóg już okazał opiekę swoją nade mną, mości książę. Mam nadzieję, że On mnie nie opuści.

Po tych słowach, skłoniwszy się księciu z szacunkiem i godnością, zeszła ze schodów.

– Oto jestem, panowie – rzekła do oczekujących przed domem. – Prowadźcie mnie, dokąd trzeba.

Książę pozostał przez chwilę nieruchomy i milczący, potem wybiegł z pokoju, zatrzymał się by dojrzeć zdążających ku ulicy Świętego Honoriusza ludzi z lektyką, a potem zawrócił i pobiegł ulicą Saint–Denis, skręcił w ulicę aux Fers, a przebiegłszy targ zbożowy, przybył do pałacu de Touraine, by dojrzeć znowu lektykę w głębi ulicy des Etuves. Pewny, że ją o kilka minut uprzedził, wsunął się przez tajne drzwi i dopadłszy swoich apartamentów, wślizgnął się po cichutku do gabinetu przylegającego do sypialni Walentyny, skąd przez szklane drzwi dojrzeć mógł wszystko, co się tam działo.

Księżna Walentyna stała na środku pokoju, niespokojna i niecierpliwa, zwracając przy najlżejszym szeleście oczy ku drzwiom; pyszne jej brwi czarne, tworzące łuk tak dokładny przy spokojnej twarzy, ściągały się teraz gwałtownie. Była ubrana bogato i z widocznym staraniem o podkreślenie swych wdzięków. Mimo to, od czasu do czasu podchodziła do zwierciadła, siląc się na przybranie wyrazu słodyczy i łagodności, który stanowił główną jej cechę. Chciała bowiem podwójnie upokorzyć tę kobietę, która zapragnęła być jej rywalką. Wysokie stanowisko i świetne wdzięki zgnębić miały zuchwałą.

Słysząc szmer i odgłosy w sąsiednim pokoju, podniosła rękę do czoła, drugą szukając podpory, albowiem czuła, że wzrok jej się zaćmiewa i że się pod nią uginają kolana. Wreszcie w rozwartych drzwiach ukazał się służący, zawiadamiając, że dziewica, którą jej książęca mość widzieć chciała, oczekuje w sąsiednim pokoju.

Księżna dała znak, że gotowa jest przyjąć przybyłą.

Odetta pozostawiła płaszcz w przedpokoju i ukazała się w tym skromnym i prostym stroju, w jakim ją już widzieliśmy i tylko po drodze z włosów splotła długi warkocz, który opadał jej na piersi i dosięgał kolan. Wszedłszy, zatrzymała się przy drzwiach, które się za nią zamknęły... Księżna stanęła niema i nieruchoma, ujrzawszy to białe i czyste zjawisko. Zdziwiło ją, że znalazła tę dziewczynę, o której inne zupełnie wyrobiła sobie przekonanie, tak skromną i tak poważną. Spostrzegła się, że jej pierwszej wypadało przemówić, a czuła się zakłopotana.

– Zbliż się – rzekła głosem, którego naturalną słodycz tamowało wzruszenie.

Odetta przybliżyła się ze spuszczonymi oczyma, lecz ze spokojnym i pogodnym czołem. Potem, gdy już tylko o trzy kroki oddalona była od księżnej, przyklękła na jedno kolano.

– A więc ty jesteś tą – mówiła dalej księżna – która pragnie szkodzić mi i krzywdę czynić? I myślisz, że po tym coś uczyniła, wystarczy przyjść i uklęknąć przede mną, aby uzyskać przebaczenie?...

Odetta podniosła się szybko. Żywy rumieniec wystąpił na jej lica.

– Przyklękłam przed tobą, pani – rzekła – nie dlatego, aby cię prosić o przebaczenie, gdyż – dzięki niebu – nie mam sobie do wyrzucenia żadnego względem waszej książęcej mości występku. Przyklękłam, albowiem pani jesteś księżną, potężną i wielką, a ja biedną dziewczyną, ale teraz, gdy oddałam cześć godności twojej, powstaję i stojąc odpowiadać będą na pytania, jakie waszej wysokości postawić się spodoba.

Walentyna nie spodziewała się tego spokoju. Zrozumiała łatwo, że tylko niewinność lub bezczelność, przybierająca jej maskę, może tak śmiało przemówić. Zobaczyła piękne niebieskie oczy, tak łagodne i tak przezrocze, że zdawały się być oknami dziewiczego serca i zrozumiała, że to serce czyste być musi, jak serce anioła niewinności. Księżna de Touraine była dobra z natury i gdy pierwszy poryw głębokiej zazdrości, pod którego wpływem działała i mówiła, ustąpił, podała rękę Odetcie i rzekła z niewypowiedzianą łagodnością:

– Pójdź!

Ta zmiana w tonie i głosie księżnej spowodowała nagły przewrót w myślach i zamiarach biednej dzieweczki. Przygotowana była na gniew, a nie na łaskawość. Wzięła podaną rękę i przycisnęła ją do ust.

– O! – zawołała ze łzami – przysięgam ci, miłościwa pani, że nie ma w tym mojej winy. On przyszedł do ojca mego jako prosty koniuszy księcia de Touraine, niby z zamiarem kupienia koni dla swego pana. Zobaczyłam go!... był tak piękny!... Patrzyłam na niego bez obawy, sądziłam, że to mi wolno przecie, że on mi równy!... On przystąpił do mnie i zaczął mówić, a głos jego był tak słodki, że nigdy przedtem nie słyszałam takiego, chyba w moich marzeniach dziecięcych; w owych latach, gdy aniołowie zstępowali do mej kołyski podczas snu. Nie wiedziałam nic, ani że miał żonę, ani że był księciem i bratem królewskim!... Gdybym wiedziała, że jest małżonkiem twoim, pani, i gdybym cię znała tak piękną i wspaniałą, jaką jesteś, byłabym zgadła, że żartował sobie jeno ze mnie. Teraz już wszystko skończone i wszystko wiadome, on mnie nigdy nie kochał... i ja go już nie kocham...

– Biedne dziecię! – zawołała Walentyna, patrząc na nią z litością. – Biedne dziecię! – powtórzyła. – Ona myśli, że można go raz pokochać i potem o nim zapomnieć!...

– Ja nie powiedziałam, że zapomnę – odparła Odetta smutnie – powiedziałam, że go już kochać nie będę, gdyż można kochać tylko sobie równego, kochać tylko tego, którego żoną można zostać. O! wczoraj, wczoraj, gdym go zobaczyła wśród tego wspaniałego orszaku, w tym stroju przepysznym! Gdym go zobaczyła i poznała rysy tego Ludwika, któregom uważała za mojego, w księciu de Touraine, który jest twoim, pani miłościwa... O! przysięgam! zdawało mi się, że ktoś na mnie rzucił urok jakiś i że mnie oczy moje mylą. Zaczął mówić i życie we mnie zamarło... Usłyszałam go!... Niestety, to jego był głos! On mówił do królowej! O! królowa!...

Odetta drżała konwulsyjnie, blada jak chusta.

– Czy pani nie nienawidzisz jej, tej królowej?! – dodała po chwili z wyrazem boleści niewypowiedzianej.

Walentyna żywo zakryła ręką usta Odetty.

– Milcz, dziecko! – rzekła. – Izabella jest naszą władczynią i królową! Bóg dał ją nam za panią i powinniśmy ją kochać!...

– Tak samo mówił ojciec – odpowiedziała Odetta – gdym powróciła na pół martwa i gdym mu powiedziała, że nie kocham królowej...

Spojrzenie księżnej spoczęło na Odetcie z wyrazem słodyczy i dobroci nieskończonej. W tej chwili biedna dzieweczka podniosła bojaźliwe oczy. Spojrzenia obu kobiet spotkały się, księżna otworzyła ramiona. Odetta upadła jej do nóg i ucałowała jej kolana.

– A teraz nic więcej nie mam ci do powiedzenia – rozpoczęła znów księżna – idź!... Przyrzeknij mi tylko, że się z nim więcej widzieć nie będziesz. Oto wszystko, czego od ciebie wymagam.

– Tego waszej wysokości, na nieszczęście, przyrzec nie jestem w możności. Pani! Książę jest bogaty i potężny; może, jeżeli pozostanę w Paryżu, odnaleźć mnie; jeżeli się oddalę, może mnie zmusić do powrotu... Na to jednak przysiąc mogę, że pierwej umrę, aniżeli przyjmę go kiedykolwiek.

– Jesteś aniołem – rzekła księżna – i spodziewać się będę szczęścia na tym świecie, jeżeli mi przyrzeczesz, że modlić się będziesz za mną do Boga!

– Modlić się do Boga za panią!... Czyż nie jesteś jedną z tych księżniczek szczęśliwych, które samo szczęście do chrztu podaje? Jesteś piękna, młoda, jesteś potężna i wolno ci go kochać?...

– A więc módl się do Boga, aby on mnie kochał!...

– Spróbuję – odrzekła Odetta przyciszonym głosem.

Księżna wzięła ze stołu maleńką srebrną świstawkę i gwizdnęła. Na to wezwanie ukazał się we drzwiach ten sam służący, który uwiadomił księżnę o przybyciu Odetty.

– Odprowadź do domu tę panienkę – rzekła księżna – i pilnuj, aby się jej nic złego w drodze nie wydarzyło. Odetto! – dodała – jeżeli kiedykolwiek będziesz potrzebowała pomocy, protekcji lub opieki, pomyśl o mnie i przyjdź...

Podała jej rękę jak siostrze.

– Odtąd na tym świecie niewiele pewno potrzebować będę, ale wierz mi, pani miłościwa, że bez konieczności uciekania się do ciebie, często myśleć będę o tobie.

Skłoniła się przed księżną głęboko i wyszła.

Pozostawszy sama, księżna de Touraine usiadła, spuściła głowę na piersi i zatopiła się w głębokim rozmyślaniu. Zostawała już tak chwil kilka, gdy drzwi gabinetu cicho się otworzyły. Książę wsunął się na palcach nie dojrzany i nie dosłyszany stanął poza oparciem fotela, na którym siedziała jego małżonka. Stał tam przez chwilę, a widząc, że nie spostrzega jego obecności, zdjął z szyi pyszny łańcuch pereł i podnosząc go ponad głową księżnej, upuścił na jej ramiona. Walentyna krzyknęła, a podniósłszy głowę, spostrzegła księcia.

Wtedy wzrok jej stał się badawczy i przenikliwy, ale on był na tę scenę przygotowanym i zniósł spojrzenie to z uśmiechem człowieka zupełnie spokojnego i nie wiedzącego nic o tym, co się przed chwilą stało; więcej nawet: gdy księżna opuściła głowę, on głaszcząc ją po twarzy, podniósł ją i łagodnie położył tę piękną główkę na górnej poręczy fotela, zmuszając ją, aby nań jeszcze raz spojrzała.

– Czego życzy sobie wasza książęca mość? – spytała Walentyna.

– Prawdziwie wstydzić się powinny przesławione Wschodu kraje! – zawołał, biorąc lekko w palce łańcuch, który dopiero co dał żonie i perłami rozsuwając jej wargi. – Oto łańcuch, który właśnie przysłał mi w darze, jako wielką osobliwość, król węgierski, Zygmunt Luksemburski. Jemu zdaje się, że to prezent godny cesarza, a nie wie, że ja mam tuż przy sobie perły bielsze i kosztowniejsze, niż wszystkie inne na świecie.

Walentyna westchnęła. Książę zdawał się nie zauważać tego.

– Czy wiesz, że nigdy nic równie jak ty pięknego nie widziałem, droga księżno, i że zaprawdę szczęśliwym mnie nazwać można, iż posiadam taki skarb niezrównany! Kilka dni temu, wuj mój, książę de Berri, wychwalał przede mną piękność i blask oczu królowej, na które jakoś nie zwróciłem uwagi, tak że wczoraj korzystając ze sposobności, jaką mi miejsce moje w orszaku dawało, starałem się jej przyjrzeć dobrze...

– No i cóż? – zapytała Walentyna.

– Piękne są te oczy, ale przypominam sobie, że widziałem gdzieś innych oczu dwoje... prawda, że nie mogę przypomnieć gdzie, ale to takich oczu, że mogłyby z pewnością wytrzymać wszelkie porównanie! Spójrz na mnie, droga Walentyno!... Ach, otóż właśnie, przypomniałem sobie! Te oczy cudowne widziałem w Mediolanie, w pałacu księcia Galeasa. Świeciły one pod brwiami czarnymi jak heban, nakreślonymi tak pięknie, że żaden chyba malarz równie pięknych nie nakreślił. Należały one do pewnej Walentyny, później żony niejakiego księcia de Touraine, który, przyznać należy, niegodzien był tego szczęścia.

– I myślisz, książę, że szczęście to jest w istocie dla niego tak wielkie? – zapytała Walentyna, spoglądając nań ze smutkiem i miłością.

Książę ujął jej rękę i przycisnął do serca. Walentyna opierała się nieco, ale on przyciągnął ją silniej, a zdjąwszy z palca przepyszny pierścień, wsunął go na jej palec.

– Co znaczyć ma ten pierścień? – spytała.

– Jest to podarunek, który ci się, piękna księżno moja, z prawa należy; ty bowiem przyczyniłaś się do tego, że ten pierścień wygrałem.

Książę opuścił miejsce, jakie zajmował za fotelem swej żony, i usiadłszy na taborecie u jej stóp, oparł łokieć o poręcz fotela.

– Wygrałem ten pierścień – powtórzył – i to wygrałem do pana de Coucy.

– W jaki sposób?

– Dowiesz się natychmiast, lecz radzę ci pogniewać się na niego za to, iż śmiał trzymywać, jakoby widział rączki, prawie tak ładne jak twoje.

– Gdzież to, mianowicie?

– W pewnym miejscu, przy ulicy de la Feronnerie, w którym kupował konie.

– Któż u handlarza koni mógł mieć tak piękne ręce?

– Córka jego. Rozumie się, że przeczyłem temu uparcie. On znów przez upór obstawał przy swoim, tak że przyszło do zakładu między nami. On stawiał w zakład ten pierścień, a ja ten łańcuch z pereł. – Walentyna patrzała na księcia, jakby chciała czytać w głębi jego duszy.

– Przebrałem się tedy za prostego koniuszego dla zobaczenia tych rączek cudownych i poszedłem do starego Champdiversa, gdzie kupiłem za cenę szaloną dwa najgorsze rumaki, jakich kiedykolwiek grzeszny rycerz w książęcej koronie dosiadał za pokutę. Ale też za to widziałem boginię „o białych ramionach", jakby ją nazwał Homer. Przyznać trzeba, że Coucy nie był tak bardzo szalony, jakby się to na pierwszy rzut oka zdawać mogło, i jak ja zrazu sądziłem, a zaprawdę – dziwne jest, w jaki sposób tak piękny kwiat wyrósł w tak nędznym ogrodzie. Jednakże, piękna pani, nie uznałem się za zwyciężonego i jako rycerz prawy broniłem honoru damy moich myśli. Coucy również nie ustępował. Krótko mówiąc, już mieliśmy iść do króla i prosić go o pozwolenie naznaczenia turnieju dla rozstrzygnięcia kwestii, gdy na koniec zgodziliśmy się na sąd Piotra de Craon, którego wybraliśmy na arbitra, jako wielce w tych sprawach doświadczonego. Tak więc poszliśmy razem, temu zdaje mi się dni ze trzy, do pięknej tej dzieweczki i skutkiem tego pierścień lśni dziś na twoim placu, księżno... Na honor, Craon okazał się wybornym sędzią!... Cóż powiesz o tej historii?

– Powiem, że już mi była znana, mości książę – odpowiedziała księżna, z powątpiewaniem jeszcze spoglądając na niego.

– Ho, ho! A to skąd? Coucy jest przecie zanadto dyskretnym kawalerem, żeby się miał sam z tym chwalić, szczególnie przed tobą.

– Nie od niego też wiem o tym.

– Od kogo zatem? – pytał Ludwik, udając największą obojętność.

– Od waszego arbitra.

– Od Piotra de Craon? Ach!...

Brwi księcia ściągnęły się gwałtownie, a zęby zgrzytnęły; w tej samej chwili wszelako przybrał na powrót dawny uśmiech i wesołość.

– Tak, rozumiem – mówił dalej – Piotr wie, że go uważam za najlepszego mego towarzysza i że w moich łaskach wysoko stoi; chciał sobie zapewne i twoje zaskarbić! Cudownie uczynił... Ale, czy nie uważasz pani, że to już za późno trochę na takie rozmowy? Pomnij, że jutro król czeka nas z obiadem, że po uczcie turniej naznaczony i że ja ostrzem mojej kopii dowieść mam, iż ty jesteś najpiękniejszą z kobiet, a wiedzieć trzeba, że sędzią tu nie będzie pan Piotr de Craon!

Mówiąc to, książę wstał i poszedł ku drzwiom, w których pierścienie założył drewniany drążek pokryty aksamitem, haftowanym w lilie. W owe czasy tak zamykało drzwi od wewnątrz.

Walentyna śledziła go badawczo wzrokiem, a gdy powracał ku niej, podniosła się i zarzucając mu ramiona na szyję, zawoła:

– O, książę mój ukochany, zaprawdę, jeżeli mnie zdradzasz, wielkim jesteś przestępcą!

III

Nazajutrz książę de Touraine wstał bardzo wcześnie i przybył do pałacu królewskiego, gdzie zastał brata swego, Karola, oczekującego mszy świętej. Król, który kochał go bardzo, postąpił ku niemu z uśmiechem i przyjazną twarzą; spostrzegł jednak, że książę wielce smutną miał minę. Zaniepokoiło to Karola, więc podając mu rękę i pilnie się w niego wpatrując, rzekł:

– Kochany bracie, co was zasmuca? Powiedzcie mi, co za strapienie macie?

– Panie – rzekł książę – tak jest w istocie, nie bez ważnej przyczyny smutek mam na twarzy.

– Jeżeli tak – rzekł król, opierając się na jego ramieniu i odprowadzając go ku framudze okna – to wyjawcież nam tę przyczynę; chcemy ją poznać i jeżeli ktokolwiek wam krzywdę wyrządził, naszą już będzie rzeczą sprawiedliwość wymierzyć...

Wtedy książę de Touraine opowiedział mu wczorajsze przygody. Powiedział mu, jakim sposobem Piotr de Craon zdradził jego zaufanie, opowiadając jego tajemnice Walentynie i to w złych zamiarach; zaś gdy widział, że król podziela jego oburzenie i urazę, dodał:

– Miłościwy panie, klnę się na wierność, którą wam winien jestem, że jeżeli nie uzyskam u was sprawiedliwości, dziś jeszcze, wobec całego dworu, nazwany kłamcą i zdrajcą, zginie on z mojej ręki.

– Nie uczynicie tego – rzekł król – my was o to prosimy. Ale za to każemy mu powiedzieć, i to najpóźniej dziś wieczór, aby opuścił nasz pałac i aby wiedział, że dalszych służb jego nie potrzebujemy. Jest to też nie pierwsza skarga – dodał król – wniesiona do nas na tego człowieka i jeżeli dotąd niechętnie dawaliśmy tym skargom ucha, to jedynie przez wzgląd na was i na to, że waszym był sługą. Brat nasz, książę d'Anjou, król Neapolu, Sycylii i Jerozolimy, gdzie leży święta Kalwaria – tu król przeżegnał się – miał także, o ile nam się zdaje, powody uskarżać się na niego, a to z racji jakichś znacznych sum pieniężnych, jakie mu uronił. Zresztą jest on także kuzynem księcia Bretanii, który za nic ma wolę naszą i dowodzi nam tego codziennie, bo oto teraz nie uczynił tego, cośmy wymagali dla wynagrodzenia naszego wielkiego marszałka; oprócz tego, przychodzi nam na pamięć, że niegodny ten książę dotąd nie uznaje papieża awiniońskiego, który jest jedynym papieżem prawdziwym i że mimo zakazu naszego bije ciągle monetę ze złota, chociaż, według prawa, nie wolno wasalowi bić innej monety, jak tylko z miedzi. Dalej jeszcze – mówił król, zapalając się coraz bardziej – wiem, i to z dobrego źródła – mój bracie, że urzędnicy jego nie uznają jurysdykcji parlamentu paryskiego, a nawet, co już jest prawie zdradą stanu, posuwa się do przyjmowania przysięgi absolutnej od swych wasalów bez wzmianki o naszej nad nimi i nad nimi władzy. Wszystko to i wiele jeszcze innych rzeczy, o których nie wspominam, jest powodem, że jego kuzyni i przyjaciele nie mogą być zarazem moimi; jest mi to na rękę, że przychodzicie ze skargą przeciw Piotrowi de Craon, do którego i ja już poczynałem tracić zaufanie. A zatem, niechże już nie będzie więcej mowy o tej sprawie. Dziś wieczór możesz mu objawić w tym względzie swoją wolę, a ja jemu moją. Co zaś się tyczy księcia Bretanii, to sprawa pomiędzy panem i lennikiem, i jeżeli król Ryszard zgodzić się zechce na trzyletnie zawieszenie broni, jakie mu proponowaliśmy, zobaczymy wtedy; chociaż Bretończyk jest popierany przez wuja naszego, księcia Burgundii, którego siostrzenica jest jego żoną, zobaczymy, kto z nas dwu, jak czy on, jest panem w królestwie Francji.

Książę podziękował królowi, gdyż w istocie wdzięczny mu był bardzo za wzięcie do serca jego urazy.

Z trzydziestu rycerzy, biorących w dniu tym udział w turnieju, którzy nazwani byli rycerzami złotego słońca, ponieważ nosili je na tarczach jako symbol, dwudziestu dziewięciu uzbrojonych czekało już w szrankach. Na koniec przybył trzydziesty. Był to sam król...

Głośne okrzyki powitały przybywającą równocześnie królową. Zasiadła ona na wielkiej estradzie przygotowanej dla niej, mając po prawej stronie księżnę de Touraine, po lewej zaś pannę de Nevers. Poza nimi stanęli książęta Ludwik de Touraine i Jan de Nebers, zamieniając od czasu do czasu słów parę z tą zimną grzecznością, do jakiej przywykli ludzie wysokiego stanowiska, zmuszeni ukrywać swoje myśli i uczucia. Gdy królowa zajęła swoje miejsce, inne damy rozsypały się szybko po wielkiej estradzie, która też zajaśniała pięknością, bogactwem i rozmaitością strojów.

W tej chwili rycerze na arenie uporządkowali się w szereg, na którego czele stał król, za nim książęta de Berri, książę Burgundzki, a za nimi dwudziestu sześciu innych według swego stanowiska i godności. Każdy, przechodząc pod estradą królowej, pochylał kopię swoją aż ku ziemi, a królowa każdemu z osobna oddawała uprzejmy ukłon.

Po skończeniu tej defilady, rycerze podzielili się na dwa oddziały; nad jednym objął dowództwo król, na drugim wielki marszałek. Karol poprowadził swój oddział pod estradę królowej. Clisson ze swoimi oddalił się na drugi koniec szranków.

– Czy nie brała też waszą książęcą mość ochota – zapytał wtedy książę de Nevers księcia de Touraine – wmieszać się pomiędzy tych szlachetnych rycerzy i skruszyć kopię na cześć księżnej Walentyny?

– Snadź nie wiesz, mój kuzynie – odparł sucho Ludwik – że król, brat mój pozwolił, abym w jutrzejszym turnieju walczył jeden przeciw każdemu, kto tego zapragnie. I walczyć będę nie w masie, ale w pojedynkę. Sam przeciw wszystkim walczyć będę za piękność i honor mojej damy – powtórzył raz jeszcze z naciskiem.

– I mógłbyś książę dodać, że tak pierwsza jak i drugi mogłyby być bronione nie tymi dziecinnymi zabawkami, jakich zwykle się używa w podobnych walkach.

– Toteż gotów jestem, mój kuzynie, bronić honoru i piękności mojej pani taką bronią, jaką ktokolwiek atakować je zechce. U wrót mego namiotu będą dwie tarcze: pokoju i wojny; ci, którzy uderzą w pierwszą, uczynią mi zaszczyt; ci, których druga ku sobie pociągnie, zrobią mi przyjemność!

Książę de Nevers skłonił się, jak człowiek, który dowiedziawszy się wszystkiego, co chciał wiedzieć, pragnie na tym zakończyć rozmowę. Książę de Touraine ze swej strony zdawał się nie rozumieć celu tych wszystkich pytań i począł niedbale bawić się jedną z koronkowych szarf, spadających z czepca królowej.

IV

W tej chwili trąby zagrzmiały. Rycerze, którym ten znak obwieszczał, że walka rozpocznie się niebawem, poprawili swe tarcze, popróbowali strzemion, oparli lance o siodła, tak że każdy był gotów, gdy ostatnie tony fanfar przebrzmiały i po obu stronach szranków rozległ się okrzyk sędziów turnieju:

– Zaczynajcie!

Zaledwie wyraz ten wyrzeczony został, ziemia znikła pod tumanami kurzu, pośród którego niepodobna było śledzić przebieg walki. Zaraz też prawie usłyszano chrzęst zbroi dwóch ścierających się szeregów. Szranki ukazały się oczom widzów, jak wzburzenie morze pełne fal złota i stali. Od czasu do czasu na szczycie jednej lub drugiej z fal owych, jak gdyby piana morska, zabielał pióropusz u hełmu, ale wszystkie prawie wysiłki i czyny wojenne tego pierwszego spotkania były dla widzów stracone. Dopiero, gdy trąby obwieściły wypoczynek i kiedy oddziały wróciły do swoich punktów wyjścia – ocenić było można, na którą stronę przechylała się szala zwycięstwa.

Ośmiu rycerzy w pełnych zbrojach i w siodłach otaczało jeszcze króla, a między nimi i Piotr de Craon.

Król Karol wprawdzie zabronić chciał turnieju temu ostatniemu, a to z tych wszystkich przyczyn, jakie w rozmowie z bratem swoim wyłuszczył; że jednak ustąpienie jego mogłoby cały turniej popsuć, gdyż do zabawy potrzebna była parzysta liczba rycerzy – myśli owej zaniechał.

Z drugiej strony tylko sześciu rycerzy otaczało wielkiego marszałka. Wszyscy inni albo wysadzeni zostali z siodeł i nie mieli prawa powtórnie dosiadać rumaków, albo też cofając się przed przeciwnikami, dotknęli bariery i z tego powodu uznani zostali za pokonanych. Tak więc honor pierwszego starcia pozostał w zupełności przy królu i jego towarzyszach.

Paziowie i słudzy skorzystali z tej chwili wypoczynku, aby skropić ziemię. Każdy z rycerzy przywołał swego pazia lub koniuszego, polecił mu obejrzeć zbroję i rynsztunek, poprawić tarczę i każdy do nowego ataku się przygotowywał.

Wkrótce też trąby zagrzmiały po raz drugi, kopie wróciły do pozycji, a po wydaniu hasła oba oddziały, do połowy zmniejszone – natarły na siebie.

Oczy wszystkich zwrócone były na króla i marszałka Oliviera de Clisson, którzy pędzili naprzeciw siebie. Spotkali się w połowie pola. Król uderzył lancą w sam środek tarczy swego przeciwnika z taką siłą i gwałtownością, że lanca pękła na dwoje. Pomimo tak silnego ataku, stary żołnierz utrzymał się w strzemionach prosto i niewzruszenie; tylko koń jego nieco przypadł na tylne nogi, ale zerwał się za pierwszym dotknięciem ostrogi. Wielki marszałek zwrócił kopię, jakby do ataku na króla; przybywszy jednak tak blisko, że mógł go dotknąć, podniósł ją do góry, dając przez to do zrozumienia, że poczytuje sobie za zaszczyt potykać się z królem i panem swoim, ale że zarazem przez wielką cześć i szacunek nie śmie go dotknąć – nawet w turnieju.

– Marszałku – zawołał król, śmiejąc się – jeżeli nie władasz zręczniej mieczem swoim marszałkowskim, niż kopią rycerską, odbiorę ci ostrze, a zostawię tylko pochwę. Radzę waszmości od dziś stawać do turnieju z wicią zamiast kopii, jeżeli zawsze masz zamiar tak się nią posługiwać, jak obecnie.

– Najjaśniejszy panie – odparł Clisson – z wicią w ręku wyjdę przeciw nieprzyjaciołom waszej królewskiej mości i z pomocą Bożą pokonam ich, gdyż miłość i szacunek, jakie mam dla was, taką natchną mnie odwagą, jaką mi dziś dały pokorę w chwili ataku. Co zaś do sposobu, w jaki mam zamiar używać mojej kopii wobec każdego innego rycerza, racz wasza królewska mość osądzić własnymi oczyma.

W tejże właśnie chwili pan Wilhelm de Namur, wysadziwszy z siodła pana Geofroy de Charny, powracał na stanowisko, szukając oczyma nowego przeciwnika, ale każdy był zajęty własną obroną. Z radością przeto usłyszał wyzwanie wielkiego marszałka:

– Przeciw mnie, panie de Namur, jeżeli wolno!

Wilhelm uchylił głowy na znak, iż przyjmuje wyzwanie, poprawił się w strzemionach, zebrał lejce i schyliwszy kopię, popędził naprzeciw wielkiego marszałka, który ze swej strony wypuścił konia tak, że w wielkim galopie spotkali się w połowie drogi. Pan de Namur celował kopią w hełm Clissona, a uderzenie było tak dobrze obliczone, że trafił go istotnie w wierzch przyłbicy i strącił mu hełm z głowy. W tejże chwili kopia Oliviera ugodziła przeciwnika w piersi. Wilhelm de Namur zbyt dobrym był jeźdźcem, żeby mógł być wysadzonym z siodła, ale gwałtowność i siła uderzenia były tak wielkie, że pękły popręgi i jeździec wraz z siodłem upadł o dziesięć kroków od swego konia na ziemię.

Oklaski zagrzmiały ze wszech stron. Damy powiewały szarfami. Było to w istocie jedno z najpiękniejszych uderzeń kopią w tym turnieju.

Clisson nie zatrzymał się nawet na tyle, aby zażądać innego hełmu, widział bowiem, że oddział jego, już od początku drugiego ataku mniej liczny, bronił się z trudnością. Rzucił się tedy w środek walki, złamał nadwerężoną atakami kopię na hełmie pana Jana de Harpedanne, któremu hełm ów strącił z głowy, a wydobywszy miecza, tak gwałtownie nań natarł, że zmusił go do dotknięcia bariery. Wtedy powrócił znowu na pole walki. Dwóch już tylko rycerzy walczyło przeciw sobie. Byli to Piotr de Craon i pan de Beaumanoir. Król zaś pozostawał już tylko spektatorem turnieju od chwili, gdy się spotkał z wielkim marszałkiem. Clisson poszedł za jego przykładem, oczekując rezultatu walki ostatniego ze swoich rycerzy z ostatnim ze swych przeciwników. Zdawało się, że szala zwycięstwa chyli się ku stronie pana de Beaumanoir, gdy wtem miecz jego złamał się na zbroi Craona. Ponieważ zaś regulamin nie pozwalał używać w tego rodzaju walkach innej broni, jak kopii i miecza, a pan de Beaumanoir swój oręż utracił, znalazł się więc ku wielkiemu swemu smutkowi w niemożności prowadzenia dalszej walki; dał przeto znak ręką, iż uznaje się za zwyciężonego. Pan Piotr de Craon odwrócił się przekonany, że już sam jeden tylko w szrankach zostaje, gdy spostrzegł o kilka kroków od siebie dawnego swego nieprzyjaciela, Clissona, który uśmiechał się doń z daleka. Między nimi tedy miało się zdecydować, komu przynależy palma zwycięstwa.

A ciężka to była sprawa. Piotr de Craon, chociaż waleczny rycerz i wielce w sztuce wojennej wyćwiczony, znał dobrze i wiedział, z jakiego żelaza ukuty jest człowiek, z którym walczyć mu przychodziło; jednak nie zawahał się ani na chwilę i rzucając koniowi na kark wodze, przechylił się tak, iż prawie leżał mu na grzbiecie, a ująwszy miecz w obie ręce, natarł na wielkiego marszałka. Nim dobiegł, widać było, jak miecz ten szybki i błyskawiczny dwukrotnie przewinął się w powietrzu; nareszcie z hukiem młota spadającego na kowadło, uderzył w tarczę, którą Clisson zasłonił odkrytą głowę. Gdyby miecz był ostry, tarcza Clissona, choć dość gruba i z dobrej a pięknej stali, byłaby zbyt słabą osłoną przeciw tak silnemu uderzeniu – ale w turniejach walczono bronią tępą. Wielki marszałek pod tym ciosem nie drgnął nawet – jakby był zaledwie dotknięty wicią wierzbową, trzymaną w wątłych rękach dziewczęcia.

Doświadczony ten wojownik zwrócił się przeciw Piotrowi de Craon, który – uniesiony przez rozpędzonego konia – odbiegł parę kroków, ale w porę zatrzymał się w obronnej pozycji. Tym razem wielki marszałek nacierał, a Craon się bronił. Atak był nader prosty. Clisson odtrącił broń swego przeciwnika i chwytając miecz w obie ręce, jakby nie życząc sobie użyć ostrza, płazem zadał tak silny cios w hełm Craona, że ten spłaszczył się, jakby od uderzenia maczugi. Rycerz rozpostarł ramiona, zachwiał się i padł zemdlony, nie wymówiwszy nawet jednego słowa.

Wówczas wielki marszałek podjechał ku miejscu, gdzie stał Karol, a zeskoczywszy z konia miecz swój rękojeścią podał, uznając się w ten sposób za zwyciężonego i ustępując królowi zaszczytu zwycięstwa w tym dniu. Król jednak, rozumiejąc, że czyn wielkiego marszałka jest czynem rycerskiej delikat-

ności, ucałował Clissona i poprowadził pośród grzmotu oklasków do stóp balkonu królowej, gdzie Izabella długo i gorąco mu dziękowała. Winszowali również jego wysokości książę de Touraine, który z przyjemnością patrzył na porażkę Piotra de Craon, i książę de Nevers, nie mający wprawdzie wiele przyjaźni dla marszałka, ale jako dobry rycerz zmuszony podziwiać jego dzielność i zręczność w turnieju.

W tejże chwili jakiś zbrojny oddział zatrzymał się u wrót kościoła Świętej Katarzyny. Ten, który wydawał się być dowódcą, zsiadł z konia i postąpił ku szrankom. Wszedł cały okryty kurzem, a idąc wprost ku królowi, przykląkł na jedno kolano i podał list, na którym widniała wielka pieczęć z herbem króla angielskiego. Karol otworzył kopertę. Zawierała ona pismo, w którym król Ryszard i jego wujowie zgadzali się na proponowane trzyletnie zupełne zawieszenie broni tak na lądzie, jak i na morzu, a to mianowicie od 1 sierpnia 1389 do 19 sierpnia 1392 roku. Król zaraz też głośno odczytał list, a wiadomość owa, której wszyscy wyczekiwali z niecierpliwością, zdawała się być nową i wyborną przepowiednią szczęścia, jakiego spodziewano się po panowaniu, zaczynającym się pod tak dobrymi wróżbami. Toteż pan de Chateau Moraud, który był naczelnikiem tego poselstwa, nader życzliwie był przez dwór cały przyjęty, a król, chcąc mu uczynić zaszczyt i okazać swoje zadowolenie, zaprosił go do swego stołu, nie dając mu nawet czasu na zmianę ubrania; tak, jak stał – musiał podążyć z orszakiem królewskim.

Wieczorem tegoż dnia panowie Jan de Rivière i Jan Lemercier ze strony króla, zaś Jan de Benil i starosta de Touraine ze strony księcia, stawili się w pałacu pana Piotra de Craon, położonym w bliskości cmentarza Świętego Jana, i oświadczyli mu w imieniu swych władców, że ani jeden, ani drugi służb jego więcej nie potrzebują.

Nocy następnej, chociaż mocno był cierpiący i obolały od ciosu, jaki otrzymał, i od upadku z konia, Piotr de Craon opuścił Paryż z całą swą służbą i rycerskimi potrzebami; puścił się w drogę ku Anjou, gdzie posiadał wielki i silnie zbrojny zamek, zwany Sablé.

V

Nazajutrz o świcie heroldowie w barwach księcia de Touraine przebiegali ulice Paryża poprzedzani przez trębaczy i zatrzymując się na wszystkich placach i rozstajnych ulicach odczytywali listy wyzywające, które od miesiąca rozsyłane były na wszystkie strony królestwa, jak również do główniejszych miast Anglii, Włoch i Niemiec. Wyzwanie to wyrażone było następującymi słowy:

„My, Ludwik Walezjusz, książę de Touraine, z Bożej łaski syn i brat królów Francji, mając wielkie pragnienie zobaczyć i poznać szlachetnych panów i rycerzy lub koniuszych, bądź z królestwa Francji, bądź z innych królestw – czynimy wszem wobec i każdemu z osobna wiadomym, nie przez pychę, nienawiść lub złą wolę – ale przez chęć znajdowania się w szlachetnym ich towarzystwie – za zgodą króla, naszego brata, że gotowi będziemy w szrankach od godziny dziesiątej rano do trzeciej po południu stanąć do turnieju lub walki z każdym, kto tego zapragnie. Obok namiotu naszego będą przytwierdzone dwie tarcze z herbami naszymi, to jest po jednej stronie tarcza wojny, a po drugiej pokoju; ktokolwiek stanąć do walki zechce, przyśle swego koniuszego lub przybędzie sam dotknąć drzewcem swojej kopii naszą tarczę pokoju, jeśli pragnie potyczki w turnieju, lub też ostrzem jej naszą tarczę wojny, jeśli pragnie walki na ostre. Aby panowie szlachta, sławetni rycerze i koniuszowie, do których wiadomości wieść ta dojdzie, uważali ją za pewną i stałą, ogłosiliśmy i rozesłaliśmy te listy, opatrując je pieczęciami naszymi.

Napisano, uczyniono i dano w Paryżu, w naszym pałacu de Touraine, dwudziestego dnia miesiąca czerwca, roku 1389 od urodzenia Pana Naszego, Zbawiciela.”

Ogłoszenie turnieju, w którym miał przewodzić książę krwi, od miesiąca już wielki miało rozgłos. Ludzie, wzywani do rady królewskiej, próbowali oprzeć się temu, gdy książę de Touraine przybył prosić króla o pozwolenie na ten wyskok rycerskości z okazji wjazdu Izabelli; król, który sam lubił tego rodzaju zabawy i sam w nich celował, zawezwał swego brata i prosił go, aby zamiaru zaniechał, gdy zaś Ludwik oświadczył, że zobowiązanie do tego turnieju przyjął wobec dam dworu, król, znając całą ważność takiego kroku, zezwolił, aby projekt ten przyszedł do skutku.;

Zresztą niewielkie niebezpieczeństwo groziło stającym do podobnych walk. Prawie zawsze walczono bronią turniejową, a tarcza wojenna, zawieszona dla symetrii po jednej stronie namiotu, oznaczała tylko, że jej właściciel nie cofa się przed żadnym wyzwaniem. Zdarzało się jednak czasami, że nienawiść korzystając ze sposobności, wciskała się w szranki przyjacielskie i tam wybuchała nagle, zamiast turnieju żądając walki na ostre. Dlatego też na wszelki wypadek w namiocie znajdowały się ostre miecze i koń w zbroi i rynsztunku wojennym.

Księżna Walentyna, jakkolwiek dzieliła zapał rycerski swej epoki, nie była jednak wyzbyta obawy o rezultat dnia tego. Stawiany przez doradców króla opór uważała za bardzo słuszny i przed tym, czego inni obawiali się przez rozum, ona drżała przeczuciem serca. Zatopiona w rozmyślaniach, siedziała właśnie smutna w swoim pokoju, gdy służący przyszedł jej powiedzieć, że ta sama panienka, po którą przedwczoraj posyłała, czeka obecnie w przedpokoju i prosi o pozwolenie widzenia. Księżna de Touraine postąpiła sama kilka kroków ku drzwiom. Odetta weszła.

Była, piękna – jak zawsze, pełna wdzięku i niewinności, ale w całej jej postaci, tchnącej łagodnością i słodyczą, przebijał się głęboki smutek.

– Cóż się stało? – zapytała księżna, przerażona jej bladością – i czemuż winnam to szczęście, że cię widzę?

– Byłaś pani dla mnie taka dobra – odparła Odetta – że nie chciałam, aby pomiędzy mną i światem zamknęła się krata klasztorna bez pożegnania się z waszą łaskawością.

– Jak to? Biedne dziecię – zawołała z rozrzewnieniem księżna – więc zostajesz zakonnicą?

– Jeszcze nie, pani, ojciec wymógł na mnie przyrzeczenie, że nie wykonam ślubów, dopóki on żyje; a ja znów tak długo płakałam na jego łonie, tak długo u stóp jego prosiłam, aż pozwolił mi usnąć się i zamieszkać tymczasowo w klasztorze Świętej Trójcy, którego moja ciotka jest przełożoną.

Księżna wzięła ją za rękę.

– Ale to pewno jeszcze nie wszystko, co mi powiedzieć miałaś, nieprawdaż? – zapytała, bowiem w oczach młodej dziewczyny zdawała się czytać myśl jakąś niedopowiedzianą.

– Tak, to jeszcze nie wszystko! Chciałam mówić...

– O kim?

– O kim bym innym mówić chciała i mogła, księżno miłościwa, jak nie o nim?... O kogóż miałabym się troszczyć i obawiać, jak nie o niego?

– Czegoż się obawiasz?

– Pani mi przebaczysz, że do ciebie mówić będę o księciu de Touraine, gdy dowiesz się, że niebezpieczeństwo...

– Niebezpieczeństwo?! – wykrzyknęła Walentyna. – Cóż mu grozi?!... Mów, wytłumacz się, umieram z przerażenia!...

– Mówiłam już księżnej pani, że ojciec mój handluje końmi i że mówią o nim, iż najlepsze w całym Paryżu miewa rumaki... Otóż wczoraj przyszli do niego ludzie jacyś i zażądali najsilniejszego i najwytrzymalszego konia do walki. Ojciec mój spytał ich, czy to na turniej dzisiejszy potrzebują tego konia. Odpowiedzieli mu, że tak i że jakiś rycerz obcy ma na tym koniu wystąpić. Wtedy zapytał ich: „A więc będzie i walka na ostre?" – „Będzie – odpowiedzieli mu – i jaka jeszcze!..." Usłyszawszy to, drżąc z obawy, śledzić ich poczęłam. Zeszłam do stajen i widziałam, jak wybrali najsilniejszego ze wszystkich konia i jak nań przymierzali rynsztunek bojowy.

Odetta zalała się łzami.

– Czy rozumiesz mnie, pani?... O, powiedz to jemu! Powiedz pani księciu, co mu grozi i co przeciw niemu knują, powiedz mu, niech się broni całą siłą i całą zręcznością...

Upadła na kolana.

– Niech się broni i niech żyje dla ciebie, pani, która jesteś tak piękna i która go tak kochasz! O! powiedz mu to tak, jak ja tobie to mówię, na kolanach, z rękoma złożonymi jak do modlitwy! Powiedz mu to tak, jakbym ja powiedziała, gdybym była tobą, pani!

– Dziękuję ci, dziecię drogie, z serca dziękuję!

– Rozkaż pani jego koniuszemu, aby mu wybrał najmocniejszą zbroję! Gdy jeździł po ciebie do Włoch, musiał przecie przywieźć sobie kilka zbroi z Mediolanu, gdzie, jak słyszałam, wyrabiają najlepsze na świecie... Powiedz mu, pani ażeby opatrzył dobrze hełm pana swego. A potem, jeżeli zobaczysz, co jest niemożliwe, bo książę de Touraine jest najpiękniejszym, najodważniejszym i najzręczniejszym rycerzem w królestwie Francji... ale gdyby... gdybyś zobaczyła, że słabnie... boć przecie przeciwnik jego,

nieznajomy, czarów jakich użyć może... więc gdybyś, księżno, zobaczyła coś podobnego, proś króla, wszakże król tam będzie – nieprawdaż? Więc proś króla, pani miłościwa, aby rozkazał zaprzestać walki. On ma prawo, on może – mój ojciec mi to powiedział! Sędziowie turnieju powinno tylko rzucić buławy swoje, oznaki swej godności między walczących i walka ustać musi... Proś więc króla, niech każe tak uczynić, niech przerwie walkę tę, jeżeli już jej przeszkodzić nie można! A ja tymczasem...

Zatrzymała się.

– A ty cóż zrobisz? – zapytała zimniej nieco księżna.

– Ja... zamknę się w kaplicy klasztornej. Teraz, gdy życie moje należy do Boga, obowiązkiem moim jest modlić się za wszystkich ludzi, a w szczególności za władcę i pana, króla naszego, braci jego i synów. Więc modlić się będę za nim do Pana, czoło oparłszy o marmur podłogi kościelnej. Powiem Bogu, aby w zamian za jego, moje wziął życie, gdyż moje życie na nic już nikomu nieprzydatne. I Bóg mnie wysłucha, może zlituje się nade mną... Ty, pani,– módl się też ze swej strony. Bóg pewno łatwiej, usłyszy twój słodki głos. Boś ty jest możną córą tej ziemi, a ja tylko biedną dziewczyną. Żegnam cię, żegnam pani miłościwa.

Po tych słowach Odetta podniosła się, ucałowała po raz ostatni rękę księżnej i wybiegła z pokoju.

Księżna de Touraine natychmiast też przeszła do apartamentów swego męża, ale już od godziny był on w swoim namiocie na polu walki, gdzie udał się wcześniej w celu obejrzenia swoich zbroi i stosownego przybrania się.

W tejże chwili przyszedł posłaniec, zawiadamiający księżnę, że królowa oczekuje jej, aby się z nią udać na pole Świętej Katarzyny.

Szranki przygotowane były w tym samym miejscu co dnia poprzedniego, tylko wewnątrz ich obwodu, pod balkonem króla, rozbity był namiot dla księcia de Touraine, ponad którym widać było jego herbową tarczę. Namiot ten łączył się z wielką izbą zbitą z desek, w której mieścili się koniuszowie i konie. Tych ostatnich było cztery. Trzy przeznaczone do turniejów, czwarty do walki na ostre.

Z lewej strony namiotu wisiała tarcza wojny bez żadnych herbów, a tylko z wizerunkiem kija sękatego, z napisem: „wyzywam".

Z prawej strony namiotu znajdowała się tarcza pokoju, na której widniał w błękitnym polu herb „dzieci Francji" – trzy lilie złote.

Naprzeciw, na drugim końcu szranków znajdowała się wielka brama, wychodząca na pole przyległe do Tournelles. Tędy wchodzić mieli rycerze.

Jak tylko król, królowa, panowie i damy zajęli swoje miejsca, ukazał się herold, poprzedzony przez dwóch trębaczy, i odczytał wielkim głosem listy wyzywające, które już daliśmy poznać naszym czytelnikom na początku tego rozdziału. Sędziowie dodali tylko jeden warunek, a mianowicie: że każdy rycerz lub koniuszy, który by dotknął tarczy pokoju, zobowiązuje się przez to samo nie kruszyć więcej, niż dwie kopie; tym zaś, którzy dotkną tarczy wojennej, według zwyczaju, pozostawiony został wybór broni i jej ilość.

Po odczytaniu tej proklamacji herold powrócił do namiotu. Sędziowie, którymi na ten dzień byli pan Olivier de Clisson i książę de Burbon, zajęli swe miejsca po dwu stronach szranków, a trąby zagrzmiały fanfarę wyzwania.

Księżna Walentyna była blada jak śmierć.

Przez chwilę panowało milczenie, które wkrótce przerwał odgłos trąb innych, poza obrębem szranków powtarzając te same dźwięki. Brama w głębi otwarła się i wjechał przez nią na koniu rycerz z podniesioną przyłbicą, a był nim pan Boucicaut młodszy.

Księżna, poznawszy go, odetchnęła swobodniej.

Gdy go tylko spostrzeżono, szmer życzliwych mu osób dał się słyszeć na wszystkich galeriach. Panowie przesyłali mu ukłony ręką, damy powiewały chustkami, gdyż pan Boucicaut młodszy był jednym z najodważniejszych i najzręczniejszych rycerzy owej epoki.

Pan Boucicaut pokłonił się naprzód widzom dla podziękowania im za prawdziwie godne zazdrości przyjęcie, jakie go spotkało, następnie posuwając się wprost do balkonu królowej, skłonił się jej głęboko, spuszczając ostrze kopii ku ziemi, potem opuszczając ręką lewą przyłbicę hełmu, dotknął drzewcem swej kopii tarczy pokoju księcia de Touraine, a puszczając wodze koniowi, całym pędem powrócił na przeciwny koniec szranków.

W tejże chwili książę wyjechał z namiotu cały już do turnieju przybrany i uzbrojony. Miał na sobie zbroję mediolańską z najdelikatniejszej stali, całą inkrustowaną złotem. Czaprak jego konia był z aksa-

mitu, kotera złota, a wszystko, co bywa zwykle z żelaza, wędzidło i strzemiona, było z czystego srebra. Kirys zresztą był tak piękny i tak artystycznie wykończony, że uginać się zdawał za każdym ruchem swego pana tak dobrze, jak koszulka z siatki żelaznej lub sukienny kaftan.

Pan Boucicaut, jak powiedzieliśmy, przyjęty był życzliwym szmerem, księcia przyjęto obfitymi oklaskami; nie można bowiem było przedstawić się, wystąpić i skłonić z większym, choć prawdziwie męskim wdziękiem, niż on to uczynił. Oklaski nie ustawały, dopóki książę nie zamknął przyłbicy. Wtedy trąby zagrzmiały, obaj przeciwnicy stanęli w pozycji bojowej, a sędziowie zawołali:

– Zaczynajcie!

Dwaj rycerze, spiąwszy ostrogami konie, puścili się ku sobie z całą szybkością swoich rumaków. Obaj uderzyli się wzajem w same piersi. Obie kopie rozprysnęły się w kawałki. Konie stanęły na miejscu, zadrżały, ale żaden z jeźdźców nie wypuścił nawet nogi ze strzemienia. Zwrócili się więc rycerze, a powróciwszy na miejsca, wzięli z rąk swoich koniuszych nowe kopie.

Zaledwie przygotowali się do drugiego biegu, trąby zagrzmiały na nowo. Walczący znów naprzeciw siebie poskoczyli, prędzej jeszcze, niż za pierwszym razem, ale zmienili kierunek i cel swoich ataków. Obaj dotknęli się wzajemnie w głowy, strącili sobie nawzajem hełmy i pobiegli dalej, po czym zwrócili się ku sobie i skłonili po rycersku. Niepodobna było zachować więcej równości w takiej walce, toteż sędziowie uznali, że obaj rycerze dzielić po równi powinni honor tego spotkania.

Obaj pozostawili hełmy swoje na środku szranków i powrócili z gołymi głowami, pan Boucicaut do bramy wjazdowej, a książę de Touraine do swego namiotu.

Okrzyki uwielbienia towarzyszyły temu ostatniemu aż do namiotu, albowiem wydawał się on archaniołem z nieba, tak pięknie mu było z długimi blond włosami, z pięknymi niebieskimi oczyma, pełnymi łagodności prawie dziecięcej, i z cerą młodego dziewczęcia.

Królowa wychyliła się cała prawie z balkonu, aby go widzieć lepiej i dłużej, a Walentyna, przypomniawszy sobie, co jej mówiła Odetta, patrzyła na Izabellę z przerażeniem, w którym mieściło się przeczucie przyszłości.

Po chwili trąby odezwały się znowu, obwieszczając, że książę gotów już do nowej walki. Chwil kilka pozostały one bez odpowiedzi i pytano się nawzajem, czy piękny ten dzień jednym tylko skończy się turniejem, gdy wtem odezwały się odgłosy innej trąby, wygrywającej fanfarę cudzoziemską. W tejże chwili wrota otworzyły się i ukazał się w szrankach rycerz z przyłbicą spuszczoną i tarczą na ręku.

Walentyna zadrżała, gdyż nie znała tego nowego przeciwnika; zapowiedź walki na ostre wlewała w jej serce obawę i niepokój nieokreślony, który wznawiał każdym krokiem zbliżający się do namiotu rycerz. Przybywszy pod balkon królewski, rycerz ów wstrzymał rumaka, spuścił kopię do ziemi, oparł się o kolano i naciskając sprężynę swego hełmu, odsłonił głowę. Wówczas zobaczyć można było pięknego dwudziestoletniego młodzieńca, którego twarz blada i dumna obca była dla większości zebranych.

– Witamy kuzyna naszego Lancastra, hrabiego Derby – rzekł król, który poznał w rycerzu kuzyna króla Ryszarda Angielskiego. – Spodziewamy się, iż wiedziałeś hrabio, że nie potrzeba było zawieszenia broni, na które zamorski brat nasz Ryszard – niech go Bóg zachowa! – zgodził się właśnie, abyśmy cię z przyjemnością na dworze naszym widzieli. Poseł nasz, pan de Château Moraud był zwiastunem tych dobrych nowin.

– Najjaśniejszy panie – rzekł hrabia Derby, kłaniając się znowu – doszła nas wieść o cudownych turniejach i walkach, które miały się odbyć na tutejszym dworze; chociaż jestem Anglikiem duszą i ciałem, zdecydowałem się przeprawić przez morze, aby skruszyć kopię na cześć dam francuskich. Spodziewam się, że jego wysokość książę de Touraine zapomnieć raczy, iż nie mam zaszczytu być mu równym stanem; jestem bowiem tylko kuzynem królewskim.

Potem, ukłoniwszy się ostatni raz królowi i Izabelli, włożył hełm i zbliżywszy się do namiotu, drzewcem lancy dotknął tarczy pokoju.

Rumieńce, które obawa spędziła z policzków Walentyny, ukazały się na nowo, gdyż dotąd drżała na myśl, że może to nienawiść narodowa Anglii ku Francji przyprowadziła hrabiego Derby na turniej.

Dwaj przeciwnicy, ukłonili się sobie z rycerską galanterią, która wrodzoną być musiała dwom tak szlachetnym panom. Zaraz też trąby zagrzmiały, rycerze pochwycili kopie i natarli na siebie.

Zadali sobie wzajemnie ciosy w same piersi, ale zbyt rozpędzone konie nie mogły się zatrzymać, tak że rycerze puścić musieli kopie, które upadły w szranki. Koniuszy księcia de Touraine i koniuszy hrabiego Derby pośpieszyli podnieść je i podać swoim panom, ale obaj rycerze jednocześnie dali znak i

koniuszy angielski podał księciu de Touraine kopię hrabiego, podczas gdy koniuszy francuski kopię księcia podawał hrabiemu. Czyn ten wielkie zyskał oklaski i wszyscy uznali go za prawdziwie rycerski.

Dwaj rycerze znowu się zmierzyli.

Tym razem konie lepiej posłużyły zręczności jeźdźców, gdyż natarli na siebie tak gwałtownie, że zdawało się, iż konie łbami się roztrącą; ale i teraz również, uderzając się wzajemnie z niezwykłą siłą, trafili się obaj w piersi. Kopie rozprysły się w kawałki i każdemu z nich w ręku tylko ułamek drzewca pozostał.

Skłonili się więc sobie znowu; książę wrócił do pawilonu, hrabia Derby wyjechał ze szranków. U wrót oczekiwał nań paź królewski, który w imieniu swego pana przychodził prosić hrabiego, aby raczył przyjąć ofiarowane sobie miejsce na balkonie, obok królowej, po jej lewicy. Hrabia Derby zaszczyt ten przyjął i w chwilę później ukazał się na estradzie w pełnej zbroi, tylko paź w jego kolorach niósł za nim hełm.

Zaledwie zasiadł hrabia na swym miejscu, gdy trąby trzeci raz zagrzmiały.

Tym razem odpowiedź była tak szybka, że można ją było wziąć za echo, ale zagrzmiały długie trąby wojenne, których używano tylko w zamieszaniu wielkich walk i których dźwięk głośny i straszny przerażać miał nieprzyjaciół. Wszyscy zadrżeli, a księżna Walentyna przeżegnała się, mówiąc:

– Boże mój, miej litość nade mną!

Oczy wszystkich zwróciły się ku wrotom, przez które wjechał rycerz zbrojny w rynsztunek do walki na ostre: mocną kopię, miecz długi, i topór wojenny. Miał na ręku tarczę, a na szyi stalowy obojczyk. Na tarczy, jakby w odpowiedzi na dewizę księcia de Touraine, którą był kij sękaty z napisem: „wyzywam" – widniał hebel, z napisem: „Przyjmuję wyzwanie".

Wszyscy patrzyli na rycerza z ciekawością, jaką zwykle budzą podobne okoliczności, ale spuszczona przyłbica nie pozwoliła dojrzeć jego twarzy. Na tarczy i zbroi żadnego nie było herbu, jeno hełm nosił na sobie pięknie wyrobioną koronę hrabiowską z czystego złota.

Rycerz posuwał się w szrankach, zmuszając swego pięknego konia, ciężko uzbrojonego, do wykonania rozmaitych ewolucji, które pokazywały przywykłego do takich harców jeźdźca. Przybywszy pod balkon królewski, pochylił czoło aż do grzywy swego rumaka, a potem pośród ciszy, w której zdawało się, jakby wszyscy oddychać nawet przestali, postąpił do namiotu księcia de Touraine i z siłą uderzył ostrzem lancy w tarczę wojny. Wyzwanie do walki, które śmiercią skończyć się mogło, drżeniem przejęło wszystkich. Królowa zbladła. Księżna Walentyna nie mogła wstrzymać okrzyku przerażenia.

Koniuszy księcia de Touraine ukazał się natychmiast w drzwiach namiotu, uważnie obejrzał broń zaczepną i odporną, potem, kłaniając mu się uprzejmie, rzekł:

– Stanie się, jak żądacie, mości panie!

Rycerz odjechał na drugi koniec szranków, gdzie miał czekać, aż książę de Touraine dopełni swych przygotowań. W dziesięć minut później książę wyszedł z namiotu w tejże samej zbroi, która mu służyła od rana. Siedział na koniu rosłym i silnym, a uzbrojony był tak samo, jak jego przeciwnik, w kopię, miecz i topór. Broń ta stanowiła jakby jeden garnitur ze zbroją.

Książę de Touraine dał znak ręką, że jest gotów do walki. Trąby grzmiały. Przeciwnicy puścili się ku sobie całym pędem i spotkali się w samym środku pola; z tak równą biegli do boju ochotą.

Natarcie było silne i gwałtowne. Kopia tajemniczego rycerza pochwyciła kask księcia w świetlne otwory i zdzierając mu go z głowy, odrzuciła o dziesięć kroków w tył poza konia. Tymczasem kopia księcia ugodziła przeciwnika w sam obojczyk, a przebiwszy go, spotkała kirys i, zsunąwszy się po stali, raniła lekko lewe ramię. Od uderzenia tego kopia pękła na stopę od żeleźca, a ułamek z ostrzem pozostał w stalowym obojczyku.

– Mości książę Touraine! – zawołał rycerz – niech wasza książęca mość raczy włożyć inny hełm, a ja tymczasem wyjmę to żelazo, które nie rani, lecz przeszkadza.

– Dziękuję, kuzynie de Nevers – odparł książę, który go poznał po tej głębokiej nienawiści, jaką żywili w sercach ku sobie wzajemnie – dziękuję. Daję wam tyle czasu, ile potrzeba do opatrzenia ramienia, co do mnie zaś, walczyć będę dalej z odkrytą głową.

– Niech się stanie według waszej woli, mości książę, więc i ja nie będę żądał więcej czasu, niż potrzeba do rzucenia kopii a wydobycia miecza.

I łącząc czyn ze słowami, w jednej chwili błysnął mieczem w powietrzu.

Książę poszedł za jego przykładem i porzucając wodze zasłonił bezbronną głowę tarczą. Hrabia de Nevers opuścił lewe ramię, którym z trudnością tylko mógł władać z powodu nadwerężenia zbroi. Ko-

niuszowie, którzy zbliżyli się chcąc nieść pomoc swoim panom, cofnęli się widząc, że walka znowu się rozpoczyna.

I rzeczywiście, bój zawrzał z większą jeszcze zawziętością. Hrabia de Nevers, mało zważając na to, że nie mógł władać lewym ramieniem, ufny w hart swojej zbroi, silnej i wytrzymałej, nie zasłaniał się od uderzeń przeciwnika, ale bezustannie nacierał na tę obnażoną głowę, którą ochraniała tylko tarcza stalowa. Każde z jego uderzeń rozlegało się, jak uderzenie młota o kowadło. Tymczasem książę de Touraine, więcej może godny podziwu dla swej elegancji i zręczności, niż dla swej siły, ze wszech stron nacierał na hrabiego, szukając mieczem słabych punktów zbroi i próbując przebić końcem miecza to, czego nie spodziewał się przeciąć ostrzem. Dokoła nikt z widzów słowa nie śmiał wymówić; słychać było tylko uderzenia żelaza o żelazo. Zdawało się, że każdy wstrzymuje oddech i że całe życie tych tłumów nieruchomych skoncentrowało się w ich wzroku.

Sympatie wszystkich i wszystkich życzenia były za księciem de Touraine, tym bardziej, że nikt nie znał nazwiska jego przeciwnika. Głowa księcia, na którą padał cień tarczy, mogłaby była służyć artyście za model do świętego Michała Archanioła. Zwykły u niego, obojętny wyraz twarzy znikł, oczy rzucały błyskawice, a włosy, pod powiewem wiatru rozpuszczone, tworzyły jakby aureolę dokoła pięknej głowy. Wargi, uchylone w nerwowym skrzywieniu ust, odsłaniający lśniącą białość równych jak perły zębów. Za każdym uderzeniem miecza, który bezustannie spadał na tarczę księcia, dreszcz przechodził wszystkich zebranych, jakby wszyscy ojcowie w nim jednym stracić mieli swego syna, wszystkie kobiety swego kochanka.

Nareszcie ochronna tarcza powoli nadwerężać się zaczęła. Za każdym uderzeniem odskakiwał z niej kawałeczek stali, jakby wiór z drzewa. Wkrótce pękła i książę na ramieniu zaczął uczuwać razy, które dotąd spadały na tarczę; na koniec miecz hrabiego, osunąwszy się po ramieniu, spadł na głowę księcia i skaleczył go w skroń.

Wówczas książę de Touraine, widząc, że tarcza ta już nie może być obroną i że miecz jego był za słaby, aby przeciąć zbroję przeciwnika, jednym skokiem konia cofnął się w tył, a odrzucając lewą ręką tarczę złamaną, a drugą miecz nieużyteczny, pochwycił oburącz ciężki topór wojenny, wiszący u siodła, a nacierając na hrabiego prędzej, niż ten mógł przeniknąć jego zamiary, zadał mu w hełm cios tak silny, że zawiasy przyłbicy pękły i hrabia de Nevers znalazł się nagle z odkrytą twarzą. Wstrząsnąwszy głową, zrzucił on hełm swój już niczym nie przytwierdzony; wszyscy widzowie wydali okrzyk przerażenia.

W tejże samej chwili, gdy hrabia stanął w strzemionach, chcąc oddać cios za cios, buławy obu sędziów walki spadły pomiędzy walczących i rozległo się głośne wołanie króla Karola:

– Dosyć, mości panowie, dosyć!

Gdy bowiem dostrzeżono uderzenie hrabiego de Nevers i gdy po twarzy księcia polała się krew, księżna Walentyna zemdlała, a królowa, blada i drżąca, pochwyciła króla za ramię, prosząc:

– Najjaśniejszy panie, na miłość Boga, każ zaprzestać, już dosyć tej walki!

Jakkolwiek wielka była zaciętość przeciwników, walka jednak natychmiast ustała. Hrabia de Nevers zawiesił miecz swój na łańcuchu, książę de Touraine zaczepił topór o strzemiona. Koniuszowie przypadli, jedni poczęli ocierać krew z czoła księcia, drudzy wydobywali ostrze kopii z obojczyka hrabiego, któremu żelazo ciągle, choć lekko, raniło ramię.

Po odbyciu tych operacji, przeciwnicy ukłonili się sobie z zimną grzecznością, jakby nic się niezwykłego nie stało. Hrabia de Nevers opuścił szranki, a książę de Touraine skierował kroki swe ku namiotowi, chcąc wziąć nowy hełm i na nowo wyzwanie ogłosić. Ale król podniósł się z miejsca swego na balkonie i zawołał głośno, tak aby wszyscy słyszeć mogli:

– Mości panowie, wolą jest naszą, aby tą walką turniej dzisiejszy był zakończony.

Stosując się do woli monarchy, książę de Touraine, zamiast stawać do nowej walki, podjechał ku estradzie królewskiej, by odebrać bransoletę, która miała być nagrodą zwycięzcy. Gdy jednak stanął pod balkonem, Izabella zawołała uprzejmie:

– Pójdźcie tu do nas, mości książę, gdyż dla nadania większej wartości naszemu darowi, chcemy go własną ręką zapiąć na waszym ramieniu.

Książę zeskoczył lekko z konia i w chwilę później na klęczkach odbierał bransoletę, która mu była obiecana podczas wjazdu Izabelli; a gdy Walentyna ocierała czoło męża, aby się przekonać, czy rana nie była głęboka, gdy król zapraszał hrabiego Derby do swego stołu, ręka księcia spotkała rękę królowej i pierwszy grzeszny uścisk wymieniony został między nimi potajemnie.

VI

Po ukończeniu wszystkich tych uroczystości i turniejów, król pomyślał o rządach i administracji swego królestwa. Wszędzie dokoła panował pokój i Francja pozostawała spokojna i bezpieczna pośród swoich sprzymierzeńców. Byli to: od wschodu książę Galeas Visconti, który przez małżeństwo Walentyny z Ludwikiem de Touraine zbliżył się do rodziny „złotych kwiatów lilii"; od południa – król Aragonu, krewny króla Francji przez swoją żonę Jolantę z Baru; od zachodu książę Bretanii, wasal niespokojny i nieposłuszny, jednakże nie przeciwnik wyraźny; na koniec od północy Anglia, najdawniejsza i najzawziętsza nieprzyjaciółka Francji, która wszelako, czując w swym łonie zarody wojny domowej, pozwoliła na chwilę zasnąć nienawiści i ucichła, dając jako ulgę rywalce swej trzyletnie zawieszenie broni, o które sama prosić, jako o łaskę, była powinna. Obecnie więc tylko prowincje wewnątrz kraju domagały się troskliwości królewskiej – ale też domagały się jej gwałtownie. Zrabowane i zniszczone skutkiem następujących po sobie administracji książąt d'Anjou de Berri, Langwedocja i Gujenna, wycieńczone, pozbawione krwi i złota, wznosiły ku panu swemu wychudłe i błagalne ramiona. Panowie Jan Lemercier i Wilchelm de la Rivière, radcy królewscy których wskazaniom król najchętniejszego udzielał ucha, dawno skłaniali go od odwiedzenia odległych krańców monarchii. Zgodził się więc Karol nareszcie i wyjazd został naznaczony na dzień świętego Michała, 29 września 1389 roku. Droga wyznaczona została przez Dijon i Avignon i dlatego książę Burgundii i papież Klemens otrzymali zawiadomienie o przyjeździe króla.

Dnia wyżej wzmiankowanego wyruszył król Karol z Paryża w towarzystwie księcia Ludwika de Touraine, pana de Coucy i wielu innych panów i rycerzy.

Właściwym celem podróży królewskiej było naoczne i osobiste przekonanie się o rządach dwóch stryjów, księcia de Berri i księcia d'Anjou, którzy kolejno administrowali Langwedocją i niszczyli ją w sposób niesłychany i oburzający. Zbiedzony kraj, uciskany przez arbitralnych panów między Rodanem i Żyrondą, musiał około 30 000 liwrów opłacać podatku. Mówiono królowi już dawno o złych i opłakanych skutkach tych rządów, które były raczej okrutną swawolą. Poddani byli tak strasznie obciążeni podatkami, że majątki ich zeszły do trzeciej, czwartej, a nawet dwunastej części swej wartości. Coraz nowe ciężary dorzucali jeszcze namiestnicy królewscy. Dał to król poznać stryjom swoim przy spotkaniu, bo w delikatny sposób pozbył się ich towarzystwa i usunął ze swego orszaku.

Książę d'Anjou czepiał się tylko bogatych i możnych, ale książę de Berri, który po nim nastąpił, nie oszczędzał nawet biednych i maluczkich – wszystko kosił i zbierał, co się tylko nadarzyło. Powiadano, że wszystkie te uciski dokonywane były za pośrednictwem skarbnika jego, który pochodził z miasta Béziers, a nazywał się Bétisac, i że ten, zbierając pozostałe po pańskim żniwie pokłosie, nie zostawiał nawet ludowi tyle, ile wieśniak ubogi zostawia ptakom niebieskim na wydzióbanie.

Na te głosy żałośliwie odpowiadał Karol, że jeżeli Bóg mu swej pomocy użyczy, wszystkie nadużycia ustaną; że nie będzie miał dla książąt, żadnego względu, jak gdyby wcale nie byli braćmi jego ojca, i że co się tyczy ich agentów i doradców, uczyni nad nimi sprawiedliwość i groźne przeciw nim wyprowadzi śledztwo. Po przybyciu do miasta Béziers, w którym znajdował się Bétisac, król zalecił tajemnicę co do skarg, jakie nań po drodze zaniesiono, i dla pozoru poświęcił pierwsze trzy czy cztery dni uroczystościom i zabawom, tajemnie tymczasem zamianowawszy inkwizytorów do zbadania stanu rzeczy. Czwartego dnia delegowani przybyli powiedzieć mu, że przeciw skarbnikowi jego stryja tak ciężkie znajdują zarzuty, iż przebaczyć mu zbrodni jego niepodobna, albowiem winien on zapłacić głową. Zebrała się tedy rada królewska i za jej rozkazem pochwycono owego Bétisaca, przyprowadzono go i postawiono przed sądem. Bétisac usprawiedliwiał się i dowodził, że wszystkie nadużycia popełnił z rozkazu i za wiedzą swojego pana, księcia de Berri, stryja królewskiego; że wycisnął około trzech milionów liwrów podatku z biednego ludu, ale za kwitami oddał je księciu, sobie zatrzymawszy bardzo nieznaczne okruchy, i to za pozwoleniem swojego chlebodawcy. Tłumaczenie to kompromitowało w najwyższym stopniu księcia de Berri i wikłało sprawę.

Jak tylko rozeszła się po kraju wieść, że z królewskiego rozkazu Bétisac w więzieniu osadzony został i że ma być sądzony, cały naród ze wsi okolicznych spłynął do miasta. Nieszczęśliwi, których ograbił, przemocą prawie wdzierali się aż do pałacu królewskiego, żądając sprawiedliwości; a gdy Karol wychodził, na klęczkach zanosili doń prośby i skargi. Były tam dzieci, które uczynił sierotami; kobiety,

które uczynił wdowami; dziewice, które uczynił matkami; tam, gdzie namowa nie podołała, używał przemocy. Człowiek ten wszystko wyssał i zniszczył, skarbce, życie i honor. Król widział, że krew ludu biednego głośno o pomstę woła na sprawcę ucisku; rozkazał, ażeby rada wydała wyrok w jego sprawie.

W chwili, kiedy rada po temu zgromadzona była, weszło do sali dwóch rycerzy: panowie de Mantouillet i de Mespin. Przybywali oni w imieniu księcia de Berri uznać wszystko, co uczynił Bétisac i żądać od króla rady, aby człowieka tego wydać w ich ręce, a sprawę całą zwrócić przeciw księciu.

Rada znalazła się w trudnym położeniu. Książę de Berri mógł w przyszłości odzyskać względy i wpływy, jakie u króla utracił; w przewidywaniu tego, każdy obawiał się mu narazić. Z drugiej strony ucisk ludu i zbrodnie Bétisaca były zanadto jawne i wszystkim znane, tak że byłoby obrazą Boga wypuścić go z więzienia. Odzywały się głosy, aby zakończyć sprawę skonfiskowaniem jego majątków i aby wszystko co posiadał, wystawić na sprzedaż, otrzymane stąd pieniądze rozdzielić pomiędzy lud, po czym jego samego zwrócić księciu zrujnowanego, takiego jakiego książę przyjął do swoich usług. Ale król nie chciał tej połowicznej sprawiedliwości. Powiedział, że w ten sposób będą mieli zadośćuczynienie tylko ci, których ograbił; rodzinom zaś, pomiędzy którymi szerzył śmierć i hańbę, trzeba było innego zadośćuczynienia.

Wtedy zjawił się przed radą pewien starzec, przyrzekł sędziom, że sprawi, iż Bétisac wyzna swoją własną, osobistą zbrodnię, za którą książę de Berri nie będzie mógł przyjąć odpowiedzialności. Zapytano go, co należy uczynić.

– Nic innego – odpowiedział – jak tylko zamknąć mnie w tym samym więzieniu, w którym zamknięty jest Bétisac.

Innych objaśnień dać nie chciał, mówiąc, że to już sprawa, która jego tylko obchodzi, ponieważ on, a nie kto inny, podjął się doprowadzić ją do skutku. Stało się więc tak, jak żądał. Straże odprowadziły go do więzienia publicznie i jawnie, a stróże, otrzymawszy instrukcję, wepchnęli go do celi Bétisaca i drzwi za nim zaryglowali.

Starzec udał, jakoby nie wiedział wcale, że izba była zajęta, wyciągnął ręce przed siebie, jak człowiek, który nie widzi jasno, a przypadłszy do ściany przeciwległej, usiał oparty o mur i skurczywszy kolana oparł na nich łokcie i ukrył twarz w dłoniach.

Bétisac, którego oczy od ośmiu dni przywykły do ciemności, przyglądał się towarzyszowi niedoli z ciekawością łatwą do wytłumaczenia w podobnej sytuacji. Po chwili poruszył się nawet, chcąc zwrócić uwagę starca, ale ten pozostał nieruchomy i zdawał się zatopiony w głębokim rozmyślaniu. Bétisac zdecydował się nareszcie odezwać i zapytał, skąd przybywa?

Starzec podniósł oczy i dojrzał w przeciwnym rogu izby swojego towarzysza więzienia. Klęczał i miał ręce złożone jak do modlitwy. Człowiek ten śmiał jeszcze zanosić modły do Boga! Starzec zadrżał, widząc że jest tak blisko tego, którego zgubić zamierzał. Bétisac powtórzył swoje pytanie.

– Przybywam z miasta – odpowiedział starzec głuchym głosem.

– Czymże zajmują się w mieście? – zapytał Bétisac, udając obojętność.

– Mówią jedynie o jakimś Bétisacu – odparł starzec.

– I cóż mówią? – zapytał bojaźliwie ów, dla którego ta wiadomość tak wielkie miała znaczenie.

– Mówią, że nareszcie sprawiedliwość będzie wymierzona i że winy będzie powieszony.

– Chryste Panie! – wykrzyknął Bétisac, zrywając się na równe nogi.

Starzec spuścił znowu głowę na ręce; cisza w celi więziennej przerywana była tylko ciężkim tchnieniem przerażonego nowiną Bétisaca. Stał on przez chwilę nieruchomo, ale nogi odmówiły mu usług; oparł się tedy o mur i ocierał zimnym potem oblane czoło. Potem, po chwili przygnębienia, odezwał się znowu, nie zmieniając postawy i nie ruszając się z miejsca:

– Matko Boża! czyż nie ma już żadnej dla niego nadziei?

Starzec milczał, jakby nie słyszał pytania.

– Ja się was pytam, czy nie ma żadnej nadziei?! – wykrzyknął Bétisac, podbiegając i chwytając go za ramię.

– I owszem, jest nadzieja – odparł spokojnie starzec – ale ta jedynie, że stryczek może pęknąć.

– O Boże mój, Boże! – wykrzyknął Bétisac, załamując ręce – cóż mam uczynić, któż mi da radę dobrą w tej niedoli?!...

– Ach! – zawołał starzec, wpatrując się w niego wzrokiem pilnym, jakby nie chciał stracić ani jednego jęku jego rozpaczy. – Więc to wy jesteście tym człowiekiem, którego naród cały przeklina?! Nieprawdaż, że ciężkie są ostatnie chwile takiego, jak wasze, życia?

– A! – wrzasnął Bétisac – niech mi wszystko zabiorą, sprzęty, srebra, domy! Niech wszystko rzucą na pastwę ludowi, ale niech mi życie zostawią!... Niechbym je zresztą zakończył w więziennej jamie, w kajdanach, bez światła dziennego dla oczu moich! Ale życia! życia! O!... ja chcę żyć!...

Nieszczęsny wił się jak potępieniec. Starzec przyglądał mu się, nic nie mówiąc; nareszcie, gdy już Bétisac wycieńczony leżał na ziemi prawie bez czucia – rzekł:

– A gdyby się znalazł ktoś taki, co by wam dał dobrą radę?

Bétisac zerwał się i przykląkł; wpił oczy w starca, jakby chciał czytać na dnie jego serca.

– Co mówicie?

– Mówię, że litość budzą we mnie wasze żale i że jeżeli zechcecie mnie usłuchać, wszystko jeszcze dobrze pójdzie.

– O, mówcie! Bogaty jestem! Cały mój majątek, do ostatniego szeląga...

Starzec roześmiał się.

– Tak, tak, cały majątek! Chcesz życie okupić tym właśnie, za co ci je zabrać mają, i myślisz, że staniesz czysty wobec ludzi i Boga?

– Nie, nie! Ja wiem, że zostanę mimo to wielkim zbrodniarzem, ja wiem i żałuję w głębi strapionej duszy mojej... Ale mówiliście mi, że jest jeszcze jakiś środek ratunku... Jakiż on jest, powiedzcie?

– Gdybym był na waszym miejscu, od czego broń mnie Boże!... postąpiłbym tak...

Bétisac chwytał wyrazy w miarę, jak wychodziły z ust mówiącego starca.

– Gdyby mnie jeszcze raz stawiano przed radę królewską, zapierałbym się ciągle...

– Tak, tak – szeptał Bétisac.

– Ale powiedziałbym, że tknięty żalem z powodu innej zbrodni, chciałbym ją wyznać u konfesjonału dla zbawienia duszy mej. Powiedziałbym wtedy, że od dawna błądziłem przeciw wierze, że jestem heretykiem...

– To nieprawda! – krzyknął Bétisac. – Jestem dobrym katolikiem, wierzę w Chrystusa i w Dziewicę Maryję.

Starzec mówił dalej, jakby nie słyszał tego, co mówił Bétisac:

– Powiedziałbym więc, że jestem heretykiem, i że trwam w moim przekonaniu. Wtedy, jako przestępcę należącego do sprawiedliwości duchownej, a nie świeckiej, wydano by mnie biskupowi z Béziers, który by mnie oddał do papieża awinińskiego, a ponieważ święty nasz ojciec Klemens jest wielkim przyjacielem księcia de Berri...

– Rozumiem! – wrzasnął Bétisac, przerywając. – Tak, pan mój, wielki, potężny książę de Berri, nie pozwoliłby na to, żeby mi tam krzywdę jaką wyrządzono! Ach, tak! zbawienna rada wasza!...

I chciał rzucić się w objęcia starca, ale ten odepchnął go. W tej chwili otworzono drzwi; weszła straż, wołając Bétisaca przed sąd.

Wówczas pomyślał on, że nadeszła chwila użycia wybiegu, jaki mu na myśl podsunął starzec, a przyklękając na jedno kolano prosił, aby mu mówić dozwolono.

– Mości panowie – rzekł – w więziennej celi uważniej spojrzałem w głąb przeszłości i sumienia mego i obawiam się, że wielce rozgniewałem na siebie Pana na niebie, ale nie tym, iżbym miał rabować i przywłaszczać sobie pieniądze biednego ludu, gdyż dzięki Bogu wszyscy wiedzą, jakom działał z rozkazu władcy mego, ale tym, że błądziłem przeciwko wierze.

Sędziowie spojrzeli po sobie ze zdumieniem.

– Tak – mówił dalej Bétisac – tak, mości panowie, gdyż umysł mój odmawia posłuszeństwa wierze w jakąś tam Trójcę; ani też w to, że Syn Boży poświęcił się na tyle, iż zstąpił na ziemię i począł się z kobiety; ani też w duszę moją, o której myślę, że nic z niej nie zostanie po mojej śmierci.

Dreszcz przerażenia przejął wszystkich zgromadzonych. Pan Lemercier, który był śmiertelnie na oskarżonego zagniewany, podniósł się wreszcie i rzekł:

– Pomyśl, człowiecze, coś wyrzekł. Wyrazy te ranią boleśnie święty nasz Kościół chrześcijański, matkę naszą, a na głowę twoją ściągną ogień pomsty Bożej! Zastanów się więc raz jeszcze zanim je powtórzysz.

– Nie wiem – odparł Bétisac – co tam ściągną moje słowa, ogień czy wodę, ale to wiem, że takie jest moje głębokie przekonanie od chwili, gdym doszedł do rozumu, i że takież ono będzie, dopóki tego rozumu nie utracę.

Sędziowie przeżegnali się znakiem krzyża świętego, a obawiając się krzywdy na zbawieniu swej własnej duszy, gdyby takiej mowy dłużej słuchali, kazali odprowadzić go na powrót do więzienia; Bétisac, wszedłszy do swej celi, począł szukać oczyma tajemniczego starca, chcąc mu opowiedzieć wszystko, ale nie znalazł go już w więzieniu. Co działo się w duszy tego człowieka aż do dnia następnego – o tym wie jeno Bóg. To tylko pewne, że nazajutrz mógłby on z łatwością przeczyć, jakoby był tym samym, co wczoraj, człowiekiem. Bóg zamienił mu godziny te na lata; w przeciągu jednej nocy wszystkie mu włosy zbielały.

Król, dowiedziawszy się o zeznaniu Bétisaca, był bardzo uradowany.

– A! – zawołał – zły to człowiek ten Bétisac; mieliśmy go za prostego złoczyńcę, a oto okazuje się, że jest on heretykiem; sądziliśmy, że zasłużył jedynie na stryczek, a oto on sam domaga się stosu. Niechże więc i tak się stanie; trzeba będzie spalić go i powiesić zarazem. A niechże teraz przybywa nasz stryj de Berri przyjąć na się winy tego człeka. Zobaczymy, czy przyzna się i do tej zbrodni.

Wkrótce echo zeznań Bétisaca rozeszło się po mieście i można było widzieć na ulicach wielkie tłumy narodu rozradowanego, gdyż był on wielce znienawidzony i przeklinany, ale nikt nie był więcej zdziwiony tymi wiadomościami, jak dwaj rycerze, którzy przybyli żądać wydania przestępcy w imieniu księcia de Berri. Zrozumieli, że Bétisac był już ostatecznie zgubiony i zrozumieli od razu, iż podobne wyznanie win, o które go nikt nie pytał, uczynić mógł chyba za radą jakiegoś śmiertelnego wroga. Ale cóż było robić? Zeznanie uczynione zostało, król wydał wyrok, pozostała więc już jedna tylko nadzieja, ta mianowicie, że nazajutrz Bétisac swoje słowa cofnąć zechce. Chcąc mu to poradzić, pobiegli do więzienia, lecz stróże odpowiedzieli, że nakazane zostało pod karą śmierci, aby nikomu nie pozwalali widzieć się z więźniem. Rycerze w milczeniu spojrzeli po sobie i odeszli; wróciwszy do domu, wsiedli na konie i pojechali zdać sprawę swojemu panu.

Nazajutrz rano, około godziny dziesiątej, zabrano Bétisaca z więzienia. Gdy spostrzegł, że go prowadzono już nie w stronę sądu, ale ku pałacowi biskupiemu, nabrał znowu otuchy. Tu znalazł zebranych inkwizytorów królewskich i dygnitarzy Kościoła świętego. Burmistrz miasta Bétisac powstał i rzekł:

– Mości panowie! Oto jest Bétisac, którego wam oddajemy, jako heretyka i kacerza. Gdyby zbrodnia jego była zbrodnią podległą jurysdykcji królewskiej, byłaby już sprawiedliwość wymierzona, ale heretyk należy do sprawiedliwości duchownej. Czyńcie z nim, na co winy jego zasługują!...

Bétisacowi błysnęła nadzieja ratunku... Wtem jeden z prałatów zapytał go, czy w istocie jest on tak występnym, a Bétisac, widząc, że sprawa zdaje się brać dobry obrót, przewidziany przez jego doradcę – odpowiedział: „tak jest!” Wezwano tedy lud zgromadzony przed pałacem i polecono Bétisacowi, aby zeznanie swoje powtórzył, co on też trzykrotnie uczynił i po trzykroć lud przyjął je rykiem, jaki wydaje lew, gdy go doleci zapach krwi... Wreszcie prałat ów dał znak, aby Bétisaca natychmiast oddano w ręce straży zbrojnej, która go z sali wyprowadziła. Tłum zstępował z nim razem po stopniach pałacowych, obejmując go, niby pierścieniem. Bétisac sądził jeszcze, że go wyprowadzają z miasta, aby go odesłać papieżowi. Wychodząc z pałacu, spostrzegł na stopniach siedzącego starca. Twarz jego promieniała radością, co znowu Bétisac na dobre sobie wytłumaczył i skinął mu głową.

– Tak, tak, dobrze idzie, nieprawdaż? – zawołał starzec.

I począł się śmiać, a wstąpiwszy na stopień, wielkim głosem zawołał tak, iżby go słyszano w tłumie:

– Bétisacu! pomnij, kto ci dał radę, która cię aż tu przyprowadziła. Pomnij, że to ja!

Potem, zszedłszy ze stopni z całą szybkością, na jaką mu jego wiek pozwalał, pobiegł jedną z bocznych ulic, prowadzących do królewskiego pałacu. Bétisaca prowadzono tam ulicą główną, ciągle otoczonego tłumami ludu, który od czasu do czasu wydawał okrzyki złowrogie. Winowajca okrzyki te uważał za objaw gniewu tego tłumu, któremu ofiara się wymykała, i dziwił się prawie, iż go spokojnie wyprowadzić pozwolono za bramę miasta Béziers; gdy wtem, wychodząc na wielki plac przed pałacem, usłyszał straszny krzyk ludu. Cały naród kupić się począł ku samemu środkowi, gdzie umieszczony był stos, gdzie wznosiła straszne swe ramiona szubienica, z której na łańcuchu zwieszała się żelazna obroża. W jednej chwili Bétisac ujrzał się sam pośrodku czterech ludzi straży zbrojnej. Wszyscy się rozpierzchli, albowiem każdy chciał zająć najlepsze miejsce dokoła rusztowania.

Wtedy dopiero cała prawda ukazała się oczom tego człowieka, któremu pierwszy raz przeczucie śmierci zakołatało w duszy.

– Ach! Mości książę de Berri! – wołał – oto moja ostatnia godzina!... Ratunku!... Pomocy!...

Tłumy na krzyk ten odpowiedziały okrzykiem przekleństwa przeciw księciu de Berri i jego skarbnikowi. Wtedy zbrojni pochwycili opierającego się zbrodniarza w swoje ramiona. Bétisac począł krzyczeć, że nie jest wcale heretykiem; że wierzy w Chrystusa i Dziewicę Maryję. Na świadectwo wzywał Boga i błagał lud o przebaczenie, lecz za każdym razem okrzyki: „Śmierć mu! śmierć!" były odpowiedzią na jego wołania. Na koniec zbrojni postawili go u stóp stosu, opierając plecami o jeden ze słupów, podpierających barierę. O tę barierę stał także oparty starzec.

– Bądź przeklęty! – zawołał Bétisac, spostrzegając go. – Tyś to zaprowadził mnie na stos! Mości panowie! Miłościwi moi! Jam jest niewinny, a oto człowiek, który na mnie urok rzucił! Mości panowie, ratujcie mnie!... Ratunku! Pomocy!...

Starzec śmiał się tylko.

– Widzę, że masz dobrą pamięć – rzekł – nie zapominasz przyjaciół, którzy ci dobrą radą służyli. Jeszcze jedną dać ci mogę, a ta na pewno dobra będzie: Bétisacu, pomnij na duszę twoją!

– Tak! tak! on dobrze mówi! – wołał Bétisac, starając się zyskać na czasie. – Tak, mości panowie! Księdza! Księdza!...

– Na co mu księdza?! – wykrzyknął starzec. – On sam powiada, że nie ma duszy, więc ksiądz nie ma czego ratować, a ciało i tak przepadło!

– Śmierć mu! Śmierć! – krzyczał lud.

Kat zbliżył się.

– Bétisacu – rzekł – skazany jesteś ma śmierć. Złe twoje czyny zły koniec sprowadziły.

Bétisac stał nieruchomy, oczy mu bielmem zaszły, włosy się na głowie najeżyły. Kat wziął go za rękę; dał się wieść, jak dziecko. Gdy wstąpił na stos, kat chwycił go za ręce i podniósł, a pomocnicy jego, otwarłszy obrożę, założyli mu ją na szyję. Skazany zawisł nad stosem, nie na stryczku duszącym, lecz na owej obroży. W tejże chwili ten sam starzec, który mu tak dobrze doradzał, pochwyciwszy pochodnię żywiczną, zapalił stos. Kat i jego pomocnicy zeskoczyli z rusztowania.

Płomień powrócił całą energię nieszczęśliwemu, którego miał wkrótce pochłonąć. Nie krzyknąwszy nawet i nie wzywając łaski i przebaczenia, rękoma chwycił za łańcuch, na którym wisiał, i po nim wdrapał się na górną belkę szubienicy, której uchwyciwszy się jej rękoma i nogami, starał się oddalić od ognia, o ile mu na to pozwalała długość szubienicy i łańcucha. Tak uchronił się od działania płomieni dopóty, dopóki ogień palił się u podstawy stosu, niezadługo jednak płomienie dostały się do górnych części jego i wtedy, jak istota żywa i rozumna, jak wąż sprężysty, ogień podniósł głowę swą ku Bétisacowi, rzucając mu w oczy dym i iskry; wreszcie języki płomienne poczęły go obejmować i zapaliły na nim suknie... Wówczas uroczysta nastała cisza; widzowie wytężyli całą uwagę, nie chcąc nic stracić z owej walki między człowiekiem a żywiołem.

Słychać było jęki żałosne i wesoły trzask ognia. Człowiek i ogień, ofiara i kat, zdawały się obejmować nawzajem, ściskać i skręcać razem; wkrótce jednak człowiek zwyciężony został. Kolana jego puściły belkę, na której szukał ratunku, ręce nie mogły utrzymań rozpalonego do czerwoności łańcucha i wydając straszny, ostatni krzyk, zawisł na obroży wśród płomieni. Trwało to kilka sekund zaledwie. Ta masa bezkształtna, która była istotą ludzką, konwulsyjnie rzucała się w płomieniach przez chwilę, potem zesztywniała i zawisła bez ruchu. Chwilkę później obroża przytwierdzona do szubienicy wraz z łańcuchem odpadła, kiedy belki zostały zwęglone, i wtedy, jakby do piekieł porwane, zwłoki runęły w dół i zniknęły w masie węgli i popiołu.

Tłumy powoli, w milczeniu, rozchodzić się poczęły, a u stóp stosu pozostał tylko ów starzec tajemniczy. Pytano się, czy to nie szatan we własnej osobie, przychodzący po duszę potępieńca?...

Nie. Starzec był ojcem dziewicy, zhańbionej przez Bétisaca.

VII

A teraz, jeżeli czytelnicy pozwolą, dla lepszego przedstawienia wypadków, jakie zobowiązaliśmy się opowiedzieć, wyprowadzimy ich poza mury miasta Béziers. Opuścimy bogate równiny Langwedocji i Prowansji i przeniesiemy się do górzystej Bretanii, w odwieczne jej lasy dębowe; usłyszymy jej pierwotny język i zobaczymy ocean o wodach głębokich i zielonych; aż w końcu zboczymy o kilka mil od starego miasta Vannes i wstąpimy do jednego z tych zamków obronnych, których w owe czasy mnóstwo było na ziemi francuskiej. Zamek ten jest rezydencją jednego z wielkich a burzliwych lenników, z których każdy gotów był w jednej chwili zmienić się z podwładnego we wroga swojego pana. Tam, uchyliwszy wielkich drzwi rzeźbionych, prowadzących do sali na parterze, która służyła za jadalnię, zobaczymy dwóch ludzi siedzących przy stole. Pomiędzy nimi duży srebrny dzban cyzelowany, pełen hypokrasu, do którego jeden z nich często zagląda, podczas gdy drugi, z wstrzemięźliwością niezwykłą u mężczyzn owej epoki, odrzuca wszystkie czynione mu propozycje i przykrywa swój kubek ręką, za każdym razem, kiedy towarzysz go do przyjęcia udziału w libacji namawia. Ten, któregośmy najpierw przedstawili, jeno mniej wstrzemięźliwy, jest człowiekiem około lat pięćdziesięciu kilku. Zestarzał się pod zbroją wojenną, którą i w tej chwili cały jest okryty. Czoło jego śniade i wysokie, pomarszczone nie tyle przez wiek, ile przez ciągłe dźwiganie ciężkiego hełmu. W chwilach wolnych od zajęć przy dzbanie, który, jak widzieliśmy, w wielkim miał zachowaniu, opierał oba łokcie na stole, a podbródek na ogromnych dłoniach; usta jego, ocienione gęstymi wąsami, które dolną wargą muskał od czasu do czasu, znajdowały się w równej wysokości z krawędzią kubka, w którym śledził szybki i ciągły ubytek napoju.

Naprzeciw niego, w wielkim rzeźbionym fotelu aksamitnym, z książęcą koroną na poręczy, leżał raczej niż siedział, piękny i wysoki młodzieniec, cały strojny w atłasy i aksamity. Podnosił on się zaledwie na tyle, aby ręką zasłaniać swój kubek w chwilach, gdy stary wojak dzban do niego przybliżał.

– Do pioruna, kuzynie de Craon – mówił starszy, napełniając raz jeszcze swój kubek – prawdę powiedziawszy, jakkolwiek przez kobiety krewnym jesteście króla Roberta, jednakże przyjęliście wielce filozoficznie obrazę, wyrządzoną przez księcia de Touraine.

– Ech! – odparł Piotr de Craon, nie zmieniając pozycji – cóżeście u diabła chcieli, kuzynie Bretański, iżbym przedsięwziął przeciw bratu królewskiemu?

– No, przeciw bratu królewskiemu, nie mówię; chociaż ja bym na to nie zważał; brat króla jest tylko księciem i szlachcicem tak dobrym jak ja – i gdyby mnie zrobił to, co wam... Ale ja się tam na to nie narażę, więc nie mówmy o tym. Zresztą przypuszczacie, że to nie książę sam, ale kto inny całą sprawę tak urządził...

– Tak myślę – odpowiedział flegmatycznie młodzieniec.

– Ale widzicie, człowiekiem, który tu jest winien – mówił dalej książę Bretanii, napełniając znowu swój kubek i podnosząc go do ust – człowiekiem tym... jest... nie kto inny, jak tylko ów niegodny Clisson! Zaręczam wam, że prawdą jest, co mówię – tak jak prawdą jest, że hypokras ten, który zresztą, jak się zdaje nie smakuje wam, zrobiony jest z najlepszych gron jakie zbierają pod Dijon, z najlepszego miodu, jaki pszczoły składają w okolicach Narbony, i z najaromatyczniejszych ziół, jakie ziemie Azji wydają!

Kończąc te słowa, książę wypróżnionym już kubkiem i pięścią zarazem z całej siły w stół uderzył.

– I mnie się tak zdaje, mości książę – odpowiedział de Craon ze spokojem. Zdawał się on umyślnie tym większy okazywać spokój, im więcej zapalał się książę Bretanii.

– I opuściliście Paryż, nie starając się zemścić na tym człowieku?

– Miałem przez chwilę ten zamiar, ale wstrzymała mnie myśl pewna.

– Jakaż to, jeśli wolno wiedzieć? – spytał książę, wyciągając się na fotelu.

– Jaka – chcecie wiedzieć, mości książę! Oto taka: powiedziałem sobie, człowiek ten, który obraził mnie, prostego rycerza – obraził pewnego dnia jednego z najpierwszych mężów Francji, księcia tak potężnego i tak bogatego, że mógłby wojnę prowadzić z królem! Książę ten razu pewnego darował zamek de Gare sławnemu wówczas Janowi Chandos; gdy potem powiedział Clissonowi o tej donacji – ten odpowiedział: „Diabła zje Anglik, mości książę, zanim będzie moim sąsiadem!" Tego jeszcze wieczora zamek de Gare był zdobyty, a nazajutrz rano z ziemią zrównany! Nie przypominam sobie, któremu to

księciu wielki marszałek wyrządził tę zniewagę, to jednak wiem na pewno, że ją wyrządził jakiemuś księciu... Zdrowie wasze, mości książę!

Piotr de Craon podniósł kubek, wypróżnił go jednym haustem i silnie postawił na stole.

– Na duszę mojego ojca! – wykrzyknął książę, blednąc. – Kuzynie, mówicie to, aby mi dokuczyć! Wiecie dobrze, że mnie się to wydarzyło, ale wiecie także, że w sześć miesięcy później winowajca był więźniem w tym samym zamku, w którym teraz się znajdujemy!

– Tak, był! Ale wyszedł stąd zdrów i cały.

– To prawda, lecz zapłacił sto tysięcy liwrów i wydał mi jedno miasto i trzy zamki obronne.

– Tak, ale życie swe przeklęte wyniósł! – wrzasnął de Craon. – Życie, którego nie śmiał mu odebrać potężny książę Bretanii z obawy przed gniewem swego pana! Sto tysięcy liwrów! Miasto! Trzy zamki!... Piękna mi zemsta nad człowiekiem, który posiada około dwóch milionów liwrów, dziesięć miast i dwadzieścia fortów. Nie, nie, kuzynie!... Mówmy otwarcie; mieliście go tu w waszej mocy bezbronnego, skutego w łańcuchy, w głębi jednego z lochów waszego grodu, nienawidziliście go śmiertelnie, a nie śmieliście wziąć mu życia za wasze krzywdy.

– Dałem rozkaz Bavalanowi, ale go Bavalan nie wykonał.

– I miał rację, mości książę, gdyż król byłby zażądał wydania go, jako zabójcy wielkiego marszałka, a ten, który mu dał rozkaz, nie byłby może śmiał narazić się na gniew królewski! Może wierny sługa, który był tylko mieczem w waszych rękach, zostałby opuszczony przez ramię, co go naprzód popchnęło! A z im lepszej stali jest miecz, tym łatwiej go złamać...

– Kuzynie! – zawołał książę, powstając gwałtownie. – Zdaje się, że o honorze moim powątpiewać śmiecie?! Dałem Bavalanowi słowo, że go bronić będę, i na Boga w niebie, byłbym go obronił, choćby przeciw królowi Francji, choćby przeciw cesarzowi Niemiec, choćby przeciw papieżowi rzymskiemu! Jeden mi tylko pozostał żal w duszy – mówił dalej książę, siadając na swoim miejscu z miną gniewną i pełną nienawiści – ten właśnie, że Bavalan nieposłuszeństwem się splamił i że nie znalazł się nikt, który by chciał uczynić to, czego on zrobić nie śmiał.

– A gdyby też znalazł się ktoś taki, czy mógłby być pewien, że po spełnieniu tego czynu, znajdzie przy księciu Bretanii schronienie i obronę?...

– Schronienie tak pewne, jak pewne jest sanktuarium w kościele – rzekł książę głosem uroczystym – obronę tak silną, jaką to ramię dać może. Przysięgam wam na prochy moich ojców, na tarczę naszą herbową, na głownię mojego miecza. Niech się tylko człowiek taki znajdzie!

– Mości książę! – wykrzyknął Craon, podnosząc się i ściskając rękę starego księcia z siłą, jakiej by po nim spodziewać się nie było można. – Dlaczegoście, książę, nie mówili tego wcześniej, już by było po wszystkim!

Książę ze zdziwieniem spojrzał na Craona.

– To znaczy – mówił Craon zakładając ręce – że sądziliście, iż zniewaga zsunęła się po mojej piersi, jak ostrze lancy po kirysie... Nie... nie! Wdarła się ona w piersi i serce zraniła! Wydałem się wam wesołym i obojętnym – prawda? Wiedzcie, iż ta rana serce mi toczyć będzie, dopóki człowiek ten nie zginie! Teraz rumieńce zdrowia i radości powrócą na moje lica; od dziś rozpoczyna się moja rekonwalescencja; za kilka dni, mam nadzieję, zdrów będę zupełnie.

– Jak to? – spytał książę.

Craon usiadł w fotelu.

– Posłuchajcie mnie, książę, gdyż na wasze słowo tylko czekałem. Mam w Paryżu, w bliskości cmentarza Świętego Jana, duży pałac pod strażą jednego tylko stróża, człowieka zaufanego, którego pewny jestem! Przed trzema miesiącami pisałem do niego i kazałem w onym gmachu nagromadzić wielkie zapasy żywności, wina, mąki i solonego mięsiwa; zakupić tyle zbroi, ażeby można było nią uzbroić czterdziestu ludzi, a tych czterdziestu obowiązałem się sam dostarczyć i wybrać, mości książę. Są to hultaje pierwszego kalibru, bez bojaźni Bożej, którzy by do piekieł zstąpili, gdybym tylko podszedł tam na ich czele.

– Ależ! – zakrzyknął książę – spostrzegą was, jeśli z takim wojskiem wejdziecie do Paryża.

– Toteż jam znowu nie taki nieoględny! Od dwóch miesięcy, w miarę jak ich gromadzę, wysyłam jednego po drugim do stolicy. Gdy się raz dostaną do pałacu, mają rozkaz niewychodzenia, a stróżowi kazano niczego im nie odmawiać; jest to pewien rodzaj zakonu, którego członkowie na piekło pracują. A teraz, czy mnie rozumiecie, mości książę? Ten podły marszałek przepędza prawie wszystkie wieczory u króla. Wychodzi stamtąd o północy i wracając do swego pałacu, położonego przy wielkiej ulicy Bretań-

skiej, przechodzi pustymi ulicami Świętej Katarzyny i de Prunes, obok cmentarza Świętego Jana i mojego pałacu.

– Na honor, kuzynie! – zawołał książę. – Rzecz to świetnie obmyślana i rozpoczęta.

– I skończy się dobrze, mości książę, jeżeli się w to Bóg nie wmiesza, gdyż wszystko to diabła sprawa!...

– A jakże długo myślicie jeszcze u mnie zabawić, gdzie zresztą pożądanym jesteście gościem?

– Tak długo, jak długo trzeba, by osiodłać mojego konia, mości książę, gdyż oto mam przysłany dziś rano list od mego rezydenta, w którym donosi, że ostatni z moich rekrutów już przybył i kompania jest w komplecie.

Po tych słowach Piotr de Craon zagwizdał, a gdy wszedł koniuszy, dał mu rozkaz przygotowania konia.

– Pozostań jeszcze noc tę w murach zamku de l'Hermine, mój kuzynie – rzekł książę.

– Wdzięczny wam jestem wielce, mości książę, ale w tej chwili, gdy wiem, że wszystko już gotowe i że tylko na moją osobę czekają, jakże możecie żądać, żebym opóźniał się o godzinę, o jedną minutę, sekundę nawet... Muszę jechać, mości książę, i to jechać najprostszą i najkrótszą drogą. Potrzeba mi powietrza, przestrzeni, ruchu. Żegnam was, mości książę; pomnijcie, że mam słowo wasze!

– Daję je wam powtórnie!

– Żądać od was powtórnie słowa, byłoby to tyle, co wątpić. Dziękuję!....

Po tych słowach Piotr de Craon przepasał się pasem, na którym wisiał miecz jego, wyciągnął poza kolana długie swoje buty ze skóry czarnej, podbite czerwonym pluszem i pożegnawszy raz jeszcze księcia, lekko wskoczył na konia. Jechał tak dobrze i tak szybko, że ku wieczorowi siódmego dnia od czasu swego wyjazdu z zamku de l'Hermine, spostrzegł z dala Paryż. Zatrzymał się umyślnie do ciemnej nocy, a wjechawszy do miasta, przybył do swego pałacu, po cichu, bez zwracania czyjejkolwiek uwagi. Zaledwie jednak przybył i wszedł do swego pokoju, kazał zawołać odźwiernego i polecił mu „pod grozą wyłupienia oczu z głowy", jak mówią kroniki, aby nikogo pod żadnym warunkiem nie wpuszczał do pokoju, w którym się znajdował.

Takie zachowawszy ostrożności, pan Piotr de Craon wybrał najzdolniejszych ze swoich ludzi i wskazał ich odźwiernemu, aby swobodnie wychodzić im pozwalał; wybranym zaś polecił śledzić wielkiego marszałka i chodzić za nim trop w trop. W ten sposób każdego wieczora wiedział, co robił Clisson w ciągu dnia i gdzie miał się udać w nocy. Taki stan rzeczy trwał dość długo, bo sposobność do przygotowanej zemsty nie nadarzyła się od 14 maja aż do 18 czerwca, to jest do uroczystości Bożego Ciała.

Dzień Bożego Ciała król obchodził uroczyście w swoim pałacu, a wszyscy baronowie i panowie, którzy się dnia tego znajdowali w Paryżu, zaproszeni zostali na obiad, przy którym obecnie były królowa i księżna de Touraine. Po owym obiedzie, dla uprzyjemnienia chwil damom, odbył się turniej w zamkniętym podwórcu pałacowym. Wieczorem tańczono aż do godziny pierwszej po północy. O tej godzinie goście królewscy zaczęli się rozchodzić. Pan Olivier de Clisson pozostał do samego prawie końca i, jeden z ostatnich, pożegnawszy króla wyszedł przez pokoje księcia de Touraine. Księcia Ludwika zastał zajętego poprawianiem toalety; spytał go z uśmiechem, azali nie pójdzie przepędzić reszty nocy u Paulaina. Paulain ów był podskarbim księcia i często dla większej swobody, pod pretekstem sprawdzania rachunków w swoim skarbcu, książę opuszczał z wieczora pałac, z którego nie mógłby wyjść w nocy, straż bowiem ścisła trzymana była w rezydencji królewskiej, i udawał się na ulicę du Trahoir, gdzie mieszkał Paulain, a stamtąd szedł za swymi przyjemnościami. Książę zrozumiał dobrze, co chciał powiedzieć wielki marszałek, a kładąc mu rękę na ramieniu, rzekł śmiejąc się:

– Marszałku kochany, nie wiem, jeszcze gdzie noc dziś przepędzę, i czy blisko, czy też daleko pójść mi wypadnie. A może też dziś wcale nie wyjdę z pałacu Świętego Pawła! Ale na was już czas, późno jest, idźcie w pokoju!

– Daj, Boże, dobrej nocy – rzekł marszałek.

– Dziękuję,, chociaż pod tym względem nie mogę się jakoś skarżyć na Pana Boga! Lepiej widać pamięta o moich nocach, niż o dniach. Dobranoc, Clisson!

Marszałek zrozumiał, że przeszkodziłby mu, gdyby został dłużej; skłonił się tedy na pożegnanie i zszedł do swoich ludzi, którzy go oczekiwali u bramy pałacu. Straż ta składała się z ośmiu uzbrojonych i dwóch pachołków z pochodniami. Gdy marszałek dosiadł konia, zapalono światła i orszak puścił się drogą w kierunku ulicy Świętej Katarzyny. Pochodnie niesiono przodem, reszta służby postępowała za

marszałkiem, oprócz koniuszego, którego przywołał do swego boku, aby mu polecić urządzenie obiadu, jaki miał wydać nazajutrz dla księcia de Touraine i kilku innych panów.

Nagle dwóch obcych ludzi przebiegło około świecących i zagasiło pochodnie.

Olivier zatrzymał się, ale przypuszczając, że to nowy żart księcia de Touraine, zawołał wesoło:

– Mości książę, na honor, to niepięknie z waszej strony, ale przebaczam wam i to, gdyż młodzi jesteście i wszystko dla was jest zabawą i żartem.

Lecz odwróciwszy się, ujrzał nagle oddział jeźdźców nieznajomych, wmieszanych między jego ludzi i spostrzegł, że dwu z nich było już zaledwie o kilka kroków od niego samego. Wtedy dopiero począł podejrzewać niebezpieczeństwo, a stanąwszy zawołał:

– Kto jesteście i co to ma znaczyć...

– Śmierć mu! Śmierć Clissonowi! – wykrzyknął ten spomiędzy nieznajomych, który najbliżej był marszałka.

– Śmierć Clissonowi! – powtórzył marszałek. – To zuchwałe słowa! Któż jesteś ty, któryś je wymówił?

– Jam jest Piotr de Craon, twój wróg! – zawołał rycerz.

I powstawszy w strzemionach, odwrócił się do ludzi swoich wołając:

– Oto jest ten, przeciw któremu wyruszyliśmy!... Śmierć mu!...

Z tymi słowy rzucił się na wielkiego marszałka, podczas gdy towarzysze jego rozpędzali służbę napadniętego. Jakkolwiek bez zbroi i napadnięty niespodzianie. Olivier nie był zwierzem łatwym do upolowania. wydobył szybko nóż, dwie stopy długi, który wziął ze sobą raczej dla ozdoby, niż dla obrony i zasłaniając głowę lewym ramieniem, cofnął konia do muru, aby zasłonić się od ataków z tyłu.

– Czy wszystkich pozabijać? – pytali głośno ludzie Piotra de Craon.

– Wszystkich – odpowiedział on, nacierając na wielkiego marszałka. – Ale teraz wszyscy do mnie! Niech ginie przeklęty Clisson!

Dwu czy trzech z jego ludzi przybiegło.

Mimo siły i zręczności Clissona, walka tak nierówna nie mogła trwać długo i podczas gdy on odbijał ciosy lewym ramieniem, a prawym je zadawał, miecz Craona spadł na jego odsłoniętą głowę; marszałek, głębokie wydawszy westchnienie, wypuścił z ręki nóż i spadł z konia, głową uderzając o drzwi, które się po chwili rozwarły. Tak leżał rozciągnięty na ziemi, przewaliwszy się połową ciała przez próg domu jakieś piekarza, który chleb swój rozczyniał, a słysząc wielki hałas i chrzęst zbroi, uchylił drzwi, aby zobaczyć, kto jest zgiełku tego przyczyną. Piotr de Craon próbował wejść przez te drzwi nie zsiadając z konia, ale zmieścić się z koniem nie mógł.

– Czy zsiąść i dobić go? – zapytał jeden z jeźdźców.

Craon, nie odpowiadając, najechał koniem na nogi i biodra marszałka, a gdy ten nie dawał znaku życia, zawołał:

– Nie potrzeba – ma dosyć!!... Jeśli jeszcze nie jest bez duszy, to pewno niewiele mu do tego brak. Dostał tęgo w łeb, a przysięgam wam, dostał z mojej ręki! Teraz w nogi, panowie!... Każdy w inną stronę. Zjedziemy się za bramą Świętego Antoniego.

Natychmiast po oddaleniu się złoczyńców, ludzie wielkiego marszałka w popłochu zgromadzili się około leżącego na ziemi ciała. Piekarz poznawszy w rannym męża wysokiej godności, z największą chęcią ustąpił swojej izby. Położono go na łożu, przyniesiono światło i wszyscy wielkie poczęli zawodzić żale, gdyż widząc tak wielką ranę w głowie sędziwego rycerza i tyle krwi rozlanej na twarzy i sukniach, nie wątpili nawet, że żyć przestał. Mimo to, jeden z nich pobiegł do pałacu. Gdy tam po barwach poznano, iż należał do służby Clissona, wpuszczono go do króla, który zmęczony po całodziennych trudach, opuściwszy apartament królowej, przygotowywał się do przepędzenia nocy w swojej sypialni. Karol już układał się na łożu, gdy wbiegł ów człowiek blady i przerażony, wołając:

– Panie! Ach, najjaśniejszy panie! Jakiż smutek i co za nieszczęście!

– Cóż się stało? – zawołał król.

– Pan Olivier de Clisson, wielki wasz marszałek, przed chwilą został zamordowany.

– Któż się tej zbrodni dopuścił? – wykrzyknął przerażony król.

– Niestety, najjaśniejszy panie, nie wiemy tego, ale nieszczęście to stało się nieopodal pałacu waszej królewskiej mości, w wielkiej ulicy Świętej Katarzyny.

– Czekajcie! zaraz! – zawołał Karol. – Służba! Pochodni!... Żywy, czy umarły jest wielki mój marszałek, chcę go raz jeszcze oglądać!

I zarzucił na siebie naprędce płaszcz, włożono mu na nogi obuwie, a w pięć minut ludzie zbrojni i cała służba była gotowa do drogi. Karol nie chciał czekać nawet, aż mu przyprowadzą konia i wyszedł pieszo z pałacu w towarzystwie dwóch swoich szambelanów, panów Wilhelma Martele i Heliona de Lignac. Przyśpieszając kroku, stanęli wkrótce przed domem piekarza. Służba ze światłem i szambelanami pozostali na ulicy, król zaś wszedł szybko do izby, a podchodząc do łóżka, wziął za rękę rannego i rzekł:

– To ja, mój drogi marszałku, jakże się czujecie?...

– Słabo bardzo, miłościwy panie – odpowiedział marszałek.

– Któż to was do tego smutnego doprowadził stanu, dzielny mój wodzu?

– Pan de Craon i jego wspólnicy, którzy napadli na mnie bezbronnego zdradziecko.

– Marszałku! – zawołał król uroczyście, podnosząc rękę. – Przysięgam ci, że nigdy zbrodnia surowiej ukarana nie była, jak to ukarana będzie! Ale teraz zajmijmy się przede wszystkim tobą samym i twoim ratunkiem. Gdzież są lekarze?

– Posłano po nich, miłościwy panie – odpowiedział jeden ze służby.

W tejże chwili weszli oczekiwani. Król postąpił naprzeciw nich i zawołał:

– Obejrzyjcie panowie dobrze marszałka i postarajcie się szybko zbadać stan jego, albowiem gorzej strapione jest serce moje ciosami, jakie on otrzymał, niżeli gdyby miecze tych łotrów mnie samego dotknęły.

Lekarze wzięli się do opatrunku, ale Karol tak był niespokojny i niecierpliwy, że nie dając im dokończyć, wołał co chwila:

– Odpowiedzcież mi raz nareszcie!... Czy życie jego jest zagrożone?!

Wreszcie ten, który wydawał się najbieglejszym pomiędzy nimi, odwrócił się mówiąc:

– Nie, najjaśniejszy panie, zaręczam wam, że za dni piętnaście wielkiego marszałka na koń posadzimy.

Król usłyszawszy tak dobrą nowinę, nie mając przy sobie łańcucha jakiego lub sakwy, którą by mógł wynagrodzić zwiastuna dobrej wieści, pocałował go. Potem podszedł do łoża wielkiego marszałka i zapytał:

– No i cóż, Olivierze, czy słyszysz? Za piętnaście dni będziesz tak zdrów, jakby ci się ten przypadek wcale nie był wydarzył. Dobre daliście nam wiadomości, panowie lekarze, nie zapomnimy też tego wcale. Co do ciebie, marszałku, nie troszcz się o nic, jeno o to, abyś wyzdrowiał; powiedzieliśmy bowiem i powtarzamy raz jeszcze, że nikt nigdy na świecie takiej nie otrzymał kary, jak ta, jaką my wymierzymy, a nigdy zbrodnia ciężej odpokutowaną nie była, nigdy krew rozlana więcej krwi na pomstę nie otrzymała!... Rzecz ta do mnie już należy.

– Niech Bóg was ma w swej opiece, najjaśniejszy panie – rzekł marszałek. – I niech was wynagrodzi za te odwiedziny, sercu memu tak miłe.

– Nie będą one ostatnie, mój zacny Clissonie; wydam bowiem zaraz rozkaz, aby was przeniesiono do mego pałacu.

Clisson chciał podnieść do ust rękę królewską, ale Karol nachylił się ku niemu i ucałował go jak brata.

– A teraz już opuścić was muszę – rzekł. – Kazałem bowiem, aby się stawił w zamku prefekt Paryża po moje rozkazy.

Pożegnawszy się z rannym, król wrócił do swego pałacu, gdzie nań oczekiwał wezwany prefekt, któremu Karol polecił schwytać żywego lub umarłego zbójcę Craona wraz z towarzyszami.

Początkowe poszukiwania były daremne; tylko gwardziści królewscy przebiegający pola okoliczne pojmali w bliskości Paryża dwóch ludzi zbrojnych i pazia, którzy nie nadążyli za drugimi z powodu zmęczenia koni. Ludzie ci, schwytani i wprowadzeni do Paryża, zamknięci zostali w więzieniu Châtelet. W dwie godziny później zostali przyprowadzeni na miejsce zbrodni przed dom piekarza. Tam ucięto im ręce, po czym zawiedziono ich na plac targowy, gdzie głowy ich spadły pod mieczem kata, a wreszcie powieszono ich na szubienicy za nogi. W środę następną taż sama kara spotkała stróża pałacu Piotra de Craona, który za to, iż zamiaru zbrodni nie zdradził, był w oczach sprawiedliwości równie winnym jak ci, którzy jej dokonali. Co zaś dotyczy pana de Craon, wyrok nad nim zasądzono zaocznie, bez jego obecności. Dobra jego skonfiskowano, ruchomości wcielono do skarbu, a posiadłości ziemskie rozdano pomiędzy służbę królewską. Część wziął książę de Touraine.

Admirał Jan de Vienne, któremu polecono zajęcie ziemi i zamku zwanego Bernard, wszedł doń nocą ze swymi ludźmi. Tam zastawszy Joannę z Chatillon, żonę Piotra de Craon, jedną z najpiękniejszych kobiet swego czasu, wyrzucił ją półnagą, wraz z jej córką za bramy zamku.

Pałac w Paryżu, w którym zamiar zbrodni się wykluł i dojrzał, został zburzony aż do fundamentów; pługi zaorały miejsce, gdzie niedawno jeszcze zamek ów dumne wznosił wieżyce. Grunt został podarowany cmentarzowi Świętego Jana, a ulica Craona, którą właściciel swoim ochrzcił imieniem, dostała nazwę „Złych Chłopców" (*des Mauvais Garçons*), którą nosi do dzisiejszego dnia.

Gdy Piotr de Craon dowiedział się, jaki na niego wydano wyrok, pomyślał, że zamek Sablè, do którego się schronił po dokonanym napadzie, nie jest dość bezpieczny i udał się do księcia Bretanii.

Książę wiedział już o rezultacie chybionej wyprawy a także, że wspólny ich nieprzyjaciel żyje; toteż, gdy spostrzegł Piotra de Craon wracającego ze wstydem do tejże samej sali, z której niedawno wychodził z taką dumą, nie mógł powstrzymać się od zawołania na głos cały:

– Ach, kuzynie miły, widocznie waść jesteś bardzo niedołężny, skoro nie mogłeś zabić tego człeka, któregoś miał w swej mocy!...

– Mości książę – odparł Piotr de Craon – chyba wszyscy diabli, którym on dostać się musi kiedyś, ochronili go i wydarli żywym z moich rąk, gdyż ja sam zadałem mu co najmniej sześćdziesiąt ciosów takich, że gdy spadł z konia, miałem go już za trupa. Ale na jego szczęście drzwi, na które runął, były uchylone, więc padł do wnętrza izby... Gdyby był legł na ulicy, bylibyśmy go stratowali kopytami naszych koni.

– Tak, wierzę – odparł chmurnie książę. – Ale inaczej się stało, nieprawdaż? A ponieważ tu jesteście, pewny jestem, że niedługo też na siebie czekać dadzą posłowie jego królewskiej mości. Ale mniejsza o to, kuzynie miły; cokolwiek mnie spotka i z kimkolwiek będą musiał walczyć z waszego powodu, macie słowo moje. Przybyliście – pozostańcie! Rad wam jestem!

Stary książę podał rękę rycerzowi i zawołał służalca, któremu kazał przynieść dzban hypokrasu i dwa kubki.

VIII

Książę Bretanii nie mylił się wcale przypuszczając, że się na wielkie naraża niebezpieczeństwo, dając schronienie i opiekę Piotrowi de Craon. Rzeczywiście, w trzy tygodnie po wypadkach, któreśmy opisali, posłaniec konny w barwach królewskich zatrzymał się u wrót zamku de l'Hermine i zapytawszy o księcia, oddał mu list z herbowymi pieczęciami Francji. Był to list władcy i pana do lennika. Król Karol żądał, w imię sprawiedliwości i sądów Paryża, wydania Piotra de Craon, jako zdrajcy i zabójcy i groził księciu Bretanii w razie odmowy najściem zbrojnym w celu pojmania winnego. Książę wspaniale przyjął posła królewskiego. Zdjąwszy z siebie pyszny łańcuch złoty, włożył mu go na szyję, a ludziom swoim nakazał, aby posłowi na niczym nie zabrakło aż do chwili, w której z odpowiedzią będzie wracał. Nazajutrz odpowiedź owa wręczona mu została z nowymi dowodami szczodrobliwości książęcej.

Książę w odpowiedzi swej zapewniał, że król mylnie powiadomiony został i że Piotr De Craon nie znajduje się w Bretanii. Dalej pisał, iż nie wie nic o miejscu jego pobytu, ani o powodach nienawiści Craona ku wielkiemu marszałkowi. W końcu prosił króla, aby go miał za wytłumaczonego, iż woli jego zadość nie czyni.

Król odebrał ten list podczas rady państwa. Odczytał go kilkakrotnie, a za każdym razem twarz jego bardziej pochmurniała, wreszcie, zgniótłszy list w ręku i cisnąwszy go na stół, zawołał:

– Mości panowie, wiecie co nam donosi nasz kuzyn z Bretanii? Mówi on i ręczy honorem, że nie wie, gdzie by się znajdował zbój i zdrajca Craon! ... Widzi się nam, że ów honor księcia Bretanii mocno tym zaręczeniem na szwank jest narażony... Cóż wy na to, mości panowie?...

– Mnie się zdaje, najjaśniejszy panie – rzekł powstając książę de Berri – że książę Bretanii mówi i czyni to, co powinien i że nie może odpowiadać za pana de Craon, jeżeli ten u niego się nie znajduje.

– A wy, miły bracie, co o tym myślicie? – pytał dalej król.

– Co do mnie, najjaśniejszy panie, sądzę, jeżeli się to zdaniu waszej królewskiej mości nie sprzeciwia, że książę Bretanii mówi tak dlatego, aby złoczyńcy dać czas ujść do Anglii...

Król przerwał mu.

– I masz rację, bracie de Touraine; tak jest, jak mówisz. Co do was, stryju, wiemy dobrze, że wielki marszałek nie liczył się do waszych przyjaciół i słyszeliśmy, że w dniu spełnienia zbrodni był u was jeden z poufałych Craona, który wam odkrył uknuty spisek; wy zaś, niby nie dając wiary jego słowom i niby dlatego, żeby zabawy nie mącić na dworze naszym, pozostawiliście rzeczy ich własnemu biegowi! Wiemy o tym wszystkim, stryju, i wiemy z dobrego źródła!... Zresztą, jeśli zechcecie, jest sposób łatwy dowiedzenia nam, iż się mylimy; chciejcie nam towarzyszyć do Bretanii, gdzie niebawem pójdziemy na wyprawę. Książę ten, który nie jest ani Anglikiem, ani Francuzem – ani psem, ani wilkiem, już nadużył naszej cierpliwości. Nie wiadomo nam było nigdy, czy on szczeka, czy skomli. Bretania zapomnieć nie może, że była królestwem i nie może się pogodzić, iż została prowincją; kiedy tak, i kiedy tego trzeba, pójdziemy!... a uderzymy tak silnie i tylekroć w tę książęcą koronę, iż odpadną z niej wszystkie winne liście, a damy ją, jako baronię, któremu z naszych sług wiernych, jak oto w jednej chwili dajemy bratu naszemu księstwo Orleanu w zamian za księstwo de Touraine.

Książę ukłonił się na znak podzięki.

– Tak, tak, bracie miły – mówił dalej król – dajemy ci je ze wszystkimi dochodami i przynależnościami i odtąd zwać was już nie chcemy księciem de Touraine, gdyż księstwo to przechodzi od dziś na własność korony, ale księciem Orleanu; od dziś księstwo to do was należy. Słyszeliście, książę i stryju – idziemy wszyscy na Bretanię, ale i wy z nami?...

– Ukochany i najjaśniejszy królu – odparł książę de Berri – zawsze poczytywać sobie będą za szczęście, mogąc towarzyszyć waszej królewskiej mości, ale pozwólcie zwrócić sobie uwagę, że należałoby zabrać z sobą i szwagra naszego, księcia Burgundii.

– To prawda – rzekł król. – Poprosimy go, aby nam ten zaszczyt uczynił, a jeśli to nie wystarczy, rozkażemy mu, a jeśli i to jeszcze nie wystarczy, pójdziemy po niego sami!... Przygotujcie się tedy, stryju, do wojennej wyprawy. Nim tydzień upłynie – wyruszymy.

Zaraz po tej przemowie król zamknął posiedzenie rady i usunął się do swej komnaty wraz ze swymi sekretarzami. Tegoż dnia jeszcze dwudziestu możnych panów szlachetnego imienia, na czele których był książę Burgundii, odebrało rozkazy, aby się stawili z jak najliczniejszymi pocztami. Rozkaz ten szybko wykonany został, gdyż książę Bretanii był znienawidzony przez wszystkich, którzy do głębi serca byli Francuzami. Mówiono, że dawno już król powinien był rozpocząć przeciw niemu energiczne kroki i że byłby to uczynił, gdyby mu nie przeszkadzali hrabia Flandrii i książę Burgundii. Mówiono, że był on raczej Anglikiem i że dlatego tak nienawidził Clissona, iż się ten sfrancuził. Tym razem rozkazy królewskie były jednak tak wyraźne i tak surowe, że skutek musiał być osiągnięty. Wiedziano wszelako, że wielu z tych, którzy iść mieli z królem, nie poszłoby z dobrej woli; wymieniano po cichu nazwiska książąt de Berri i Burgundii.

W istocie też książę Burgundii dawał długo na siebie czekać. Mówił, że wyprawa ta obciążała nazbyt jego prowincje i że była to wojna bez racji, która skończyć się musi źle. Mówił, że wielu jest ludzi, których nieporozumienia wielkiego marszałka z panem Piotrem de Craon wcale nie obchodziły; że niesprawiedliwym było wciągać obojętnych w wojnę i że należało pozostawić panom załatwienie ich spraw bez obciążania nowymi podatkami biednych mieszkańców ubogich prowincji.

Książę de Berri był tegoż samego zdania, ale król, książę Orleanu i cała rada inaczej się na to zapatrywali; z konieczności tedy dwaj książęta musieli się zgodzić na zdanie większości i króla. Zresztą, jak tylko marszałek mógł dosiąść konia, król dał rozkaz wyruszenia z Paryża.

Z wielkim wojennym przyborem wybrał się król Karol na tę wyprawę, chociaż go lekarze od tego odwodzili, utrzymując, iż zdrowie jego w niezupełnie dobrym jest stanie. Król jednak uparł się i postawił na swoim, zapewniając, że nigdy nie czuł się zdrowszym jak w tej właśnie porze.

Po dwu dniach oczekiwania w Châtres, król doczekał się odwlekanego przybycia księcia de Berri i hrabiego de la Marche. Zapytał ich, azali nie mają jakich wiadomości o księciu Burgundii. Odpowiedzieli mu, że książę nadciągał za nimi. Wreszcie czwartego dnia, zawiadomiono króla, że chorągwie Burgundii wkroczyły do miasta.

Król pozostał siedem dni w Châtres, po czym wyruszył drogą do Mens. Przez całą drogę, łączyły się z nim orszaki zbrojnych, przybywających z Artois, Vermandois i z Pikardii i ze wszystkich, nawet

najodleglejszych stron Francji. Król podsycał ich nienawiść swoją własną i surowym gniewem na zuchwałego Bretończyka. Okazało się jednak, iż król Karol przeceniał swoje siły.

Ciągłe rozdrażnienie, w jakie go wprawiały kłopoty i utarczki z uporem stryjów, tak rozstroiło jego organizm, że przybył do Mens rozgorączkowany, nie mogąc wysiedzieć na koniu. Musiał zatrzymać się, jakkolwiek mówił, że spoczynek był mu straszniejszy i okrutniejszy, niż umęczenie; ale doktorowie, stryjowie i nawet sam książę Orleanu, byli zdania, iż należało zatrzymać się ze dwa lub trzy tygodnie.

Chciano skorzystać z wypoczynku i skłoniono króla, aby wysłał jeszcze jedno poselstwo do księcia Bretanii.

Posłowie udali się też natychmiast do Nantes, gdzie książę przebywał. Przedstawili mu żądanie króla, aby wydał Piotra de Craon, ale książę bogato obdarzywszy poselstwo całe, odpowiedział, że niepodobna mu wydać człowieka, którego król żąda, albowiem nie wie, gdzie ten się ukrył. Dodał, iż słyszał wprawdzie przed rokiem jeszcze, że pan de Craon nienawidził wielkiego marszałka z całego serca i zaprzysięgał mu walkę śmiertelną, że rycerz ten jemu samemu mówił ongi, iż gdziekolwiek napotka Clissona, bądź dniem, bądź nocą – zabije go; ale powiedział także, że więcej nic nie wie i że nadziwić się nie może, dlaczego król wojnę mu zapowiada o rzecz tak mu obojętną.

Król bardzo był słaby, gdy mu przyniesiono tę odpowiedź, niemniej jednak dał rozkaz do wymarszu i wezwał swych koniuszych, aby go przybrali i uzbroili. W chwili, gdy wstał z łoża, przybył poseł z Hiszpanii. Przynosił on list Jolanty z Baru, królowej Aragonu, Majorki i Sardynii.

Donosiła ona królowi, że zawsze życzliwa i pragnąca wszystko czynić ku jego zadowoleniu, znając powód jego wyprawy i starań, kazała zatrzymać i uwięzić w Barcelonie jakiegoś nieznajomego rycerza, który za złoto chciał wynająć statek do Neapolu. Dodawała przy tym, iż przypuszcza, jakoby rycerz ów był Piotrem de Craon; podejrzenia swoje komunikuje zaś królowi dlatego, iżby przysłał śpiesznie ludzi w celu konfrontacji z więźniem; list kończył się zapewnieniem, że czułaby się szczęśliwą, gdyby te nowiny sprawiły kuzynowi jej i panu na tronie Francji, przyjemność.

Książęta de Berri i Burgundii, po oznajmieniu tej wiadomości, zaczęli rozgłaszać – że wojna skończona i że już nie pozostaje nic, jak tylko rozpuścić wszystkich do domów, ponieważ człowiek, którego szukano, był bez wątpienia schwytany. Król Karol jednak nie chciał uczynić tego i tyle tylko można było na nim wymóc, iż postanowił posłać kogoś do Barcelony, dla sprawdzenia tożsamości jeńca. Po trzech tygodniach wysłaniec wrócił i doniósł, że rycerz więziony w Hiszpanii nie był wcale Piotrem de Craon. Wtedy król wpadł w wielki gniew przeciw swoim stryjom, gdyż wiedział dobrze, iż to oni byli sprawcami opóźnienia wyprawy; postanowił, nie słuchając już nikogo, jeno własnego przekonania, wyruszyć naprzód drogą na Angers, przeciw księciu Bretanii.

Nazajutrz pomiędzy dziewiątą a dziesiątą rano, po wysłuchaniu mszy świętej, podczas której król zemdlał (do tego stopnia czuł się już osłabionym), zbierano się do wymarszu. Król wsiadł na konia z wielkim trudem przy pomocy księcia Orleanu. Książę Burgundii wzruszał ramionami, widząc ten upór i nazywał kuszeniem Boga tę nieprzepartą chęć wojowania, pomimo takich ostrzeżeń. Książę de Berii zaś szepnął mu do ucha:

– Bądźcie spokojni, bracie miły, ja pomyślałem jeszcze o jednym i ostatnim ostrzeżeniu i jeżeli Bóg nam dopomoże, to wrócimy, mam nadzieję, dziś jeszcze na nocleg do Mens.

– Nie wiem, co przez to chcecie powiedzieć – rzekł książę Burgundii – ale każdy sposób; który potrafi przeszkodzić tej smutnej wyprawie, będzie dobry.

Tymczasem król puścił się w drogę, a za nim inni. Niezadługo oddział królewski wkroczył w wielki i ciemny las, pamiętający jeszcze czasy druidów. Król był smutny i pogrążony w zadumie; puścił wodze i zaledwie odpowiadał tym, którzy się doń zwracali. Szanowano tę zadumę i pozwalano mu w spokoju i milczeniu jechać naprzód, gdyż zdawał się tego pragnąć. Po godzinie starzec jakiś z odkrytą głową, całunem białym owinięty, wybiegł spomiędzy drzew, na drogę, a chwyciwszy konia królewskiego za uzdę i zatrzymując go w miejscu, zawołał:

– Królu, ach, królu! Stań!... I powracaj tą samą drogą, albowiem zdrada cię czeka!...

Król zadrżał na całym ciele. Rozpostarł ramiona i chciał krzyknąć, ale głos mu zamarł w piersi i zdołał tylko gestami wskazać, żeby usunięto marę. Zbrojni rzucili się ku starcowi i popchnęli go tak silnie, że puścił cugle konia, ale w tejże chwili przybył mu z pomocą książę de Berri i uwolnił go z rąk żołnierzy, mówiąc, iż nie godzi się bić tak okrutnie nieszczęśliwego boć przecie każdy pojąć może, że człowiek ten musi być wariatem, któremu trzeba wolność przywrócić. Wśród ogólnego zamieszania mniemany wariat zdołał umknąć i schronić się bez śladu.

Pomimo wypadku, który na jedną chwilę powrócił całą nadzieję książętom de Berri i Burgundii, król w dalszy pochód rozkazał wyruszyć. Gdy się wysunięto z lasu cienistego, słońce południa rozpalało powietrze; a było to w najgorętszych dniach lipca, podczas największego skwaru. Jak daleko wzrok sięgał, wszędzie tylko rozścielało się piaszczyste morze, odbijające promienie słoneczne. Konie, najbystrzejsze nawet, pospuszczały łby i rżały smutnie. Nawet najdzielniejsi ludzie upadali na siłach. Król, o którego obawiano się z powodu rosy porannej i chłodu, ubrany był w kaftan z aksamitu czarnego, a na głowie miał czapeczkę z czerwonego sukna, przez której fałdy przewijał się różaniec z dużych pereł, darowany mu na odjezdnym przez królową... Jechał w odosobnieniu, aby nie oddychać tumanami kurzu; dwóch paziów tylko postępowało za nim. Jeden z nich trzymał hełm świetnie wyrobiony w Montauban ze stali. W hełmie przeglądało się słońce. Drugi trzymał w ręku czerwone drzewce lancy, u której powiewała chorągiewka. Lanca ta miała sławne ostrze, przecudownie szlifowane w pracowni tuluskiej. Pan de la Rivière jednakowych ostrzy takich dwanaście ofiarował królowi w darze, a król dał trzy z nich księciu Orleanu, trzy zaś księciu de Bourbon.

I stało się, że gdy tak jechali powoli, jeden z paziów, ulegając przemagającemu jego siły znużeniu, zdrzemnął się i wypuścił z rąk lancę, której żelazo uderzyło z ostrym i głośnym dźwiękiem o hełm drugiego giermka. Na ten odgłos król zadrżał na całym ciele, wytrzeszczał oczy przerażone i zbladł jak chusta. Potem, nagle raniąc konia ostrogami, wyrwał miecz swój z pochwy i rzucił się na swych obu paziów, krzycząc wielkim głosem:

– Za mną! za mną!...

Paziowie, przerażeni, rozbiegli się w różne strony; król jednak pędził dalej i zbliżał się do księcia Orleanu. Ludwik nie wiedział, co miał czynić: czy oczekiwać, czy uciekać przed bratem, gdy posłyszał głos księcia Burgundii:

– Uciekaj, synowcze, uciekaj! jego królewska mość zabije cię!

I rzeczywiście, król, nadbiegając całym pędem, wstrząsał ciągle mieczem jak szalony; książę zaledwie zdążył odskoczyć w bok jednym susem. Król przebiegł obok, ale spotykając na drodze pewnego rycerza z Gujenny, nazwiskiem Polignac, wbił miecz swój w jego gardło. Krew strumieniem bryznęła; rycerz spadł z konia. Widok krwi, zamiast uspokoić Karola, podwoił jeszcze jego wściekłość. Począł się rzucać w różne strony, kłując konia ostrogami, i wywijając mieczem, wołał:

– Naprzód! Naprzód! Na zdrajców!...

Wówczas rycerze, zakuci w zbrojach stalowych, utworzyli koło, pozwalając się bić i nie oddając razów, dopóki nie postrzeżono, że opadł z sił. Wtedy jeden z rycerzy normandzkich, niejaki Wilhelm Marcel, zaszedł go z tyłu i pochwycił wpół. Król kilka jeszcze zadał ciosów, wreszcie miecz wypadł mu z rąk, a on sam upadł w tym wydając jęk straszny. Zdjęto go z konia, który był zziajany i drżał na całym ciele. Stryjowie i brat króla zbliżyli się ku niemu; Karol stracił zupełnie przytomność, i chociaż oczy jego były otwarte, nie widział nic i nikogo przed sobą.

Zdumienie i strapienie paziów i rycerzy było wielkie; nikt nie wiedział. co mówić i co czynić. Książę de Berri uścisnął rękę króla i począł mówić łagodnie, ale król nie odpowiedział ani słowem, ani gestem. Wtedy książę potrząsnął głowi i rzekł:

– Mości panowie, teraz nam wrócić do Mens, a wyprawa ta na tym będzie, niestety, skończona.

Związano króla z obawy, aby go nowy atak szału nie napadł; położono go w lektyce i rozpoczęto smutny odwrót; wieczorem na nocleg wrócono do Mens. Tam przywołano natychmiast lekarzy; utrzymywali bowiem niektórzy, że król otruty został przed wyjazdem z Mens, inni wyszukiwali jakieś nadnaturalne przyczyny choroby i mówili, jakoby nań rzucono urok jakiś. Ponieważ zaś podejrzenie paść mogło na obu książąt, oni sami żądali, aby przeprowadzone było jak najenergiczniejsze śledztwo. Zapytywano tych, którzy usługiwali przy obiedzie, czy król nie jadł zbyt wiele; odpowiedzieli, że zaledwie tknął dwu, lub trzech potraw, jeno myślał i wzdychał, ściskając od czasu do czasu skronie obu dłońmi, jak gdyby go głowa bolała.

Śledztwo całe stało się zbyteczne wobec orzeczenia lekarzy, którzy oświadczyli, że król ma początki wariacji z przepalenia mózgu. Książęta de Berri i Burgundii spojrzeli na siebie wzajem. W razie szaleństwa króla, regencja przypadała w udziale im lub też księciu Orleanu. Ten ostatni zbyt był młody, ażeby go rada królewska tak wielką godnością zaszczycić miała. Książę Burgundii tedy, przerywając ciszę i zwracając się do książąt Orealnu i de Berri, rzekł:

– Bracie miły, synowcze kochany – mnie się zdaje, że wypada nam co najprędzej wrócić do Paryża. Król będzie tam lepiej leczony i troskliwiej pielęgnowany, niż gdziekolwiek indziej. Potem dopiero rada zadecyduje, w czyje ręce oddać przyjdzie regencję państwa.

– Jestem i ja tego samego zdania – dodał książę de Berri – ale gdzie go tam umieścimy?

– Aby tylko nie do Paryża! – zawołał żywo książę Orelanu. – Królowa jest w błogosławionym stanie i podobny widok wielce by dla niej mógł być szkodliwy.

Książęta stryjowie uśmiechnęli się obaj.

– Jeżeli tak, to najlepiej będzie – rzekł jeden z nich – zawieźć go do zamku de Creil. Powietrze tam dobre, widok piękny, a rzeka płynie u jego stóp. Co się zaś tyczy królowej, synowiec nasz, książę orleański, ma zupełną słuszność. Toteż, jeżeli zechce pojechać naprzód i przygotować ją do tej wiadomości, my pozostaniemy jeszcze dzień przy królu i czuwać będziemy, aby mu niczego nie brakło, a potem przyjedziemy za nim do Paryża.

– Niech się dzieje, jak radzicie – odpowiedział książę Orleanu.

Obaj stryjowie czas jakiś czuwali przy łożu króla, lecz potem oddalili się, pozostawiając tylko służbę i księcia orleańskiego, który chciał pożegnać się z bratem.

Chory drżał na całym ciele; oczy miał w słup zwrócone, a zimny pot spływał mu z czoła. Od czasu do czasu zrywał się na łożu i wykrzykiwał:

– Śmierć! Śmierć zdrajcom!...

Potem upadał na łoże bezsilny, aż do nowego ataku gorączki, który powracał mu trochę energii, rozpalając wewnętrznie.

Książę Orleanu pochylił się nad łożem, wziął króla w objęcia i ze smutkiem patrzał nań przez chwilę. Niezadługo też łzy napełniły mu oczy i spływały po policzkach. Żal jego był słuszny i sprawiedliwy, gdyż nieszczęśliwy szaleniec, który bezwładny leżał na łożu, kochał go serdecznie, a on wyrzucać sobie w tej chwili musiał, że za świętą tę przyjaźń płacił mu jeno zdradą i niewdzięcznością, bałamucąc mu młodą żonę. Bez wątpienia, w tej chwili pożegnania, gdy odjeżdżał z myślą dalszej zdrady, badał on sumienie swoje i wyznać musiał w duchu, że nie tak bardzo zasmucony był nieszczęściem brata, jak być powinien. Jest to zresztą rzeczą zwyczajną u ludzi, że złe skłonności przeważają nad dobrymi i często pocieszają się cudzymi nieszczęściami, wyzyskując je na swoją korzyść. Egoizm bowiem bywa lekarzem serca.

Tymczasem stryjowie królewscy wydali rozkazy marszałkom, aby wszyscy panowie i ich poczty w spokoju i porządku wracały do swoich zamków i prowincji, nie czyniąc spustoszeń, ani gwałtów po drodze – pod zagrożeniem osobistej odpowiedzialności.

W dwa dni po odjeździe księcia Orleanu, król puścił się w powolną drogę, niesiony w miękkiej i wygodnej lektyce. Wiadomość o smutnym stanie monarchy z niezwykłą rozeszła się szybkością. Złe wieści mają skrzydła orle; każdy też mówił o tym inaczej i każdy innym przypisywał to przyczynom. Panowie widzieli w tym sprawę diabelską, księża karę Bożą, stronnicy papieża rzymskiego mówili, że dotknęło króla szaleństwo za karę, iż uznał papieża awiniońskiego, Klemensa; stronnicy Klemensa utrzymywali, że Bóg zesłał nań ten cios za to, iż nie zniszczył schizmy do szczętu i nie rozpoczął wojny z Włochami, jak to był obiecał. Co do ludu zaś, bardzo był on nieszczęściem tym zasmucony, w dobroci bowiem i sprawiedliwości króla Karola wielkie pokładał nadzieje. Toteż naród zalegał kościoły, gdzie odbywały się modły publiczne, nakazane na intencję uzdrowienia króla. Jednemu z świętych patronów ofiarowano figurę króla, z wosku odrobioną, wielkości naturalnej i olbrzymią gromnicę, ale wszystko to okazało się bezowocne; król przybył do zamku de Creil, lecz nie było najmniejszego nawet polepszenia w jego stanie, choć nie zaniedbywano żadnych środków leczniczych. Pan de Coucy dowiedział się o jakimś wielce mądrym i skutecznym lekarzu, nazwiskiem Wilhelm d'Hervilly; sprowadzono go z pewnej małej wioski, nieopodal miasta Laonu, gdzie przemieszkiwał. On tedy objął kierunek nad leczeniem choroby króla, którą – jak mówił – poznał dokładnie.

Regencja i zarząd królestwa, jak to przewidzieć było łatwo, dostały się w ręce stryjów królewskich. rada po piętnastodniowej dyskusji oświadczyła, że jego wysokość książę Orleanu za młody był do przyjęcia na swe barki tak ciężkiego zadania, skutkiem czego zwrócono się do książąt de Berri i Burgundii. Następnego dnia po ich nominacji, pan de Clisson stanął z licznym pocztem ludzi w pałacu księcia Burgundii. Wprowadzony na pokoje regenta, marszałek Clisson kłaniając się, rzekł:

– Przychodzę do waszej wysokości po rozkazy i ośmielam się zapytać o dalsze losy kraju i rządu.

– O dalsze losy kraju i rządu, Clissonie? – odparł książę podniesionym ze wzburzenia głosem. – To mnie obchodzi tylko, i nikogo więcej; co się tyczy rozkazów moich, oto są: macie natychmiast opuścić ten pałac, a za godzinę stolicę samą!...

Clisson zbladł jak ściana. Książę był regentem Francji – trzeba było być posłusznym bez odpowiedzi.

Tego jeszcze wieczora wydał rozkazy swej służbie i z dwoma tylko ludźmi wyjechał z Paryża. Zatrzymał się dopiero na drugi dzień o zmierzchu w zamku de Montlhèry, który był jego własnością.

W tenże sam sposób jak Clissonem, postąpiono i z innymi ulubieńcami króla. Rozpoczęły się działania niecnej reakcji, spełniło się nad sprawiedliwymi to, co się spełnić miało nad zbójcą Craonem.

Reakcja miała wielkie rozmiary, ale bez wiedzy króla, którego stan coraz bardziej się pogarszał; pokładano jeszcze nadzieję w spodziewanych, a wstrząsających skutkach spotkania z królową. Karol ją najwięcej kochał, spodziewano się, że i teraz, chociaż wszystkich zapomniał, ją jedną może sobie przypomni...

IX

Wypadek i choroba króla spowodowały zupełny przewrót w sprawach królestwa. Ci, którzy byli ulubieńcami jego, popadli w niełaskę. Rządy państwa ze słabych rąk jego dostały się w chciwe ręce księcia Burgundii i de Berri, którzy czyniąc politykę ogólną zależną od własnych, osobistych interesów i namiętności, pochwycili w dłonie miecz nienawiści i zemsty, zamiast miecza sprawiedliwości. Tylko książę Orleanu mógł zrównoważyć ich wpływ w radzie, ale cały oddany miłości dla królowej, z łatwością zrzekł się pretensji do rządów i nie czuł w sobie odwagi do walki ani w interesie własnym, ani też w sprawach swoich przyjaciół. Ufny w swą godność brata królewskiego, drzemał w swej książęcej koronie, pan ogromnych skarbów, młody i nieoględny; używał wielkich swych bogactw, hamując w sobie każdy poryw ambicji, który by mógł zachmurzyć jego lazurowe niebo. Mogąc teraz koronowaną panią swego serca i myśli widywać w każdej porze i w każdym miejscu, szczęściem tym się upajał.

Izabella zaś, jakkolwiek młoda jeszcze, była już tą Włoszką przewrotną, jaką się później wyraźnie okazała – z miłością wilczycy, a nienawiścią lwicy w sersu; znająca jeno uczucia namiętne, nie szukająca w życiu nic, jeno potężnych wzruszeń, w sytuacjach zwykłych była jakby nie na swoim miejscu, czuła się pustynią bez palących wichrów, oceanem bez burzy!...

A przy tym piękna! Piękna na zatratę wszystkich dusz! I gdyby nie ten odblask piekielny, który czasami w jej oczach się przebijał, byłaby piękna jak aniołowie niebiescy. Kto by ją był widział tak, jak my ją teraz zobaczymy, leżącą na łożu, przy którym stoi klęcznik, a na nim modlitewnik otwarty, pomyślałby, że jest to najczystsza z kobiet, oczekująca o poranku codziennej, macierzyńskiej pieszczoty! A przecież była to żona wiarołomna, oczekująca kochanka! A kochankiem tym był brat jej męża, pana i króla – dziś szalonego i umierającego!...

Wkrótce też uchyliły się drzwiczki, prowadzące do komnat królewskich. W drzwiczkach tych ukazał się książę Orleanu; zajrzał ostrożnie, czy nie ma nikogo przy królowej, a widząc, że jest sama, wszedł, drzwi zamknął i szybko postąpił ku jej łożu. Był blady i wzruszony.

– Cóż ci to, piękny mój książę? – zapytała Izabella, wyciągając ku niemu rękę z uśmiechem. – Powiedzcież, co wam dolega?

– Ach, pani ukochana! Cóż to mi mówią?! – zawołał książę przyklękając na jedno kolano przed łożem królowej i podkładając ramię pod jej głowę. – Czyżby to miało być prawdą, że wzywają cię do Creil i że konieczną jest obecność twoja przy łożu królewskim?

– Tak jest. Wilhelm d'Hervilly utrzymuje, że moja obecność zbawienny wpływ mieć będzie. Cóż o tym myśli wasza wysokość?...

– Myślę, że gdy spotkam tego szarlatana w lesie de Beauomon, dokąd chodzi wyszukiwać grzyby, powiesić go każę na pierwszej gałęzi! Nędzny i nikczemny zarozumialec, który w próżności swej chce królową swą i panią użyć za lekarstwo, niepomny na niebezpieczeństwo, na jakie ją naraża!

– Czy istotnie, mówisz serio?... Powiedz książę, czy mnie tam co złego spotkać może? – pytała królowa, patrząc mu czule w oczy.

– Jak to, pani? Wszak życie swoje narażasz!... Szaleństwo króla jest gwałtowne. Czyż nie wiesz, że w chwili pierwszego napadu szału zabił de Polignaca, i ranił trzech – czy czterech rycerzy? Czy sądzisz pani, że ciebie pozna, gdy nie poznał mnie, swego brata i rzucił się na mnie z mieczem – tak, że życie moje zawdzięczam tylko rączości mego konia! Zresztą lepiej by mi było, gdyby mnie był zabił!...

– Gdyby was był zabił, mości książę?!... O nie mówcie tego i więcej ceńcie drogie swoje życie. My się staramy uczynić je wam jak najdroższym przez miłość naszą, a wy sami tak się zdajecie nim gardzić! Czyż to nam miłym być może, powiedzcie sami?...

– O droga Izabello! ależ czy nie lepiej umrzeć, niż obawiać się o ciebie; drżeć za każdym szmerem, wydobywającym się z tych nieszczęśliwych komnat; lękać się na widok każdego służalca, otwierającego drzwi mego pokoju; wiedzieć, że ty jesteś z nim tam sama, o każdej godzinie dnia i nocy!...

– O! bądź spokojny, mój książę, nie ma niebezpieczeństwa. Szczęk zbroi i widok miecza uczynił go szalonym – mówiąc to, utkwiła swe spojrzenie w Ludwiku. – Zamiast tego usłyszy głos mój najczulszy i pozna go; a potem łagodnością i pieszczotami zamienię lwa w baranka! Wiecie przecie, jak mnie kocha?!...

Za każdym jej słowem czoło księcia coraz bardziej się zasępiało; wreszcie podniósł się gwałtownie i wysunął ramię spod jej głowy.

– Tak, tak! Wiem o tym, że cię kocha! – odpowiedział ponuro – i w tym właśnie leży przyczyna mojej boleści. Nic wam, nic złego nie zrobi!... Nic!... Bez wątpienia, nic! Przeciwnie, stanie się, jak przewidujecie; głos wasz go uspokoi, pieszczoty ułagodzą! Głos twój, pieszczoty twoje!... O, Boże mój!...

Ścisnął silnie czoło w dłoniach. Izabella patrzyła nań ciągle na wpół podniesiona i wsparta na łokciu.

– A ja, im spokojniejszym go widzieć będę, tym więcej powtarzać sobie nie przestanę: „Ona czuła była dzisiaj, ona go dziś upieściła!...” I wtedy przeklinać będę to, za co niebu powinienem być wdzięczny. Miłość twoja! To był mój Eden, mój raj i przywykłem już być w tym raju sam z tobą! Cóż teraz uczynię, gdy mi go podzielić przyjdzie?! O! zachowaj tę miłość pani, tę miłość fatalną, całą dla mnie lub całą dla niego!

– Dlczegóżeś mi tego od razu nie powiedział?! – zawołała Izabella tryumfująco.

– I na cóż by się to zdało? – odparł Ludwik.

– Na co? Na to, żebym od razu odpowiedziała, iż nie pojadę do zamku de Creil.

– Nie pojedziesz?... Jak to, królowo! – zawołał książę, podbiegając ku niej.

Potem zatrzymał się nagle.

– A jakżeż to zdołasz się wymówić od tej podróży?...Cóż na to powiedzą książęta stryjowie?

– Czy sądzisz, że oni bardzo pragną powrotu króla do zdrowia?

– Nie! na wszystkie bogi!... Książę Burgundii chciwy jest władzy, a książę de Berri pieniędzy! Szaleństwo mego brata podwaja potęgę pierwszego i napełnia szkatułę drugiego! Ale oni umieją udawać, oni są obłudni i gdy zauważą, że jechać nie chcesz... A zresztą, czyż to możebne, żeby królowa nie chciała?!... O, bracie mój! biedny mój bracie!...

Łzy zalały mu oczy. Królowa podniosła głowę swego kochanka jedną ręką, a drugą ocierając łzy jego, rzekła łagodnie:

– Pociesz się, drogi książę. Pojadę do Creil, król zostanie uleczony, a serce twoje braterskie – dodała powoli z lekkim odcieniem ironii – nie będzie sobie miało nic do wyrzucenia. Znalazłam na to środek skuteczny...

Uśmiechnęła się z wyrazem nieopisanej złośliwości...

– I jakiż to środek? – zapytał książę.

– Powiem później, to mój sekret. A teraz uspokój się i spójrz na mnie, na kochającą cię królową, czulszymi oczyma.

Książę podniósł na nią oczy pełne miłości.

– Jakżeś ty piękny,– mój książę! – mówiła dalej królowa. – Cery twojej ja sama ci zazdroszczę. Bóg widać zaczął tworzyć kobietę, potem pomyślał, że potrzebniejszym mu będzie mężczyzna, dla którego bym ja zmysły stracić mogła i stworzył ciebie!

– Izabello moja najdroższa!

– Spojrzyj no, książę; cóż myślisz o tym obrazku? – przerwała mu, biorąc spod poduszki ukryty tam medalion.

– Portret twój! – wykrzyknął książę, wydzierając go prawie z jej rąk i przyciskając do ust. – Portret twój, najdroższa, najpiękniejsza!

– Ukryj go szybko... Słyszę, że ktoś nadchodzi.

– O, tak! Na mojej piersi, na moim sercu! Na teraz i na zawsze!...

Po chwili książę opuścił królową, a do jej sypialni weszła ksieni klasztoru Świętej Trójcy.

– Matko wielebna – rzekła do niej Izabella – chciałam pomówić z wami bez świadków o rzeczy wielkiej wagi, a dotyczącej spraw państwa.

– Ze mną, miłościwa pani? – zapytała pokornie ksieni – jakżebym ja, oddalona od świata i cała oddana Bogu, mogła sądzić o rzeczach ziemskich?

– O! nietrudna to rzecz. Król dotknięty jest, jak wiecie, słoneczną gorączką, szałem... Dotąd otoczony jest ludźmi czarno przybranymi i pod czarnymi maskami tającymi twarze swoje. Ludzie ci wzbudzają w nim przestrach i zmuszają do posłuszeństwa doktorom, ale wzruszenie i rozdrażnienie, w jakim go utrzymują te środki gwałtowne, nie dozwalają mu z lekarstw odnosić zupełnych korzyści. Gdyby tak, na przykład, jedna z sióstr zakonnych, młodziutka, pełna łagodności, ukazała się tam, pośród tych ludzi czarnych i przerażających? Lekarze i my jesteśmy przekonani, że wydałaby mu się aniołem z nieba i że to zjawisko uspokoiłoby jego wzburzone zmysły. Zaraz też pomyślałam o was, aby zaszczyt uzdrowienia króla spadł na wasz zakon. Uzdrowienie to byłoby w znacznej części przypisywane modlitwom waszym i wstawiennictwu u świętej Marty, a także świątobliwości wielebnej matki, której pieczy powierzone jest białe stadko sióstr trynitarek. Oto, dlaczego wezwałam was, matko wielebna. Czyżbym się pomylić miała, sądząc, że podobna prośba będzie wam przyjemną?...

– O! wielka jest dobroć waszej królewskiej mości!... Wasza królewska mość zna sama wiele sióstr mego zgromadzenia, niechże miłościwa pani wskazać mi raczy, której z nich uzna za stosowne powierzyć czuwanie nad drogim dla całej Francji zdrowiem najjaśniejszego monarchy, o które naród cały błaga Najwyższego Pana na niebie.

– Wybór pozostawiam zupełnie waszej troskliwości, matko wielebna. Wybierzcie, kogo zechcecie do spełnienia tej misji. Gołąbki, które Pan pod waszymi. umieścił skrzydłami, wszystkie są piękne i czyste; weźcie jedną na los szczęścia; Bóg ręką waszą pokieruje, błogosławieństwo narodu spłynie na wybraną, a łaski królowej otoczą ją i jej rodzinę.

Pobudzona ambicja rozjaśniła na chwilę czoło starej ksieni.

– Jestem gotowa spełnić rozkazy waszej królewskiej mości – rzekła – wybór już uczyniłam, wskażcie mi tylko, miłościwa pani, co dalej czynić wypada.

– Jak najprędzej odwieźć tę wybraną do zamku de Creil. Dane będą rozkazy, aby komnaty królewskie były dla niej otwarte. Reszta w ręku Boga.

Ksieni skłoniła się głęboko i zwróciła ku drzwiom. Królowa zaś kazała się ubrać i sprowadzić lektykę, po czym wyszła odwiedzić pałacyk przy ulicy Barbette, który dopiero nabyła i w którym miała zamiar założyć swą rezydencję.

Tymczasem król, jak to mówiła królowa, otoczony był dwunastoma służalcami, ubranymi w czarne maski i czarne kostiumy. Wszystko, co robił, robił tylko przymusowo i ze strachu. Pod wpływem czarnej melancholii dni jego dzieliły się na chwile szału gwałtownego i chwile zupełnej bezsilności i apatii, stosownie do tego, czy go gorączka napadała czy też opuszczała. Pod wpływem gorączki zdawał się być palony wszystkimi ogniami piekła, po jej ustąpieniu drżał, jakby był wystawiony na najostrzejsze zimno. Zresztą nie miał żadnej pamięci wypadków minionych, żadnego sądu o tym, co się koło niego działo, żadnego uczucia oprócz dręczącego go bólu.

Projekt sprowadzenia królowej powstał w głowie lekarza, który na łagodnym obejściu się z królem i na łagodzeniu go pieszczotami fundował swoje nadzieje uleczenia Karola. Zmianę projektu i postawienie na miejscu królowej innej obcej kobiety, Wilhelm niechętnie przyjął, w każdym jednak razie uważał to za wielce pożyteczny środek... Wybrana zakonnica przybyła do zamku de Creil o naznaczonej godzinie w towarzystwie przełożonej zakonu. Na jej widok lekarz powziął większą nadzieję przeprowadzenia swego planu. Była to twarz piękna, anielskiej łagodności pełna, jaką doktor wymarzył sobie ku cudownemu leczeniu. Nie była ona ubrana w poświęcony habit trynitarek; włosy jej, dotąd nożycami nie tknięte, dowodziły, że jeszcze ślubów nie spełniła. Doktor Wilhelm widząc ją tak młodą, uważał z początku za konieczne objaśnić ją, co ma czynić i uspokoić, ale znalazł ją tak pokorną i tak ku świętemu celowi

skłonną, że nie pozostało mu nic, jeno ją pobłogosławić. Przygotował sobie cały szereg różnych zaleceń i ostrzeżeń, ale ani jedno z ust jego nie wyszło i pozostawił wszystko uczuciu i natchnieniu czystej tej duszy, ofiarę z siebie czyniącej. Odetta, gdyż ona to była, uległa naleganiom swej ciotki, skoro tylko spostrzegła, że przyjęcie tych obowiązków będzie poświęceniem. Zawiedziona miłość w duszy szlachetnej zmienia się prędzej czy później w jakąś wielką cnotę. Tylko ci, którzy znają tajniki i unoszą zasłony, którą się cnota ta okrywa, poznają w niej miłość, z której powstała. Ogół śmiertelników patrzy i nie widzi, i zwie ją tylko mianem. jakie sobie nadała.

Karol wyszedł właśnie ze swymi stróżami. Południowe słońce zwiększało jego cierpienia; ranki tylko i wieczory przeznaczone były dlań na przechadzki. Odetta, wprowadzona do komnaty królewskiej, znalazła się w niej sama jedna. Dziwne uczucie zbudziło się w sercu biednej dziewczyny, zrodzonej tak daleko od stopni tronu i popychanej ku niemu ciągle przez fale życia, jak barka przez burze oceanu gnana ku skałom, o które rozbić się miała.

Wszystko w komnacie zdradzało płatne usługi i zupełny brak osób ukochanych i kochających. Widok ten wywoływał w niej uczucie wielkiego ubolewania nad wielkim nieszczęściem króla. Ta godność królewska, kirem okryta, z tronu złożona, wzywająca pomocy i troskliwości biednej dziewczyny z ludu, wydała się wielką i nadziemską. Tak samo Chrystus, zbiczowany i niosący krzyż swój, wydaje się ludziom więcej boskim, niż Chrystus wypędzający przekupniów ze świątyni.

Komnatę zalegały spokój i cisza. Światło przekradało się przez wielkie szyby kolorowe. Wielki kamienny kominek rzeźbiony, w którym ogień płomieniem buchał, chociaż były najgorętsze dni lata, znajdował się naprzeciw samego łoża, przesłoniętego kapą z zielonego adamaszku w złote lilie. Firanki i kapa, podarte i potargane, zdradzały walki, jakie tu szaleństwo króla staczać musiało. Na podłodze leżały rozrzucone odłamki szabli, skorupy talerzy i naczyń, które król potłukł i połamał w przystępach gorączki, a które uprzątnąć zapomniano. Wszystko zresztą przedstawiało obraz bezmyślnego zniszczenia. Widać było, że w komnacie tej jeno materia żyła, a duch i myśl zupełnie były nieobecne.

Widok ten obudził w Odetcie bojaźń i lękliwość, która jest jedną z cech kobiecej natury. Poczuła ona, że słaba i bezbronna rzucona została w lwią jamę. Pojęła, że szaleniec, przy którym straż jej oddano, jednym dotknięciem złamać może ją samą tak, jak połamał te szable, których szczątki deptała nogami. Czuła, że nie ma nawet harfy Dawida, aby jej dźwiękiem zachwycić szalonego Saula.

Cała pogrążona w myślach, nagle posłyszała krzyk wielki; były to jęki i krzyki, jakie wydaje człowiek obawiający się czegoś. Potem do tego głosu dołączyły się głosy wielu innych, którzy zdawali się gonić kogoś. W istocie król zdołał się wymknąć stróżom swoim i dopiero w sąsiednim pokoju dognany toczył z nimi zaciętą walkę. Słysząc krzyki, Odetta drżeć poczęła ze strachu i chcąc umknąć, poczęła szukać drzwi ukrytych, przez które ją tu wpuszczono, a nie mogąc ich odnaleźć, pobiegła ku drzwiom przeciwnym, ale hałas zbliżył się już do nich tak dalece, że od walczących dzieliły ją tylko odrzwia. Przerażona jeszcze bardziej, rzuciła się w kąt poza łóżko, chwytając resztki firanek dla ukrycia się przynajmniej w pierwszej chwili przed okiem rozszalałego króla. Zaledwie też ukryć się zdołała, gdy nagle usłyszała głos doktora:

– Pozostawcie królowi swobodę, niech czyni wedle swej woli!

Drzwi otworzyły się z trzaskiem.

Karol wpadł do pokoju. Włosy miał najeżone, twarz bladą i oblaną potem, ubiór postrzępiony. Pobiegł w głąb pokoju, szukając broni przeciw napastnikom, a nie znajdując żadnej, zwrócił się ku drzwiom z wielkim przerażeniem. Drzwi znalazł zamknięte, to zdawało się ośmielać go nieco i uspokajać. Kilka chwil patrzył na drzwi ciekawie, następnie po cichutku zbliżył się na palcach, aby nie być dosłyszanym, wreszcie jednym susem poskoczywszy, przekręcił klucz w zamku i zamknął się od wewnątrz. Wtedy począł szukać oczyma innego środka obrony, a spostrzegłszy łoże, pochwycił je za poręcz ze strony przeciwnej tej, za którą ukryta była Odetta, i zaciągnął pod drzwi, barykadując je przed nieprzyjaciółmi. Nagle zadrżał i począł się śmiać śmiechem szalonych, który dreszczem przejmuje słuchacza, a opuściwszy ramiona i pochyliwszy głowę na piersi, powrócił powoli i nie widząc Odetty odsłoniętej w kącie pokoju, usiadł przed kominkiem.

Czy to dlatego, iż opuściła go gorączka, czy też dlatego, że się już nie miał czego obawiać, nastąpiło osłabienie, król osunął się w fotelu, na którym siedział, skarżąc się i jęcząc żałośnie. Wkrótce też począł drżeć na całym ciele, a zęby mu szczękały. Widać było, że cierpi strasznie. Na ten widok przestrach Odetty w jednej chwili ustąpił. Stawała się tym silniejszą, im bardziej słabł Karol, a wyciągnąwszy ramiona ku niemu, nie podnosząc się z miejsca, zapytała bojaźliwym głosem:

– Najjaśniejszy panie, czym mogłabym ci ulgę przynieść?...

Król odwrócił głowę, a spostrzegłszy Odettę, popatrzył na nią wzrokiem smutnym a łagodnym, z jakim go często widywano, gdy był zdrów jeszcze, a potem wyrzekł głosem coraz bardziej słabnącym:

– Karolowi zimno... zimno... bardzo zimno!...

Odetta szybko postąpiła ku niemu i wzięła go za ręce. Ręce te były istotnie zimne jak lód. Poszła tedy do łóżka, a wziąwszy kołdrę owinęła go nią. Zdawało się, że uczuł pewną ulgę, gdyż zaczął się śmiać jak dziecko. Dodało to odwagi Odetcie.

– Dlaczegóż to zimno królowi? – zapytała.

– Jakiemu królowi?

– Królowi Karolowi.

– A! Karolowi?!

– Tak, dlaczegóż to zimno Karolowi?

– Bo Karol się zląkł.

I znowu zaczął drżeć.

– Jakże być może, żeby Karol, który jest królem potężnym, silnym i odważnym, mógł się lękać? – pytała Odetta.

– Karol jest odważnym i potężnym, i nie boi się ludzi – tu zniżył głos – ale boi się psa czarnego.

Król wymówił te wyrazy z takim przerażeniem, że Odetta obejrzała się dokoła, czy nie zobaczy gdzie wspomnianego zwierzęcia.

– Nie, nie, on jeszcze nie wszedł – rzekł Karol – wejdzie dopiero, gdy się położę. Dlatego ja się nie chcę kłaść do łóżka... Nie chcę! nie chcę... Karol chce zostać przy kominku... Bo Karolowi zimno... zimno... bardzo zimno!...

Odetta rozgrzała przy ogniu drugą kołdrę, owinęła nią znowu króla i siadając u stóp, wzięła ręce jego w swoje dłonie.

– Więc ten pies czarny jest bardzo zły? – zapytała.

– Nie, ale on wychodzi z rzeki i zimny jest jak lód.

– I dziś rano ten czarny pies gonił Karola?

– Karol wyszedł, bo się w nim paliło i potrzebował powietrza... Zaszedł do jakiegoś pięknego ogrodu, gdzie było dużo kwiatów... i był bardzo zadowolony...

Król wyrwał obie ręce z rąk Odetty i ścisnął nimi czoło swoje, jakby chciał w nich zgnieść boleść. Potem mówił dalej:

– Karol szedł ciągle po zielonej murawie, pełnej niezapominajek i innych kwiatków polnych... Szedł tak, szedł... szedł, aż się zmęczył... Wtedy zobaczył piękne i wysokie drzewo, na którym były jednak... owoce złote i liście szmaragdowe, i Karol... położył się pod tym drzewem, patrząc w niebo... niebo było błękitne, a na nim były gwiazdy... brylantowe! Karol patrzył na to długo, bo też to był piękny widok!... Wtem, nagle, posłyszał szczekanie psa, ale jeszcze daleko, bardzo daleko... Wtedy niebo stało się czarne, gwiazdy zrobiły się czerwone... owoce na drzewie trzęsły się, jakby na nie powiał wielki wiatr, za każdym razem wydając taki dźwięk, jaki wydaje ostrze lancy, padając na hełm miedziany. Zaraz też tym owocom złotym porosły po dwa wielkie skrzydła nietoperze i poczęły się ruszać... Potem wyrosły im oczy, uszy, pyski... i stały się jakby trupimi główkami ze skrzydłami nietoperza... Pies zaszczekał po raz drugi, ale już trochę bliżej... Drzewo zatrzęsło się w swych podstawach, skrzydła poruszyły się, głowy poczęły krzyczeć, liście pokryły się potem, a każda kropla tego potu spadła zimna, zimna, zimna, jak lód, na czoło Karolowi... Wtedy Karol chciał powstać i uciekać, ale pies zaszczekał po raz trzeci... ale już bardzo blisko... tuż, tuż... I Karol uczuł, że pies położył mu się na nogach i obezwładniał swym ciężarem... i podnosił się coraz wyżej i wyżej, aż na piersi Karola, a ciężki był jak góra!... Karol chciał go zepchnąć rękoma, a pies lizał mu ręce językiem swym lodowatym... O! Karolowi zimno... zimno... zimno!...

– Może, gdyby się Karol położył – rzekła Odetta – byłoby mu cieplej?...

– Nie, nie, Karol nie chce, nie chce się położyć! Nie chce! nie chce... Jak tylko Karol się położy do łóżka, pies czarny wbiega, obiega łóżko dokoła, podnosi kołdrę i kładzie mu się na nogi... a Karol wolałby umrze!...

Król poruszył się, jak gdyby chciał uciekać.

– No to nie! Już nie! – rzekła Odetta, podnosząc się i otaczając go ramionami. – Kiedy Karol nie chce, to niechaj się nie kładzie...

– A jednak Karol chciałby bardzo spać... – rzekł król.

– No to Karol uśnie tu, na moim ramieniu.

Usiadła na poręczy fotela, podsunęła ramię pod głowę króla i położyła ją na swojej piersi.

– Czy Karolowi tak dobrze? – spytała.

Król podniósł na nią oczy pełne wdzięczności.

– O tak – rzekł – Karolowi dobrze, dobrze... bardo dobrze!

– No to niech Karol śpi, a Odetta czuwać będzie nad nim, aby nie wszedł pies czarny...

– Odetta? – szepnął król – Odetta?!...

I począł się śmiać, jak dziecię nie rozumiejące, co mówią do niego.

– Odetta! – powtórzył i złożywszy głowę na powrót na piersi młodej dziewicy, która pozostała nieruchoma i wstrzymywała oddech, zasnął.

W pięć minut później uchyliły się drzwiczki ukryte i wszedł przez nie doktor Wilhelm. Zbliżył się po cichutku, na palcach, ku tej nieruchomej grupie, a wziąwszy rękę, którą król pozostawił zwieszoną przez poręcz, badał puls, przyłożył ucho do piersi króla i przysłuchiwał się jego oddechowi.

Potem, podnosząc głowę i ukazując twarz, promieniejącą dumą i radością, rzekł cicho:

– Oto król śpi lepiej i spokojniej, aniżeli spał kiedykolwiek od miesiąca. Niech cię Bóg błogosławi, dziewico! Cud uczyniłaś!

X

Wieść o chorobie króla rozeszła się w Anglii równie szybko, jak we Francji, i jak we Francji wielkie sprawiła wrażenie. Król Ryszard i książę Lancaster, którzy mieli wiele sympatii dla Karola, mocno nią byli zasmuceni. zaś Lancaster uważał wypadek ten za zgubny nie tylko dla Francji, ale i dla całego chrześcijaństwa.

– Szaleństwo to jest wielkim nieszczęściem – mawiał po kilkakroć do otaczających go rycerzy i koniuszych – albowiem Karol był człowiekiem silnej woli i wielkiej potęgi, a pragnął zgody pomiędzy obu królestwami naszymi dlatego jedynie, aby wystąpić mógł przeciw niewiernym. Teraz zaś sprawa ta widzi mi się odroczona na długo, gdyż on byłby duszą tej krucjaty, która obecnie niełatwo da się pokonać.

W istocie Murad–Bey, któregośmy z francuska przechrzcili Amuratem, a którego Froissart nazywa w swych kronikach Moragaquin'em, zajął już królestwo Armenii i zagrażał zniszczeniem chrześcijańskiemu Cesarstwu Wschodniemu. Król Ryszard i książę Lancaster byli zdania, że traktaty i zawieszenie broni, zawarte w czasie wjazdu królowej Izabelli do Paryża, winny być z tego powodu nie tylko dotrzymane, ale nawet przedłużone.

Karol tymczasem miał się coraz lepiej. Codziennie rozchodziły się cudowne wieści o polepszeniu jego zdrowia. Jednym z najzbawienniejszych środków przeciw jego apatii i melancholii był nowy wynalazek pewnego malarza, nazwiskiem Jacquemin Gringonneur, który mieszkał przy ulicy de la Verrerie. Odetta przypomniała sobie o nim, znała go bowiem jeszcze, gdy była przy ojcu, i wysłała doń zlecenie, aby przybył i przyniósł ze sobą dziwne obrazki kolorowane, które u niego niegdyś widziała; przybył on rzeczywiście z nimi na zawołanie. Obrazki te nie były niczym innym, jeno kartkami do gry.

Króla wielce zabawiły te malatury, na które z początku patrzył z naiwną ciekawością dziecka, ale bawiły go one coraz więcej, w miarę powrotu do zdrowych zmysłów, zwłaszcza gdy się dowiedział, że każda z tych figur i obrazków ma swoje osobne znaczenie i może odegrać swoją rolę w jakiejś grze alegorycznej, będącej obrazem wojny i rządu. Jacquemin nauczył go, że *as* powinien mieć pierwszeństwo przed wszystkimi innymi kartami, nawet przed *królami*, ponieważ nazwa jego pochodzi od pewnego wyrazu łacińskiego, który oznacza pieniądze, a każdy wie przecie, że pieniądz jest główną sprężyną wojny. Oto dlaczego *król*, który nie ma *asa*, jest tak słaby, że może być pobity przez *waleta*, który jest z *asem*. Powiedział mu, że *trefl*, który jest jednym z płodów łąk Francji, przypominać powinien każdemu dowódcy oddziału wojskowego, iż nigdy nie należy rozbijać obozu w miejscu, w którym nie ma traw i w

którym zabraknąć może paszy dla koni jego armii. Nazwa *pik* na tychże kartach pochodziła od halabard, jakimi w owej epoce zbrojni byli żołnierze piechoty; *karo* oznaczało kwadratowe ostrze strzał takich, jakie również wtedy jeszcze z łuków wypuszczano. *Kier* miał być emblematem odwagi i podniosłości serc walecznych dowódców i żołnierzy. Zresztą cztery nazwiska nadane królom: *Dawid*, *Aleksander*, *Cezar* i *Karol Wielki* dowodzić miały, że jakkolwiek liczne i bitne były wojska, potrzeba zawsze dla pewniejszego zwycięstwa postawić na ich czele wodzów doświadczonych. ponieważ zaś wielkim wodzom potrzeba zawsze czynnych i sprytnych adiutantów, dodano tym *królom* czterech *waletów* i wybrano im nazwiska sławne, a mianowicie: *Lancelot* i *Ogier*, którzy byli niegdyś przy Karolu Wielkim, *Hector* (pan de Galard) i *Renaud* (starosta de Coucy). Ponieważ zaś tytuł waletów (*varlets*) nie miał w sobie w owe czasy nic obrażającego, rycerze bowiem nosili go przed zdobyciem ostróg, ciż *waletowie* przedstawiali szlachtę i mieli pod swymi rozkazami *dziesiątki*, *dziewiątki*, *ósemki*, *siódemki*, które nie były niczym innym, jak żołnierzami i ludźmi niskiego stanu.

Co do *dam*, Jacquemin nadał im tylko nazwiska ich mężów, dając przez to poznać, że kobieta sama przez się jest niczym i tę tylko ma siłę i znaczenie, jakie na nią spływa przez jej pana i władcę. *Damy* nazwane zostały dopiero za następnego panowania i to w następujący sposób: *Argine*, *dama treflowa* (które to imię na anagramem wyrazu *regina*), oznaczała królową Marię z Anjou, żonę Karola VII; piękna *Rachela*, *dama karowa*, miała wyobrażać sławną Agnieszkę Sorel; *Pallas* w postaci *damy pikowej* przypominała czystą i wojowniczą Dziewicę Orleańską; wreszcie *damą kierową*, panią serc, pod imieniem *Judyty* miała być Izabella Bawarska.

Zabawa tymi obrazkami przyczyniła się do uspokojenia króla, a spokój ten powracał mu siły. Niezadługo też począł jeść i pić z przyjemnością. Widma rozognionej wyobraźni ustąpiły powoli. Nie obawiał się już zresztą łoża swego i tylko aby Odetta czuwała nad nim, a sypiał prawie zupełnie spokojnie. Wreszcie pewnego dnia Wilhelm znalazł go o wiele już spokojniejszym i pozwolił mu dosiąść rumaka. Nazajutrz też przyprowadzono mu jego ulubionego konia, na którym dość długą odbył przejażdżkę.

Zresztą na dworze Francji o niczym innym nie było mowy, jeno o powrocie króla do zdrowia i o cudownym sposobie jego uleczenia. Wiele dam zazdrościło pięknej nieznajomej, której zachowanie według nich było prostym wyrachowaniem. Wszystkie, jeżeli im wierzyć można, byłyby tak samo się poświęciły, żadna jednak w dniu nieszczęścia nie uczyniła tego. Obawiano się tej młodej osoby, która jeżeli tylko choć troszkę była ambitna i żądna władzy, mogłaby na wracającego do rządów króla wielki wpływ wywierać. Królowa zaniepokojona skutkami swego własnego dzieła wezwała znowu ksienię klasztoru Świętej Trójcy, a posławszy bogate dary klasztorowi, zaleciła jej, aby siostrzenicę swą odebrała. Wskutek tego Odetta otrzymała rozkaz powrotu do klasztoru.

W dniu oznaczonym na wyjazd, Odetta zbliżyła się do króla z oczyma pełnymi łez i przyklękła przed nim na jedno kolano. Karol spojrzał na nią bojaźliwie, a myśląc, że ktoś wyrządził jej jaką krzywdę lub obrazę, wyciągnął do niej rękę, pytając o powód płaczu.

– Ukochany królu i panie – rzekła Odetta – płaczę, albowiem przychodzi mi cię opuścić.

– Ty mnie opuścić masz, Odetto?! – zawołał król. – I dlaczegóż to, moje dziecię?

– Ponieważ już niepotrzebna wam jestem, najjaśniejszy panie.

– Boisz się i nie chcesz pozostać dłużej przy nieszczęśliwym szaleńcu! Już cię znużyło życie w zamknięciu, przy mnie niewesołym i dążysz do rozkoszy. Idź więc!...

– Królu i panie! Mnie nie rozkosze wzywają, ale woła mnie przełożona zakonu Świętej Trójcy. Do klasztoru powracam!...

– Więc nie opuszczasz mnie z własnej chęci, Odetto? – zapytał król podnosząc żywo głowę.

– Życie moje do ciebie należy, najjaśniejszy panie, i szczęśliwa byłabym, gdybym je poświęcić mogła aż do ostatniego dnia, do ostatniej kropli krwi mojej.

– I któż się poważa oddalać cię ode mnie?

– Najprzód królowa, o ile mi się zdaje, a potem stryjowie twoi, najjaśniejszy panie, książęta de Berri i Burgundii.

– Królowa, stryjowie moi!.. Ci, którzy mnie opuścili w dniach moich cierpień! Oni!

– Tak, królu miłościwy.

– Ale ty sama nie pragniesz mnie opuścić?!

– Ja nie mam innej woli, jeno wolę pana mojego i króla. Co on rozkaże, uczynię!

– A więc ja ci rozkazuję pozostać! – zawołał wesoło Karol. – Powiedz Odetto miła, a więc ten pobyt nie jest ciężarem dla ciebie, dziecię drogie?... Więc staranność twoją i troskliwość około mnie nie

tylko litość powoduje? Och, gdyby tak było Odetto! Jakże byłbym szczęśliwy! Spojrzyj na mnie, droga, nie ukrywaj swej twarzy przed spragnionym jej widoku wzrokiem moim!

– Królu! Panie! Ja umrę ze wstydu!

– Czy wiesz, Odetto – mówił król, biorąc w swe dłonie obie jej ręce i przyciągając ją ku sobie – czy wiesz, żem ja już przywykł widzieć cię ciągle przy sobie: wieczorem, gdy zasypiam we śnie, gdy marzę; rano, gdy oczy otwieram! Czy wiesz, że ty jesteś aniołem stróżem mego rozumu, żeś ty różdżką czarodziejską rozpędziła duchy nieczyste, które wyły dokoła mnie i w mocy mnie swojej trzymały? Dnie moje tyś rozjaśniła, noce moje tyś uspokoiła! O, Odetto! Czy wiesz, że wdzięczność nie jest dostateczna dla spłacenia długu tych dobrodziejstw! Odetto! Czy wiesz, że ja cię... kocham?!

Odetta wydała okrzyk trwogi, wyrwała ręce z dłoni króla, ale odejść sprzed jego oblicza nie śmiała.

– Panie mój miłościwy! Królu! Cóż to ja usłyszałam?!

– Usłyszałaś tę prawdę – mówił dalej Karol – że teraz niezbędną już jesteś dla mego życia. Wszakże to nie ja poszedłem szukać cię w twojej celi, nie ja cię sprowadziłem do swego boku. Nie wiedziałem nawet, że istniejesz! Tyś sama, duszo anielska, przeczuła, że tutaj cierpienie gości, i tyś przybiegła na ratunek. Winienem ci wszystko, ponieważ winienem ci rozum mój, który jest moją władzą, moją siłą, moim królestwem, moim panowaniem! A jeśli pójdziesz, pozostawisz mnie takim, jakim mnie zastałaś! Rozum mój i zdrowie moje odejdą wraz z tobą! O! czuję już! Na samą myśl, że cię utracę, myśli moje się mieszają...

Podniósł ręce do czoła.

– O Boże mój, Boże! – zawołał z przerażeniem. – Czyż znowu mam zostać szalonym?! Boże, Panie wielki, miej litość nade mną!

Odetta przerażona rzuciła się ku królowi, wołając z przerażeniem:

– O królu! Nie mów w ten sposób!

Karol spojrzał na nią oczyma pełnymi strasznej grozy.

– O panie! Nie patrz na mnie tak. To jest ten sam wzrok, jakim w szale swym patrzyłeś na mnie, a który takim mnie strachem i żalem przejmował.

– Zimno mi bardzo – rzekł Karol.

Odetta rzuciła się w objęcia króla, przyciskając do łona i otaczając go w niewinności swej ramionami.

– Odejdź już, Odetto, odejdź, kiedy masz mnie porzucić – rzekł smutnym głosem Karol.

– Nie, nie! – zawołało dziewczę, nie słuchając go – nie, królu; szał ten już wrócić nie może! Bóg zabierze krew moją, Bóg dni moje ukróci, ale tobie zostawi rozum i przytomność! Zostanę przy tobie, panie; nie opuszczę cię nigdy, ani na jedną minutę, ani na sekundę. Będę przy tobie zawsze, zawsze...

– Tak, w moich objęciach? – pytał Karol.

– Tak, jeśli tak żądasz, panie!

– I będziesz mnie kochała? – pytał dalej, zmuszając ją, aby usiadła na jego kolanach.

– Ja! ja! – wołała Odetta, a zamykając oczy, jakby nie chciała patrzeć na siebie, opuściła główkę na jego ramię. – O! nie! To być nie może! Jam tego nie powinna!

Palące usta Karola zamknęły jej usta pocałunkami.

– Litości, panie, królu, litości!... Umieram – wyszeptała jeszcze i zemdlała w jego ramionach.

Odetta została przy Karolu w zamku de Creil.

XI

W kilka dni po tym, co opowiedzieliśmy wyżej, podczas gdy Odetta spoczywała u nóg Karola, zapatrzona w jego oczy, z głową wspartą na jego kolanach, doktor Wilhelm wszedł szybko, oznajmiając przybycie królowej.

– Ach! – rzekł Karol – więc nie obawia się już spotkania z biednym szaleńcem?... Powiedziano jej już, że jestem przytomny i zdecydowała się nareszcie zbliżyć do lwiej jamy. Wprowadźcie jej mość Izabellę do komnat sąsiednich.

Wilhelm wyszedł.

– Co tobie? – zapytał król Odettę.

– Nic – odpowiedziała, ocierając łzę.

– Szalona! – szepnął król.

Potem pocałował ją w czoło, a biorąc jej główkę w obie dłonie, podniósł się, położył ją na fotelu, ucałował jeszcze raz i wyszedł. Odetta pozostała w tej samej pozycji, w jakiej ją Karol zostawił. Po chwili zdawało jej się, że cień jakiś zasłania wpadające do komnaty promienie słoneczne i odwróciła się.

– Jego wysokość książę Orealnu?! – wykrzyknęła, ukrywając twarz w dłoniach.

– Odetta! – zawołał książę.

Oczy Ludwika pełne zdumienia pozostały przez chwilę utkwione w Odetcie.

Po chwili milczenia począł mówić głosem cierpkim i tonem ironicznym:

– A więc to pani czynisz takie cuda?! Wiedziałem, że jesteś potężną czarodziejką, ale nie myślałem o tak wielkiej twej sile; wiedziałem, że możesz przywieść człowieka do utraty zmysłów, ale nie sądziłem, iżbyś je powracać mogła!...

Odetta westchnęła.

– Teraz – mówił dalej książę – rozumiem tę cnotę surową i tak silnie obronną. Jakaś Cyganka przepowiedziała ci, że zostaniesz królową Francji, więc miłość pierwszego księcia krwi nie była dla ciebie wystarczająca! To naturalne i zrozumiałe!

– Książę – rzekła Odetta, podnosząc się i ukazując mu twarz spokojną i wzbudzającą szacunek – gdy przybyłam tutaj, przybyłam jako ofiara, która się poświęca, a nie jak ladacznica szukająca szczęścia. Może być, że gdybym tu, przy królu nieszczęśliwym zastała kogoś z jego rodziny, byłabym miała więcej sił, ale nie znalazłam nikogo przy łożu tego nieszczęśliwego, nie mającego na czole innej korony, oprócz cierniowej; tej istoty opuszczonej, od Boga pozbawionej rozumu i instynktu, i nie posiadającej tego nawet poczucia, jakie natura daje ostatniemu ze zwierząt, instynktu zachowawczego. A jednak człowiek ten nieszczęśliwy był wczoraj jeszcze królem młodym, pięknym, potężnym; w mroku jednej nocy przeżył lat trzydzieści; między brzaskiem jednego i drugiego dnia czoło jego pokryło się zmarszczkami jak u starca; z całej jego potęgi nie pozostało nawet pragnienie władzy, gdyż szał jego, zbłąkawszy umysł, odebrał mu pamięć przeszłości. Wówczas, patrząc na tę młodość zgrzybiałą, na tę piękność zwiędłą, na tę wielkość straconą, uniosłam się wielkim współczuciem dla tak wielkiego nieszczęścia. Król pozbawiony tronu, berła, korony, potomek starożytnego i świętego rodu królów, czołgający się na kolanach, błagał miłosierdzia, a nikt mu nie odpowiadał; on wyciągał ramiona, a nikt mu ręki nie podawał; on płakał, a nikt mu łez nie ocierał. Och! czułam wówczas, że jestem wybrana, że Bóg mnie do wielkiego celu powołał; czułam, że są położenia, tak dziwnie wychodzące poza obręb zwykłych stosunków ludzkich, w których względy społeczne istnieć przestają; sytuacje takie, że w nich wyraz „cnota" jest sztyletem, którym dobija się konającego. Czułam, że lepiej zgubić swoją duszę, a ocalić jedno życie, kiedy ta dusza należy do biednej młodej dziewczyny, a to życie jest życiem wielkiego króla.

Książę Orleanu patrzył na nią z podziwem; słuchał tej mowy serca, znamionującej uczucie tak niespodziane rozwinięte, podobne do kwiatów, które rozwijają się w ciągu jednej nocy.

– Zaiste, dziwna z ciebie dziewczyna, Odetto – rzekł książę. – Byłabyś istotnie aniołem zesłanym z nieba, gdyby to, co mi mówisz, było prawdą. Ale ja pragnę temu wierzyć: przepraszam, że cię obraziłem, daruj mi, bo i ja ciebie bardzo kochałem!...

– A ja, panie!... O! żebyś to ty był tym nieszczęśliwym!...

– O! Karolu. Karolu! – zawołał książę, uderzając się w czoło.

W tej chwili wszedł król. Dwaj bracia rzucili się sobie w objęcia; doktor Wilhelm szedł za królem.

– Mości książę – rzekł – chwała Bogu! Oto król jest zdrów. Oddają go wam, lecz od tej pory niechże się strzegą zasmucać go, rozgniewać lub pracą przeciążać, gdyż umysł jego nie jest jeszcze dosyć silny, a zwłaszcza – dodał, spoglądając na Odettę – nie rozłączajcie go z jego aniołem stróżem. Dopóki ona będzie przy nim, ręczę za wszystko.

– Mistrzu Wilhelmie – odpowiedział książę – za mało cenicie potęgę wiedzy waszej, a i ona przecież jest także niezbędna dla króla. I wy przy nim odtąd pozostawać musicie.

– O! miłościwy książę – odparł Wilhelm, wstrząsając głową. – Ja jestem już siwym i słabym starcem, niezdolnym do znoszenia dworskich trudów. Pozwólcie mi wrócić, mości książę, do mego Laonu. Spełniłem przeznaczenie moje, teraz odejść mogę w spokoju.

– Mistrzu Wilhelmie – rzekł książę – wynagrodzenie usług waszych należy do książąt stryjów i spodziewam się, że wynagrodzeni będziecie pięknie i hojnie. W każdym jednak razie, gdybyście z nich zadowoleni nie byli, przyjdźcie do Ludwika Orleańskiego, a przekonacie się, że nie darmo głos ogółu dał mu tytuł „szczodrego".

– Bóg, mości książę, uczynił już dla mnie więcej, niźli ludzie uczynić mogą – rzekł, pochylając głowę Wilhelm – a cokolwiek po Nim oni uczynić zechcą, będzie zawsze zbyt wiele w porównaniu do zasług, jakie położyłem.

Ukłoniwszy się, mistrz Wilhelm wyszedł i nazajutrz, nie dając się żadnymi prośbami skłonić do zmienienia zamiaru, opuścił zamek de Creil i powrócił do Laonu, gdzie miał domek własny. Do Paryża nigdy przybyć nie chciał, chociaż mu dawano tysiąc koron złota i chociaż oddano na jego usługi cztery konie ze stajen królewskich.

Król, powrócił do pałacu Świętego Pawła, w bliskości którego dał mały domek Odetcie i wszystko wróciło do stanu przed chorobą.

Król śpieszył do objęcia rządów, a to dla użyczenia swego wpływu i poparcia wielkiemu i świętemu przedsięwzięciu, o którym ciągle marzył.

Była to krucjata przeciw niewiernym Turkom.

Ambasadorowie Zygmunta przybyli do Paryża, podczas gdy król był w Creil i opowiedzieli tam zamiary Bajazeta, który nastąpił po swoim ojcu, zabitym w wielkiej bitwie, stoczonej z Zygmuntem. Sam zdradził on swoje zamysły, głośno mówiąc, że zajmie królestwo Węgier i przebieży wszystkie królestwa chrześcijańskie, pod swoją władzę je zabierając, a pozostawiając każdemu wolę rządzenia się swoimi prawami; następnie dotrze, blaskiem potęgi swej otoczony aż do Rzymu, aby nasypać obroku koniowi swemu na ołtarz świętego Piotra... Były to ohydne bluźnierstwa, które powinny oburzyć przeciw niemu każdego, w którego piersi biło chrześcijańskie serce.

Toteż Karol zaprzysiągł, że Francja, ta pierworodna córa Chrystusa, nie zniesie takiej profanacji, chociażby on sam, król i pomazaniec Boży, miał osobiście wyprowadzić zbrojne hufce przeciw niewiernym, jak to czynili jego poprzednicy: królowie Filip August, Ludwik IX i Ludwik VII. Hrabia d'Eu, który miecz wielkiego marszałka odziedziczył po Clissonie, i marszałek Baucicaut starszy, który już podróżował po kraju niewiernych, silnie popierali postanowienie króla, mówiąc, że jest obowiązkiem każdego rycerza, noszącego znak krzyża świętego na piersiach, przyłączyć się do wyprawy przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi. Najwięcej jednak przedsięwzięcie to wziął do serca książę Filip Burgundzki, zachęcony do tego przez syna swego, hrabiego de Nevers, który miał nadzieję zostania wodzem tej wyborowej armii i dokonania z nią i na jej czele świetnych i wielkich czynów. Książę de Berri nie stawiał również żadnej opozycji w tej sprawie, która też wkrótce ostatecznie na radzie królewskiej postanowiona została. Odprawiono tedy posłów Zygmunta, wysłano też ambasadorów do cesarza niemieckiego i księcia Austrii o pozwolenie przejścia przez ich kraje. Napisano również do wielkiego mistrza zakonu teutońskiego dla zawiadomienia go, że Jan Burgundzki idzie im na pomoc z tysiącem najwaleczniejszych wojowników, wybranych spomiędzy rycerstwa Francji, dla stawienia zbrojnego oporu zamiarom króla Bajazeta, zwanego Amurat–Baquin.

Książę Burgundii sam zajął się przygotowaniami wojennymi swojego syna pierworodnego; chciał bowiem, żeby wyprawa ta godną była księcia, należącego do „domu złotych lilii". Pierwszą rzeczą, o jakiej pomyślał, było przydanie mu do boku rycerza doświadczonego, wielkiej odwagi i męstwa. Napisał tedy do pana de Coucy, który właśnie powracał z Mediolanu, ażeby przybył doń do pałacu d'Artois. Pan de Coucy pośpieszył też natychmiast na to wezwanie.

Tak rzeczy zdecydowawszy, książę zajął się staraniami o wynalezienie pieniędzy, aby ułatwić synowi swemu podróż, godną jego stanowiska i rodu. Nałożył więc, z okazji pasowania syna na rycerza, podatek na wszystkie ziemie orne, na kasztelanów okolicznych i mieszczan, w ten sposób zebrawszy sto dwadzieścia tysięcy koron złota. Gdy jednak ta suma okazała się niewystarczającą książę nakazał wszystkim rycerzom i damom, w lenności odeń zamki i ziemie trzymającym, aby się gotowali do wyjazdu, jako stanowić mający świtę syna jego w wyprawie krzyżowej, każdemu jednak pozostawiając wolność wykupienia się od tego obowiązku za stosowną opłatą, która wynosiła dwa tysiące dla jednych, tysiąc dla innych i wreszcie pięćset koron złota, stosownie do dochodów otrzymywanych z lenn.

Damy w wieku będące i podstarzali rycerze już niezdolni do tak ciężkich niewygód i jak mówi Froissart, „obawiający się trudów cielesnych", zapłacili wedle woli książęcej. Co do młodych, tym odpowiedziano, że nie o ich pieniądze, lecz o osoby idzie i że do drogi przygotować się mają swoim kosztem i towarzyszyć w tej wyprawie panu swemu, księciu Janowi. Z tego nowego podatku książę zebrał znowu około sześćdziesięciu tysięcy koron złota.

Wszystko to przygotowywano szybko – tak że około 15 maja wszyscy wybrani do wyprawy byli już gotowi i hrabia Jan dał hasło do wyjazdu, sam pierwszy ruszając w drogę na czele orszaku tysiąca ludzi. Wszyscy byli szlachetnego urodzenia, wszyscy odznaczali się męstwem i honorem nieskazitelnym.

W zamku Świętego Pawła starano się gorliwie i dokładnie wypełniać zlecenia doktora Wilhelma, szczególnie pod względem rozrywek i przyjemności, jakich dostarczać królowi było trzeba. Codziennie odbywały się konne przejażdżki lub też uroczystości w zamku lub w Luwrze, a w wieczór tańce w zamku Świętego Pawła. Każdy, chcąc przypodobać się królowi i rodzinie królewskiej, trudził głowę aby wymyślić coś nowego. Najszaleńcze myśli i projekty, jak to często bywa, najlepiej były przyjmowane. Odetta mało udziału brała w tych wszystkich uroczystościach, raz z powodu, że sam charakter jej oddalał ją od głośnych zabaw, po wtóre dlatego, że ważniejsze i świętsze zajmowały ją myśli. Odetta miała zostać matką...

Król kochał ją bardzo, miłością głęboką dusz podniosłych, zrodzoną z wdzięczności. Nigdy nie minął dzień, żeby Karol nie znalazł chociaż godziny jednej dla swej uzdrowicielki; chwile przy niej spędzone odbijały jasnym światłem na ciemnym tle nudy i znużenia dworskiego życia.

Stało się tedy, że w epoce owej pewien młody rycerz z prowincji Vermandois, który należał do otoczenia królewskiego, żenił się z panienką szlachetnego rodu, pochodzącą z Niemiec, a należącą do dworu królowej. Dostojni opiekunowie państwa młodych postanowili wyprawić im uroczyste wesele na zamku Świętego Pawła. Postanowiono urządzić bal maskowy. Król starał się skłonić Odettę, aby w tej zabawie udział wzięła, ona jednak odmówiła stanowczo, tłumacząc się niebezpieczeństwem swego stanu i słabością zdrowia.

Gdy nadszedł dzień wesela, każdy przygotowania poczynił w cichości i tajemnicy, aby tym większe swoim strojem zrobić wrażenie. Bal rozpoczął się kadrylem zwykłych masek, ale około godziny jedenastej rozległy się krzyki: „Rozstąpcie się! miejsca! miejsca!..." i ukazały się dwa walety: pikowy i kierowy z halabardami w rękach – ubrane, jak na obrazkach Jacquemina, i stanęły przy drzwiach. Za nimi przez te drzwi wszedł cały pochód przedstawiający żywą talię kart do grania. Król *Dawid* wszedł pierwszy, za nim *Aleksander,* później *Cezar*, wreszcie *Karol Wielki*. Każdy z nich prowadził pod rękę damę tegoż samego koloru, a treny sukien królewskich nieśli niewolnicy. Pierwszy z tych niewolników wyobrażać miał grę w kręgle, drugi bilard, trzeci szachy, a czwarty kości. Poza nimi, jako dworzanie, szły cztery asy przybrane za kapitanów gwardii, każdy dowodzący dziewięcioma kartami. Pochód zakończyli walet treflowy i karowy, którzy zamknęli za sobą drzwi, dając przez to do zrozumienia, że już nikt więcej nie wejdzie. Zaraz też orkiestra balowa dała hasło do tańców i natychmiast w pięknych zwrotach asy, króle, damy i walety, łącząc się z sobą, poczęły tworzyć tercje, kwarty i inne sekwensy i czternastki ku wielkiej uciesze towarzystwa. Na koniec, gdy wszystkie czarne karty zebrały się po jednej stronie, a wszystkie czerwone po drugiej, balet ten zakończony został kontredansem ogólnym, w którym wszystkie karty się pomieszały, bez różnicy godności, płci i koloru.

Jeszcze nie dosyć się naśmiano z tego pomysłu, który się wszystkim niezmiernie wydał dowcipnym, gdy wtem z sąsiedniej sali dał się słyszeć głos donośny, wygłaszający prośbę o wpuszczenie kogoś do sali balowej. Ponieważ zaś wiedziano dobrze, że nie może to być nic innego, jeno jaka nowa maskarada, pośpieszono więc uczynić zadość tej prośbie.

W istocie ten, który żądał wpuszczenia do sali, był to naczelnik Indian, prowadzący na sznurze pięciu swoich poddanych, związanych razem. Byli oni przyodziani w worki płócienne, na których były naklejone pasma lnu ufarbowanego na kolor włosów, co im nadawało pozór kosmatych satyrów. Damy poczęły krzyczeć i cofać się na ten widok; opróżnił się środek sali, a nowo przybyli zajęli tam miejsca wolne, wykonując tańce najprzeróżniejsze i najdziwaczniejsze. Niedługo jednak przestrach ustąpił i wszystkie panie poczęły się zbliżać, z wyjątkiem jedynie księżnej de Berri, która ze strachu nie śmiała wyjrzeć nawet z kącika, w którym się skryła; co widząc, naczelnik dzikich zbliżył się do niej w przekonaniu, że ją jeszcze bardziej przestraszy. W tejże chwili rozległ się wielki krzyk w sali. Książę Orleanu przez nieostrożność zbliżył zanadto jedną z pochodni do tańczących Indian, chcąc ich lepiej obejrzeć. W jednej chwili wszyscy Indianie, związani ze sobą, stanęli w płomieniach. Jeden z nich zdołał się wydrzeć

i wybiegł z pokojów, drugi tymczasem, zapominając o strasznym bólu, jakiego doznawał, wykrzyknął na cały głos:

– Ratujcie króla! Na miłość Boską! Ratujcie króla!...

Wtedy księżna de Berri, domyślając się, że dowódcą owych Indian jest sam Karol, zarzuciła mu ramiona na szyję i tak go zatrzymała, albowiem chciał biec na ratunek swoim towarzyszom, sam się na straszne narażając niebezpieczeństwo.

Z płomieni i jęków ciągle wydzierał się krzyk:

– Ratujcie króla! ratujcie króla!...

Straszny był widok tych czterech ludzi, w jednym słupie płomienia, do którego nikt zbliżyć się nie śmiał. Żywiczne gałązki zdobiące ich kostiumy podsycały ogień i topiąc się, spływały jakby pot śmiertelny, a kawałki palącego się odzienia odpadały z kawałkami skóry ludzkiej. Froissart mówi, że w wielkiej sali zamku straszno było i litość brała, widząc i słysząc, co się tam działo. Z czterech, którzy się palili, dwóch już zwęglonych i martwych leżało na podłodze. Byli to: młody hrabia de Joigny i pan de Poitiers. Dwóch innych wyniesiono na pół spalonych; byli to pan Henryk de Buisac i nieprawy syn de Foix, który słabnącym głosem powtarzał ciągle:

– Ratujcie króla! ratujcie króla!...

Piąty, który zdołał się wydrzeć i uciec, był to pan de Nantouillet. Wybiegł on z pałacu cały w płomieniach, lecz przypomniał sobie, że widział był w pobliżu zamku piwnicę, w której stały wielkie kadzie z wodą do płukania butelek i dzbanów. Pobiegł w tym kierunku i wskoczył w jedną z tych kadzi. Ta przytomność umysłu ocaliła go.

Król zaś dał się poznać księżnej de Berri, ciotce swojej, która pokazując mu Izabellę zemdloną, wymogła na nim, aby pobiegł jak najprędzej do swoich apartamentów i natychmiast się przebrał. Przerażenie, jakiego wszyscy zebrani doznali, przeminęło szybko, gdy w parę minut później wszedł król już bez maski na salę, w ubraniu jakie zwykle nosił.

Książę Orleanu prawdziwie był w rozpaczy jako sprawca tak wielkiego nieszczęścia. Wstał i mówił wszystkim, kto tylko mógł i chciał słuchać, że wszystko na niego samego spaść powinno, i odpowiedzialność, i żal, i kara, i że teraz, gdy widzi, jak wielkie przez jego lekkomyślność i nieuwagę stało się nieszczęście, dałby życie swoje, żeby mógł cofnąć śmierć tych nieszczęśliwych.

Wieść o tym wypadku szybko rozeszła się po całym mieście. Nie wiedziano tylko, że król jest uratowany; nazajutrz rano, na wszystkich ulicach wielkie było zbiegowisko ludu, szemrzącego głośno przeciw młodym szaleńcom, którzy króla do takich namawiali wybryków. Wołano już o pomstę nad tymi, którzy się do jego śmierci przyczynili i głuche zaczęto puszczać pogłoski i podejrzenia przeciw księciu Orleanu, na którego w razie śmierci króla przejść miała korona Francji. Książęta de Berri i Burgundii, pierwszy dążąc z zamku de Nesle, drugi z pałacu d'Artois do pałacu Świętego Pawła, spotkali się u wrót. Przedarli się przez tłumy, z rykiem lwa snujące się po ulicach. Znali oni tego lwa i obawiali się jego gniewu. Dlatego też obaj udali się do króla i radzili mu, aby konno przejechał po ulicach Paryża, a gdy Karol zgodził się na to, książę Burgundii, wyszedł na balkon i donośnym głosem zawołał:

– Król żyje, poczciwi ludzie!... Uspokójcie się!...Ujrzyjcie go niebawem!...

W chwilę później król wyjechał, a uspokoiwszy lud ukazaniem się na wszystkich ulicach Paryża, zajechał do katedralnego kościoła Notre Dame, gdzie wysłuchał mszy świętej i w podzięce bogate Bogu złożył dary. Po dopełnieniu tego obowiązku wracał ku pałacowi ulicą des Jardins, gdy wtem posłyszał krzyk straszny, z głębi serca wydobyty, na który i jego serce zadrżało. Krzyk ten wydała młoda kobieta, stojąca w otwartym oknie pobliskiego domu. Zaledwie król ją dostrzegł, zeskoczył z konia, podążył ku owemu domowi; szybko wbiegł na schody i wpadł do pokoju, wołając z przerażeniem:

– Co ci się stało, dziecię drogie, że drżysz cała i bledniesz?...

– Ach, panie miłościwy – odrzekła Odetta – sądziłam, iż stałeś się pastwą płomieni i oto życie ze mnie ucieka!...

XII

Odetta, wymawiając te słowa, zemdlała, a Karol wziął ją na ręce i złożył na łóżku, z którego przed chwilą wstała. Joanna prysnęła jej na twarz kroplami wody. Odetta otworzyła oczy.

– Ach! – zawołała, zarzucając ręce na szyję kochanka. – Mój Karolu, mój panie, więc ty żyjesz?...

Całe życie tej anielskiej istoty skupiło się w jej oczach.

– Moje ukochane dziecię – rzekł król – żyję jeszcze i żyję po to, abym cię kochał.

– Abyś mnie kochał?...

– O tak!

– Jak to miło być kochaną, lżej umierać – wyrzekła smutno Odetta.

– Umierać – powtórzył król z przerażeniem. – Umierać? Oto już dwa razy powtórzyłaś to smutne i groźne słowo. Więc ty cierpisz, więc ty chora jesteś?

– Pytasz się, panie mój? – odrzekła Odetta. – Nie wiesz że wśród nocy rozległ się krzyk okropny, który słyszano na obu końcach Paryża: „Król nie żyje!" ...Czy pojmujesz, panie, że gdy usłyszałam te słowa, wbiły się one jak sztylet w moje serce; uczułam wtedy, że coś niezbędnego do życia zerwało się we mnie, byłam pewna, że nie przeżyję ciebie i dziękowałam za to Bogu; a oto teraz ty, panie, żyjesz, a ja tylko umieram; i za to jeszcze składam dzięki Stwórcy, jego dobroć jest wielką, jego miłosierdzie jest nieskończone.

– Co mówisz, Odetto? ... Szalona jesteś! Ty miałabyś umrzeć! I dlaczegóż to?...

– Już ci powiedziałam dlaczego; jak, nie wiem jeszcze. Wiem tylko, że dowiedziawszy się, iż ty, panie żyjesz, prosiłam Boga o jedną rzecz tylko – o to, abym mogła ciebie zobaczyć. Ujrzałam ciebie, jestem szczęśliwa i mogę już umierać. O Boże, Boże! Przebacz mi, że myślę tylko o nim! Karolu, jakże ja cierpię! O! weź nie w swoje objęcia, niech umrę na twoich rękach!...

Odetta omdlała po raz drugi. Król sądził, że już umarła; przyciskał ją do serca, krzycząc i szlochając. Naraz wstrząsnął się cały, gdyż uczuł dziwne poruszenie; było to dziecię, które poruszyło się w łonie matki.

– O! – zawołał Karol, przychodząc do przytomności. – Biegnij Joanno, biegnij po mego doktora, przyprowadź go tutaj. Powiedz mu, jeśli potrzeba, że to ja umieram, ale niech przybywa w tej chwili, natychmiast; ona żyje i może da się ją jeszcze uratować!...

Joanna wybiegła z pokoju, spieszyła na ile jej wiek na to pozwalał. W dziesięć minut wróciła z doktorem.

Odetta wróciła tymczasem do przytomności, lecz tak była osłabiona, że nie mogła przemówić. Karol, z oczyma w nią utkwionymi, chciwie się w nią wpatrywał. Czoło jego potem było oblane. Od czasu do czasu z piersi Odetty wydzierał się cichy jęk boleści.

– Chodźcie, mistrzu, chodźcie prędzej! – wykrzyknął Karol, spostrzegając wchodzącego doktora. – Chodźcie i ratujcie ją dla mnie, a uratujecie więcej aniżeli koronę moją; więcej aniżeli królestwo; więcej niźli nawet życie moje! Ratując ją, uratujecie tę, która wróciła mi rozum, gdym był szalonym; tę, która przy mnie przez poświęcenie i cierpliwość anielską czuwała przez długie dni i noce bez końca. A gdy ją uratujesz, mistrzu, wtedy żądaj ode mnie, co zechcesz, a otrzymasz, jeżeli to będzie w mocy najpotężniejszego króla chrześcijaństwa.

Odetta patrzyła na króla z wyrazem niewypowiedzianej wdzięczności. Doktor zbliżył się do niej, wziął ją za puls i zmarszczył czoło.

Stan chorej był niebezpieczny. Skutkiem wzruszenia i przestrachu mogła zajść katastrofa przyśpieszająca urodzenie dziecka Odetty.

Król odprowadził na bok lekarza i tam, bacznie śledząc go wzrokiem, odezwał się:

– Żadna siła mnie stąd nie poruszy. Jeżeli żywej oddać mi jej nie macie, nie zasłaniajcie jej przed wzrokiem serca mego ani na chwilę, ani na minutę...

Lekarz podszedł znowu do łoża Odetty, zbadał jej puls po raz drugi, popatrzył na nią uważnie, potem wracając do króla, rzekł:

– Wasza królewska mość może odejść, dziecię to żyć może... do jutra.

Król ścisnął konwulsyjnie ręce lekarza, a dwie ciężkie łzy potoczyły mu się po policzkach.

– Czy podobna, żeby nie było dla niej ratunku? – szepnął głosem ponurym. – Czy być może, żeby ona umrzeć miała?!... Więc nieodwołalnie już mam ją utracić? Jeżeli tak, to nie opuszczę jej już póki żyje, ani na chwilę! Nie, nic na świecie stąd mnie odciągnąć nie zdoła.

– A jednak skłonię do odejścia waszą królewską mość. Wzruszenie, wywołane obecnością króla, może uczynić boleśniejszym i trudniejszym całe przesilenie, a od tego wszystko zależy. Jeżeli jest mała nadzieja, to cała w tym jedynie spoczywa.

– Jeżeli tak, odejdę natychmiast!... Już idę! Zostawiam ją twoim staraniom! – zawołał król.

Potem, zbliżywszy się do Odetty, uścisnął ją serdecznie.

– Odetto – rzekł – bądź cierpliwą i odważną. Chciałbym nie opuszczać cię w tej strasznej chwili, lecz lekarz utrzymuje, że to jest konieczne. Zachowaj się dla mnie! Powrócę wkrótce.

– Żegnam cię, panie – smutno rzekła Odetta.

– Ja cię nie żegnam, lecz mówię: do widzenia!

– Oby Bóg dozwolił – szepnęła, zamykając oczy i opuszczając głowę na poduszki.

Król zrozpaczony powrócił do pałacu; zamknął się w swojej komnacie i przebył tam dwie godziny, na próżno starając się myśleć o czym innym. Sam doznawał w tej chwili dotkliwego bólu głowy, ściskał dłońmi rozpalone czoło, jakby dla zatrzymania uciekającego rozumu, który tak niedawno powrócił. Wreszcie opuścił swoją komnatę, wyszedł śpiesznie z pałacu i skierował się w stronę ulicy des Jardins, lecz gdy z dala zobaczył dom, do którego dążył, zatrzymał się nagle drżąc na całym ciele. Po chwili ruszył dalej, ale tak wolno, jakby już szedł za pogrzebem. Na progu zawahał się, gotów wrócić i czekać wieści, które mu doktor przysłać przyrzekł. Wreszcie doszedł do drzwi, do których przyłożywszy ucho, usłyszał jakieś krzyki.

Po upływie kilku minut krzyki ucichły, a matka Joanna uchyliła drzwi, poza którymi klęczał król.

– Co słychać? – zapytał wtedy z niepokojem. – Odetta, jak się miewa Odetta?

– Już wszystko minęło. Odetta czeka was, miłościwy królu.

Król wbiegł do komnaty, śmiejąc się i płacząc zarazem, lecz zatrzymał się na widok Odetty, która spoczywała, trzymając w objęciach nowo przybyłą na świat dzieweczkę[5]. Biedna Odetta była tak blada, że przypominała posąg wykuty z marmuru. A jednak, mimo wycieńczenia i bladości, na ustach młodej matki igrał uśmiech pełen słodyczy i nadziei, jeden z tych uśmiechów, jakie tylko matka mieć może dla swego dziecka; uśmiech, na który składały się miłość, modlitwa i wiara. Widząc wahanie Karola, zebrała resztki swoich się, a podnosząc dziecinę rzekła:

– Oto, miłościwy panie mój – wszystko, co się wam po mnie zostanie.

– O! matka i dziecię żyć będą – zawołał Karol, obejmując je obie i przyciskając do piersi. – Bóg pozwoli przecież, aby na jednej łodydze kwitła róża i jej pączek zarazem...

– Najjaśniejszy panie – zauważył lekarz – dobrze by było, aby chora mogła trochę wypocząć...

– O! zostawcie mi go – zawołała Odetta. – Spoczynek mi będzie słodszy i pożyteczniejszy, gdy go będę czuła w pobliżu. Nie zapominajcie, że przeżyłam tak długo dlatego jedynie, że natura uczyniła nade mną cud na korzyść dziecięcia, którym go obdarzyć miałam.

Powiedziawszy z wysiłkiem te słowa, Odetta opuściła głowę na piersi Karola. Joanna odebrała od niej dziewczynkę. Lekarz wyszedł. Odetta i król pozostali sami.

– A teraz, dziecię moje – rzekł król – ja będę czuwał u twego łoża, jak ty niegdyś przy moim czuwałaś. Bóg na twoje prośby uczynił nade mną cud; ja nie jestem tyle, co ty, godzien łaski Jego najświętszej, ale może litość nade mną mieć będzie i pobłażanie. Śpij, ja modlić się będę...

Odetta uśmiechnęła się smutno, uścisnęła lekko rękę króla i zamknęła oczy. W kilka minut później tchnienie jej ust i równe wznoszenie się piersi okazywała, że usnęła.

Karol, nieruchomy i wstrzymujący oddech, wpatrywał się w tę twarz bladą, jakby już należała do zagrobowego świata. Tylko usta karminowe i przyśpieszone bicie pulsu zdradzało, że gorączką skażone życie jeszcze się w niej kołatało. Od czasu do czasu nerwowe drżenie przebiegało całe to słabe ciało, a krople zimnego potu ukazywały się na czole.

[5] Dzieweczka ta, później znana pod imieniem Małgorzaty de Valois, została żoną pana de Harpedane i dostała na wiano ziemię Belleville w prowincji Poitou.

Drżenia te były się coraz częstsze, głuche westchnienia wydobywały się z jej piersi, słabe i pełne przerażenia okrzyki dowodziły, że walczyła z jakąś marą senną. Karol, widząc, że sen jej stał się ciężki i że cierpi w nim, obudził ją.

Odetta otworzyła oczy, wzrok jej, już niepewny i jakby przyćmiony, przebiegł po wszystkich przedmiotach i zatrzymał się na królu. Poznała go i wydała okrzyk radości.

– Ach! więc jesteś?!... Więc to był sen tylko i jeszcze cię nie opuściłam!...

Karol przycisnął ją do serca.

– Wyobraź sobie, ukochany mój Karolu – mówiła – że ukazał mi się we śnie anioł u stóp łoża mego. Miał u czoła aureolę, u ramion skrzydła białe, a w ręku palmę. Popatrzył na mnie łagodnie i rzekł: – „Przychodzę po ciebie, wzywa cię Pan!" Pokazałam mu tedy, iż trzymasz mnie u serca swego i że cię opuścić nie mogę. On dotknął mnie palmą swoją i poczułam, że i ja mam skrzydła. Potem nie wiem, jak się to stało, ale ja czuwałam, a tyś spał. Wtedy anioł uniósł się ku niebu, a ja podążyłam za nim, widząc cię w moich objęciach... I tak razem dążyliśmy ku niebu. Z początku byłam bardzo szczęśliwa, czułam się silna i lekka, i oddychałam swobodnie, ale wkrótce poczułam, że dźwigając ciebie, za wielki biorę ciężar. Mimo to, ciągle wznosiłam się ku górze, lecz oddech mój stawał się coraz trudniejszy... Chciałam obudzić cię i nie mogłam, spałeś snem ciężkim, niezbudzonym. Próbowałam krzyczeć, myśląc, że usłyszysz mnie, ale głos zamierał mi w gardle, ramiona drętwiały i czułam, że mi się z rąk wymykasz. Jeszcze dwa ruchy skrzydeł, a już byłabym przy aniele, przewodniku moim, dotykałam go prawie! Wyciągnęłam rękę, aby pochwycić skraj jego szaty; był to ostatni wysiłek. Dłoń moja spotkała jeno obłok z wodnistej pary. Ramię, na którym cię nosiłam, opadło omdlałe i widziałam ciebie, Karolu, królu mój i panie, lecącego w przepaść bezdenną. Wtedy wykrzyknęłam z przerażenia i w tejże chwili budziłeś mnie... Dzięki ci, dzięki za to!...

Przycisnęła usta do twarzy Karola i zmęczona snem tym strasznym, ulegając znużeniu, zamknęła znowu oczy.

Król patrzył na nią, gdy zasypiała. Przez kilka chwil czuwał jeszcze nad nią z obawy, aby jej inna jaka nie dręczyła mara senna. Potem zdało mu się, że pod jego czaszką dziwne się dzieją rzeczy; przedmioty, które go otaczały, zaczęły tańczyć i krążyć dokoła; krzesło, na którym siedział zaczęło chwiać się. Chciał podnieść się, otworzyć okno, odpędzić od siebie owładający nim obłęd, ale trzeba by obudzić Odettę – Odettę, która tak spokojnie spała na jego ramieniu, której usta zbladłe lekkie wydawały tchnienie i której dwie godziny spokojnego snu siły wrócić mogły. Król nie miał na to odwagi. Położył głowę na poduszce obok głowy Odetty i zamknął oczy. Po chwili usnął...

Po godzinie obudziło go uczucie lodowatego zimna. Głowa Odetty opadła na jego policzek i w tym właśnie miejscu uczuł to straszne zimno. Poczuł, że ciężar jej ciała przygniata go.

Gdy chciał ją unieść i złożyć na poduszkach, spostrzegł, iż była bledsza niż przedtem. Zbliżył usta do jej ust i nie poczuł jej tchnienia. rzucił się na nią i począł odkrywać ją pocałunkami – a z piersi jego wydarł się jęk wielki.

Na krzyk ten do komnaty wpadła Joanna i doktor. Oboje pobiegli ku łożu, ale Odetty już tam nie było. Rozejrzeli się dokoła i spostrzegli Karola siedzącego w jednym z kątów i trzymającego w objęciach ciało nieszczęsnej dziewczyny, owinięte w prześcieradła. Wzrok króla był nieruchomy i pełen grozy.

Odetta umarła... Karol znów oszalał!

XIII

W tym samym czasie krzyżowcy, przeprawiwszy się przez Dunaj, weszli do Turcji. Dokazywali cudów waleczności, miasta i zamki poddawały się na ich łaskę i niełaskę, i nikt ich potędze oprzeć się nie zdołał; przybywszy pod Nikopolis, oblegli miasto, a przypuszczając szturm za szturmem, coraz bardziej ściskali je pierścieniem swoich wojsk.

Bajazet, o którym długo nic nie słyszano, po łatwych bojach strawił lato na zbieraniu swej armii. Składała się ona z żołnierzy zebranych z różnych krajów Azji. Bajazet obiecywał im takie korzyści i

takie nagrody, że nawet ludzie z głębi Persji pod jego sztandary przybywali. Jak tylko ujrzał się wodzem i panem tak wielkie potęgi, natychmiast ruszył w drogę, przebył potajemnie Cieśninę Dardanelską, odpoczął w Adrianopolu i przybył na odległość kilku mil zaledwie od miasta, które rycerstwo chrześcijanie obległo. Wtedy polecił Urnus–Begowi, jednemu ze swoich najwierniejszych i najwaleczniejszych, ażeby rozpoznał miejscowości, dostał języka i skomunikował się z Dogan–Begiem, rządcą Nikopolisu. Poseł powrócił wkrótce z wieścią, iż niezliczona armia chrześcijan zamknęła wszystkie przejścia i nie dopuściła go do oblężonego miasta. Bajazet uśmiechnął się pogardliwie, a gdy noc nadeszła, kazał sobie przyprowadzić swego rączego konia, skoczył mu na grzbiet, a przebiegłszy cały obóz uśpionych chrześcijan lotem błyskawicy, jakby duch wiatru wbiegł na pagórek wznoszący się nad miastem, a zatrzymawszy się, wielkim głosem wykrzyknął:

– Dogan–Beg!...

Szczęście dowódcy załogi Nikopolisu zaprowadziło go w tej właśnie chwili na wały twierdzy. Rozpoznał głos, który go wołał i odpowiedział mu. Wtedy wódz hord azjatyckich zapytał go po turecku o stan miasta, o to, czy i ile znajduje się w twierdzy zapasów żywności i amunicji. Dogan odpowiedział:

– Z łaski Boga i Jego proroka Mahometa, bramy i mury miasta silne są i dobrze bronione. Żołnierze twoi, panie, jak to sam widzieć możesz świętymi oczyma twymi, czuwają dniem i nocą, i mają dosyć żywności i amunicji.

Wtedy Bajazet, dowiedziawszy się tego, co chciał wiedzieć, zstąpił ze wzgórza.

Tak zeszedł czas do 28 września, do wilii świętego Michała Archanioła. Było około godziny dziesiątej rano. Wszyscy panowie i całe rycerstwo francuskie zebrane było pod namiotem hrabiego de Nevers, który wydawał wielki obiad. Właśnie pito wina Węgier i archipelagu, a cała ta młodzież gadatliwa i wesoła tworzyła na rachunek przyszłości najpiękniejsze projekty. Pan Jakub de Helly sam jeden był smutny i ponury; szydzono nawet trochę z jego osowiałości. Przez czas jakiś pozwalał on śmiać się i drwić, wreszcie zniecierpliwiony podniósł czoło, słońcem wschodu opalone, i rzekł:

– Mości panowie, śmiejcie się i szydźcie, to nic nie szkodzi nikomu. Spaliście, gdym ja czuwał i nic nie widzieliście i nie słyszeliście z tego, com ja widział i słyszał. Nocy minionej, podczas gdy oprowadzałem straże w obozie, widziałem cud niebieski i słyszałem głos ludzki, który mnie strwożył, bo przeczuwam, że niebo i ziemia nic nam dobrego nie wróżą.

Rycerze poczęli się śmiać, drwiąc z Amurata–Baraquina i z jego nieobecności. Niektórzy nawet zapewniali, iż taki pies niewierny jak on, nie ośmieli się zaczepić i atakować rycerzy chrześcijańskich.

– Król Basaac – tym imieniem bowiem zwą Bajazeta kroniki – jest niewierny, to prawda – odparł pan de Helly – ale jest to książę surowy, waleczny i w swej fałszywej wierze poważny i stateczny. Wypełnia z taką skrupulatnością przepisy religii fałszywego swego proroka, że daj Boże, abyśmy kiedykolwiek tak wykonywali przykazania prawdziwego Boga naszego. Co zaś do jego odwagi, to kto go zobaczy choć raz w dniu bitwy tak, jak ja go widziałem, ten jej nigdy w wątpliwość nie poda, póki żyw będzie. Wołacie wielkim głosem, aby przybył; nie obawiajcie się, przybędzie, jeżeli go dotąd jeszcze nie ma w pobliżu.

W tejże samej chwili firanki namiotu rozchyliły się i stanął w nich żołnierz, cały okryty potem i kurzem. Żołnierz ów od progu wykrzyknął:

– Do broni! miłościwi panowie, do broni!... grozi wam niebezpieczeństwo wielkie, gdyż oto dziesięć tysięcy Turków nadjeżdża na rączych rumakach!...

Wypowiedziawszy to żołnierz wybiegł, niosąc dalej tę wiadomość innym wodzom armii.

Rycerze wszyscy porwali się na tę wieść, spoglądając na siebie ze zdumieniem, gdy hrabia de Nevers, wybiegając przed namiot, począł wołać potężnym swym głosem, tak aby każdy usłyszał:

– Do broni! do broni, mości panowie! do broni! Nieprzyjaciel się zbliża!...

Niezadługo okrzyk ten rozległ się po całym obozie.

Paziowie pośpieszyli siodłać konie, rycerze wezwali swoich koniuszych i, rozgrzani jeszcze winem i biesiadą, rozbiegali się szukać swoich zbroi. Gdy zaś młodzi jeźdźcy mieli trudności przy wkładaniu nóg w strzemiona z powodu spiczastych swych ciżem, hrabia de Nevers pierwszy dał dobrzy przykład, obcinając zakrzywione końce swych trzewików ostrzem miecza. W jednej chwili ludzie ci z aksamitnych zmienili się w żelaznych. Każdy wskoczył na konia uzbrojony i stanął pod swą chorągwią. Rozwinięto i rozpuszczono na wiatr chorągiew wielką Matki Boskiej, którą odebrał z rąk hrabiego de Nevers admirał Francji, pan Jan de Vienne.

W tej właśnie chwili pewien rycerz wpadł przed nich, osadzając konia. Na jego chorągwi widać było herb; w srebrnym polu krzyż czarny w kotwicę rozdzielony. Rycerz ów zatrzymał się i począł głosem wielkim wołać:

– Ja, Henryk d'Eslen Lemhalle, marszałek króla Węgier, przysłany jestem przez mego króla i pana, który was uprzedza, abyście nie wydawali bitwy, zanim nie dostaniecie dalszych wieści, gdyż obawia się on, czy armia nieprzyjaciela nie jest o wiele liczniejsza, aniżeli się naszym strażom zdawało. Król wysłał jeźdźców na zwiady po raz drugi. Mości panowie, czyńcie, jak mówię, gdyż król wam tę radę daje. A teraz opuszczam was i wracam, nie mogąc tu pozostawać dłużej.

Po tych słowach oddalił się równie szybko, jak szybko przybył. Wtedy książę de Nevers spytał pana de Coucy, co czynić należy.

– Należy iść za radą króla węgierskiego – odpowiedział zapytany – gdyż rada rta dobra mi się wydaje.

Na to hrabia d'Eu podbiegł ku hrabiemu de Nevers, rozgniewany, że wprzód zapytano o zdanie pana de Coucy.

– Miłościwy panie – zawołał – król Węgier chce sobie przywłaszczyć chwałę zwycięstwa. Myśmy mieli przednie straże, on nam je odebrać przychodzi. Niech mu tam będzie posłuszny, kto chce, byle nie ja!

A wyrywając z pochwy, liliami ozdobionej, swój miecz marszałkowski, wykrzyknął do swego chorążego:

– Naprzód z chorągwią! W imię Boże i świętego Jerzego! Naprzód! Niech to dziś będzie okrzyk każdego prawego rycerza!...

Gdy pan de Coucy zobaczył, jak się rzeczy mają, odwrócił się do pana Jana de Vienne, trzymającego chorągiew główną Matki Boskiej i zapytał:

– A teraz cóż nam robić wypada? Widzisz bowiem waszmość, co się dzieje!

– Co nam robić wypada? – odpowiedział pan de la Trémouille, przedrzeźniając to pytanie. – Co robić?! Oto niech wiekiem obarczeni rycerze cofną się i pozwolą młodym iść naprzód!...

– Panie de la Trémouille – odparł pan de Coucy – zobaczymy w bitwie– kto pójdzie naprzód, a kto pozostanie w tyle. Staraj się tylko waszmość, aby głowa waszego konia była zawsze blisko ogona mego rumaka. Ale nie do was mówiłem. Pytałem pana de Vienne i pytam go powtórnie, co według niego czynić nam wypada?

– Mój kochany – odpowiedział pan de Vienne – gdzie rozumu nie słuchają, tam zapanować musi zuchwalstwo! Tak, bez wątpienia, powinniśmy oczekiwać króla Węgier lub co najmniej trzystu naszych, których wysłałem dziś rano po żywność dla ludzi i koni. Ale ponieważ hrabia d'Eu chce koniecznie iść naprzód przeciw nieprzyjacielowi, musimy iść za nim i walczyć, jak będziemy mogli najlepiej. A zresztą, spojrzyjcie oto, chociażbyśmy się cofnąć chcieli teraz, już byłoby za późno!...

W istocie, z prawej i lewej strony rycerzy wznosiły się tumany kurzu, pośród których od czasu do czasu błyskała stalowa zbroja. Były to dwa skrzydła armii Bajazeta, które obszedłszy już wojska chrześcijańskie, dążyły w celu złączenia się i zajęcia tyłów tej armii. Wszyscy, którzy mieli pewne doświadczenia w sprawach wojennych, widzieli, że bitwa przegrana, ale mimo to ruszyli naprzód i całym pędem koni rzucili się na Turków. Siedmiuset rycerzy natarło na dwudziestopięciotysięczną armię!...

Tak w pełnym galopie i z kopiami naprzód pochylonymi wpadli oni na awangardę turecką, która rozstąpiła się, odkrywając szereg zaostrzonych i końcami naprzód ustawionych palisad, o które rozpędzone konie uderzyły piersiami. Podobne fortyfikacje powinny były być zdobywane przez piechotę, ale wojska tej broni były wszystkie pod rozkazami króla węgierskiego. Kilku rycerzy zeskoczyło z koni. Poczęli oni, mimo gradu strzał padających na nich, kopiami swymi rozbijać palisady. Niezadługo uczynili wyłom, którym przejść mogło w jednym rzędzie dwudziestu ludzi. Było to więcej, niż było potrzeba. Cała armia krzyżowców rzuciła się w ten wyłom, nie troszcząc się, czy będzie on dość wygodny do odwrotu. Dopadli piechoty tureckiej, przedarli się przez nią, potem zawracając w miejscu, przeszli raz jeszcze przez jej szeregi, tratując Turków kopytami swych koni.

Nagle usłyszeli na prawo i na lewo odgłosy trąb i cymbałów. Były to skrzydła armii Bajazeta, które się do siebie zbliżały, podczas gdy jazda turecka, złożona z ośmiu tysięcy ludzi straży przedniej, zaatakowała ich z przodu. Gdy chrześcijanie zobaczyli to wojsko błyszczące od złota, pomyśleli, że sam cesarz znajduje się w ich szeregach. Znowu tedy sformowali szyk bojowy i rzucili się na kawalerię z takąż gwałtownością, jak poprzednio na piechotę. Wojsko to nie stawiło silniejszego oporu i mimo przewagi

liczebnej, ulegając waleczności francuskich rycerzy, rozbiegło się na wszystkie strony jak wielkie stado owiec, pośród które wpadnie zgraja wilków.

Francuzi, goniąc za nimi, wpadli na czoło bojowego szyku Bajazeta i tutaj dopiero znaleźli opór prawdziwy, gdyż tam właśnie znajdował się cesarz. Jednakże, pod ochroną doskonałych swych zbroi, wdarli się w te gęste masy. jak żelazny klin w pień dębowy, ale jak klin, zostali też niezadługo ściśnięci i przygnieceni skrzydłami wojsk tureckich. Wtedy każdy widział dobrze i zrozumiał, jaki błąd popełniono, że nie czekano na króla Węgier i jego sześćdziesięciotysięczną armię, gdyż garstka rycerzy francuskich tworzyła zaledwie punkcik maleńki w masie niewiernych, która tylko zewrzeć się potrzebowała, aby ten punkcik zatopić.

Pomimo bohaterskich wysiłków bitwa przegrana została, a wszyscy niemal znaczniejsi rycerze francuscy wyginęli. Dostało się i Węgrom, których ucieczka nie uratowała, bo Turcy na lepszych koniach pędząc dognali ich i straszną rzeź sprawili.

Bitwa trwała trzy godziny. Trzeba było trzech godzin stu osiemdziesięciu tysiącom Azjatów do zmożenia siedmiuset rycerzy!... Gdy bitwa się skończyła, Bajazet przebiegł na koniu obóz chrześcijański i wybrał dla siebie namiot króla Węgier, w którym znajdowały się naczynia stołowe złote i srebrne, używane do uczty wyprawionej przez króla w wigilię bitwy. Inne namioty pozostawił swej starszyźnie i żołnierzom. Potem kazał sobie zdjąć zbroję i postanowił wypocząć, bo walczył jak lew. Zaczem zasiadł na dywanie, zwyczajem tureckim i przywołał swoich generałów i przyjaciół, chcąc porozmawiać o odniesionym zwycięstwie. Natychmiast stawili się na to wezwanie, a ponieważ Bajazet był z dnia tego zadowolony, śmiał się i żartował wiele z nimi, mówiąc iż niezadługo zdobędzie całe Węgry, a potem wszystkie królestwa i kraje chrześcijańskie, gdyż chciał naśladować swego poprzednika, Aleksandra Macedońskiego, który przez dwanaście lat trzymał świat cały pod swym panowaniem, czczony i wielbiony przez wszystkich. Na koniec spotkania wydał następujące rozkazy: kazał sobie dnia następnego przedstawić wszystkich niewolników; po wtóre, zebrać ciała poległych, zrewidować je i tych, którzy się wydawali znakomitszymi, odłożyć osobno, gdyż miał zamiar wyprawić ucztę przed tą hekatombą ludzką; po trzecie zaś, kazał wybadać, czy król Węgier uciekł, czy zabity został, lub też wzięty do niewoli.

Gdy Bajazet wypoczął, kazał sobie przyprowadzić konia; powiedziano mu bowiem, że walka była dla jego ludzi wielce mordercza, chciał się przeto osobiście przekonać, na ile wieści te były prawdziwe. Dowiedział się, że nie tylko nie przesadzono w raportach poniesione straty, ale nawet zatajono przed nim co najmniej połowę, gdyż na jednego trupa rycerza chrześcijańskiego spotykał trzydzieści i więcej trupów swych dzikich żołnierzy. Był więc tym mocno zagniewany i rzekł:

– W istocie ciężką walkę stoczyliśmy tutaj, a chrześcijanie bronili się jak lwy, ale bądźcie spokojni, żywi zapłacą za umarłych!... Jedźmy dalej.

A im dalej jechał, tym się bardziej dziwował czynom wojennym nieprzyjaciół. Przybył nareszcie do miejsca, gdzie padli panowie de la Trémouille, ojciec i syn, a dokoła nich nagromadzone były góry trupów niewiernych. Przebiegł drogę, którą przedzierał się Jan de Vienne i ujrzał ją całą na prawo i na lewo trupami usłaną. Dotarł do miejsca, gdzie rycerz ten poległ, i zobaczył go leżącego na chorągwi Matki Boskiej, którą tak silnie ściskał w swych zesztywniałych rękach, że trzeba było ją uciąć, aby ją z nich wydrzeć.

Dwie godziny stracił Bajazet na zwiedzaniu pola bitwy, po czym powrócił do swego namiotu, gdzie nie mogąc oka zmrużyć przez nic całą, przeklinał nikczemnych, nad którymi zwycięstwo kosztowało go więcej, niż którakolwiek porażka. Nazajutrz rano, gdy uchylił firanek namiotu, ujrzał zgromadzonych naczelników swojej armii, którzy oczekiwali poleceń co do jeńców, gdyż krążyła wieść, iż wszyscy mają ponieść śmierć przez ucięcie głowy i że nikt z nich przy życiu zachowany nie zostanie. Jednakże Bajazet zastanowił się nad okupem, jaki za tak szlachetnych rycerzy dostać może; kazał tedy zawołać dragomanów i tłumaczy, i zapytał ich: którzy pomiędzy pozostałymi przy życiu byli najbogatsi i najznakomitsi. Odpowiedzieli, że sześciu podało swoje nazwiska jako najznakomitsze w rycerskim stanie. Byli to: jego wysokość Jan Burgundzki, hrabia de Nevers, wódz i naczelnik wszystkich, po wtóre Filip d'Artois, hrabia d'Eu, dalej panowie Eeguerrard de Coucy, hrabia de la Marche, Henryk z Baru i wreszcie pan Guy de la Trémouille. Bajazet chciał ich zobaczyć, a gdy jeńców przed nim stawiono, kazał im przysiąc, że będą mówili całą prawdę i podadzą swe prawdziwe nazwiska. Przysięgli też na jego żądanie. Bajazet dał znak hrabiemu de Nevers, aby się zbliżył.

– Jeżeli jesteś tym – rzekł mu przez tłumacza – kim się być mienisz, to jest Janem Burgundzkim, to daruję ci życie, i nie dla imienia twego, ani dla okupu, ale dlatego, iż jeden ze znawców przyszłości powiedział mi, że ty sam przelejesz więcej krwi chrześcijańskiej, aniżeli wszyscy Turcy razem wzięci.

– Basaacu! – odparł hrabia de Nevers. – Żadnej łaski dla siebie nie proszę! Obowiązkiem jest moim podzielić los tych, których poprowadziłem przeciw tobie. Jeżeli oni okup złożyć mają, ja też okup złożę; jeżeli oni umierać mają, i ja z nimi życie położę!

– Stanie się, jak ja zechcę, nie tak, jak się tobie podoba – odpowiedział cesarz.

I kazał odprowadzić go do towarzyszy, a wszystkich do namiotu, który im służył za więzienie. Sprawdziwszy tożsamość osób, Bajazet pozostawił przy życiu kilku najznakomitszych rycerzy francuskich, resztę kazał żołnierzom swoim mieczami zarąbać. Około trzystu jeńców straciło w ten sposób życie. Cesarz przypatrywał się sam temu krwawemu widowisku, które trwało przeszło trzy godziny. Ułaskawieni zaś mieli się okupić; w tym celu dozwolono panu de Helly wyjechać do Francji z listami do króla i do rodzin jeńców. Poseł zaprzysiągł, że dobrowolnie powróci do niewoli i natychmiast puścił się w drogę.

XIV

W owym czasie wybuchła też w Anglii rewolucja, która miała wielki wpływ na losy Francji.

Hrabia Derby, którego na początku tego opowiadania widzieliśmy na turnieju, walczącego przeciw księciu Ludwikowi, podczas uroczystości wjazdu królowej Izabelli, był synem księcia Lancastra i miał w Anglii liczne i potężne stronnictwo. Gdy ojciec jego umarł, król Ryszard z obawy, aby olbrzymia sukcesja, jaka mu się dostać miała, nie posłużyła mu do zyskania sobie nowych stronników, postanowił nie wydawać mu jej, mimo niezaprzeczonych praw do niej. Hrabia Derby był wówczas we Francji nie posłem korony, ale wygnańcem na obcej ziemi. Jego kłótnia z hrabią Nottingham dała Ryszardowi pretekst do wygnania z kraju tego, którego uważał za swego rywala.

Niesprawiedliwość króla względem hrabiego Derby zupełnie inny sprawiła skutek, aniżeli ten, jakiego się Ryszard spodziewał. Cała szlachta i dygnitarze kościoła stanęli po stronie wygnańca. Lud, przyciśnięty podatkami, grabiony przez zbrojne hordy żołnierzy królewskich, którym nie płacono żołdu i które łupiły rolników w ich chatach i kupców w ich handlu, szemrał mocno przeciw uciskom, do których nie był przyzwyczajony i oczekiwał sposobności, aby połączyć się ze szlachtą przeciw królowi.

Hrabia Derby z oczyma zwróconymi ciągle na Anglię oczekiwał, aby sprawy te doszły wreszcie do punktu kulminacyjnego. Czekał niedługo, bo gdy Ryszard rozpoczął wyprawę przeciw Irlandii, odebrał hrabia wezwanie, by rozegrać partię, w której mógł stracić głowę lub zyskać koronę. Hrabia Derby nie wahał się ani chwili, a pożegnawszy księcia Bretanii, u którego przebywał, wyjechał z Hawru, a po dwu dniach i dwu nocach wylądował w Yorkshire, pomiędzy Hall i Brintington.

Podróż jego ku Londynowi była prawdziwym marszem tryumfalnym, tak bardzo dawny król był znienawidzony. Mieszkańcy miasta otwierali bramy i na kolanach oddawali klucze, trubadurowie i minstrele otaczali go, śpiewając na jego chwałę, a kobiety wysypywały kwiatami drogą, którą miał przejeżdżać.

Gdy wieść o tym doszła Ryszarda, powrócił szybko z armią swoją do stolicy, ale opuszczony przez żołnierzy, nie mogąc ich do walki zachęcić lub zmusić, musiał się oddać na łaskę i niełaskę zwycięzcy. Osadzono go w wielkiej wieży zamku londyńskiego, a potem wytoczono przeciw niemu proces. Izby złożyły go z tronu, a hrabia Derby ogłoszony został królem pod imieniem Henryka IV i otrzymał berło i koronę tego, którego z tronu strącił.

Wiadomość tę przywiozła do Francji pani de Coucy, która była mistrzynią dworu Izabelli, siostry króla Karola, wydanej za Ryszarda dla zakończenia sporów i wojny z Anglią. Biedne to dziecię, które z miłości znało tylko jej smutne strony, z królowania tylko jego nieszczęścia, wracało do Francji wdową po mężu żyjącym jeszcze, ale już na śmierć skazanym. Każdy czuł dobrze, że podobna obelga, uczyniona koronie francuskiej, nie mogła pozostać niepomszczoną, a jednak uznawano niemożebność rozpoczęcia wojny; królestwo było bowiem wycieńczone z ludzi i pozbawione pieniędzy. Książę Orleanu tak wielki czuł gniew o tę obrazę i tak wielką boleść z powodu bezsilności swojej ojczyzny, że posłał w swoim osobistym imieniu wyzwanie nowemu królowi Anglii. Pojechali z tą misją: Orleans, pierwszy herold, i Champagne, mistrz broni księcia, wyzywając króla do walki osobistej a śmiertelnej w miejscu, które on sam wskaże, z bronią, którą on sam wybierze.

Henryk IV wyzwania nie przyjął.

Tymczasem książę Orleanu sprawował rządy, jak mówi Juvénal, surowy historyk owej epoki, w sposób dowodzący, iż on sam rządcy i guwernera potrzebował. Dla zaspokojenia próżnych zachcianek i marnotrawstwa jego samego i królowej, podatki rosły z taką szybkością, że nakładano nowe wprzód, nim poprzednie zapłacone zostały. Nareszcie, gdy lud już zupełnie wyssany został, książę nałożył nowy podatek na duchowieństwo.

Prawdą jest, iż dla zamaskowania wyrządzonego gwałtu i bezprawia, podatek ten ściągany był pod pozorem pożyczki. Sprowadziło to wielkie między prałatami i książętami kościoła nieporozumienia. Jedni formalnie odmówili zapłacenia nałożonej taksy i musiano siłą zabierać czwartą część zbiorów zgromadzonych w spiżarniach i stodołach, podczas gdy inni, przeciwnie, nabożnie pochlebiając regentom Francji, rzucali klątwy na nieposłusznych braci. Regent, daleki od uznania skandaliczności takich faktów, odpowiedział na to rozdwojenie kościoła ogłoszeniem nowego edyktu, nakładającego nową taksę

ogólną, obowiązującą wszystkich: lud, szlachtę i duchowieństwo. W akcie wyrażone było, iż decyzja ta powzięta została wobec i za zgodą książąt de Bourbon, de Berri i Burgundii, co było fałszem. Dwaj pierwsi oświadczyli publicznie, że wcale o tej sprawie nie wiedzą i niczym się do niej nie przyczynili; ostatni zaś, książę Burgundii, który już ukończył starania i rokowania o wykup swego syna z tureckiego jasyru i który otrzymał już był wiadomość, że hrabia de Nevers wraca, postanowił sam przybyć do Paryża dla zadania kłamu swemu synowcowi.

Gdy książę Orleanu dowiedział się o zbliżaniu się księcia Burgundii do Paryża, zrozumiał natychmiast, że niepodobna mu będzie utrzymać się na stanowisku, jakie sobie przywłaszczył: pośpiesznie tedy ogłosił, że król na prośbę jego i Izabelli cofa ostatnio ogłoszony podatek, który pobierany więcej nie będzie. Nie wstrzymało to jednak księcia Filipa; przeciwnie, w tym ustąpieniu regenta widział on słabość i postanowił skorzystać z tego. Toteż za przybyciem do Paryża porozumiał się z książętami de Bourbon i de Berri, których nazwiska były razem z jego imieniem skompromitowane, a przedstawiwszy z wielkim uszanowaniem całą sprawę królowi, uzyskali decyzję, mocą której rada państwa zebrać się miała i zdecydować: któremu z książąt ma być powierzona władza; książęta zresztą ofiarowali się dla swobody dyskusji nie być obecnymi na owym posiedzeniu rady, jeżeli tylko synowiec ich ze swej strony zgodzi się również nie przybyć. Książę Orleanu przyjął tę propozycję, gdyż wiedział, że decyzja będzie dlań nieprzychylna. Przyznawano mu bowiem ogólnie wszelkie zalety dobrego i szlachetnego rycerza, ale równie ogólnie zaprzeczano mu wszelkich cnót męża stanu. Nie dziwił się też wcale, chociaż czuł żal w sercu, gdy się dowiedział, że stronnictwo księcia Burgundii przeważyło nad jego stronnictwem i że księciu Burgundii oddana została regencja królestwa Francji, którą on sam dotąd sprawował.

Dwaj rywale odnaleźli więc znowu jedną nienawiść więcej w sercu, chociaż już tyle tam było innych, że sami nie myśleli, aby nowa mogła się jeszcze w ich piersi pomieścić.

Książę Orleanu zdawał się pocieszać po tym niepowodzeniu, otaczając synową księcia Filipa, hrabinę de Nevers, swoimi staraniami i galanterią. W taki sposób mścił się książę Ludwik Orleański; wkrótce zobaczymy, jak się mścić potrafił hrabia de Nevers.

Niezadługo potem umarł w zamku de Halle, w sześćdziesiątym trzecim roku życia, Filip Śmiały; wskutek tej śmierci regencja przeszła znów na księcia Orleanu. Jednocześnie też hrabia de Nevers został księciem Burgundii. W jedenaście miesięcy później umarła księżna i książę Jan Burgundzki został zarazem hrabią Florencji i d'Artois, panem de Salins, palatynem de Malines, d'Aloit i de Talmund, to jest jednym z najpotężniejszych książąt chrześcijaństwa.

XV

Wypadki następujące miały odsłonić nieporozumienia, które aż do tej pory dzieliły te dwie rodziny. Aż dotąd szacunek dla wieku księcia Filipa, jako też jego własne doświadczenie i takt, nadawały rozterkom książęcym charakter polityczny, który teraz zatracić się miał zupełnie. Nienawiści osobiste, nienawiści ambicją wywołane, zranione miłością i miłością własną, nienawiści pałające i krwawe, wszystkie jak hydry podnieść miały swe głowy z masek odarte, jak obnażeni atleci wpół się pochwycić i walczyć zawzięcie. Każdy przeczuwał, że w powietrzu wrzało coś strasznego, a gdy burza wybuchnie, deszcz będzie padać krwawy. Żaden jednak z książąt nie dawał publicznie poznać swej nienawiści.

Tymczasem ludzie, którzy się ośmielili monitować księcia Orleanu, skorzystali z chwilowego powrotu rozumu u króla, aby mu przedstawić stan rzeczy. Przedstawiono mu, iż złoto państwowej i prywatnej szkatuły topi się i przelewa w rękach księcia i królowej, niby w wielkim piecu hutniczym; powiedziano o wszystkich skargach ludu i nędzy, która się aż do królewskiego pałacu wciskać zaczęła.

Począł tedy król zbierać wiadomości i dowiedział się rzeczy strasznych. Zawołał do siebie ochmistrzynię dzieci swoich, a ona mu wyznała, iż młodzi książęta pozbawieni byli najpotrzebniejszych przedmiotów i że często nie wiedziała, czym dzieci królewskie nakarmić i przyodziać. Przywołać kazał do siebie syna swego, księcia Akwitanii, a dziecię przybiegło na wpół nagie i wygłodzone. Wtedy nie-

szczęśliwy król westchnął boleśnie i począł szukać pieniędzy, aby je dać ochmistrzyni, lecz nie znalazłszy nic w kieszeniach i szufladach, oddał jej do sprzedania kielich złoty, z którego zwykł był pijać.

Z przebłyskiem rozumu wróciła na chwilę energia biednemu szaleńcowi. Zebrał radę państwa w celu obmyślenia najlepszych środków zaradzenia chorobie kraju; potem, nie mówiąc nic nikomu, kazał napisać do księcia Burgundii, zapraszając go na owe narady.

Nazajutrz też książę wyruszył z Arras z ośmiuset ludźmi i szedł na Paryż. Przybywszy do Lugdun, odebrał listy donoszące, że książę Orleanu i królowa, dowiedziawszy się o jego marszu, opuścili miasto i schronili się do Mélun, a dalej do Chârtres, zostawiając rozkaz księciu Ludwikowi Bawarskiemu, aby im dowiózł księcia Akwitanii, delfina Francji.

Mimo ważności nowin, książę tak był zmęczony, że stanął dla paru godzin wypoczynku. Nazajutrz o świcie ruszył dalej ku Paryżowi, ale przybył za późno: delfina już wywieziono.

Wtedy książę Burgundii, nie odpoczywając już ani chwili, puścił konia galopem i kazał ludziom swoim towarzyszyć sobie. Tak przebiegł Paryż, wydostał się na gościniec, prowadzący do Fontainebleau i dogonił delfina pomiędzy Villeneuf i Corbeil. Młodemu księciu towarzyszyli: wuj jego, książę Ludwik Bawarski, margrabia de Pont, hrabia de Damartin, pan de Montaigu, wielki mistrz ceremonii w pałacu królewskim i wielu innych panów. W tejże samej karecie siedziała siostra jego, księżniczka Joanna, i pani de Préaux, żona księcia de Burbon. Książę Burgundii. zbliżywszy się do karety, skłonił się przed delfinem i prosił go, aby powrócił do Paryża. Wtedy książę Bawarski, widząc, iż młody książę miał istotnie ochotę wrócić z Janem Burgundzkim, wystąpił i rzekł:

– Niech wasza książęca mość raczy dozwolić księciu Akwitanii, siostrzeńcowi naszemu, udać się do królowej matki i do stryja, księcia Orleanu, gdyż jedzie on tam za zgodą króla, ojca swego.

Po czym książę Ludwik wydał głośno zakaz surowy, by nikt nie ośmielił się zwrócić z drogi, a woźnicy nakazał zaciąć konie. Wówczas książę Burgundii sam schwyciwszy konie za munsztuki zawrócił je w stronę Paryża, a dobywając miecza, wykrzyknął:

– Dalej w drogę, woźnico! Idzie tu o życie twoje! W drogę, a żywo!

Woźnica drżąc ze strachu popędził konie, a wojsko księcia Burgundii otoczyło karetę. Książę Akwitanii wracał do stolicy w towarzystwie wuja, który nie chciał go opuścić, a inne towarzyszące mu dotąd osoby śpieszyły do Corbeil, by donieść księciu Orleanu i królowej o całym wydarzeniu, które dowodziło na ile poważyć się zdoła książę Burgundii. Książę i królowa, którzy właśnie siadali do stołu, przerwali obiad i kazali się zawieźć do bezpieczniejszego, obronnego miasta Mélun.

Przybywszy z delfinem do Luwru, książę Burgundii pozostał przy nim, chcąc dobrą i pewną w zamku tym straż urządzić. Urządzenie nadzoru było tym łatwiejsze, że na rozkaz jego i jego braci zbrojni ludzie przybywali ze wszech stron państwa. W kilka dni później książę Jan znalazł się na czele około sześciu tysięcy wojska, całkiem mu oddanego, pod dowództwem hrabiego de Clèves i biskupa Liège, zwanego Janem Bezlitosnym.

Książę Orleanu tymczasem nie tracił czasu. Posłał wysłańców do wszystkich księstw i hrabstw swoich z rozkazem dostarczenia jak największej ilości koni zbrojnych i to w jak najkrótszym czasie. Wkrótce też przybyli: pan de Harpedanne z ludźmi z Boulońskiego, książę Lotaryngii z ludźmi z okolic Chârtres i Dreux, i wreszcie hrabia d'Alençon z rycerzami i gminami księstwa Orleanu.

Wszystkie te przemarsze wojsk były wielce uciążliwe dla biednego ludu w okolicy Paryża. Zbrojne oddziały obu stronnictw przebiegały prowincje la Brie i l'Ile de France, rabując i niszcząc wszystko. Ludzie księcia Orleanu przyjęli za własną jego dewizę: kij sękaty ze słowem „wyzywam", a Burgundczycy skupili się około chorągwi księcia Jana, noszącej hebel i napis: „przyjmuję wyzwanie".

Oba wojska stały prawie naprzeciw siebie i chociaż pomiędzy książętami nie było wypowiedzenia wojny, wszelki jednak rozsądny człek czuł dobrze, że prosta kłótnia pomiędzy dwoma żołnierzami wystarczy do wywołania starcia i wojny domowej w całej Francji. Stan ten trwał już czas jakiś, gdy książę Orleanu przerwał go stanowczym krokiem, skutkiem czego wydał rozkaz swym orleańczykom, aby się posunęli na Paryż.

Widząc księcia, rycerzy jego i zbrojnych ludzi przebiegających ulice Paryża, mieszkańcy stolicy mocno się zaniepokoili. Książę Orleanu nadużyciami swymi taką sobie wyrobił ze sławę, iż chodziły pogłoski, jakoby celem jego wyprawy miał być rabunek miasta. Toteż w jednej chwili całe mieszczaństwo podniosło się i stanęło u bram Paryża; studenci i ucząca się młodzież zbrojnie wyszła z uniwersytetu. Zburzono wiele domów na przedmieściach, aby z ich gruzów powznosić barykady na gościńcu.

Jednym słowem: wszystkie przedsięwzięto środki, aby dopomóc księciu Burgundii w zwalczaniu księcia Orleanu.

Zanim wszelako przyszło do spodziewanego starcia, z porady rozumniejszych członków rządu królewskiego rozpoczęto z księciem Ludwikiem układy, które trwały cały tydzień i doprowadziły do porozumienia bez rozlewu krwi. Książęta zgodzili się, iż każdy wojska swe rozpuści i zda pretensje swoje na sąd rady królewskiej. Przysięgi z jednej i drugiej strony złożone zostały na ewangelię, a rozpuszczenie wojsk miało być dowodem wykonania umowy.

Jak tylko Paryż został uwolniony od zbrojnych obu stronnictw, królowa postanowiła odbyć wjazd do miasta. Ten dowód zaufania, jaki dawała Izabella, przybywając znowu pomiędzy mieszkańców Paryża w tak burzliwej chwili, z wielką był przyjęty radością. Tłumy narodu wesoło i radośnie wyległy naprzeciw niej. Królowa siedziała w pierwszym, jaki na świecie zbudowany był, powozie na resorach, który jej w darze ofiarował książę Orleanu. Damy jechały za nią w karocach; dwaj książęta, niby pogodzeni, jechali na koniach obok siebie, trzymając się za ręce i niosąc każdy tarczę swego przeciwnika.

Odprowadziwszy Izabellę do pałacu królewskiego, obaj udali się do kościoła katedralnego Notre Dame, gdzie komunikowali się jedną hostią, na pół przełamaną, ucałowali się u stóp ołtarza, a dla większego dowodu wzajemnego zaufania i zgody, książę Burgundii prosił na tę noc księcia Orleanu o gościnność. Ludwik nie tylko gościnność, ale połowę własnego łoża mu ofiarował. Jan burgundzki ofiarę tę przyjął. Naród, uwiedziony pozorami, odprowadził ich, krzycząc „Noël!", do nowego pałacu księcia Orleanu, który znajdował się poza zamkiem Świętego Pawła.

Ci dwaj ludzie, którzy przed tygodniem, w stal okuci, pod chorągwiami szli przeciw sobie, weszli teraz wsparci jeden na ramieniu drugiego do pałacu, jakby dwaj najserdeczniejsi przyjaciele, po długim niewidzeniu się spotykający.

W pałacu znajdowali się już wujowie ich, książęta de Berri i de Bourbon, którzy nie wiedzieli, czy wierzyć mają uszom swym i oczom. Książę Burgundii zapewnił raz jeszcze o szczerości zawartej zgody, a książę Orleanu powiedział, że nigdy dzień Boży nie wydał mu się tak pięknym jak ten, który się miał właśnie ku schyłkowi.

Dwaj książęta, pozostawszy sam na sam, przechadzali się jeszcze po komnatach, rozmawiając ze sobą. Przyniesiono im wina grzanego z korzeniami, które wypijali zamieniając kubki. Książę Jan był szczególnie wesół i swobodny. Chwalił wielce urządzenie sypialnej komnaty, ze szczególną drobiazgowością przyglądał się obiciom i portierom, a wskazując palcem mały kluczyk, który tkwił w utajonych drzwiach, pytał śmiejąc się, czy drzwiczki te nie prowadzą przypadkiem do apartamentów księżnej Walentyny.

Książę Orleanu szybko zagrodził mu drogę, a kładąc rękę na kluczyku, rzekł:

– O, wcale nie, drogi kuzynie; przeciwnie, jest jej surowo zabronione wchodzić za te drzwiczki. Prowadzą one do oratorium w którym odbywam tajemne praktyki moje pobożne.

Potem, śmiejąc się i żartując, jakby przez nieuwagę wyjął klucz z zamka, bawił się nim przez chwilę tak, jakby nie wiedział, co właściwie w ręku trzyma, na koniec wsunął go do jednej z kieszonek swego bogatego kaftana, mówiąc tonem żartobliwym i jak najnaturalniejszym:

– A może byśmy się już położyli, kuzynie?

Za całą odpowiedź książę Jan odpiął złoty pas, który podtrzymywał jego sztylet i położył go na jednym z foteli. Książę Orleanu począł się także rozbierać, a ukończywszy to położył się pierwszy w głębi łoża, pozostawiając brzeg, czyli stronę honorową, księciu Burgundii, który też wkrótce ją zajął.

Dwaj książęta czas jakiś rozmawiali jeszcze o wojnie, turniejach i miłości, nareszcie książę Jan zdawał się już zwyciężony snem. Książę Orleanu, widząc to, zaprzestał mówić, a popatrzywszy przez chwilę jeszcze wzrokiem życzliwym na kuzyna swego, który prędko zasnął, sam też, przeżegnawszy się i odmówiwszy szeptem cichym modlitwę jakąś, zamknął oczy.

Po godzinie takiego nieruchomego spoczynku otworzyły się oczy księcia Jana. Odwrócił powoli głowę w stronę kuzyna swego. Ludwik spał, jakby wszyscy aniołowie niebiescy czuwali nad nim. Gdy się przekonał, że sen jego był rzeczywistym, książę Burgundii ostrożnie podniósł się na łokciu, wysunął jedną nogę, potem drugą, końcem palców dotknął podłogi i po cichutku wydobył się całkowicie spod przykrycia.

Wyszedłszy i oglądając się ciągle na śpiącego Ludwika, podszedł do fotela, na którym tamten złożył swoje rzeczy, schwycił jego kaftan i wynalazł ów kluczyk, który uprzednio Ludwik schował, wziął lampę ze stołu i wstrzymując oddech, jak mógł najciszej posunął się ku drzwiczkom tajemniczym. Potem

wsunął z całą ostrożnością kluczyk w zamek... drzwiczki się otworzyły i książę Jan wszedł do tajemnego gabinetu.

W chwilę później wyszedł stamtąd blady i z brwiami ściągniętymi, zatrzymał się chwilę, jakby się namyślał, co mu czynić wypada i wyciągnął rękę ku sztyletowi, który złożył był na fotelu...

Nagle jednak zmienił zamiar, cofnął rękę i postawił lampę na stole.

W tej chwili książę Orleanu obudził się.

– Czy potrzebujecie czego, kuzynie? – spytał Jana Burgundzkiego.

– Nie, mości książę – odpowiedział Jan – ta lampa w oczy mi świeciła, podniosłem się tedy, aby ją zgasić.

Mówiąc to, dmuchnął na światło i wróciwszy do łoża, położył się na powrót.

XVI

W kilka miesięcy po tej nocy pojednania, wieczorem dnia 23 listopada 1407 roku, dwóch ludzi jadących konno, zatrzymało się przy ulicy Barbette naprzeciw domu, w którego ścianie frontowej znajdował się obraz Matki Boskiej. Ludzie ci rozglądali się wokół przez chwilę, chcąc dobrze poznać miejsce. Nareszcie jeden z nich rzekł:

– To tutaj.

Potem obaj zsiedli z koni i przywiązali je do słupa, który podtrzymywał stojącą obok szopę, sami zaś poczęli przechadzać się w milczeniu. Po chwili nadjechało dwóch innych ludzi. Ci również zbadali uważnie miejsce, również zsiedli z koni, a spostrzegłszy w cieniu błyszczące stalowe zbroje, podeszli ku przechadzającym się. Nie upłynęło dziesięć minut, gdy znów usłyszano tętent koni nowo przybywających zbrojnych jeźdźców; w przeciągu pół godziny zebranie to, powiększając się stopniowo, liczyło już osiemnaście osób.

Od kwadransa zgromadzenie było już w pełnym komplecie, gdy nagle w górnej części ulicy rozległ się tętent galopującego konia. W chwili, gdy jeździec dojeżdżał do wspomnianego domu z obrazem, głos jakiś z wnętrza szopy zawołał:

– Czy to ty, panie de Courtheuse?

– Ja – odrzekł jeździec, osadzając konia w miejscu. – Kto mnie woła? Przyjaciel, czy nieprzyjaciel?

– Przyjaciel – odpowiedział ten, który zdawał się być naczelnikiem zebranych, wychodząc z cienia i zbliżając do pana de Courtheuse. – No, jakże, jesteśmy gotowi?

I oparł rękę na szyi konia.

– A! to ty, Raulu d'Octouville! – odrzekł jeździec. – Dobrze! Czy wszyscy nasi już się zebrali?

– Wszyscy już są i oczekujemy was dobre pół godziny.

– Opóźniono się z rozkazem. Zdaje mi się, że w chwili czynu stracił odwagę.

– Jak to? Czyżby zaniechał zamiaru?

– E, nie!...

– I dobrze zrobił, gdyż uczyniłbym to na własny rachunek. Nie zapomniałem ja, że książę – niech go piekło pochłonie! – odebrał mi za swoich rządów urząd generalski, którym mnie król obdarzył na prośbę nieboszczyka Filipa Burgundzkiego. Pochodzę z Normandii, wiedz o tym wasze, panie Tomaszu, i jestem zawzięty; nie pożałuję mu więc co najmniej dwóch lub trzech dobrych pchnięć szpadą, bądźcie tego pewni! Pierwsze będzie dotrzymaniem przyrzeczenia jakie księciu dałem, drugie będzie zadośćuczynieniem przysiędze, którą sam sobie złożyłem.

– Dotrwaj w tym dobrym usposobieniu, mój poczciwcze! Zwierzyna, na którą polujemy, jest już szczuta, za kwadrans ci ją tu napędzę.

– Tak, to rozumiem! – zawołał Raul, uderzając dłonią konia, który też zaraz puścił się galopem.

Później powrócimy do jeźdźca i celu jego wyprawy, a tymczasem wstąpmy do pałacyku królowej. Śliczny ten pałacyk królowa nabyła od pana de Montaigu i usunęła się doń po tym, gdy król w napadzie

szaleństwa pokaleczył jej ręce ostrzem miecza. Od tej pory przybywała do zamku Świętego Pawła tylko w ważnych okolicznościach i bawiła tam tylko tak długo, jak tego konieczna wymagała potrzeba. W ten też sposób więcej miała swobody w stosunkach z księciem.

Wieczorem tego dnia królowa jak zwykle była w swoim pałacyku, lecz zostawała w łóżku, nie będąc jeszcze dość silna po przedwczesnym porodzeniu dziecięcia, które martwe na świat przyszło. Książę Orleanu siedział u jej wezgłowia. Podano właśnie kolację, która powrot chorej do sił i zdrowia czynil bardzo wesołą, gdy Izabella patrząc w oczy kochanka wzrokiem, w którym miłość błyszczała, rzekła:

– Mój drogi książę, trzeba będzie, gdy już zupełnie wyzdrowieję, abyś wyprawił dla mnie ucztę w swoim pałacu, tak jak ja przyjmuję cię u siebie. Potem będę cię chciała prosić o pewną łaskę.

– Powiedz raczej, miłościwa pani – odparł książę – że dasz mi rozkaz i bądź pewna, że spełnię go na klęczkach.

– Niekoniecznie, mój książę – ciągnęła dalej królowa, tym razem jednak patrząc nań spod oka z powątpiewaniem – i lękam się nawet, że gdy dowiesz się o moim żądaniu, odmówisz mi stanowczo.

– Nie możesz, najdroższa, żądać nic takiego, co by mi było cenniejsze nad życie, a wiesz dobrze, że ono całe do ciebie należy...

– Do mnie i... do Francji: każda z nas ma prawo swej części się domagać; pamiętają też o tym moje damy honorowe...

Książę Orleanu uśmiechnął się.

– Czy to zazdrość? – zapytał.

– O nie! Jest to tylko ciekawość i nic więcej; dlatego też bardzo mnie coś ciągnie i bardzo bym pragnęła zwiedzić pewien gabinecik, przylegający do sypialnego pokoju jego wysokości, księcia Orleanu, gdzie, jak mówią, znajdują się portrety wszystkich jego... kochanek...

– I chciałabyś pani wiedzieć?...

– Ciekawa jestem, czy się tam znajduję w dobrym towarzystwie.

– Z przyjemnością, droga Izabello, zobaczyłabyś siebie tam samą jedną, jak samą jesteś w sercu i na sercu moim.

Po tych słowach wydobył ukryty na piersiach portret, który mu niegdyś dała Izabella.

– O! to dowód, którego się nie spodziewałam. Jak to? Masz jeszcze ten portret?

– Rozłączą mnie z nim chyba po śmierci.

– Nie mów książę o śmierci; na to słowo dreszcz mnie przejmuje, krew mi się w żyłach ścina i dziwne przed oczyma przebiegają błyski!... Ach! Kto tu?... Kto śmiał wejść?!

– Pan Tomasz de Courtheuse, kamerdyner króla, pragnie się widzieć z księciem – odpowiedział paź, który przed chwilą drzwi uchylił.

– Czy pozwalasz, piękna moja królowo, żeby wszedł tutaj? – zapytał książę Orleanu.

– Naturalnie; ale czego on chce? Ja drżę cała!...

Pan Tomasz wszedł.

– Miłościwy książę – rzekł kłaniając się – jego królewska mość pragnie, abyście niezwłocznie przybyli do niego, gdyż życzy sobie natychmiast mówić z waszą wysokością o rzeczach ważnych, dotyczących wielce jego i was.

– Spiesz waść naprzód, panie Tomaszu, powiedz jego królewskiej mości, że dążę tuż za tobą.

Tomasz dosiadł konia i popędził galopem, a mijając dom z obrazem Matki Boskiej, rzucił te słowa:

– Na stanowiska, strzelcy! Bo zwierzyna tuż, tuż.

I zniknął.

W tej chwili pod szopą dały się słyszeć ciche i ostrożne ruchy, słychać było szczęk zbroi, gdyż ukryci tam ludzie dosiadali koni, potem hałas ustał i znowu zapanowała cisza.

Po kilku minutach ciszę przerwał miły głos, który dochodził z ulicy du Temple, a który śpiewał piosenkę Froissart'a; w chwilę potem można już było dojrzeć śpiewającego, gdyż poprzedzało go dwóch lokai z pochodniami. Przed nim jechało jeszcze dwóch giermków na jednym koniu, a za nim dwóch paziów i czterech zbrojnych. Wesoły ów jeździec ubrany był w długą suknię z czarnego adamaszku i siedział na mule, który szedł stępa, co pozwalało jego panu zabawiać się wyrzucaniem w górę i chwytaniem w lot rękawiczki z łososiowej skóry.

Gdy się zbliżali do szopy koń, na którym siedzieli giermkowie zarżał; inne rżenie dało się słyszeć od strony szopy, odpowiadając jakby echem.

– Hej! jest tam kto? – zapytał jeden z giermków.

Nikt nie odpowiedział. Wtedy obaj jeźdźcy ścisnęli kolanami konia, lecz ten stanął dęba; ukłuli go ostrogami i wtedy dopiero koń rzucił się szalonym pędem, jakby przez ogień przebiegał.

– Trzymaj się Szymonie – krzyknął ich pan śmiejąc się. – A powiedzcie tam w zamku, że nadjeżdżam, gdyż jeśli tak dalej pędzić będziecie, to z pewnością staniecie na miejscu o jaki kwadrans wcześniej ode mnie.

– To on! – dał się słyszeć głos od szopy.

W tej samej chwili dwudziestu ludzi rzuciło się w ulicę; jeden z nich pędził wprost na księcia wołając:

– Śmierć mu! Śmierć!...

I rzucając się nań, jednym uderzeniem topora odciął mu ramię.

Książę jęknął boleśnie i krzyknął:

– Co to jest? Co to ma znaczyć? Jestem księciem Orleanu!

– Tego nam właśnie potrzeba – odpowiedział człowiek, który go ranił.

I zadając powtórnie cięcie toporem, rozpłatał mu prawy policzek od skroni aż do szczęki. Książę Orleanu jęknął i upadł. Jednakże podniósł się jeszcze na kolana; wtedy otoczyli go inni, zadając mu rany rozmaitą bronią, jedni mieczem, drudzy oszczepem, inni sztyletem. jeden z paziów w obronie księcia padł raniony śmiertelnie, ciosy podzieliły się teraz pomiędzy dziecię i pana; drugi paź, lekko raniony mieczem, skrył się do jakiegoś sklepu w ulicy des Rosiers, wzywając ratunku. Żona pewnego szewca otworzyła okno, a widząc dwudziestu ludzi mordujących dwóch bezbronnych, poczęła krzyczeć i wzywać ratunku.

– Cicho bądź! – zawołał jeden z morderców.

A gdy ta krzyczeć nie przestała, porwał łuk i strzelił, lecz strzała utkwiła w okiennicy, którą owa kobieta przytrzymywała.

Pomiędzy mordercami był jeden, w dużym czerwonym kapeluszu, który mu część twarzy zasłaniał; ten własną ręką nie zabijał, ale patrzył na zabijających. Gdy dostrzegł, że książę leży bez ruchu, wtedy przybliżył się dopiero, podniósł z ziemi pochodnię, a świecąc nią w twarz zabitego, rzekł:

– Dobrze już, stało się, już nie żyje!...

Wymawiając te słowa, rzucił pochodnię na pęk słomy, położony naprzeciw domu z obrazem Matki Boskiej. Płomień ogarnął szybko słomę, tworząc słup płomienisty, a wtedy człowiek ów wskoczył na koń i krzycząc: „gore!" popędził cwałem w stronę ulicy prowadzącej ku ogrodom pałacu książąt d'Artois. Towarzysze jego popędzili za nim, krzycząc i rzucając poza siebie wały dla przeszkodzenia pogoni.

Tymczasem koń dwóch giermków uspokoił się niezręczni jeźdźcy zdołali go nareszcie zawrócić ku miejscu, w którym się rozbiegał. Wracając tak, spotkali muła księcia Orleanu pędzącego bez pana; chwycili go tedy za uzdę i prowadzili ku szopie, gdy wtem przy blasku ognia dojrzeli księcia, wyciągniętego bez życia na ziemi. Tuż obok leżała odcięta jego ręka, a w rynsztoku walała się część mózgu z rozbitego czerepu.

Wtedy popędzili, ile im sił starczyło, do pałacyku królowej, krzycząc okropnie, bladzi, jakby z grobu wstali, rwąc sobie włosy z głowy. jednego z nich wprowadzono natychmiast do pokoju królowej.

– Nieszczęście, straszne nieszczęście!... W tej chwili książę Orleanu został zamordowany w ulicy Barbette, naprzeciw pałacu marszałka de Rieux.

Izabella zbladła śmiertelnie, potem biorąc w rękę woreczek pełen złota, drugą chwytając za ramię przybyłego, zawołała:

– Widzisz to złoto!? Wszystko to będzie twoje, jeżeli zechcesz.

– Cóż mam czynić? – zapytał giermek.

– Pędź natychmiast na miejsce, gdzie leży twój pan, zanim ktokolwiek ciało zabierze, rozumiesz?

– Rozumiem, a dalej co?

– Zerwiesz z jego piersi medalion z portretem i powrócisz do mnie.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

TOM DRUGI

I

Od zamordowania księcia Orelanu upłynęło lat dziesięć. Dziesięć lat w życiu człowieka to wiek cały; w morzu wieczności to zaledwie jedna kropla.

W końcu maja 1417 roku około godziny siódmej rano, krata bramy Świętego Antoniego otwarła się, aby przepuścić kilkunastu konnych, którzy skierowali się ku drodze prowadzącej do Vincennes. Na czele orszaku jechało dwu panów, inni wyglądali więcej na straż przyboczną niż na towarzyszy, i straż ta trzymała się o kilka kroków poza panami, regulując bieg swoich rumaków do woli jadących przodem.

Ten, który jechał po prawej stronie drogi, siedział na mule hiszpańskim, przyuczonym do równego kłusa. Muł ów zdawał się odgadywać usposobienie swego pana, tak chód jego był delikatny, spokojny i równy. Jeździec, chociaż w istocie nie miał więcej nad czterdzieści dziewięć lat, wydawał się już starcem zgrzybiałym i skołatanym cierpieniami. Zaufanie jego w spokój muła było tak wielkie, że od czasu do czasu opuszczał zupełnie cugle i ruchem konwulsyjnym ściskał głowę obydwoma rękoma. Chociaż ranek był chłodny i mgła wilgotna opadała na równinę, kapelusz jego zawieszony był u siodła i nic nie osłaniało jego czoła przed rosą, której krople drżały na zwojach jego rzadkich, siwych włosów, opuszczających się na skronie wzdłuż twarzy bladej, wychudłej i melancholijnej...

Zimne te krople nie tylko przykrymi mu nie były, ale przeciwnie: robiły mu przyjemność widoczną; chłód czynił ulgę w cierpieniu.

Strój jego niczym nie różnił się od ubiorów, jakie nosili wiekowi ludzie szlachetnego stanu tej epoki. Był to pewien rodzaj sukni czarnej, aksamitnej, z przodu otwartej i obłożonej futrem gronostajowym. Przez rękawy tej sukni, szerokie i spadające, widać było obcisłe mankiety kaftana z ciężkiej, złotem tkanej materii, którego bogactwo i elegancja znacznie straciły przez długie usługi właścicielowi. Spod sukni zwieszały się nogi jeźdźca, wyjęte ze strzemion, obute w pewien rodzaj butów futrzanych i spiczastych. Ustawiczne kołysanie tych nóg mogło wyprowadzić z cierpliwości spokojne zwierzę, gdyby nie zapobiegnięto temu przez zdjęcie długich ostróg, które w epoce owej były oznaką dostojeństwa panów i rycerzy.

Obraz, który tu podajemy, tak bardzo różni się od tego, jaki przedstawiliśmy na początku powieści, że czytelnicy z całą pewnością nie poznaliby w opisanej osobie króla Karola VI, udającego się do Vincennes, dla odwiedzenia królowej Izabelli. Dziesięć lat, jak powiedzieliśmy, stanowi wiele w życiu człowieka, a tym bardziej w życiu króla, w którego królestwie przez te lata wszystko ku gorszemu się skłoniło.

Po stronie lewej i prawie w tej samej linii co król, jechał z trudnością powstrzymując swego dzielnego rumaka, rycerz postawy olbrzymiej, cały kryty zbroją, jak gdyby wyruszał na wojnę. Zbroja jego giętkością, z jaką poddawała się ruchom ciała, dowodziła zręczności i doskonałości kunsztu robotnika mediolańskiego, który ją wykonał. Przy łęku, u siodła, po stronie prawej, zawieszała się maczuga kolcza-

sta, która bogato kiedyś była nabijana złotem. Ozdoby te utraciła jednak od częstych zetknięć z hełmami nieprzyjacielskimi, na jakie ją narażał jej właściciel, nie tracąc przy tym nic ze swej mocy i trwałości. Z przeciwnej strony siodła i jakby dla równowagi przyczepiona była broń, również zasługująca na uwagę. Był to miecz o ostrzu szerokim od góry i zwężającym się ku dołowi jak sztylet. Lilie, którymi zdobna była pochwa, świadczyły, że miecz ten należał do wielkiego marszałka Francji. Gdyby właściciel chciał wydobyć miecz swój z bogatego pokrycia, w którym wisiał w tej chwili, to szczerby na stali przez całą długość ostrza przekonałyby o cięciach, jakie nim zadawano. W tej chwili jednak, tak maczuga, jak i miecz, wzięte były więcej przez ostrożność, niż dla potrzeby. Wisząc u siodła, pełniły obowiązki wiernych sług, którym nie wolno opuszczać panów w żadnej godzinie dnia ani nocy i którzy zawsze winni być gotowi do posługi w potrzebie i do obrony w niebezpieczeństwie; lecz, jak to powiedzieliśmy, żadne niebezpieczeństwo obecnie nie groziło, a jeżeli twarz rycerza wydawała się posępna, było to raczej skutkiem jakiejś uparcie dręczącej go myśli. Cień, który padał od przyłbicy, zakrywając czarne jego oczy, podnosił jeszcze więcej surowość oblicza. Z wydanego jednak nosa orlego, z cery spalonej w wojnach z Lombardami, ze szramy, ciągnącej się według policzka, której początek krył się w łuku brwi czarnej, a koniec ginął w gęstej siwiejącej brodzie, od pierwszego rzutu oka poznałeś, że dusza zamieszkująca tę powłokę ze stali, była zahartowana i nieugięta jak ona.

Jeżeli obraz skreślony nie wystarcza czytelnikom do rozpoznania w rycerzu tym Bernarda VII, hrabiego d'Armagnac, wielkiego marszałka Francji, generalnego gubernatora miasta Paryża, kapitana wszystkich warowni królestwa, w takim razie niech spojrzą na małą świtę, postępującą w ślad za nim, a pośrodku nich ujrzy giermka w sukni zielonej z krzyżem białym, trzymającego tarczę swego pana, gdzie widnieje jego herb rodowy: cztery lwy domu Armagnaców, a nad nimi korona hrabiowska. Kto posiada choć cokolwiek wiedzy heraldycznej, tak rozpowszechnionej w owej epoce, a dziś zaś tak zapoznanej, dla tego widok tej tarczy wszelkie rozproszy wątpliwości.

Obydwaj jeźdźcy jechali w milczeniu od bramy Bastylii aż do krzyżujących się dróg, z których jedna wiodła do klasztoru Świętego Antoniego, a druga do Croix–Faubin.

Tu muł, na którym jechał król, pozostawiony własnemu instynktowi, zatrzymał się na środku drogi. Zmyślne zwierzę często w tym punkcie drogi zwracane tą drogą do Vincennes, dokąd obecnie jechał król, to znów do klasztoru, dokąd król często udawał się na nabożeństwo i rekolekcje, stanęło oczekując, jaki kierunek drogi pan jego wybierze. Król jednak znajdował się w tym przystępie niemocy, która nie dozwalała mu domyślić się, czego właściwie muł od niego żądał; pozostał tedy nieporuszony na miejscu, nie dając poznać najlżejszym poruszeniem, iż zauważył, co się stało. Hrabia Bernard próbował obudzić króla, zaczynając z nim rozmowę, lecz starania te były bezskuteczne. Wtedy spróbował wyjechać naprzód, przypuszczając, że muł własnowolnie pójdzie w ślad za koniem, lecz zwierzę podniosło tylko głowę, popatrzyło za odjeżdżającym, potrząsnęło dzwonkami, zawieszonymi na szyi, i pozostało nieruchome w miejscu. Zniecierpliwiony hrabia Bernard zsiadł z konia, rzucił cugle giermkowi i zbliżył się do Karola. Wielki był jeszcze szacunek dla królewskiego majestatu, gdyż hrabia d'Armagnac mimo swego dostojeństwa i wysokiego stanowiska, zaledwie pieszo ośmielił się podejść i poprowadzić za cugle muła biednego i bezsilnego Karola Szalonego. Szacunek i dobre chęci nie zostały jednak i teraz dobrym uwieńczone skutkiem, gdyż zaledwie król dostrzegł człowieka ujmującego cugle, krzyknął przeraźliwie, począł szukać broni w miejscu, w którym powinien być zawieszony miecz i sztylet, a nie znajdując ich, zaczął krzyczeć ostrym i przerywanym z przerażenia głosem:

– Ratunku!... do mnie!... Ratunku, książę Orleanu! ratunku!

– Miłościwy panie – rzekł Bernard d'Armagnac, łagodząc, o ile mógł, swój szorstki głos – dzięki byłyby Bogu i świętemu Jakubowi, żeby brat wasz, książę Orleanu, znajdował się między żyjącymi! Ja nie jestem widmem ani marą i nie grozi tobie, panie miłościwy, żadne niebezpieczeństwo, oprócz Anglików i Burgundów.

– Mój bracie! Mój bracie! – wołał król, którego przerażenie zdawało się zmniejszać, lecz oczy błędne i włosy najeżone świadczyły, że rozdrażnione nerwy nieprędko się uspokoją. – Bracie mój, Ludwiku!

– Miłościwy panie, blisko dziesięć lat temu brat wasz ukochany, zdradziecko zamordowany został na ulicy Barbette, przez księcia Jana Burgundzkiego, który w tej chwili występuje przeciwko waszej królewskiej mości! Nie pomnisz królu, że jam jest gorącym obrońcą wiary, króla i ojczyzny, czego dowiodę w swoim czasie i miejscu, przy pomocy Boga Najwyższego i świętego Bernarda, patrona mego i mego miecza?

Król wlepił wzrok pełen nieokreślonego wyrazu w Bernarda i jakby z całej rozmowy nie słyszał nic więcej, zapytał głosem, w którym czuć jeszcze było ślady rozdrażnienia:

– Powiedziałeś, kuzynie, że Anglicy wylądowali na brzegach naszego królestwa?

I mówiąc to, pociągnął za cugle muła, kierując go ku drodze prowadzącej do Vincennes.

– Tak jest, najjaśniejszy panie – odpowiedział hrabia, dosiadając konia i zajmując poprzednie miejsce obok króla.

– Gdzie?

– W Touques, w Normandii. I powiedziałem także, że książę Burgundii zajął Abbeville, Amiens, Montdidier i Beauvais.

Król westchnął głęboko.

– Bardzo jestem nieszczęśliwy, mój kuzynie – rzekł, ściskając rękoma głowę.

Bernard zostawił mu chwilę do namysłu, albowiem sądził, że zdolność myślenia powróci i dozwoli mu prowadzić dalej rozmowę, tak ważną dla zbawienia monarchii.

– Tak, bardzo jestem nieszczęśliwy – powtórzył król, opuszczając ze zniechęceniem ręce i pochylając głowę na piersi. – Cóż czynić zamierzasz, kuzynie, aby odeprzeć dwóch naraz nieprzyjaciół?... gdyż... ja... ja za słaby jestem, abym ci mógł dopomóc.

– Miłościwy panie, przedsięwziąłem środki, które raczyłeś uznać za dobre. Delfin Karol mianowany został generalnym namiestnikiem królestwa.

– Prawda... lecz zwracałem twoją uwagę, że on jest jeszcze bardzo młody; zaledwie piętnaście lat liczy. Dlaczego nie przedstawiono na tę godność jego starszego brata, Jana?

Wielki marszałek spojrzał ze zdziwieniem na króla, z szerokiej piersi wydobyło się westchnienie, smutno potrząsnął głową. Król powtórzył zapytanie.

– Miłościwy panie, czyż są cierpienia ludzkie tak wielkie, żeby ojciec o śmierci syna mógł zapomnieć?

Król zadrżał, ścisnął znów konwulsyjnie rękoma głowę, a gdy opuścił je znowu, hrabia Bernard zobaczył dwie łzy płynące po zwiędłych policzkach.

– Tak, tak... przypominam sobie – powiedział – on umarł w mieście Compiègne.

Potem dodał ciszej:

– A Izabella powiedziała mi, że został otruty... Ale cicho!... nie trzeba tego powtarzać... Mój kuzynie, sądziszże, że to może być prawdą?

– Nieprzyjaciele księcia Anjou oskarżali go, obwinienie to opierając na tym, że śmierć ta zbliżała do tronu delfina Karola, jego zięcia; lecz król Sycylii niezdolny jest popełnić taką zbrodnię i jeżeli ją nawet popełnił, to Bóg nie pozwolił mu kosztować owoców jej, gdyż książę Anjou przeniósł się do wieczności w sześć miesięcy po śmierci tego, którego, jak mówią, był mordercą.

– Tak, śmierć!... i śmierć!... To słowo powtarza się jak echo wkoło nie, gdy przywołuję synów mych i bliskich moich. Wiatr wiejący wokół tronu jest śmiertelny, mój kuzynie, i oto z całej tej licznej rodziny książąt pozostała tylko młoda latorośl i stary pień... Tak tedy, mój ukochany Karol?...

– Objął ze mną razem dowództwo nad wojskami i żebyśmy tylko posiadali pieniądze, by nowe siły pod broń powołać...

– Pieniądze, kuzynie? Alboż to nie mamy w zapasie skarbów, przechowywanych na potrzeby państwa?

– Strwonione zostały, miłościwy panie.

– Przez kogo?

– Szacunek wstrzymuje oskarżenie na moich ustach...

– Mój kuzynie, nikt prócz mnie nie miał prawa rozporządzać tym skarbem i nikt nie mógł go sobie przywłaszczyć bez kwitu z moim podpisem i naszą królewską pieczęcią.

– Miłościwy panie, osoba, która go zabrała, posiadała kwity z królewską pieczęcią, chociaż podpis wasz uważała za zbyteczny.

– Tak, tak, uważają mnie już za umarłego. Anglicy i Burgundczycy dzielą się moim królestwem, a żona moja i syn moimi pieniędzmi. Tak!... tylko ona lub on dopuścić się mogli tej kradzieży. Boć przecież jest to kradzież, zbrodnia przeciw państwu, ponieważ państwo te pieniądze posiadało, a dziś ich nie ma w chwili wielkiej potrzeby.

– Miłościwy panie, delfin Karol zanadto ma szacunku dla swego ojca i pana, aby mógł w tak ważnej sprawie nie czekać jego rozkazów i nie zastosować się do jego woli.

– A więc, hrabio, sądzisz, że to królowa?...

Westchnienie głębokie wydobyło się z piersi króla.

– Królowa!... No, to zobaczę się z nią i zażądam zwrotu tych pieniędzy; zrozumie przecież, że musi je zwrócić.

– Miłościwy panie, pieniądze te obrócone zostały na zakupienie nowych mebli i klejnotów.

– Cóż więc uczynić, mój drogi Bernardzie? Nałóżmy nowe podatki na lud!

– I tak już lud twój, królu i panie, jest wyniszczony.

– To może mamy jeszcze jakie brylanty?

– Te chyba, które zdobią królewską koronę! Oto wszystko! Miłościwy panie, za słabi jesteście względem królowej; ona kraj gubi, a przed Bogiem ty za to odpowiesz. Patrz oto, czy nędza ogólna zmniejszyła zbytki?!... Przeciwnie, zwiększają się one równo z uciskiem ludzi. Panie i panny jej dworu nie odmawiają sobie niczego, robią olbrzymie wydatki, a bogactwo ich strojów świat cały zadziwia. Hafty i koronki, jakie przy stronach noszą otaczający ją młodzi panowie, wystarczyłyby na zapłacenie wojsku całemu rocznego żołdu. Pod pozorem niebezpieczeństwa, jakie jej niby grozi z powodu wojny, zażądała od rządu straży, nieużytecznej krajowi, za którą przecież kraj cały płaci. Panowie de Graville i de Giac, dowodzący tą strażą, bezustannie otrzymują od królowej w darze pieniądze i brylanty. Są to zbytki, najjaśniejszy panie, na które szemrzą wszyscy pragnący dobra kraju.

– Marszałku! – rzekł król tonem człowieka czującego dobrze, iż niewłaściwą wybrał porę do udzielenia wiadomości, a który nie może jednak opóźniać się z jej wypowiedzeniem – marszałku, wczoraj obiecałem mianować intendentem zamku Vincennes kawalera de Bourdon. Nominację jego dasz mi do podpisu.

– Uczyniłeś to, najjaśniejszy panie?

Oczy marszałka ogniem zapałały. Król wyszeptał prawie niedosłyszalnie: *tak*, jak dziecię czujące, że źle zrobiło i obawiające się nagany.

Właśnie w tej chwili dojeżdżali do wzgórza Croix–Faubin; skąd droga była już prosta i widok daleki. Drogą tą zbliżał się ku jadącym młody człowiek, ubrany z całą elegancją i według wymagań ostatniej mody. Miał na głowie kapelusik niebieski, w ulubionym kolorze królowej. Wstążki jego wiatr skłaniał na lewe ramię, a utworzoną z nich szarfą młody człowiek bawił się, trzymając jej końce w prawej ręce. U jego boku wisiała szpada stalowa, tak lekka, że służyć mogła raczej za ozdobę, niż za broń. Na sobie miała krótki i otwarty kaftan z czerwonego aksamitu, a pod nim piękną jego figurę obejmował obciśle żupan z aksamitu niebieskiego, przewiązany w pasie złotym sznurem. Spodnie wąskie z materii krwawego koloru, trzewiki czarne aksamitne, tak spiczaste i zakrzywione, że z trudnością wchodziły w strzemiona, dopełniały stroju, który każdy z najbogatszych i najwięcej za modą się uganiających panów za wzór mógł brać. Dodajcie do tego blond włosy w pukle zawinięte, postawę swobodną i wesołą, ręce małe jak u kobiety, a będziecie mieli dokładny portret kawalera de Bourdon, ulubieńca, a jak niektórzy mówić śmieli po cichu, nowego kochanka królowej.

Wielki marszałek poznał go natychmiast. Nienawidził Izabelli, która równoważyła jego wpływ u króla; wiedział przy tym, że Karol jest wielce zazdrosny i postanowił skorzystać ze sposobności doprowadzenia do skutku dawno powziętych politycznych projektów, dających się streścić w tych dwóch wyrazach: wygnanie królowej! Mimo jednak, że tak ważne sprawy ważyły się w jego umyśle, żaden muskuł twarzy jego nie drgnął i niczym nie zdradził, że wie dobrze, co to za jeździec zbliża się ku oddziałowi królewskiemu.

– Życzę sobie, abyście, kuzynie, zawiadomili tego młodego człowieka, że nominację jego podpisałem – dodał król. – Uczynicie to śpiesznie, nieprawdaż?

– Mnie się zdaje, miłościwy panie, że i bez mego zawiadomienia dowie się on o tym bardzo wcześnie.

– Któż by mu tę nowinę zwiastował?

– Taż sama osoba, która waszą królewską mość tak natarczywie o to prosiła.

– Królowa?

– Najjaśniejsza pani tyle ma zaufania w odwadze tego rycerza, że z powierzeniem mu komendy zamku nie miała cierpliwości czekać na królewską dlań nominację.

– Co chcecie przez to powiedzieć, kuzynie?

– Niech wasza królewska mość raczy spojrzeć przed siebie.

– Kawaler de Bourdon!

Król zbladł. W sercu jego nagle odezwały się podejrzenia.

– Jest tak wcześnie – mówił dalej marszałek – że kawaler chyba noc musiał w zamku przepędzić! Niepodobna, żeby już o tej godzinie mógł wracać z Vincennes, wyjechawszy dzisiaj z Paryża.

– Macie rację, hrabio. Co też mówią na dworze o tym młodym człowieku?

– Mówią, że ma wiele szczęścia u kobiet i że się wszystkim damom dworu podoba. Powiadają nawet, że żadna mu się oprzeć nie zdoła.

– I żadnego nie robią wyjątku, hrabio!?

– Żadnego, najjaśniejszy panie.

Król tak bardzo zbladł, że hrabia wyciągnął ręce, obawiając się, by nie spadł. Król odepchnął go lekko.

– Czyżby dlatego – rzekł ponurym głosem – ona tak bardzo pragnęła, aby Vincennes jemu pod straż było oddane?! – Zuchwalec! Bernardzie! Wszak on ma na głowie kapelusz niebieski?

– Tak, najjaśniejszy panie, kolor niebieski jest kolorem królowej.

W tej chwili kawaler de Bourdon był już tak blisko, że można było słyszeć słowa śpiewki, którą nucił. Był to sonet, napisany przez Alain'a Chartier na cześć królowej. Widok króla i marszałka nie zdawał się być dostatecznym powodem do przerwania tej melodyjnej śpiewki. Usunął tylko zręcznie konia na skraj drogi, a gdy się znalazł na równi z królem, skłonił mu się lekko skinieniem głowy.

Na ten widok w starcu odezwała się w jednej chwili cała energia młodzieńcza. Zatrzymał na miejscu rumaka i zawołał silnym głosem:

– Z konia, młokosie! Nie w ten sposób oddaje się cześć, należną królewskiemu majestatowi! Z konia! I na kolana!...

Kawaler de Bourdon, zamiast usłuchać rozkazu, spiął konia ostrogami i w kilku podskokach znalazł się o dwadzieścia kroków od króla, po czym powściągając go, począł jechać dalej powolnym krokiem, rozpoczynając śpiewkę swoją od miejsca, w którym ją przerwał gniewny okrzyk Karola VI.

Król szepnął kilka słów hrabiemu d'Armagnac, a ten powtórzył głośno rozkaz królewski.

– Tanneguy – zawołał, zwracając się do prefekta Paryża, który miał przy sobie kilku zbrojnych ze swej milicji – każ aresztować tego młodego człowieka!... Król tak chce!

Tanneguy dał znak i dwóch ludzi puściło się natychmiast w pogoń za kawalerem de Bourdon. Te nieprzyjazne przygotowania nie uszły uwagi kawalera, chociaż nie zdawało się, żeby go wielce obchodziły; oglądał się tylko od czasu do czasu. jednakże, gdy spostrzegł dwóch ludzi ze straży prefektorialnej zbliżających się ku niemu i gdy nie mógł mieć żadnej wątpliwości co do celu ich wyprawy, nagle zwrócił się twarzą ku nim i osadził konia w miejscu. Żołnierze znajdowali się już tylko o dziesięć kroków od niego.

– Hola! mości panowie! – wykrzyknął. – Ani kroku dalej, jeżeli mnie gonicie! Ostrzegam was, bo inaczej, zaręczam... skonacie bez spowiedzi!

Dwaj zbrojni nie odpowiadając nawet, zbliżali się coraz bardziej i przybiegli już tak blisko, że jeden z nich wyciągnął rękę, aby go pochwycić.

– Poczekajcie trochę, mości panowie! – zawołał, odskakując w tył. – Chwileczkę jeszcze!... dajcie mi pole do rozpędu, a zaraz się spróbujemy!

Mówiąc te słowa, wypuścił konia tak szybkim galopem, że można było przez chwilę sądzić, iż rączości jego powierzył zbawienie swego życia. Żołnierze, widząc że wszelkie wysiłki dogonienia go byłyby bezskuteczne, stanęli w miejscu oszołomieni, śledząc go tylko oczyma i nie wołając nawet za nim, aby stanął. Zdziwienie ich zdwoiło się jeszcze, gdy w kilka sekund spostrzegli, że kawaler zawraca konia i pędzi cwałem wprost na nich.

Jedna chwila wystarczyła zuchwałemu Bourdonowi przygotować się do walki. Przygotowania te były o tyle proste, o ile były krótkie. Szarfy niebieskie, które wisiały mu od kapelusza, nawinięte na lewe ramię, stanowić miały rodzaj tarczy, a w prawej ręce trzymał podniesiony miecz, na którym z dala połyskiwał w słońcu rowek do spływania krwi wyżłobiony. Cugle konia zaczepione już były o łęk siodła, a rozumne zwierzę, jakby odgadując myśli swego pana, posłuszne było rozkazom wydawanym ruchami kolan, pozostawiając rycerzowi całą swobodę rąk, której tak bardzo potrzebował.

Żołnierze zawahali się chwilę, czy mają przyjąć ten atak. Kazano im aresztować kawalera de Bourdon, ale nie zabić, a przygotowania, jakie poczynił, okazywały, że nie ma wcale ochoty dostać się żywcem w ich ręce. To ich wahanie dodało jeszcze odwagi kawalerowi.

– No, mości panowie! Jestem gotów! Dalej! miecz w dłoń! a przy pomocy Boga i Michała Archanioła wkrótce krew gorąca i czerwona zbroczy te białe kamienie!

Obaj żołnierze wydobyli miecze i puścili się ku niemu, pozostawiając pomiędzy sobą wolną przestrzeń tak, aby go zaatakować z dwóch stron jednocześnie.

Szybkim rzutem oka śmiałek zauważył, że przez to wolne miejsce przesunąć się zdoła; wraziwszy więc ostrogi w brzuch koniowi, puścił się naprzeciw z szybkością niezrównaną, a gdy już zbliżał się na długość ich mieczy, pochylił się nagle na szyję rumaka, jak gdyby chciał coś podnieść z ziemi, nie puszczając strzemion. Ciało jego przyjęło poziomą pozycję. W biegu prawą ręką trzymał się grzywy końskiej, a tymczasem lewą pochwyciwszy za nogę jednego z nieprzyjaciół, przerzucił go na drugą stronę konia. Miecze dwóch żołdaków powietrze tylko przecięły.

Gdy ten, który dał w tej chwili taki dowód zręczności, zdołał wstrzymać konia i odwrócić się, spostrzegł, że zrzucony przezeń żołnierz nie zdążył wydobyć nogi ze strzemienia, w którym zatrzymał się ostrogą. Koń wlókł go po bruku, a przerażony szczękiem, jaki wydawała obijająca się o kamienie zbroja nieszczęśliwego, pędził coraz szybciej, a krzyki i wołania żołnierza stały się dlań nową przyczyną przestrachu.

Wszyscy widzowie tej walki śledzili ją z sercem ściśniętym, tamując oddech, drżąc za każdym szczękiem zbroi, jaki wiatr do ucha przynosił i wyciągając ramiona, jakby chcieli zatrzymać pędzącego rumaka. Koń jednak pędził ciągle i coraz prędzej, podnosząc kopytami tumany kurzu, a każde uderzenie zbroi o bruk iskry wydawało. Na drodze, którą przebiegł, widzieć było można kawały kirysa, które poodpadały i świeciły na słońcu. Niezadługo straszny szczęk stał się mniej wyraźny, bądź to z powodu odległości, jaką rumak ubiegł, bądź dlatego, że już cała zbrojna odpadła i tylko ciało i kości tłukły się po bruku. Wreszcie, na zakręcie drogi, koń i jeździec zniknęli, jak zapadające się w przestrzeń widmo.

Piersi wszystkich ciężkie wydawały tchnienia, a grzmiący głos Bernarda d'Armagnac po raz drugi dał się słyszeć:

– Tanneguy Duchatel!... Aresztować tego człowieka! Król tak chce!

Drugi żołnierz prefektorialny, słysząc ten nowy rozkaz, rzucił się na kawalera z wściekłością, którą podnosiła jeszcze straszna śmierć jego towarzysza. Pan de Borudon zdawał się cały pogrążony w podziwianiu przepysznego widoku, jaki się przed nim roztaczał. Oczy jego utkwione były w punkt, w którym zniknął koń i jeździec, i widocznym było, że sobie nie zdawał sprawy z wagi walki, jaką rozpoczął. Spostrzegł się dopiero w chwili, gdy nad głową jego mignęło coś jak błyskawica. Był to miecz, który drugi z jego nieprzyjaciół oburącz trzymając, młynkiem puścił nad jego głową, dla nadania mu siły i rozpędu. Pomiędzy mieczem tym i czołem Bourdona było już tylko najwyżej dwie stopy, zaledwie sekunda czasu, mgnienie oka od uderzenia i śmierci... Jeden skok konia zbliżył kawalera do żołdaka, który stał w strzemionach i już miał uderzyć, gdy Bourdon pochwycił go lewym ramieniem za kark, tak że przeciwnika owinął siłą, o jaką posądzać go było trudno; od pierwszego szarpnięcia powalił na grzbiet konia, szukając okiem w stalowym okuciu miejsca, przez które by się ostrz miecza przecisnąć mogło. Wygięta pozycja, do jakiej przez nacisk zmusił żołdaka podniosła cokolwiek gardlicę kasku i pomiędzy dwoma częściami zbroi pokazała się szparka tak wąska, że zaledwie tylko cienkie ostrze szpady przecisnąć się mogło. I przecisnęło się ono, przecisnęło dwukrotnie i dwakroć wydostało się krwią zbroczone.

Lewa ręka Bourdona puściła głowę żołnierza, a prawą otrząsnął miecz z krwi po nim cieknącej; ciężkie westchnienie, jakie się spod kasku wydobyło, było ostatnim tchnieniem nieszczęśliwego.

Bourdon stanął na środku drogi, zwrócił głowę konia ku oddziałowi straży królewskiej, a rozzuchwalony podwójnym swym tryumfem, począł drwić i szydzić. Duchatel wahał się, azali ma wyda rozkaz któremu ze swoich, czy też sam pokusić się o spełnienie rozkazu królewskiego, gdy hrabia d'Armagnac rozgniewamy opóźnieniami dał znak; otaczający go rozstąpili się, a olbrzym wolnym krokiem zbliżył się ku kawalerowi de Bourdon i stanął o dziesięć kroków od niego.

– Kawalerze de Borudon – zawołał głosem, w którym niepodobna było odnaleźć śladu nawet wzruszenia – w imieniu króla wzywam cię, oddaj miecz! Jeżeliś się wzbraniał oddać go dwom żołnierzom prefektury, to może mniej upokarzającym uznasz złożyć go w ręce wielkiego marszałka Francji.

– Nie oddam go – odparł dumnie Bourdon – chyba temu, kto się ośmieli zabrać mi go przemocą.

– Szalony! – mruknął Bernard.

W tejże chwili ruchem tak szybkim jak myśl sama, porwał wiszącą u siodła maczugę, o której już wspominaliśmy. Ciężka broń jak proca mignęła nad jego głową, a wypadając z jego rąk ze świstem i

szybkością kamienia wyrzuconego przez maszynę wojenną, jak trzcina zgięła się na głowie konia śmiałego Bourdona.

Zwierzę, śmiertelnie ugodzone, z zakrwawionym łbem, podniosło się na tylnych kopytach, zachwiało się i w mgnieniu oka koń i jeździec upadli na wznak i pozostali bez ruchu na kamieniach.

– Idźcie i podnieście tego młokosa! – rzekł Bernard.

I powrócił na miejsce swoje u boku króla.

– Zabiłeś go? – spytał Karol.

– Zdaje mi się, że tylko zemdlał.

Tanneguy potwierdził zdanie marszałka. Przyniósł też papiery, znalezione przy kawalerze de Bourdon. Pomiędzy nimi znajdował się list, którego adres napisany był ręką Izabelli Bawarskiej.

Król pochwycił list ten konwulsyjnie. Natychmiast też otaczający go panowie usunęli się przez dyskrecję, śledząc jednak oczyma coraz bardziej wzrastającą boleść w twarzy Karola VI.

Kilkakrotnie podczas czytania ocierał on pot spływający mu z czoła, a gdy skończył, podarł pismo w drobne kawałeczki i rzucił na pastwę wiatrom; po czym rzekł głosem przytłumionym, jakby wychodzącym z piersi trupa:

– Kawalera odstawić do Châtelet , królową do Tours! A ja... ja... pójdę do opactwa świętego Antoniego. Nie czuję się dość silnym, abym mógł wrócić do Paryża.

W istocie był tak blady i tak drżący, że zdawał się być bliski śmierci.

W chwilę potem oddział królewski rozdzielił się na trzy części, stanowiące jakby trzy wierzchołki trójkąta. Dupuy, prawa ręka Bernarda d'Armagnac i dwóch kapitanów, stanowili część, która miała się udać do Vincennes i królowej oznajmić wolę królewską; na czele części drugiej, mającej odprowadzić do Châtelet więźnia, ciągle jeszcze zemdlonego, stał Tanneguy Duchatel; trzecią część oddziału stanowił sam król z hrabią d'Armagnac i przez niego podtrzymywany udał się na przełaj przez pola do mnichów, z prośbą o przytułek, spoczynek i modlitwy...

II

Podczas gdy ciężkie bramy opactwa otwierają się przed królem, a cięższe jeszcze wrota więzienia w Châtelet zamykają się za kawalerem de Bourdon, podczas gdy Dupuy zatrzymuje się o staję od Vincennes, aby zaczekać na posiłki trzech kompanii straży, które mu miał nadesłać z prefektury Tanneguy Duchatel, my przenieśmy czytelnika do zamku Izabelli Bawarskiej.

Wejdziemy i zwróciwszy się na lewo, wstąpimy na schody kamienne, z piękną rzeźbioną barierą. Na pierwszym piętrze uchylimy drzwi osadzone w owalnych futrynach, miniemy pierwszą komnatę, którą dzisiaj nazywano by przedpokojem, i po cichutku, wstrzymując oddech podniesiemy bogatą portierę, haftowaną w złote kwiaty, a oddzielającą przedpokój od następnej komnaty; wtedy przedstawi się oczom naszym widok, zasługujący na uwagę.

W paradnej komnacie, kwadratowej jak wieża, której stanowi ona pierwsze piętro, a do której światło z trudnością się dostaje przez wąskie a wysokie gotyckie okna o szybach różnokolorwych, przysłoniętych firankami z materii haftowanej w złote kwiaty, na łożu wielkim i szerokim, wspartym na cyzelowanych kolumnach, leży w puchach i śpi kobieta jeszcze piękna, chociaż przebyła już granice młodości.

Półcień, panujący w pokoju, zdaje się być wymysłem kokieterii. W istocie bowiem nic nie odejmuje on pełności jej kształtów, ale łagodzi kontury i jest cudownym sprzymierzeńcem jej ręki białej, wysuniętej spod przykrycia i świetności godnej Rubensowskiego pędzla, głowy schylonej na obnażone ramię; delikatności rozpuszczonych włosów, których jedna część rozrzucona jest na pościeli, a druga, idąc w ślad za ręką, stanowi jej tło i spada aż na kosztowny dywan, stopnie łoża przykrywający.

Czyż potrzeba jeszcze pod tym portretem dać podpis, i czyż czytelnicy po opisie tym nie poznali w śpiącej Izabelli, na której twarzy lata rozkoszy lżej się zaznaczyły, niż lata boleści na czole jej męża?...

Po krótkiej chwili wargi pięknej tej kobiety rozchyliły się, oczy otworzyły, a w nich nad zwykłą surowością wyrazu przeważać się zdawała jakaś bezgraniczna, rozkoszna niemoc, którą winna była ostatniemu marzeniu sennemu, a raczej wspomnieniu rozkoszy.

Światło, jakkolwiek słabe, wydało się jeszcze zbyt silne, dla jej zmęczonych oczu; przymknęła więc je na chwilę, podniosła się, a oparłszy na łokciu, drugą ręką szukać poczęła pod poduszkami maleńkiego zwierciadła z polerowanej stali. Znalazła je, przejrzała się i uśmiech zadowolenia zaigrał na jej ustach. Następnie, położywszy zwierciadło na stojącym w pobliżu stoliku, wzięła zeń gwizdek srebrny i zagwizdała dwukrotnie, a jakby wyczerpana tym wysiłkiem, upadła na powrót na puchy z westchnieniem zmęczenia raczej niż smutku.

Zaledwie ucichło echo gwizdnięć królowej, uniosła się portiera zawieszona u drzwi i wsunęła się główna pięknej młodej panienki dziewiętnasto- lub dwudziestoletniej.

– Królowa pani mnie wzywa? – zapytała głosem łagodnym i bojaźliwym.

– Tak, Karoliono, wzywałam cię.

Młoda dziewczyna weszła do pokoju, stąpając tak cicho i tak starannie, jak gdyby się przyuczała do takiego kroku.

– Staranna jesteś i pilna, Karolino – rzekła królowa z uśmiechem.

– Obowiązkiem to jest moim, miłościwa pani.

– Zbliż się, zbliż... bliżej jeszcze...

– Wasza królewska mość życzy sobie wstać?

– Nie, porozmawiać chcę chwilkę.

Karolina aż się zarumieniła z rozkoszy; miała bowiem prosić królową o pewną łaskę i wiedziała, że koronowana jej pani jest właśnie w chwili takiego usposobienia, w którym potężni tej ziemi trzymają otworem skarbnice łask swych.

– Co to za hałas słychać w podwórzu? – mówiła dalej królowa.

– To koniuszowie i paziowie krzyczą i śmieją się, miłościwa pani.

– I inne jeszcze jakieś słyszę głosy.

– To są głosy panów de Graville i de Giac.

– A kawalera de Bourdon nie ma tam z nimi?

– Nie, pani, jeszcze się nie ukazał.

– I nic nowego tej nocy nie zakłóciło spokoju zamku?

– Nie. Tylko na chwil kilka przed brzaskiem dnia warta spostrzegła cień jakiś, sunący wzdłuż muru. Żołnierz krzyknął: „Kto idzie!" Człowiek, gdyż istotnie to był człowiek jakiś, przeskoczył na drugą stronę fosy, mimo odległości i wysokości spadku. Wtedy strażnik z łuku strzelił za tym człowiekiem...

– No i cóż? – spytała królowa.

Gdy pytała, rumieńce z jej policzków znikły zupełnie.

– Otóż to, że Rajmund jest niezdarny! Rozumie się, nie trafił, a dziś rano dostrzegł strzałę swoją utkwioną w jednym z drzew w rowie rosnących.

– A! – zawołała Izabella, oddychając swobodniej pełną piersią. Szalony! – dodała, jakby odpowiadając swej tajemnej myśli.

– Tak, miłościwa pani, musiał to być albo szalony, albo szpieg, gdyż na dziesięciu, dziewięciu by się było zabiło w tym skoku. A najdziwniejsze jest to, że się to zdarza już po raz trzeci! Niepokojące to wieści dla mieszkańców zamku, nieprawdaż, pani?

– Tak, moje dziecię, ale poczekaj, jak kawaler de Bourdon zostanie dowódcą tej twierdzy, to się już więcej te rzeczy nie powtórzą.

I niedostrzegalny prawie uśmiech przeusnął się po ustach królowej, podczas gdy rumieńce jej na nowo powoli występować poczęły.

– O! – rzekła Karolina. – Kawaler de Bourdon jest tak odważny...

Królowa uśmiechnęła się.

– A! więc lubisz go?

– Z całego serca – odparła naiwnie młoda dziewczyna.

– Powiem mu to Karolino, i jestem pewna, że dumny z tego będzie.

– O, pani miłościwa, nie wspominaj mu o tym; mam właśnie prośbę do niego i nie ośmieliłabym się nigdy, gdyby wiedział...

– Ty, prośbę do niego?

– Tak, pani, ja!

– Cóż to takiego?

– O, pani!...

– No, nic nie szkodzi, powiedz mi, czego żądasz.

– Chcę... O! kiedy się boję...

– Czegóż?!... No, mów!

– Chcę prosię go o miejsce koniuszego.

– Dla siebie? – spytała znów królowa.

– O!... – zawołała Karolina, rumieniąc się i spuszczając oczy.

– Twój zapadł dowodzi mi, że wielce cię to interesuje. Dla kogóż więc?

– Dla pewnego młodego człowieka.

Karolina wyszeptała te słów kilka tak cicho, że królowa zaledwie usłyszeć je mogła.

– A! Któż to taki?

– Pani miłościwa!... wasza królewska mość nigdy nie raczy...

– No, nie wzdragaj się i powiedz mi, co on za jeden! – zawołała królowa z pewnym rodzajem niecierpliwości.

– Mój narzeczony! – szybko odpowiedziała przelękniona dziewczyna, a dwie łzy zatrzęsły się na czarnych jej rząsach.

– Więc ty kochasz moje dziecię?! – zawołała królowa tonem tak łagodnym i słodkim, jakby matka, wypytująca własną córkę.

– O tak! pani miłościwa! kocham nad życie...

– Nad życie! pani miłościwa! kocham nad życie...

– Nad życie!... No, kiedy tak, Karolino, to ja tę sprawę biorę na siebie. Ja poproszę Bourdona o to miejsca dla twego narzeczonego, w ten sposób będziecie zawsze razem! Tak, rozumiem cię, słodko jest i rozkosznie przebywać zawsze z tym, którego się kocha.

Karolina upadła na kolana całując ręce królowej, której twarz, zwykle tak dumna i wyniosła, miała w tej chwili wyraz słodyczy iście anielskiej.

– O! jakże łaskawą raczy być dla mnie jej królewska mość! – zawołała. – Ileż wdzięczności mieć będę! Niech Bóg wszechmocny i święty Karol błogosławieństwo swe na głowę jej ześlą!... Dzięki, ach, dzięki!... Jakże on będzie szczęśliwy!... Pozwól, miłościwa pani, niech mu tę wieść pomyślną zaniosę.

– Więc on tu jest?

– Jest – odrzekła, spuszając głowę ze wstydem. – Powiedziałam mu wczoraj, że pan de Bourdon ma zostać komendantem vinceńskiej fortecy, a tej nocy przyszło mu na myśl to, o czym przed chwilą mówić się poważyłam waszej królewskiej mości... Dziś więc rano przybiegł podzielić się ze mną swymi myślami.

– Gdzież on jest?

– Tu, w przedpokoju.

– I tyś śmiała?!...

Czarne oczy Izabelli zaświeciły błyskawicą. Karolina, klęcząca u łoża królowej, cofnęła się z przerażeiem.

– O, łaski! przebaczenia!... – wyszeptała.

Izabella zamyśliła się.

– Człowiek ten byłby całym sercem przywiązany do mnie i szczerze oddany moim interesom, nieprawdaż?... – zapytała.

– O! po tym, co mu miłościwa pani przyobiecać raczyła, w ogień by skoczył dla waszej królewskiej mości.

Królowa uśmiechnęła się.

– Wprowadź go tu, Karolino, chcę go widzieć.

Karolina schwyciła się za głowę obiema rękoma, jakby się przekonać chciała, że nie śni; potem powoli podniosła się z ziemi, spojrzała na królową ze zdziwieniem, a otrzymawszy powtórny rozkaz, wyszła z komnaty.

Królowa zsunęła firanki łóżka, a przez pozostawiony otwór wytknęła głowę, ujmując ręką fałdy firanek pod brodą. Wiedziała dobrze, że piękności jej nie zaszkodzi wcale odbłysk czerwonego światła od jaskrawej, kolorwej materii.

Zaledwie zdążyła tak zabezpieczyć wstydliwość swoją, weszła Karolina, a za nią jej kochanek.

Był to przystojny młody człowiek, lat dwadzieścia do dwudziestu dwu mieć mogący, o czole szerokim i otwartym, o oczach niebieskich i żywych bardzo. Włosy miał blond i cerę bladą; ubrany był w kaftan z sukna zielonego; spodnie tegoż samego koloru, obcisłe mocno – odznaczały muskuły jego nóg. Pas ze skóry żółtej podtrzymywał miecz ze stali, o szerokiej klindze; rękojeść miecza błyszczała, mocno wytarta. Były to ślady przyzwyczajenia, jakie miał młodzieniec, wspierając na niej jedną rękę, tak jak w tej właśnie chwili, podczas gdy w drugiej trzymał kapelusz filcowy w rodzaju ówczesnych czapeczek myśliwskich.

Wszedł i postąpiwszy dwa kroki, stanął. Królowa jednym szybkim rzutem oka objęła całą tę postać. Bez wątpienia, egzamin ten trwałby dłużej, gdyby mogła przewidzieć, że stoi przed nią jeden z tych ludzi, którym los przeznaczył w życiu jednak taką godzinę, w ciągu której mają być narzędziem woli Najwyższego, zmieniającej losy narodów. Ale, jak powiedzieliśmy, nic w nim nie zdradzało podobnie wielkiego przeznaczenia i w tej chwili był to sobie po prostu przystojny, młody chłopiec, blady, bojaźliwy i zakochany.

– Jak się nazywasz? – spytała królowa.

– Perrinet Leclerc.

– Czyim jesteś synem.

– Ławnika Leclerca, klucznika bramy Saint–Germain.

– Czym się trudnisz?

– Handluję żelastwem na małym mieście.

– I porzuciłbyś to zajęcie, aby wejść w służbę kawalera de Bourdon?

– Wszystko bym porzucił, miłościwa pani, aby być razem z Karoliną.

– I nie będzie ci trudno przyzwyczaić się do obowiązków nowej służby?

– W sklepie moim, jako handlarza żelastwem, jest broń wszelkiego rodzaju od maczugi aż do sztyletu i od łuku do kopii. Każdą bronią przeto nauczyłem się władać, miłościwa pani, i umiem to wszystko tak dobrze, jak najlepszy rycerz.

– A jeżeli otrzymasz to miejsce, będziesz mi wdzięczny i rozkazom moim posłuszny?

Młody chłopak podniósł oczy, śmiało spojrzał w oczy Izabelli i rzekł z pewnością siebie:

– Będę, miłościwa pani, wdzięczny bez granic i posłuszny, o ile zgodzi się to z tym, co winien jestem Bogu i najjaśniejszemu, nam panującemu królowi Karolowi, tak mi Panie Boże dopomóż!

Królowa zmarszczyła czoło.

– Dobrze więc – rzekła – możesz uważać rzecz tę za skończoną.

Kochankowie wymienili między sobą spojrzenie pełne miłości i szczęścia. W tejże chwili gwałtowny hasłas dał się słyszeć w podwórzu.

– Co to jest? – zawołała królowa.

Karolina i Leclerc pośpieszyli do okna.

– O Boże Wielki! – zawołała młoda dziewczyna z przerażeniem.

– Co to jest? co się dzieje? – powtórnie zawołała królowa.

– O, pani nasza! Całe podwórze napełnione zbrojnymi, którzy rozbroili naszą załogę! Panowie de Giac i de Graville są aresztowani.

– Byłżeby to napad Burgundczyków?... – wykrzyknęła Izabella.

– Nie, najjaśniejsza pani – rzekł Leclerc. – Są to ludzie hrabiego d'Armagnac. Poznaję ich białe krzyże!

– A tam ich dowódca! – zawołała Karolina. – Pan Dupuy! Towarzyszy mu dwóch kapitanów... Pytają o apartamenta królowej, bo widzę, jak im te okna wskazują... Oto idą, już weszli. już są na schodach...

– Czy mam ich wpuścić? – krzyknął Leclerc, wydobywając do połowy swój sztylet.

– Nie, nie! – żywo zawołała królowa. – Skryj się, młodzieńcze, do tego gabinetu... Być może, że będziesz mógł być mi użyteczny, ale to stać się może jedynie pod warunkiem, że nie będą powiadomieni o twojej obecności, inaczej sam zginiesz i mnie się na nic nie przydasz!...

Karolina popchnęła Leclerca do małego, ciemnego pokoiku, znajdującego się w pobliżu łoża Izabelli. Królowa wyskoczyła z łóżka, zarzuciła na siebie szeroką suknię z brokateli, przybraną futrem, a w pośpiechu za całą przepaskę służyły jej skrzyżowane ręce. Włosy jej rozpuszczone spadały na ramiona i

dosięgały prawie kolan. W tej chwili Dupuy, w towarzystwie dwóch kapitanów, podniósł zasłonę i nie zdejmując kapelusza z głowy, zwrócił się do Izabelli:

– Najjaśniejsza pani, jesteś moim więźniem.

Izabella krzyknęła; w krzyku tym odbijał się gniew i zdziwienie; potem czując, że nogi chwieją się pod nią, upadła na łóżko, spojrzała na tego, który mówił do niej z takim brakiem szacunku i wymówiła z cierpkim uśmiechem:

Czyś stracił zmysły, panie Dupuy?...

– To król nasz i pan, niestety, utracił je – odpowiedział –gdyż gdyby je posiadał dotychczas, byłbym miał sposobność powiedzieć pani wcześniej to, co przed chwilą powiedziałem.

– Mogę być uwięziona, ale jeszcze jstem królową, a gdybym nią nawet nie była, to zawsze jestem kobietą; przemawiaj waszmość do mnie z głową odkrytą, jakbyś mówił do swego marszałka, gdyż przypuszczam, że to on cię tu przysyła.

– Nie mylisz się, pani, przychodzę z jego rozkazu – odpowiedział Dupuy, zdejmując powoli kapelusz jak człowiek czyniący zadość swej własnej woli, a nie cudzemu rozkazowi.

– Dobrze – odrzekła królowa. – Ponieważ jednak oczekuję króla, to zobaczymy jeszcze, kto tu jest panem: marszałek czy król...

– Król nie przybędzie.

– Powiadam panu, że ma przyjechać.

– W połowie drogi król spotkał pana de Bourdon...

Królowa drgnęła; Dupuy zauważył to i uśmiechnął się.

– Cóż stąd? – powiedziała królowa.

– To, że spotkanie to zmieniło zamiary króla, a zapewne i zamiary rycerza, gdyż spodziewał się pewno wracać sam, a tymczasem w tej chwili jedzie pod dobrą strażą; miał on zapewne zamiar wrócić do swego pałacu, my tymczasem przeznaczyliśmy mu mieszkanie w Châtelet.

– W więzieniu! Za co?...

Dupuy uśmiechnął się.

– Musisz pani wiedzieć lepiej, aniżeli my, za co!

– Mam nadzieję, że życiu jego żadne nie zagraża niebezpieczeństwo?...

– Niedaleko jest z Châtelet na plac de la Grève – rzekł, śmiejąc się, Dupuy.

– Czyżby go miano zamordować?!...

– Przypomnij sobie, królowo – rzekł Dupuy, patrząc na nią wzrokiem dumnym i surowym – księcia Orleanu. Był on pierwszym w królestwie, po królu naszym i panu, miał czterech lokai niosących kopie, dwóch paziów dźwigających miecze ostatniego wieczora, gdy przebywał ulicę Barbette, wracając od pani z wieczerzy. A skoro obydwaj jedną popełnili zbrodnię, czemuż by nie miał spotkać ich los jednaki?

Królowa podniosła się z wyrazem najstraszniejszego gniewu; krew nagle uderzyła jej do twarzy, zdawało się, iż wytryśnie wszystkimi porami. Wyciągnęła rękę ku drzwiom, postąpiła krok naprzód i głosem ochrypłym z wściekłości, wymówiła jedno tylko słowo:

– Precz!...

Dupuy, nie zmieszany, usunął się krok w tył.

– Dobrze, pani, lecz zanim wyjdę, muszę dodać jszcze, że wyraźny jest rozkaz króla i marszałka, abyś pani natychmiast wyjechała do miasta Tours.

– Zapewne w pańskim towarzystwie?

– Nie inaczej.

– Więc to panu powierzono godność mego dozorocy? Zaszczytne zaiste stanowisko i spełniasz je godnie!

– Obowiązek zasuwania zamków za królową Francji jest także pewnego rodzaju stanowiskiem w państwie.

– Sądzisz może – rzekła Izabella – że i kat, który by mi ściął głowę, zyskałby szlachectwo tym czynem?

Odwróciła się, jakby zmęczona mówieniem i nie chciała więcej odpowiadać.

Dupuy zgrzytnął zębami.

– Kiedy będziecie gotową do wyjazdu, pani?

– Zawiadomię was o tym.

– Pamiętajcie, że czas nagli.

– Pamiętaj waść, że jestem królową i że rozkazałam ci wyjść stąd!

Dupuy mruknął kilka wyrazów; ponieważ jednak wszyscy znali przewagę, jaką królowa Izabella miała nad słabym monarchą, lękał się teraz, dopóki znajdowała się tak blisko, aby chwilowo utraconej władzy nie odzyskała na nowo. Skłonił się więc z większym niż dotąd szacunkiem i wyszedł, stosując się do rozkazu.

Zaledwie spuściła się za nim i jego dwoma towarzyszami zasłona, królowa padła na fotel; Karolina wybuchnęła płaczem, a Perrinet Leclerc wybiegł z ukrycia. Bledszy był niż zwykle, lecz widocznym było, że bladość ta pochodzi raczej z gniewu niż z obawy.

– Czy mam zabić tego człowieka?! – wymówił przez zaciśnięte zęby, trzymając w ręku obnażony sztylet.

Królowa gorzko się uśmiechnęła. Karolina rzuciła się do nóg jej z płaczem. Grom, który uderzył w królową, był również dotkliwym ciosem dla tych dwojga młodych ludzi.

– Zabić go! – rzekła królowa. – Sądzisz więc, młodzieńcze, że do tego potrzebowałabym twojej ręki i twego sztyletu? Zabić go!... i po co!... Patrz, w podwórzu pełno żołnierzy... Zabić go... Czyż to ocali Bourdona?

Karolina wylewała obfite łzy. Ze współczuciem dla królowej i pani swojej, łączyły się w jej sercu własne i nie mniej dotkliwe cierpienia i obawy. Królowa traciła to, co posiadała; Karolina traciła nadzieję ziszczenia swych pragnień i ona, więcej niż królowa, godna była pożałowania.

Królowa mówiła dalej:

– Płaczesz, Karolino... ty płaczesz!... a pozostaje ci przecież ten, którego kochasz!... Rozstanie wasze będzie tylko chwilowe!... Ty płaczesz! A jednak ja, królowa Francji, chętnie los mój zamieniłabym z tobą!... Ty płaczesz! Nie wiesz chyba, że ja, która płakać nie mogę, kochałam pana de Bourdon tak, jak ty kochasz swego Perrineta! Oni go zabiją, pojmujesz to ty?! Zabiją go, gdyż oni nie przebaczają nigdy!... Tego, którego ja kocham tak, jak ty to kochasz tamtego, zabiją, a ja nic uczynić nie mogę, aby przeszkodzić temu morderstu, nie będę nawet wiedziała, kiedy utopią sztylet w jego sercu i teraz już wszystkie godziny mego życia będą mi się wydawały godzinami jego śmierci. Powtarzać będę bezustannie: „Być może w tej chwili on mnie wzywa, woła mnie – tarza się w krwi własnej, kona w męczarniach, a ja, ja jestem tu! i nie mogę nic dla niego uczynić, a przecież jestem królową, królową Francji!...” Przekleństwo!... nawet nie płaczę i płakać nie mogę!

Królowa łamała ręce, a dwoje tych dzieci prawie, przed którymi się skarżyła, płakało już nie nad swoją niedolą, ale nad cierpieniem królowej.

– O!... cóż my uczynić byśmy mogli – mówiła Karolina.

– Rozkazuj, miłościwa pani – mówił Leclerc.

– Nic, nic... Ach! piekło całe jet w tym jednym słowie. być gotową oddać krew swoją, życie, aby ocalić ukochanego i nie móc nic... nic zupełnie uczynić! Ach! gdybym miała w swej mocy tych ludzi, którzy już po raz drugi z udręczeń serca mego igraszkę sobie czynią! Nic przeciwko nim uczynię nie mogę, nic dla niego! A jednak byłam wszechwładna, w przystępie szaleństwa króla mogłam wymóc podpisanie wyroku śmierci na marszałka i nie zrobiłam tego! Och! bezrozumna! powinnam to była uczynić!... Teraz on, dumny d’Armagnac, oczekiwałby wyroku śmierci, jak oczekuje go Bourdon, tak piękny, tak młody! On, który nic im nie zawinił!... Ach! Oni go zabiją, jak już zabili Ludwika Orleańskiego, który również nic im złego nie uczynił... A król?... Król, który widzi te morderstwa, który stąpa we krwi, a gdy się potknie, opiera się na mordercach! Król szalony, król bezrozumny!... Och! mój Boże! mój Boże! miej litość nade mną!... Ocal mnie! pomścij mnie!...

– Miłosierdzia! – wzywała Karolina.

– Przekleństwo! – wołał Leclerc.

– Ja mam wyjechać!... Oni chcą, żebym wyjechała! Oni sądzą, że ja wyjadę!... Nie, nie... Wyjechać, nie wiedząc, co się z nim stało!... O, nie! Poszarpią mnie chyba w kawałki! Zobaczymy, czy ośmielą się podnieść rękę na swoją królową. Uczepię się tych sprzętów rękoma i zębami... Ach! muszą mi powiedzieć, co się z nim stało, albo lepiej, gdy noc ciemna zapadnie, sama pójdę do więzienia...

Królowa wzięła do ręki szkatułkę i otworzyła ją.

– Patrzcie, mam złoto!... Dosyć złota na okup człowieka, ciała jego, krwi jego i duszy jego; a jeśli tego za mało, mam jeszcze klejnoty, perły, za które kupić można całe królestwo! Wszystko to oddam dozorcy więzienia i powiem mu: „Oddaj mi go żywego!.. oddaj go, nie dotknąwszy jednego włosa jego,

a wszystko to złoto, perły, brylanty, wszystko to będzie twoje! twoje!... boś mi darował więcej, niż to wszystko warte i pozostanę jeszcze dłużniczką twoją i dam ci więcej jeszcze skarbów".

– Najjaśniejsza pani – rzekł Leclerc. – Jeśli rozkażesz, pójdę do Paryża. Mam przyjaciół, zbiorę ich i uderzymny na Châtelet.

– Tak, tak – rekła królowa z goryczą. – I przyśpieszycie śmierć jego, nieprawdaż?!... A jeśli nawet zdołacie się dostać do więzienia, znajdziecie tam w głębi lochu podziemnego już tylko zwłoki skrawione i ciepłe jeszcze, gdyż mniej potrzeba czasu na utopienie sztyletu w piersiach człowieka, aniżeli do wyłamania dziesięciu drzwi... dziesięciu drzwi żelaznych!... Nie, siłą nic nie zrobimy: zabilibyśmy go... Idź, jedź, przepędź noc całą przed zamkiem Châtelet; jeśli prowadzić go będą żywego do innego więzienia, idź za nim aż do drzwi; jeśli go zamordują, idź za jego zwłokami aż do grobu, a w pierwszym czy drugim wypadku, powróć do mnie, abym wiedziała, gdzie jest: żywy czy zabity?!

Leclerc chciał już odejść, królowa zatrzymała go.

– Tędy – rzekła, kładąc palec na ustach.

Otworzyła drzwi przyległego pokoiku, nacisnęła sprężynę, usunęło się obiocie, otworzyły się drzwiczki i ukazały się schody wykute w murze.

– Chodź za mną – powiedziała.

Dumna Izabella, potężna królowa, była w tej chwili zwykłą kobietą, drżącą i lękliwą. Ujęła rękę skromnego handlarza żelastwem, w nim bowiem w tej chwili położyła całą nadzieję; prowadziła go badając grunt własną stopą i ostrzegając o każdym załomie w ciasnym i ciemnym, korytarzu, przez który przechodzili. Po przebyciu kilku zakrętów, przez szparę w drzwiach ujrzał Leclerc światło dzienne; królowa otworzyła te drzwi; wychodziły na ogród otoczony murem. Królowa śledziła wzrokiem za młodym człowiekiem, który wszedł na mur, zrobił ostatni znak ręką, wyrażający szacunek i nadzieję, i zniknął zeskakując w rów.

W zamku zamieszanie było tak wielkie, że nikt tego nie spostrzegł. Leclerc przebiegł przez pola aż do Bastylii, wszedł na ulicę Świętego Antoniego, wydostał się na plac de la Grève, chwilę zatrzymał się i wzrokiem ciekawym wpatrzył się w szubienicę, która wyciągała swe wychudłe ramiona od strony rzeki. Śpiesząc dalej, zatrzymał się na moście Notre Dame dla odpoczynku i dopadł nareszcie rogu ulicy Grande–Boucherie, a zauważywszy, że nikt do Châtelet wejść ani wyjść nie zdoła, aby on z tego miejsca go nie dostrzegł, wmieszał się w tłum mieszczan, rozmawiających o aresztowaniu rycerza.

– Upewniam cię, panie Bourdichon – mówiła stara kobieta do mieszczanina, którego dla zwrócenia większej uwagi trzymała za guzik od kaftana – upewniam pana, że odzyskał przytomność; wiem to od Klary, córki dozorcy z Châtelet; ona mi mówiła, że ma tylko trochę stłuczoną głowę i nic więcej.

– Ja się nie sprzeczam z wami, Joanno – odpowiedział mieszczanin – ale nie wiem, za co jest aresztowany.

– Ba! to łatwo odgadnąć: był w zmowie z Anglikami i Burgundami, zdradzał, chciał spalić miasto, mordować ludzi, bić pieniądze z naczyń kościelnych... Co więcej, mówią, jakoby królowa Izabella namawiała go do tego; od zamordowania księcia Orelanu nienawidzi paryżan do tego stopnia, iż – jak powiada – dopiero wtedy będzie zadowolona, gdy z ziemią zrównają ulicę Barbette i spalą dom z obrazem Matki Boskiej.

– Posuńcie się? Puszczajcie! – zawołał rzeźnik jakiś. – Oto właśnie kat idzie.

Człowiek w ubraniu czerwonym przeszedł pośród tłumu, który z instynktownym przerażeniem rozsunął się. Gdy się zbliżał do Châtelet, drzwi otworzyły się same, jakby go poznały, i natychmiast zamknęły się za nim. Wszyscy ścigali go wzrokiem; w tłumie panowała cisza, po której znowu wrócono do przerwanej rozmowy.

– Ach! to dobrze – mówiła kobieta, puszczając guzik od kaftana Bourdichona – znam córkę dozorcy i może będzie mogła widzieć, jak go będą badali...

I pobiegła do Châtelet z szybkością, na jaką pozwalał jej wiek zgrzybiały i nogi niejednakowej długości. Gdy zapukała do drzwi, otworzyło się małe okienko i młoda dziewczyna, blondynka, wysunęła okrągłą wesołą twarzyczkę. Wszczęła się krótka rozmowa, której rezultat nie był jednak taki, jakiego spodziewała się stara Joanna, bo drzwi pozostały zamknięte, tylko młoda dziewczyna wyciągnęła rękę przez kartę i wskazała otwór w ścianie, pozostawiony dla odświeżania powietrza w podziemiach, i zniknęła. Stara zrobiła znak ręką, aby się zbliżono. Kilkanaście osób z tłumu oddzieliło się. Przed otworem uklękła stara kobieta, mówiąc do otaczających:

– Chodźcie tutaj, oto otwór do oświeżania powietrza, stąd nic widzieć nie będziemy, ale słyszeć można będzie jego krzyki, a i to coś warte.

Wszyscy rzucili się do otworu, który łatwo można było wziąć za czeluść piekielną, gdyż nie upłynęło jeszcze dziesięć minut, gdy rozległ się brzęk łańcuchów, wściekłe krzyki i dojrzeć można było błyski ognia.

– Ach! Widzę ruszt – mówiła kobieta. – Patrzcie, kat wkłada żelazne szczypce... A teraz rozdmuchuje ogień...

Za każdym poruszeniem miecha buchał pod rusztami płomień tak żywy i silny, że sprawiał wrażenie błyskawicy podziemnej.

Krzyk straszny rozległ się w powietrzu... Wszystkie głowy nachyliły się nad otworem lochu.

– O! słuchajcie! Sędzia go bada! – zaczęła znowu stara, która jako pierwsza przybyła, pierwsze też zajmowała miejsce, wetknąwszy głowę pomiędzy żelazne kraty okienka. – Nie odpowiada!.. O łotr!... Odpowiadaj, zbóju!... Mów, morderco! Wyznaj twe zbrodnie.

– Cicho! – wołali z tłumu ciekawi.

Kobieta wydobyła głowę spomiędzy krat, ale rękoma się ich uchwyciła, zapewniając sobie możność powrotu do dawnej pozycji, a odwracając się do tłumu, rzekła z tą pewnością siebie, która zdradzała przyzwyczajenie i obycie z podobnymi sprawkami:

– Wiecie przecie, że jeżeli się do niczego nie przyzna, nie będą mogli go powiesić!

Nowy jęk, wydobywający się z lochu, zmusił ją do powrotu na stanowisko.

– Aha! – zawołała – teraz będzie co innego! Kat rzucił szczypce na bok... O! leżą tam przy ruszcie!... Cóż to znaczy, czyżby się już zmęczył oprawca?

Usłyszano uderzenie młota.

– Ach! teraz rozumiem, biorą go między deski!

Był to inny rodzaj tortury. Na nogi nieszczęśliwego zakładano dwie deski i krępowano je silnie grubymi i mocnymi powrozami. Następnie pomiędzy wbijano gruby klin żelazny, który miażdżył ciało i kruszył kości torturowanego.

Kawaler jednak mimo strasznego bólu nie wymówił nic, uderzenia młota bowiem rozległy się z ciągle wzrastającą siłą i szybkością. Kata gniewać to zaczynało. Niezadługo jednak wszystko ucichło, uderzenia młota ustały, kilka razy tylko jęki boleści rozdarły powietrze, ale i to wkrótce umilkło. Stara Joanna podniosła się, a otrzepując pył z kolan i poprawiając czepiec, rzekła:

– Na dziś skończone badanie. Zemdlał, nic nie wyznawszy!

I odeszła w przekonaniu, że dłuższe oczekiwanie byłoby bezużyteczne. Głęboka znajomość, jaką stara okazywałała co do zwyczajów w podobnych razach, tak była przekonywająca, że cały tłum otaczający okienko, rozproszył się, a pozostał o mur oparty jeden tylko człowiek; był to Perrinet Leclerc.

W chwilę potem, jak przewidziała stara Joanna, kat wyszedł. Przed wieczorem wprowadzono do więzienia księdza. Gdy już zupełna noc zapadła, rozstawiono zewnątrz straże; jeden z wartowników zmusił Leclerca do usunięcia się nieco dalej. Usiadł on na kamieniu nad brzegiem rzeki, tuż przy Moście Młynarzy. Dwie godziny upłynęły, a chociaż noc była głęboka, oczy Leclerca tak już przywykły do ciemności, że z łatwością rozpoznawał na szarych murach czarne miejsce, w którym znajdowały się drzwi Châtelet. Nie wymówił on przez ten czas ani jednego słowa, nie zdjął ręki ze sztyletu i nie pomyślał nawet o posiłku i napoju.

Wybiła godzina jedenasta. Dźwięk ostatniego uderzenia zegara drżał jeszcze w powietrzu, gdy drzwi więzienia otworzyły się, a na progu ukazało się dwóch żołnierzy. Każdy z nich w jednej ręce trzymał miecz, a w drugiej pochodnię, za nimi postępowało czterech ludzi, dźwigających jakiś ciężar; orszak zamykał człowiek, którego twarz zasłaniał czerwony kapelusz. Orszak ten zbliżał się w milczeniu do mostu, na którym siedział Leclerc. Kiedy już doszli do mostu, Perrinet dostrzegł, iż niosą obszerny worek skórzany i usłyszał wydobywające się z niego jęki.

Wątpliwość wszelka znikła.

W jednej chwili, z wydobytym sztyletem w ręku, młodzian rzucił się na niosących ciało ludzi; dwóch z nich powalił na ziemię i worek rozciął w całej długości. Z worka wypadł na bruk człowieka.

– Uciekajcie, szlachetny panie! – zawołał Lecrec.

I korzystając z wrażenia, jakie niespodziewany ten napad sprawił, Leclerc zsunął się ze stromego brzegu ku rzece i zniknął z oczu osłupiałych żołnierzy.

Ten, któremu Perrinet z tak szaloną odwagą chciał wolność powrócić, próbował uciekać. Podniósł się, ale nogi, których kości były zgruchotane, odmówiły mu posłuszeństwa i upadł zemdlony, wydając jęki boleści i rozpaczy.

Człowiek w czerwonym kapeluszu dał znak; ci ze straży, którzy nie byli ranni, wzięli więźnia na ramiona, a gdy doszli do środka mostu, przewodniczący stanął i zawołał:

– Stójcie! Tu wrzućcie go do rzeki!

Rozkaz natychmiast został wypełniony; przedmiot jakiś bez kształtu zakręcił się na przestrzeni między mostem a rzeką, potem rozległ się plusk wody i wszystko ucichło...

W tej samej chwili do miejsca, w którym upadło ciało, zbliżyła się łódka kierowana przez dwóch ludzi i płynęła wzdłuż z biegiem rzeki. W chwilę potem, podczas gdy jeden z nich wiosłował, drugi na haku spuszczonym do wody wyciągał na powierzchnię jakiś ciężar i już go miał umieścić na łodzi, gdy przy poręczy mostu ukazał się człowiek w czerwonym kapeluszu i głosem silnym, a ponurym wymówił uroczyste słowa:

– Niech się spełnią sprawiedliwe wyroki króla!...

Wioślarz zadrżał i mimo próśb towarzysza rzucił ciało kawalera de Bourdon do rzeki.

III

Około sześciu miesięcy upłynęło od opisanego wypadku. Noc zapadała nad wielkim miastem i z wierzchołka bramy Saint–Germain widzieć można było, jak w miarę zbliżania się północy niknęły w mroku dzwonnice i wieże, którymi jeżył się Paryż w 1417 roku; wkrótce wszystko utonęło we mgle, która wznosiła się z Sekwany falując i podrywając się na wietrze. Przez chwilę jeszcze dojrzeć można było stary Louvre z kolumnadą wież, katedrę Notre Dame i wysmukłą dzwonnicę Saint–Chapelle; potem cień rzucił się na uniwersytet, okrył wieże Saint–Germain, doścignął Sorbony, spoczął chwilę na dachach domów, spuścił się na ulicę, przestąpił wały, rozpostarł się na całej przestrzeni, a idąc dalej, zatarł na horyzoncie czerwonawą linię, jaką pozostawiło zachodzące słońce, niby ostatnie pożegnanie ziemi, na której kilka minut przedtem odznaczały się jeszcze czarne sylwetki trzech dzwonnic opactwa Saint–Germain–des–Prés.

Jednakże na linii murów, obejmujących jakby pasem uśpionego olbrzyma, rozróżnić można rozstawione warty, mające strzec jego bezpieczeństwa. Miarowy i monotonny odgłos kroków tych wart porównać by można do pulsacji krwi w żyłach tego olbrzyma, świadczących że życie w nim wre, chociaż chwilowo pokryte pozorami śmierci. Od czasu do czasu okrzyki: „Baczność! Czuwajcie, straże!" – dają się słyszeć w jednym punkcie i jak echo przebiegają stopniowo cały okrąg murów i wałów miasta, i powracają znowu do miejsca, z którego wyszły.

Pod cieniem, padającym od bramy Saint–Germain, wznoszącej się wysoko nad mury, przechadza się strażnik smutniejszy i cichszy od innych. Po ubiorze jego na pół wojskowym, a na pół mieszczańskim łatwo odgadnąć, że jakkolwiek chwilowo pełniący obowiązki żołnierza, człowiek ten należy raczej do korporacji rzemieślników, która na rozkaz marszałka d'Armagnac dostarczyła pięciuset ludzi do straży miasta. Od czasu do czasu zatrzymuje się on, opiera na ciężkiej halabardzie, w którą jest uzbrojony, zapuszcza niepewne spojrzenie w przestrzeń, potem z westchnieniem na nowo zaczyna się przechadzać. Wtem zwrócił jego uwagę głos człowieka, znajdującego się z zewnętrznej strony okopów, proszący o otworzenie bramy Saint–Germain. Osobistość opóźniająca się liczyła widocznie na uprzejmość wartownika, który na własną odpowiedzialność mógł po godzinie dziewiątej wpuścić przybysza. Przypuszczać należy, że nie mylił się co do wpływu jaki posiadał, gdyż młody wartownik zaledwie głos posłyszał, zszedł po wewnętrznej spadzistości wału fortecznego i zapukał do małego okienka, przez które przedzierało się światełko lampy, wołając dość głośno, aby go można było usłyszeć wewnątrz:

– Ojcze, wstańcie prędko i otwórzcie bramę panu Juvénalovi des Ursins.

Zmiana kierunku światła dowodziła, że wyrazy te dosłyszane zostały; strarzec, z lampą w jednej i pękiem kluczy w drugiej ręce, wyszedł z domu i zbliżał się w towarzystwie młodziana, który go wołał, pod sklepienie wznoszące się nad ciężką, w żelazo okutą bramą. Jednakże, przed włożeniem klucza w zamek, jakby zapewnienie syna było niedostateczne, starzec zapytał człowieka, stojącego z przeciwnej strony i pukającego nogą o bramę.

– Kto tam?

– Otwórzcie, ojcze Leclerc, jestem Jan Juvénal des Ursins, radca parlamentu pana naszego i króla. Zapóźniłem się u przeora opactwa Saint–Germain–des–Prés; ponieważ jednak jesteśmy starzy znajomi, więc liczyłem na waszą uprzejmość.

– Tak, tak – mruknął Leclerc – jesteśmy starzy znajomi, jakkolwiek jam starzec, a wy dziecko prawie jeszcze. Ojciec twój, młodzieńcze, miał prawo mówić do mnie w ten sposób, gdyż obydwaj rodziliśmy się w mieście Troyes, w 1350 roku, a znajomość nasza sześćdziesięcioośmioletnia zasługiwała na miano dawnej i trwałej.

Wymawiając te słowa, dozorca zakręcił dwa razy klucz w zamku, obrócił na osi ciężką sztabę żelazną, zamykającą bramę, w ten sposób, aby przyjęła kierunek pionowy, a jedną ręką popychając, drugą ciągnąc ku sobie, uchylił dwie połowy olbrzymich drzwi, dając przejście młodemu człowiekowi, mogącemu liczyć od dwudziestu sześciu do dwudziestu ośmiu lat.

– Dziękuję wam, ojciec Leclerc – rzekł młodzian, uderzając po ramieniu starca gestem wyrażającym szacunek i życzliwość – dziękuję, a przy sposobności liczcie na mnie, jak ja obecnie liczyłem na was.

– Panie Juvénal – rzekł młody żołnierz – w usłudze, jaką wam ojciec mój wyświadczył i ja też udział brałem, gdyż gdybym go nie zawiadomił, mógłbyś pan z łatwością przepędzić noc po drugiej stronie wałów.

– Ach! to ty, Perrinecie! Cóż ty robisz w tym ubraniu i o tak później porze?

– Jestem na warcie z rozkazu marszałka, a ponieważ wolno mi było obrać sobie stanowisko, przyszedłem na obiad do mego starego ojca.

– Był też pożądanym gościem – dodał staruszek – gdyż jest to szlachetny chłopiec, bogobojny, szanuje króla i kocha swoich rodziców.

Stary Leclrec wyciągnął do syna rękę pomarszczoną i drżącą.

Perrinet uścisnął ją w swoich dłoniach; Juvénal ujął drugą rękę starca.

– Dziękuję ci raz jeszcze, stary przyjacielu; nie stój już dłużej na chłodnym powietrzu; mam nadzieję, że drugi natrętnik nie będzie już twej uprzejmości wystawiać na próbę.

– I dobrze by uczynił, panie des Ursins, gdyż nawet dla miłościwego pana naszego delfina Karola, którego niech Bóg uchowa, nie zrobiłbym tego, co dla was uczyniłem. W tych burzliwych czasach jest to wielka odpowiedzialność mieć pod swoją opieką klucze miasta. Toteż, gdy czuwam, nie opuszczają one mego boku, a gdy spoczywam, mojej poduszki.

Po tej pochwale, jaką oddał własnej przezorności, staruszek ostatni raz jeszcze uścisnął ręce, które trzymał w swoich, podniósł z ziemi latarnię i poszedł do domu, pozostawiając obu młodym ludziom całą swobodę rozmowy.

– Chciałeś czegoś ode mnie, Perrinecie? – rzekł Juvénal, opierając się na ramieniu młodego handlarza żelastwa.

– Chciałem zasięgnąć od pana wiadomości. Pan, który jest radcą parlamentu, musisz wiedzieć o wszystkim co się dzieje, a ja wszystkiego jestem ciekawy. Powiadają, że ważne rzeczy dzieją się w Tours, gdzie znajduje się królowa.

– Rzeczywiście – rzekł Juvénal – nie mogłeś lepiej trafić, gdyż posiadam najświeższe nowiny.

– Wejdźmy, jeśliś pan łaskaw, na wały; prawdopodobnie marszałek odbywać będzie ront nocny, a gdyby mnie nie znalazł na stanowisku, mógłbym oberwać rzemieniem po biodrach.

Juvénal oparł się przyjacielsko na ramieniu Perrineta i za chwilę ukazali się znowu na pustym pomoście.

– Oto jak się rzecz miała – rozpoczął Juvénal.

Perrinet słuchał z natężoną uwagą.

– Wiesz, że królowa była uwięziona w Tours, pod strażą kapitana Dupuy, najpodejrzliwszego i najmniej uprzejmego ze stróżów więziennych. Pomimo jednak całej jego przezorności, królowa znalazła sposób napisania listu do księcia Burgundzkiego, w którym prosiła o pomoc. Książę łatwo zrozumiał,

jakim potężnym sprzymierzeńcem będzie dlań Izabella Bawarska, gdyż w oczach wielu bunt jego przeciwko królowi mógł być odtąd uważany za rycerską opiekę udzieloną kobiecie.

Ponieważ córki królewskiej, którą zwano po prostu „Madame", i księżnej Bawarskiej nie strzeżono tak pilnie, jak królowej, przeto znalazła ona sposób otrzymywania wiadomości od księcia. Dowiedziały się wreszcie, że książę obległ Corbeil i że wojska jego dotarły aż do Chartres; nie traciły więc nadziei wyzwolenia się. W tej myśli królowa udała szczególniejsze nabożeństwo do relikwii złożonych w opactwie Marmontiers i zaleciła swej córce, aby ta wyjednała pozwolenie kapitana dla królowej, księżniczki i dam honorowych do bywania na mszy świętej w Marmontiers. Dupuy, jakkolwiek szorstki, nie śmiał tego odmówić córce królewskiej, zwłaszcza że nic w tym zdradliwego nie widział. Królowa nieznacznie przyzwyczaiła swego stróża do tych codziennych, nabożnych pielgrzymek. Udawała, że nie spostrzega jego zuchwałości i często z nim nawet rozmawiała łagodnie. Dupuy, zadowolony, że przed jego wolą ugięła się duma królowej, zaczął być bardziej uprzejmym. Nie opierał się już i na każde żądanie królowej pozwalał na wycieczki do opactwa; przez ostrożność tylko sam zwykle jej towarzyszył i po drodze rozstawiał straże, chociaż zdawało mu się, że nie ma żadnej potrzeby tak bardzo się krępować i tak bardzo być przezornym, tym bardziej, że nieprzyjaciel był jeszcze o mil pięćdziesiąt.

Ale królowa zauważyła, że straże, przekonane iż są stawiane dla formy tylko, spełniły obowiązki swe bardzo niedbale i że w razie niespodziewanego napadu wszystko by się udało pomyślnie. Pomyślała tedy, że dobrze by było, aby książę Burgundii napadł na Marmontiers, porwał ją i uwiózł. O projekcie tym zawiadomiła go przez jednego ze swych sług wiernych, dając przy tym wszelkie potrzebne objaśnienia. Projekt podobał się wielce księciu, po czym, gdy tajnie zawiadomiona została, królowa przez innego znowu posłańca oznaczyła dzień, w którym miała zamiar udać się do opactwa. Przedsięwzięcie było ryzykowne; trzeba było przebyć szybko i cichaczem pięćdziesiąt mil; odważyć się na zamach z małym oddziałkiem wojska było niebezpiecznie, gdyż Dupuy miał pod swymi rozkazami dosyć znaczną siłę; wybrać się znowu z wielkim wojskiem było także niedobrze, gdyż niewątpliwie Dupuy, uprzedzony o zbliżaniu się nieprzyjacieła, uwiózłby królową i osadził w którejś z twierdz, w innej, bardziej odległej prowincji, na przykład w Maine, w Berii lub w Anjou. Książę Burgundii nie cofnął się jednak przed trudnościami. Rozumiał wybornie, że środkiem podtrzymania stronnictwa było osłonięcie działania imieniem Izabelli i przedsięwziął środki po temu tak przezornie, że dotarł do celu, nie zostawszy odkrytym...

Perrinet Leclerc słuchał z coraz większą uwagą i ciekawością.

– Wybrał on z armii swej dziesięć tysięcy jeźdźców, ludzi najwaleczniejszych, a mających konie najwytrzymalsze, kazał nakarmić obficie ludzi i konie, i nocą ósmego dnia po rozpoczęciu oblężenia zamku Corbeil, na czele tego wojska puścił się w drogę do Tours. W głębokim milczeniu jechano noc całą, zatrzymano się tylko na godzinę dla posilenia koni, a potem znowu pojechano dalej; jazda dalsza trwała piętnaście godzin bez odpoczynku z większą jeszcze ostrożnością, niż w nocy. Pod wieczór znowu się zatrzymali na godzinę, a byli już tylko o sześć mil drogi od Tours. Armia ta wzbudzała podziw wszędzie, gdzie się ukazała; wszystkich zastanawiała jej tajemniczość i pośpiech. Na drugi dzień rano książę Burgundzki, obawiając się, aby mimo środków ostrożności, stróże królowej nie byli uprzedzeni, przybył o godzinie ósmej rano do Marmontiers, otoczył kościół i rozkazał Hektorowi de Saveuse wedrzeć się do wnętrza. Gdy Dupuy ujrzał zbrojnych, w których po krzyżu czerwonym na piersiach poznał Burgundczyków, rozkazał królowej iść za sobą, chcąc ją wyprowadzić bocznymi drzwiami, gdzie oczekiwała jej kareta; ale królowa odmówiła stanowczo. Dał tedy znak dwom ze straży, aby ją porwali siłą, lecz królowa uczepiła się kraty, przy której klęczała i wyciągnęła ręce poza ogrodzenie, klnąc się na Chrystusa, że wprzód pozwoli się zabić, aniżeli uprowadzić.

Damy dworu i księżniczki, które jej towarzyszyły, biegały tu i ówdzie, jakby oszołomione, wzywając ratunku i wołając pomocy tak dalece, że pan de Saveuse, widząc że wszelkie wahanie na nic się nie przyda, przeżegnał się znakiem krzyża świętego, aby Bóg, w którego przybytku się znajdował, wybaczył mu ten czyn i wydobył miecz z pochwy, co widząc jego ludzie uczynili toż samo.

Dupuy zrozumiał, że wszystko stracone; uciekł tedy przez furtkę, dosiadł konia i galopem wpadł do miasta Tours, gdzie zaalarmował straże, które natychmiast całą załogę do obrony wezwały.

Gdy Dupuy zniknął, pan de Saveuse zbliżył się do królowej i pokłoniwszy się jej z głębokim szacunkiem, powitał ją w imieniu księcia Burgundii.

– Gdzież książę? – zapytała królowa.

– Czeka was przed drzwiami kościoła, miłościwa pani.

Królowa i księżniczki szły ku wielkim drzwiom pośród szpaleru ludzi, wołających:

– Niech żyje królowa i jego królewska wysokość delfin, następna tronu Francji!

Książę Burgundii, spostrzegłszy królową zsiadł z konia i przykląkł na jedno kolano.

– Drogi mój kuzynie – rzekła zbliżając się z wdziękiem i podnosząc go – powinnam kochać was nad wszystkich w całym państwie. Porzuciliście wszystko, aby uczynić zadość mej prośbie i wyswobodziliście mnie z więzienia. Bądźcie pewni, że nie zapomnę wam tego nigdy. Widzę teraz dobrze, że wy najlepiej musieliście zawsze kochać króla, rodzinę jego, królestwo i sprawy kraju.

I mówiąc to, podała mu swą rękę do pocałowania. Książę odpowiedział kilka słów pełnych szacunku i zapewnień życzliwości, pozostawił przy królowej pana de Saveuse z tysiącem koni, a z poostałą armią napadł nagle na miasto Tours, zanim ono oprzytomnieć zdołało. Nie stawiano mu żadnego oporu i podczas gdy większa część jego ludzi wciskała się przez najciaśniejsze przejścia, sam książę wjeżdżał bramą, którą żołnierze kapitana Dupuy pozostawili otworem. Dupuy został wzięty do niewoli.

– Cóż się z nim stało? – zapytał Perrinet.

– Około południa został powieszony – odpowiedział Juvénal.

– A królowa?

– Powróciła do Chartres, później pojechała do Troyes w Szampanii, gdzie przebywa ze swym dworem. Stany generalnie, obradujące w Chartres, złożone z jej popleczników, ogłosiły ją regentką, tak że kazała przygotować sobie pieczęć, na której z jednej strony były splecione herby Francji i Bawarii, na drugiej zaś jej portret z napisem: Izabella, z Bożej łaski królowa–regentka Francji.

Polityczne te szczegóły bardzo mało interesowały Perrineta Leclerca, gdy przeciwnie widocznym było, iż chciałby posiadać inne wiadomości, o które nie śmiał zapytać; wreszcie, widząc że Juvénal już się pożegnać zamierza, zapytał go głosem, któremu pragnął nadać ton jak najobojętniejszy:

–Mówiono, że jakiś wypadek wydarzył się damom, które towarzyszyły królowej.

– Nie było żadnego wypadku – odpowiedział Juvénal.

Perrinet odetchnął swobodniej.

– W której stronie miasta królowa utrzymuje swój dwór?

– W zamku.

– Ostatnie jeszcze pytanie. Pan, który jesteś uczony, znasz łacinę, język grecki i geografię, powiedz mi z łaski swojej, w którą stronę nieba mam się zwrócić, aby to było w kierunku miasta Troyes?

Juvénal zastanowił się chwilę, potem biorąc lewą ręką głowę Perrineta, skierował ją ku pewnemu punktowi przestrzeni, na który w tej samej chwili prawą rękę wskazywał.

– Patrz – mówił – widzisz dwie dzwonnice Saint–Yves i Sorbony, cokolwiek na lewo za księżycem, który wschodzi poza nimi: widzisz tę gwiazdkę bardziej błyszczącą od innych?

Perrinet dał znak głową, że widzi.

– Nazywają ją Merkury. A więc, gdybyś przeprowadził linię prostopadłą od miejsca, w którym wydaje ci się, że się ta gwiazda znajduje, aż do ziemi, linia ta upadłaby w samym środku miasta, o które się pytasz.

Perrinet nie żądał już bliższych objaśnień astronomicznych, które mu się nie bardzo zrozumiałymi wydały. Z wykładu astronomiczno–geometrycznego młodego radcy parlamentu zrozumiał tylko tyle, że patrząc cokolwiek w lewo od wierzchołka wieży Sorbony, oczy jego zwrócone będą ku temu punktowi świata, gdzie żyje i oddycha Karolina. Mało go obchodziła reszta; miejsce to było dla niego całym światem i rajem na ziemi. Po oddaleniu się Juvénala, Perrinet wsparty o drzewo oddał się rozmyślaniom o ukochanej i tak dalece w nich się zatopił, iż nie słyszał nawet tętentu koni zbliżającego się ulicą Pawią oddziału i nie widział kilkunastu jeźdźców, choć już wjechali na wały, nad którymi straż jemu powierzona była. Dowódca tego nocnego patrolu dał znak swym ludziom, aby się zatrzymali, a sam zbliżył się do muru. Przybywszy pod mur, wzrokiem począł szukać warty, która się w tym miejscu znajdować powinna i niebawem dojrzał Perrineta, który pogrążony w marzeniach, nie zauważył nic, co się około niego działo. Dowódca patrolu szedł wprost do tego nieruchomego cienia i podniósł końcem miecza pilśniową czapkę, okrywającą głowę Leclerca. Widzenie zniknęło nagle, jak pałac brylantowy zaczarowanych krain, coś, jakby iskra elektryczna, przebiegło po ciele wartownika, i ruchem instynktownym halabardą swą odtrącił miecz, wołając:

– Do mnie, straże!

– Nie rozbudziłeś się jeszcze zupełnie, młodzieńcze, toteż przez sen bredzisz – rzekł marszałek d'Armagnac, przecinając jak trzcinę ostrzem swego miecza broń żelazną, którą się nań Leclerc zamierzył, a której ostrze, padając w piasek się zaryło.

Leclerc poznał głos naczelnego wodza armii Paryża, wypuścił z rąk pozostałą część wytrąconej mu broni, skrzyżował ręce na piersiach i spokojnie oczekiwał wyznaczenia przez marszałka zasłużonej kary.

– Ha! panowie mieszczanie – mówił podniesionym głosem hrabia d'Armagnac – wy tak zaszczyt ten cenić umiecie i tak wywiązujecie się z włożonych na was obowiązków?

– Hej! żołnierze! – zawołał, zwracają się do oddziału, z którym przybył. – Niech się tu zbliży trzech ludzi.

Trzech żołdaków wystąpiło z szeregów.

– Niech jeden z was zastąpi tego niedołęgę – rzekł.

Jeden z żołnierzy zsiadł z konia w milczeniu, rzucił cugle na ręce jednemu z towarzyszy i poszedł zająć, pod cieniem bramy Saint–Germain, miejsce Leclerca.

– Wy zaś – ciągnął marszałek, zwracając się do dwóch żołnierzy, oczekujących na rozkazy – zasiądźcie z koni i pochwami waszych mieczy wyliczcie temu nicponiowi dwadzieścia pięć razów.

– Panie – rzekł spokojnie Leclerc – może to być kara dobra dla żołnierza, ale ja żołnierzem nie jestem.

– Wykonać, co powiedziałem – dodał marszałek, kładąc nogę w strzemię.

Leclerc podszedł ku niemu i przytrzymując go za rękę rzekł:

– Niech się pan marszałek zastanowić raczy!

– Powiedziałem dwadzieścia pięć, ani mniej, ani więcej – odpowiedział marszałek sucho.

I wskoczył na siodło.

– Panie – rzekł Leclerc, chwytając za cugle konia – panie, jest to kara niewolników i wasalów, a ja nie jestem ani jednym, ani drugim: jestem człowiekiem wolnym i obywatelem miasta Paryża, skaż mnie na piętnaście dni, na miesiąc więzienia, a poddam się temu bez oporu.

– Patrzcie! – wykrzyknął marszałek – dla tych nędzników jeszcze wybierać trzeba karę, wedle ich upodabnia! Precz!

Po tych słowach spiął konia, który podskoczył naprzód, a w tej samej chwili d'Armagnac uderzeniem ręki w żelaznej rękawicy powalił Leclerca do nóg dwóch żołnierzy, którzy mieli być wykonawcami wyroku przed chwilą wydanego. Podobne zlecenia żołnierze spełniali z ochotą, jeżeli winny był stanu mieszczańskiego. Pomiędzy żołnierzami a mieszczaństwem istniała prawdziwa nienawiść, której wspólna służba państwowa nie była w stanie stłumić, bardzo rzadko też zdarzało się, aby wieczorem mieszczanin, spotkawszy żołnierza, nie poturbował go kijem i na odwrót – żołnierze mieszczanina mieczem. Przyznać musimy, że Perrinet Leclerc nie był jednym z tych, którzy ustępują z drogi, aby się nie narazić na tego rodzaju spotkanie. Wykonanie wyroku było więc prawdziwą gratką dla marszałkowskich ludzi, tak że gdy Perrinet potoczył się im do nóg, rzucili się nań, a gdy przyszedł do przytomności, był już rozebrany do pasa, z rękoma związanymi i skrzyżowanymi nad głową, zawieszony na gałęzi drzewa w ten sposób, że zaledwie palcami dotykał ziemi; potem żołnierze odpasali miecze, poskładali ostrza na trawie i pochwami giętkimi i elastycznymi zaczęli wymierzać razy z niewzruszonym spokojem i równością.

Trzeci żołnierz zbliżył się i liczył razy.

Pierwsze uderzenia odbijały się z hałasem od tego białego i jędrnego ciała i zdawało się, że nie robiły na bitym żadnego wrażenia, chociaż przy świetle księżyca widzieć było można sine pręgi; wkrótce każda pochwa, owijając się w kółko na tych plecach zbitych, unosiła z sobą kawałeczki ciała. Odgłos razów nieznacznie się zmienił; z ostrego i świszczącego stał się głuchy i tępy, jakby razy uderzały w błoto, pod koniec egzekucji żołnierze zmuszeni byli bić tylko jedną ręką, drugą zasłaniali twarze przed krwawą rosą i strzępkami ciała.

Po skrupulatnym wyliczeniu dwudziestu pięciu razów, oprawcy zatrzymali się. Ukarany nie krzyknął ani razu, ani razu nie jęknął. Wtedy, po wypełnieniu rozkazu, jeden z żołnierzy podniósł swój miecz i powoli włożył go do pochwy, drugi zaś przeciął mieczem powróz, na którym delikwent wisiał dotychczas. Gdy sznur został przecięty, Perrinet Leclerc padł twarzą na ziemię i zemdlał.

IV

Od opisanego zdarzenia upłynął miesiąc. Wielkie zmiany polityczne spełniały się wokoło Paryża.

Nigdy monarchii francuskiej nie groziła tak bliska zguba, jak w owej chwili; silnymi zębami rozdzierano Francję na trzy części, szło tylko o to, kto najbogatszą część jej zabierze: król angielski Henryk, książę Burgundii, czy król Karol.

Podczas gdy armia burgundzka, pod wodzą Hektora de Saveuse, zbliża się w milczeniu ku bramom Paryża, my tymczasem wprowadzimy czytelnika do wielkiej sali zamku Troyes w Szampanii, gdzie przebywa Izabella ze swoim dworem, otoczona szlachtą burgundzką i francuską.

Każdego z panów otacza tłum paziów strojnych bogato. Paziowie ci, równie jak ich panowie, tylko ciszej nieco, prowadzą między sobą rozmowę o łowach i miłości.

Wśród szmeru ogólnego, jaki sprowadziły te szepty z oddzielnych rozmów złożone, od czasu do czasu podnosił się głos królowej. Wtedy wszystko się uciszało i każdy słyszał wyraźnie pytanie, zwrócone do któregoś z panów i odpowiedź, jaką na pytanie owo dawano. Potem znów rozmowa stawała się ogólną.

– Powiadacie więc, mości panie de Graville – rzekła królowa, zwracając się do młodego pana, który z panem de Giac siedział poza nią – powiadacie więc, że kuzyn nasz d'Armagnac przysiągł na Chrystusa i Matkę Boską, że nigdy za życia nosić nie będzie czerwonego krzyża Burgundii, który my przyjąć raczyliśmy za godło związku naszych dzielnych i walecznych obrońców?...

– Tak, są to własne jego słowa, miłościwa pani! – odpowiedział zapytany.

– I wy, panie de Graville, nie wtłoczyliście mu ich na powrót w gardło mieczem swym lub sztyletem – rzekł pan Adam Villiers de l'Ile tonem, w którym przebijało uczucie zazdrości.

– Nie miałem ani sztyletu, ani miecza, gdyż byłem jego więźniem., panie de Villiers, a potem człowiek tak dzielny i waleczny, jak wielki marszałek, wzbudza zawsze w najodważniejszym nawet pewien rodzaj szacunku; zresztą znam kogoś, wobec którego hrabia wyrzekł jeszcze sroższe słowa, a przecież nie śmiał, jak się zdaje, wykonać tego, co mi obecnie radzi z taką śmiałością.

Po tych słowach pan de Graville spokojnie kończył rozpoczętą z panem de Giac rozmowę.

Pan de Villiers poruszył się, królowa zatrzymała go.

– Czy nie moglibyśmy zmusić marszałka do złamania przysięgi, panie de Villiers? – rzekła.

– Miłościwa pani – odrzekł l'Ile–Adam – przysięgam na Chrystusa i Matkę Jego, że nie zasiądę do stołu, nie spocznę na łóżku, dopóki na własne oczy nie zobaczę marszałka d'Armagnac z krzyżem czerwonym Burgundii na piersiach, a jeśli ślub ten złamię, niechaj Bóg nie ma litości nad duszą moją w tym i przyszłym życiu.

– Pan de Villiers – rzekł baron Jan de Vaux, patrząc nań ironicznie przez ramię – uczynił ślub, który bez trudu może być spełniony, gdyż bardzo prawdopodobne jest, że zanim apetyt i chęć spoczynku nadejdą, dowiemy się, że książę Burgundzki wszedł do stolicy, a gdy się to stanie, marszałek będzie szczęśliwy, gdy przykląkłszy na oba kolana, odda klucze od bram miasta królowej.

– Oby cię Bóg wysłuchał, baronie – rzekła Izabella Bawarska. – Czas by już był nareszcie, aby pięknie królestwo Francji odzyskało trochę spokoju i spoczynku, i szczęśliwa jestem, że zdarzyła się sposobność odzyskania Paryża bez narażania się na bój, w którym odwaga wasza, mości panowie, zapewniłaby nam bez wątpienia zwycięstwo, lecz w którym każda kropla krwi byłaby krwią naszych poddanych.

– Panowie – zapytał de Giac – na jakiż dzień naznaczony będzie nasz uroczysty wjazd do stolicy?

W tej chwili usłyszano z zewnątrz wielki hałas, jak gdyby znaczna liczba jeźdźców przybywała w pełnym galopie. Pospieszne kroki dały się słyszeć w krużganku, obie połowy drzwi otwarły się i rycerz uzbrojony od stóp do głów, okryty kurzem, w hełmie poszczerbionym od ciosów, stanął na środku sali i z klątwą rzucił na stół zakrwawiony swój szyszak.

Był to książę Burgundii we własnej osobie; wszyscy obecni wydali okrzyk przestrachu, spostrzegłszy jego twarz bladą.

– Zdradzony! – zawołał, uderzając się w czoło rękoma w żelaznych rękawicach. – Zdradzony przez nędznego kuśnierza!... Widzieć Paryż, dotykać go, być od niego o pół mili, tak blisko, że tylko rękę trzeba było wyciągnąć, aby go dosięgnąć, i być zmuszonym cofnąć się!... Nie dopiąć celu, wskutek zdrady

jednego nieszczęsnego mieszczucha, który nie mógł w swym ciasnym sercu zmieścić tajemnicy!... Ależ tak! tak, panowie! patrzycie na mnie z podziwieniem! Sądziliście zapewne, że w tej chwili pukam do wrót Luwru lub do pałacu Saint–Paul? Otóż nic z tego! Ja, Jan Burgudznki, którego Nieustraszonym przezywano, ja uciekłem! Tak, panowie, uciekłem! I zostawiłem na placu Hektora de Saveuse, który uciec nie mógł! I zostawiłem w mieście ludzi,. których głowy spadają w tej chwili z okrzykiem: *Niech żyje Burgundia!*, a ja im z pomocą przyjść nie mogę! Rozumiecie to, panowie? Należy nam się straszny odwet i nie zaniechamy go, nieprawdaż? I wtedy my z kolei... my z kolei damy robotę katowi i my widzieć będziemy głowy spadające z okrzykiem: *Niech żyje d'Armagnac!* I na nas przyjdzie kolej, klnę się na piekło i wszystkich szatanów! I na nas przyjdzie kolej! O! przekleństwo marszałkowi! Ten człowiek doprowadzi mnie do szaleństwa, jeżeli jeszcze szalonym nie jestem!

Książę Jan wybuchnął strasznym śmiechem, potem okręcił się wokoło, tupiąc nogami, rwąc garściami włosy z głowy, wreszcie padł raczej, niż usiadł na stopniach fotela królowej.

Izabella przerażona w tył się cofnęła.

Książę Burgundzki, wsparty na obu rękach, spojrzał na nią, wstrząsając głową, na której gęste włosy jeżyły się jak lwia grzywa.

– Królowo – rzekł – dla ciebie przecież dzieje się to wszystko. Nie mówię o krwi mojej – tu przeciągnął ręką po czole zranionym – mam jej jeszcze dosyć, ale żałuję krwi i tylu ludzi, którą użyźniamy pola w okolicach Paryża, tak że urodzaj na nich będzie pewno podwójny. Tymczasem nadciągają Anglicy, których nikt nie wstrzymuje, nikt nie zwycięża! Och! Panowie, myśmy chyba poszaleli, wszyscy!...

Łatwo było zrozumieć, że książę w tak szalonym jest gniewie, że nie zniósłby uwag ani rad; toteż nikt mu nie przerywał.

– Straszno mi pomyśleć, że już w tej chwili mógłbym być w pałacu Saint–Paul, gdzie przebywa delfin, że mógłbym wsłuchiwać się z lubością w okrzyki: „Niech żyje Burgundia!", wydawane przez tę dzielną ludność Paryża, której trzy części do mnie przecież należą, że ty, królowo, mogłabyś już całej Francji rozkazywać, podpisywać prawdziwe edykta królewskie! Że już w tej chwili nikczemny d'Armagnac na próżno by błagał łaski mej i litości! O! straszno pomyśleć! A jednak przyjdzie do tego i to się stać musi, nieprawdaż, mości panowie? Tak chcę i tak będzie, a jeśli który z was powie mi, że nie, ten głową mi swoją przypłaci!

– Mości książę – przerwała królowa. – Uspokójcie się. Każę przywołać doktora, aby rany wasze opatrzył, lub też ja sama...

– Dziękuję – odpowiedział książę. – Jest to tylko lekkie draśnięcie i oby Bóg dał, żeby mój dzielny Hektor de Saveuse cięższych ran nie poniósł.

– Czyż ciężko został raniony?

– Alboż ja wiem? Albo miałem czas zsiąść z konia, by pójść dowiedzieć się czy umarł, czy też żyje jeszcze? Nie; widziałem go, jak padał, a strzała z łuku tkwiła mu w samym środku piersi i sterczała, jak tyka pośród winnicy. Biedny Hektor! Krew Helyona de Jacqueville spada na niego! Mości panie de Vaux, strzeżcie się! Popełniliście to morderstwo wspólnie z Hektorem, żebyście i kary wspólnie z nim nie odnieśli. A możebne to, jeśli jeszcze do walki przyjdzie!

– Bardzo dziękuję za ostrzeżenie! – rzekł Jan de Vaux. – Czy się tak stanie, nie wiem, ale to pewna, że moje ostatnie tchnienie wydam za szlachetnego pana mego, Jana Burgundzkiego, a ostatnią myśl poświęcę miłościwej królowej Izabelli Bawarskiej.

– Dobrze, dobrze. kochany baronie – rzekł uśmiechając się Jan Nieustraszony, którego gniew ustępował powoli. – Wiemy, że jesteście odważni i jeżeli w ostatniej chwili życia waszego Bóg duszy waszej nie przyjmie, gotowi jesteście z diabłem się o nią pobić i zwyciężywszy go, zostać jej posiadaczem nadal, mimo drobnych grzeszków, które szatanowi pewne prawa nad wami dają.

– Zrobię, jak będzie można najlepiej, miłościwy panie.

– Dobrze, a teraz, jeżeli królowa pani nie ma nam nic do rozkazania, mości panowie, jeśli chcecie iść za moim zdaniem, warto odpocząć. Nową wojnę rozpocząć trzeba i Bóg wie, kiedy się ona skończy.

Królowa Izabella podniosła się, skinieniem dała znać, że przyjmuje propozycję księcia Burgundii, po czym wyszła z sali, wsparta na ramieniu pana de Graville.

Książę Burgundii, zapominając o wszystkim co się stało, jakby to snem tylko było, szedł za nimi, śmiejąc się z Janem de Vaux i nie zwracając najmniejszej uwagi na otwartą ranę na czole, z której krew się sączyła. Za nimi postępowali panowie Chastelluse, de Laon i de Bar, wreszcie de Giac i l'Ile–Adam; ci ostatni we drzwiach się spotkali.

– Coż pańska przysięga? – rzekł, śmiejąc się, de Giac.

– Com powiedziałą, uczynię – odrzekł l'Ile–Adam – poczynając od dnia dzisiejszego.

Wszyscy wyszli. W kilka minut potem sala, przed chwilą pełna tłumionych szmerów i błyszczących świateł, stała się przybytkiem ciemności i ciszy.

Jeżeli umieliśmy dokładnie przedstawić czytelnikom charakter Izabelli Bawarskiej, to łatwo im będzie wyobrazić sobie, że wiadomość, która odbierała jej wszystkie nadzieje, wywarła wpływ wręcz przeciwny temu, jaki sprawiła na księciu; z zimnej krwi w boju przeszedł on do gniewnego uniesienia, które również przeminęło, zaledwie przebrzmiały groźne słowa, miotane przez niego. Izabella, przeciwnie, słuchała opowiadania i patrzyła na gniew księcia ze spokojem duszy pełnej nienawiści i politycznych wybiegów; dolało to jeszcze więcej żółci do tego serca, gdzie tyle namiętności gromadziło się przed wzrokiem wszystkich ukryte, aby wreszcie wybuchnąć podobnie jak krater wulkanu, który w dniu wybuchu, wyrzuca wszystkie obce ciała, które ręka ludzka podczas jego spokoju wrzuciła.

Dopiero gdy znalazła się już w swych komnatach nie panując dłużej nad sobą załamała ręce, zęby zacięła. Zbyt wzruszona, aby usiąść, zbyt drżąca, aby się utrzymać na nogach, objęła z nerwową gwałtownością filar swego łoża, opuściła głowę na ręce i tak wpół przechylona, z piersią ściśnioną i gniewem wrzącą, przywołała Karolinę. Kilka sekund upłynęło bez odpowiedzi.

– Karolino! – powtórzyła, tupiąc nogą, głosem głuchym, który więcej przypominał krzyk dzikiego zwierza, aniżeli głos ludzki.

Prawie w tej samej chwili na progu ukazała się młoda dziewica, strożona i drżąca, w głosie swej pani, czując ogrom gniewu i groźby.

– Czy nie słyszałaś mego wołania? – wykrzyknęła królowa – i czy zawsze potrzeba wołać cię dwa razy?

– Miłościwa pani przebaczyć mi raczy, rozmawiałam tam właśnie...

– Z kim?

– Z młodym człowiekiem, którego wasza królewska mość już zna... którego losem w łaskawości swej raczyła się nawet interesować.

– Więc któż to jest taki? Kto?!... Mów prędzej.

– Perrinet Leclerc.

– Leclerc? – powtórzyła królowa. – Skądże przybywa?

– Z Paryża.

– Chcę go zobaczyć.

– On również pragnął miłościwą panią widzieć i mówić z nią, lecz ja nie śmiałam...

– Wprowadź go! Słyszysz! Niech przyjdzie zaraz, natychmiast! Gdzież on jest?

– Tam – odpowiedziała młoda dziewica. I podnosząc zasłonę, zawołała:

– Perrinet!

Perrinet wbiegł raczej, aniżeli wszedł do komnaty; królowa i on stanęli naprzeciw siebie. Drugi to już raz biedny handlarz żelastwa stawał na równi z dumną królową Francji; drugi już raz, mimo różnicy stanowiska, jednakie uczucia ich sprowadzały z dwóch krańców drabiny społecznej, jedno ku drugiemu. Po raz pierwszy przyczyną tego zrównania była miłość, a po raz drugi żądza zemsty.

– Perrinet! – zawołała królowa.

– Pani – odrzekł zagadnięty, patrząc bystro i śmiało, i nie spuszczając oczu przed swoją monarchinią.

– Odkąd zniknąłeś nie widziałam cię więcej – dodała Izabella.

– Po cóż miałem wracać! Powiedziałaś mi pani: jeżeli go żywym przeprowadzą do innego więzienia, masz iść za nim aż do bramy; jeżeli ciało jego złożą do grobu, masz towarzyszyć mu aż do mogiły, a czy zostanie żywym, czy umarłym, masz powrócić i powiedzieć mi: On tam jest! Królowo! oni przewidzieli jednak, że więźnia oswobodzić, mogiłę odkopać możesz, rzucili go więc żywego z połamanymi członkami do Sekwany.

– Nieszczęśliwy! Dlaczego nie ocaliłeś go lub nie pomściłeś?

– Byłem sam, a ich było sześciu: dwóch z nich zabiłem. Zrobiłem, co mogłem. Obecnie chcę coś więcej uczynić.

– Cóż takiego? – spytała królowa.

– Marszałek jest wam nienawistny, Paryż chcielibyście posiadać, nieprawdaż, pani? Sądzę więc, iż ten, który by wam obiecał te dwie rzeczy: zemstę nad marszałkiem i wydanie Paryża, mógłby na pewno liczyć, że uzyska waszą łaskę! Wszakże tak!?

Królowa uśmiechnęła się w sobie tylko właściwy sposób.

– Ach! – odpowiedziała. – Człowiekowi temu dałabym wszystko, czego by żądał! ... Wszystko!... Połowę dni mego życia, połowę krwi własnej. Lecz gdzie go znajdę?

– Ja nim jestem królowo!...

– Ty? Ty? – spytała Izabella zdziwiona.

– Tak jest, ja.

– Jakim tego dokonasz sposobem?!

– Jestem synem klucznika Leclerca; ojciec mój na noc chowa pod poduszkę klucze od bram miasta. Mogę pójść któregokolwiek wieczora odwiedzić go, skraść klucze i bramy otworzyć.

Karolina krzyknęła; Perrinet zdawał się nie słyszeć tego, królowa zaś tak była zajęta tym, co mówił Perrinet, że nie zwróciła wcale uwagi na krzyk Karoliny.

– Tak, to prawda – rzekła Izabella, namyślając się.

– I spełnię to, co powiedziałem – dodał Leclerc.

– Ale – przerwała nieśmiało Karolina – jeżeli w chwili, gdy będziesz brał klucze, ojciec twój się obudzi?

Na czoło Leclerca zimny pot wystąpił, włosy stanęły mu na głowie, lecz po chwili wymówił te tylko słowa:

– Uśpię go ponownie.

Karolina krzyknęła powtórnie i padła na fotel.

– Tak – rzekł Leclerc, nie zwracając uwagi na zemdloną kochankę – tak, mogę zostać zdrajcą i ojcobójcą, ale zemścić się muszę!

– Cóż oni tobie zrobili? – zapytała Izabella, zbliżając się do niego, biorąc go za rękę i patrząc z uśmiechem kobiety, rozumiejącej zemstę.

– Jest to moja tajemnica. Pani ode mnie tyle tylko wiedzieć możesz, że dotrzymam mojej obietnicy, jeżeli pani swojej dotrzymać zechcesz.

– A więc czego żądasz? Czy Karoliny, którą kochasz?

Perrinet wstrząsnął głową z gorzkim uśmiechem

– Chcesz złota? Dam ci, ile zechcesz.

– Nie – odpowiedział Perrinet.

– Może pragniesz szlachectwa, tytułów, zaszczytów? Jeżeli zdobędziemy Paryż, oddaję ci dowództwo nad miastem i hrabią cię uczynię.

– Wszystko to nic – mruknął Leclerc.

– Więc czegóż żądasz? Mów! – zawołała królowa.

– Rozkazałaś pani zrobić pieczęć królewską, za pomocą której przelać możesz władzę swą na tego, któremu dasz w ręce pergamin pieczęcią tą zaopatrzony?

– Cóż dalej?

– Oto potrzebują tego pergaminu i tej pieczęci; pergamin ów uczyni mnie władcą życia pewnego człowieka, z którym to życiem będę mógł zrobić, co mi się podoba, z którego nie potrzebowałbym zdawać rachunku przed nikim i które będę miał prawo wydrzeć nawet katowi.

Królowa zbladła.

– Ale życie, którego żądasz, nie jest życiem delfina Karola lub króla samego?

– Nie.

– Podaj mi zatem pergamin i moją pieczęć królewską! – zawołała żywo Izabella.

Leclerc wziął ze stołu jedno i drugie, i podał królowej, która własnoręcznie napisała, co następuje:

„My, Izabella Bawarska, z Bożej łaski regentka Francji, z powodu innych zajęć króla dzierżąc w rękach naszych władzę zarządu i administrację królestwa, nadajemy Perrinetowi Leclercowi nasze prawo władania życiem i śmiercią nad...

– Nazwisko? – zapytała Iabella.

– Nad hrabią d'Armagnac, wielkim marszałkiem królestwa Francji, gubernatorem miasta Paryża – odpowiedział Leclerc.

– Ach! – zawołała Izabella, upuszczając pióro – a życia tego żądasz, aby je odebrać nieprawdaż?

– Tak jest.

– I powiesz mu w godzinie śmierci, że ja mu odbieram jego Paryż, jego stolicę, w zamian za życie mego kochanka, które on odebrał? Będzie to głowa za głowę, oko za oko; powiesz mu to? Czy powiesz? Mów!...

– Bez warunków, królowo – rzekł Leclerc.

– Inaczej nie dam pieczęci – rzekła królowa, odsuwając pergamin.

– Powiem wszystko, co zechcesz, tylko kończ, pani, prędzej.

– Przysięgnij na twoją duszę!

– Na moją duszę przysięgam!...

Królowa wzięła znów do ręki pióro i pisała w dalszym ciągu:

„Przelewamy na Perrineta Leclerca, handlarza żelastwem przy ulicy Petit–Pont, nasze prawo do życia i śmierci nad hrabią d'Armagnac, Wielkim Marszałkiem królestwa Francji, gubernatorem miasta Paryża, zrzekając się raz na zawsze wszelkiego prawa do życia i śmierci wspomnianego".

Gdy skończyła, podpisała i przyłożyła pieczęć obok swego podpisu.

– Masz – powiedziała, oddając mu pergamin.

– Dziękuję? – szepnął Leclerc, odbierając go z rąk królowej.

– Piekielny zamiar! – krzyknęła Karolina.

Młoda dziewica, niewinna i czysta, wydawała się aniołem zmuszonym do obecności przy układach pomiędzy dwoma szatanami.

– A teraz – dodał Leclerc – potrzebuję człowieka, z którym mógłbym umówić się i porozumieć; czy szlachcicem on będzie, czy nędznym chłopem, wszystko mi jedno, byleby mógł i chciał...

– Karolino, zawołaj służącego.

Karolina spełniła rozkaz, na progu ukazał się służący.

– Idź i powiedz panu Villiers de l'Ile–Adam, że go oczekuję w tej chwili, i przyprowadź go tutaj.

Służący ukłonił się i wyszedł. L'Ile–Adam, wierny swej przysiędze, rzucił się na posadzkę, owinięty w swój płaszcz wojenny, nie potrzebował więc nic więcej, jak powstać, by móc stanąć przed królową. W chwilę później wszedł do jej pokoju. Izabella podeszła ku niemu i nie zwracając uwagi na ukłon pełen szacunku, jaki jej składał, rzekła:

– Panie de Villiers, oto jest młody człowiek, który chce mi wydać klucze od bram Paryża. Potrzebuję człowieka odważnego, energicznego i nie cofającego się przed niczym, którego mogłabym mu oddać, pomyślałam o panu.

Pan de l'Ile–Adam zadrżał, oczy jego błysnęły, zwrócił się do Leclerca, wyciągając rękę do uścisku, gdy spostrzegł wszelako jak niskie było pochodzenie tego, któremu chciał dać dowód równości, ręka jego opadła, a cała postawa przybrała zwykły wyraz dumy. Żaden z tych ruchów nie uszedł uwagi Leclerca, pozostał jednak nieruchomy, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, tak w chwili, gdy pan de l'Ile–Adam rękę ku niemu wyciągnął, jak również, gdy ją cofał.

– Twej ręki mi nie potrzeba, zachowaj ją do walki z wrogami, panie de l'Ile–Adam – rzekł śmiejąc się Leclerc – chociaż mam pewne prawo do jej dotknięcia, gdyż tak samo jak ty, sprzedaję króla mego i moją ojczyznę. Nie podawaj mi ręki, panie de Villiers, chociaż jesteśmy braćmi w zdradzie.

– Młodzieńcze! – krzyknął pan de l'Ile–Adam.

– Dajmy temu pokój, mówmy o czym innym. Czy ręczysz mi pan za pięciuset kopijników?

– Posiadam tysiąc ludzi zbrojnych w mieście Pontaire, którym dowodzę.

– Połowa będzie dostateczna, jeżeli są to ludzie odważni. Wprowadzę ich z panem do miasta. Na tym się kończy moje zobowiązanie.

– Ja biorę resztę na siebie.

– A więc jedźmy, nie tracąc czasu, a podczas podróży objaśnię pana, jakie są moje zamiary.

– Powodzenia wam życzę, panie de l'Ile–Adam– powiedziała królowa.

Pan de l'Ile–Adam przykląkł na jedno kolano, ucałował wyciągniętą doń rękę swej monarchini i wyszedł.

– Pamiętaj o twej obietnicy, Perrinecie – dodała królowa. – Niech się dowie przed śmiercią, że to ja, śmiertelna jego nieprzyjaciółka, odbieram Paryż w zamian za życie mego kochanka.

– Będzie wiedział – odpowiedział Leclerc, ukrywając na piersiach pergamin i zapinając kaftan.

– Bądź zdrów, Perrinecie – rzekła półgłosem Karolina, lecz młody człowiek nie słyszał już tego i wybiegł z komnaty, żadnej nie dając odpowiedzi.

– Niech im piekło pomoc przyniesie, byle tylko dopięli celu! – zawołała królowa.

– Niech ich Bóg ma w swojej opiece! – szepnęła Karlona.

Obydwaj młodzi ludzie weszli do stajni. Pan de l'Ile–Adam wybrał dwa najlepsze bieguny; każdy z nich osiodłał swego i wsiedli na koń.

– Gdzie dostaniemy inne konie, gdy te padną? – zapytał Leclerc. – W drodze, którą przebyć mamy, zwierzęta te nie wytrwają i doniosą nas zaledwie do połowy.

– Dam się poznać wojskom burgundzkim, które spotkamy po drodze, i od nich dostaniemy konie.

– Zgoda!

Jeźdźcy zarzucili cugle na szyje koniom, spięli je ostrogami i pędzili jak wicher.

Zaprawdę, gdyby kto ich tak zobaczył przy świetle iskier spod kopyt końskich wytryskujących, w cieniu tej szarej nocy, pędzących jeden obok drugiego z szybkością niezrównaną, kto by widział najeżone od wiatru grzywy koni i ich włosy, ten by przez długie lata opowiadał, że był świadkiem naocznym podróży nowego Fausta z Mefistofelesem, pędzących na swych fantastycznych rumakach na piekielne zebranie.

V

Chwila, którą Perrinet Leclerc przeznaczył na wykonanie swego zamiaru była jak najlepiej wybrana: rozjątrzenie paryżan osiągnęło szczyt i wszyscy obwiniali marszałka, którego srogość z każdym dniem zwiększała oburzenie. Żołnierze okrutnie obchodzili się z mieszkańcami, a sprawiedliwości u ich wodza szukać nie było po co. Od czasu jak marszałek zmuszony był odstąpić od oblężenia zamku Senlis, byli oni jeszcze okrutniejsi i rozjątrzeni doznaną porażką, Nikt nie mógł wyjść z miasta, a jeżeli ktokolwiek chciał to uczynić pomimo rozkazów, był przez żołnierzy chwytany, ograbiony lub zbity, a gdy szedł ze skargą do marszałka lub do prefekta, słyszał w odpowiedzi: „Dobrze ci tak, po cóżeś tam chodził!" lub: „Nie skarżyłbyś się tak, gdyby cię zbili lub okradli twoi przyjaciele Burgundczycy" i inne tym podobne rzeczy.

Dziennik ówczesny *Journal de Paris* opowiada, że te gwałty rozciągały się aż do sług i ludzi z pałacu królewskiego. Kilku z nich poszło dnia 1 maja dla obchodzenia, według zwyczaju, narodzin tej pięknej pory roku do Lasku Bulońskiego. Zbrojni marszałka, którzy trzymali straż w Ville l'Evêque napadli na nich, rozproszyli ich, jednego położywszy trupem i zraniwszy wielu innych.

Na tym nie koniec. Ponieważ był wielki brak pieniędzy, marszałek postanowił wyciskać je, skąd się tylko dało. Kazał tedy zabierać ozdoby i kosztowności kościelne, wota pobożnych, a nawet naczynia święte z katedry w Saint–Dénis. Wsie zrabowane i wyniszczone nie mogły już dostarczyć żywności. Do pracy na wałach obronnych i u maszyn wojennych zmuszano robotników i rzemieślników, którym nie płacono, których bito i nazywano hołotą, gdy się ośmielili dopominać zapłaty. Wszystkie te uciski powodowały szemrania uciśnionych i żale na ulicach stolicy. Pogłoski najdziwniejsze krążyły na tych zebraniach i przyjmowane były okrzykami nienawiści i zemsty, ale na krzyki te nagle pojawiał się oddział wojska, który zajmował całą szerokość ulicy, a dobywszy miecze z pochew i puszczając konie galopem, rąbał i tratował wszystko i wszystkich, których na drodze napotkał.

Wieczorem, 28 maja 1418 jedno z takich zebrań odbywało się na placu Sorbony. Zgromadziło się tu mnóstwo żaków uzbrojonych w kije, rzeźników z nożami u boku, rzemieślników różnych fachów z narzędziami roboczymi, które w rękach ludzi tak zrozpaczonych mogły się łatwo zamienić w środki obrony lub napaści. Kobiety licznie tu zgromadzone grały także czynną rolę i nie były wolne od niebezpieczeństwa, gdyż zbrojni bili wszystkich bez różnicy: mężczyzn, kobiety, dzieci i starców, nie zważając na to, czy się bronili, czy nie.

– Czy wiecie, mistrzu Lambercie – pytała stara jakaś kobieta, podnosząc się na tej ze swoich nierównych nóg, która była dłuższa, aby dosięgnąć łokcia mężczyzny średniego wzrostu, ku któremu słowa swoje zwracała – czy wiecie dlaczego zabrali gwałtem wszystkie płótna ze składów kupieckich?

– Domyślam się, matko Joanno, odparł Lambert, który był konwisarzem i nie cierpiał podobnych zebrań ludowych – że dlatego, aby mieć z czego, porobić namioty i stajnie polowe dla wojska i koni.

– Otóż mylicie się, mości Lambercie! Zabrali płótno, bo chcą z niego poszyć worki, pozaszywać w nie wszystkie kobiety i potopić w rzece!

– Czy być może? – rzekł Lambert, który zdawał się o wiele mniej zgorszony tą wieścią, niż matka Joanna. – To niepodobna!

– Wiem z pewnością!

– No, gdyby to jeszcze tylko takie nieszczęście – wtrącił jeden z mieszczan.

– Czegóż wam jeszcze więcej trzeba, mistrzu Bourdichonie? – zawołała stara kobieta.

– Nie bab się boją marszałkowscy, ale korporacji naszych! Toteż wszyscy, którzy do nich należą, mają być, jak słyszałem, w pień wycięci. Ci tylko z życiem ujdą, którzy przysięgną, że będą woleli wydać Paryż Anglikom niż Burgundczykom.

– Śmierć im, śmierć! Precz z marszałkiem i z prefektem! Niech żyją Burgundczycy!

Krzyki te wkrótce powtarzały wszystkie usta.

W tej chwili przy rogu ulicy Świętego Jacka ukazała się kompania kawalerii, złożona z Genueńczyków, a stanowiąca straż osobistą wielkiego marszałka.

Zaraz też rozpoczęła się jedna z tych scen, o których wyżej wspominaliśmy. Mężczyźni, kobiety i dzieci uciekać poczęli ze strasznym krzykiem. Wojsko rozwinęło się na całą szerokość ulicy i jak huragan zmiotło przed sobą ten marny proch ludzki, bijąc ostrzami i drzewcami swych lanc, tratując kopytami koni, wymiatając z każdego załomka ulicy, z każdej framugi drzwi i okien, z zaciętością i okrucieństwem, jakiego zwykle się dopuszczają zbrojni, gdy mają do czynienia z mieszczanami. W chwili gdy wojsko się ukazało, wszyscy rzucili się do ucieczki w różne strony, tylko młody jakiś człowiek najspokojniej zwrócił się ku jednej z bram, a podważywszy sztyletem zamek otworzył furtkę, wszedł i przymknął ją za sobą. Potem, gdy tętent koni ucichł zupełnie i gdy niebezpieczeństwo minęło, młodzieniec otworzył ponownie furtkę i wysunął głowę na plac. Spostrzegł, że oprócz kilku zabitych i kilku dogorywających, ulica była pusta a droga wolna; wyszedł tedy z kryjówki kierując swe kroki ulicą des Cordeliers, którą doszedł wzdłuż wału Saint–Germain do małego domku, nacisnął tajemną sprężynę i drzwi sobie otworzył.

– A! To ty, Perrinecie? – rzekł starzec przy stole siedzący.

– Tak, to ja, ojcze. Przyszedłem zaprosić się do was na kolację.

– Rad ci jestem, mój kochany, i owszem!

– A oprócz tego, mój ojcze, ponieważ dziś wielki w Paryżu panuje niepokój i nie wiadomo, czym się to skończy, a ulice miasta nie są w nocy bezpieczne, chciałbym też przenocować.

– Masz tu przecież ciągle, teraz jak i dawniej, swój pokoik i swoje łóżko nietknięte i miejsce twoje u naszego stołu. Czyś słyszał kiedy, abym się skarżył, że przychodzisz zbyt często?

– Nie, ojcze – rzekł młody człowiek padając raczej, niż siadając na krześle i opierając głowę na ręku – nie, dobrym dla mnie jesteś ojcem i kochasz mnie.

– Ciebie też mam jednego i tyś mi nigdy żadnego nie sprawił zmartwienia.

– Ojcze mój – rzekł Perrinet, odnosząc się – czuję się cierpiącym. Pozwól, że pójdę do mego pokoju i położę się trochę. Nie będę mógł jeść z wami kolacji.

– Idź, mój synu, wszakże we własnym jesteś domu; czyń, jak ci się podoba.

– Ten chłopak jest jakiś dziwny od kilku dni – szepnął do siebie starzec z westchnieniem po odejściu syna.

I zasiadł do wieczerzy sam, a postawione za przybyciem młodzieńca nakrycie zostało nietknięte. Przez czas jakiś przysłuchiwał się odgłosowi kroków syna, przechadzającego się po swoim pokoju; niezadługo jednak, nie słysząc już nic i przypuszczając, że Perrinet spać się położył, odmówiwszy pacierze poszedł na spoczynek, nie zapomniawszy jednak wsunąć kluczy, pieczy jego powierzonych, pod poduszkę, na której spocząć miała jego głowa.

Godzina mniej więcej upłynęła i cisza, jaka panowała w domu starego klucznika, niczym przerwana nie została. Wtem lekki szelest dał się słyszeć w pierwszym pokoju, drzwi otworzyły się i podłoga skrzypnęła pod stopami Perrineta, bladego jak śmierć i wstrzymującego oddech; stanął i słuchać począł, a gdy żadnego nie usłyszał dźwięku, posunął się na palcach, ocierając zimny pot z czoła, ku komnacie swojego ojca. Drzwi nie były zamknięte, popchnął je więc tylko.

Latarnia stała zapalona na kominku, a słabe jej światło na tyle oświecało pokój, iż gdyby się klucznik obudził, mógł rozeznać, że nie sam się w izbie znajduje. Perrinet nie chciał jej zgasić, bo obawiał się w ciemności potrącić o jakiś przedmiot i zbudzić starca ze snu; pozostawił tedy lampę zapaloną.

Straszne to było!... Młody człowiek, z włosami najeżonymi, z czołem zlanym potem, z lewą ręką opartą na sztylecie, prawą opierający się o mur, zatrzymujący się na każdym kroku, aby namacać końcem nogi miejsce, gdzie ją ma postawić, posuwający się powoli, ale ciągle ku łożu, z którego ani na chwilę nie spuszczał pałających ogniem oczu, drżący za każdym szelestem, powstrzymujący oddech i tłumiący bicie swego serca, którego drgnienia przez kaftan policzyć by było można...

Nareszcie Perrinet doszedł do łożnicy starca. Posunął się jeszcze kilka kroków, wyciągnął rękę, oparł się o kolumnę łóżka i zatrzymał chwilę, gdyż oddech mu zamarł w piersiach; potem przyklękając, wsunął rękę pod poduszkę. Ręka ta była drżąca i wilgotna od potu, który pokrył całe jego ciało. Na szczęście dla ojca i dla syna, głowa starca pochylona była nieco w tył łóżka, tak, że postępując z największą ostrożnością i posuwając rękę jak najwolniej, młodzieniec dosięgnął nareszcie kluczy. Czuł dobrze i to go zgrozą przejmowało, że jedno drgnienie, jeden ruch, jedno westchnienie starca mogło go uczynić ojcobójcą!

Gdy nareszcie poczuł zimno żelaza i zdołał palcem zahaczyć za kółko, na którym klucze były zaczepione, począł z tąż samą ostrożnością ciągnąć je ku sobie. wydobył je, pochwycił obiema rękoma, ścisnął tak, aby dźwięku nie wydały, i rozpoczął odwrót ku drzwiom; po chwili stanął przy nich jako szczęśliwy posiadacz skarbu, który miał mu zapewnić nasycenie zemstą. Zebrawszy resztki sił, wysunął się z pokoju i padł zemdlony na schodach prowadzących na wały. Zaledwie przytomność powracać mu zaczęła, gdy zegar na wieży klasztoru kordelierów począł wydzwaniać jedenastą. Za jedenastym uderzeniem, Perrinet zerwał się z miejsca; wiedział, że właśnie o tej godzinie pan de l'Ile–Adam na czele pięciuset zbrojnych winien się znajdować o kilka kroków za wałami. Leclerc wbiegł na schody, a gdy się znalazł u ich szczytu, posłyszał tętent zbliżającego się oddziału jezdnych. Odgłos ten dochodził od strony miasta.

– Kto idzie! – krzyknął wartownik.

– Ront nocny! – odpowiedziano głosem, po którym Perrinet poznał marszałka d'Armagnac.

Perrinet rzucił się twarzą na ziemię. Oddział przebiegł o dwie stopy od niego. Warta została zmieniona, inny żołnierz stanął na tym miejscu. Marszałek na czele oddziału pojechał dalej.

Perrinet czołgał się jak wąż ku środkowi drogi, którą wartownik przebywać musiał; gdy żołnierz przeszedł obok niego, podniósł się nagle i zanim ten zdążył się zasłonić lub wezwać pomocy, wepchnął mu w gardło sztylet aż po rękojeść. Żołnierz jęknął tylko i upadł.

Perrinet zaciągnął zwłoki w miejsce, na które padał głęboki cień sklepienia bramy i wziąwszy szyszak i halabardę zabitego, aby w razie potrzeby ujść za wartownika, zbliżył się do muru, długo i uważnie wpatrywał się w przestrzeń, a gdy oczy jego przywykły już do ciemności, zdawało mu się, iż dostrzega linię czarną i ścieśnioną, posuwającą się w milczeniu. Perrinet zbliżył obie ręce do ust i wydał krzyk, naśladujący głos puszczyka. Takiż sam krzyk odpowiedział mu z drugiej strony. Był to znak umówiony.

Perrinet zeszedł i otworzył bramę. Zewnątrz bramy stał już jakiś człowiek, oparty o furtę; był to pan l'Ile–Adam, który wyprzedził wszystkich innych.

– To dobrze, dotrzymałeś słowa – wymówił półgłosem.

– Gdzie są wasi?

– Oto właśnie nadchodzą.

W istocie, pod dowództwem pana de Chevreuse, Ferry de Mailly i hrabiego Lyonneta de Bournouville ukazała się na rogu ostatniego domu przedmieścia Saint–Germain kolumna wojska. W chwilę potem wojsko to wchodziło przez otwartą bramę, wsuwając się cicho do miasta. Perrinet zamknął drzwi za nimi, wszedł znowu na wały i rzucił klucze do rowu pełnego wody.

– Coś uczynił? – zapytał l'Ile–Adam.

– Odebrałem panu możność odwrotu – odpowiedział Leclerc.

– Idźmy tedy naprzód – rzekł l'Ile–Adam.

– Tędy droga – rzekł Leclerc, wskazując ulicę Pawią.

– A ty?

– Ja?!... Ja inną drogą się udam.

Po tych słowach zwrócił się na ulicę Cordeliers, a doszedłszy do mostu Notre–Dame, przebiegł przezeń, przeszedł ulicę Świętego Honoriusza aż do pałacu d'Armagnac i skrył się za węgłem muru, gdzie pozostał nieruchomy jak statua kamienna.

W tym samym czasie pan de l'Ile–Adam zbliżał się do Châtelet; przybywszy tam, podzielił swoich ludzi na cztery oddziały: pierwszy pod dowództwem pana de Chevreuse udał się w kierunku pałacu delfina przy ulicy de la Verrerie; drugi pod wodzą pana Ferry de Mailly skierował się ku pałacowi d'Armagnac, którego pan de l'Ile–Adam, pod karą śmierci, żywego dostawić rozkazał; trzeci pod rozkazami samego wodza wyprawy, pana de l'Ile–Adam, zbliżał się się do pałacu Saint–Paul, w którym król przebywał; czwarty z panem Lyonnet de Bournouville na czele pozostał na placu Châtelet, aby w razie potrzeby mógł pośpieszyć z pomocą któremukolwiek z trzech oddziałów.

Wszyscy wołali głośno:

– Matko Boska!... Niech żyje król! Niech żyje Burgundia! Wszyscy, którzy pokoju pragną, niech biorą broń i idą z nami!...

Na te krzyki wzdłuż całej drogi otwierały się okna, wychylały się w pomroce głowy przerażone i blade, które słuchały tych krzyków, rozpoznawały kolory i krzyże Burgundii i odpowiadały okrzykami: Śmierć marszałkowi! Niech żyją Burgundowie!

Wielką było nieoględnością ze strony dowódców krzykami budzić miasto całe, gdyż najznakomitsze osoby, które pojmać pragnęli, krzykami tymi ostrzeżone, umknąć zdołały. Tanneguy Duchatel, gdy tylko pierwsze wrzaski doszły uszu jego, pobiegł do pałacu delfina, a zwyciężywszy wszystkie przeszkody, jakie mu stawały na drodze, dotarł aż do sypialni królewskiego syna i znalazłszy go wspartego na łóżku i wsłuchującego się w tę wrzawę, która już do niego dochodziła, nie tracąc ani chwili, nie odpowiadając na pytania, zawinął go w kołdrę, porwał na ręce jak piastunka dziecię i uniósł. Robert le Massou, jego porucznik, trzymał już konia w pogotowiu; Tanneguy wsiadł nań natychmiast ze swym drogocennym ciężarem, a w dziesięć minut potem bramy niezdobytej Bastylii zamknęły się za nim, kryjąc w potężnych murach fortecy jedynego potomka i spadkobiercę starej monarchii francuskiej.

Ferry de Mailly, który zbliżał się do hotelu d'Armagnac, nie był szczęśliwszy od pana de Chevreuse; marszałek, którego widzieliśmy na czele patrolu nocnego, usłyszał krzyki Burgundów i gdy się przekonał, że wszelka obrona byłaby bezskuteczna, pomyślał także o własnym bezpieczeństwie. Schronił się więc do domu pewnego biednego murarza, wyznał kim jest i przyobiecał mu nagrodę odpowiednią ważności usługi, jakiej od niego żądał. Murarz ów ukrył go i przyrzekł, iż nie zdradzi tajemnicy.

Oddział, który spodziewał się zajść marszałka niespodzianie, dotarł do pałacu d'Armagnac i zaczął wywalać zabarykadowane wejście. W chwili, gdy drzwi runęły pod uderzeniami, człowiek jakiś dotąd bezczynnie oparty o przeciwległy mur, nagle rzucił się naprzód, roztrącił wszystkich i pierwszy wpadł do pałacu, tak że pan Ferry de Mailly dopiero za nim podążyć mógł.

W tym samym czasie pan de l'Ile–Adam, szczęśliwszy od innych, wtargnął po słabym oporze straży do pałacu Saint–Paul, przebiegł wszystkie komnaty i dotarł aż do sypialni króla Karola VI. Nieszczęśliwy monarcha, z którego drwiła służba i którego rozkazów dawno już nikt nie słuchał, tego wieczora zupełnie przez nią zapomniany został. Dopalająca się lampa słabo oświecała komnatę, resztki dogorywającego ognia, który nie wystarczał na ogrzanie i usunięcie wilgoci z tego obszernego pokoju, dogasały w roku szerokiego gotyckiego komina. Na prostym drewnianym stołku siedział skulony, półnagi starzec, drżący z zimna...

Był to król Francji.

Pan de l'Ile–Adam wbiegł do pokoju i nie widząc króla, poszedł wprost do łoża, które zastał puste, a odwróciwszy się spostrzegł osowiałego monarchę, który pochylony nad ogniskiem, rękoma wychudłymi i drżącymi poprawiał resztki niedopalonych głowni.

L'Ile–Adam zbliżył się doń z uszanowaniem i pozdrowił go w imieniu księcia Burgundii.

Król odwrócił się, ręce jego jednak wyciągnięte pozostały w stronę komina, spojrzał niepewnym wzrokiem na mówiącego i rzekł:

– Jak się ma mój kuzyn, książę Burgundzki? Bardzo dawno już nie widziałem.

– Miłościwy panie, książę przysyła mnie do was, aby wszystkim klęskom, trapiącym wasze królestwo, koniec położyć.

Król odwrócił się do ognia, nic nie odpowiadając.

– Miłościwy panie – dodał l'Ile–Adam, widząc, że król nic nie rozumie – miłościwy panie, książę Burgundzki prosi was, abyście raczyli wsiąść na koń i ukazali się przy moim boku na ulicach stolicy.

Karol VI podniósł się machinalnie, oparł na ramieniu pana de l'Ile–Adam i poszedł za nim bez oporu, gdyż nieszczęśliwy ten monarcha stracił już zupełnie pamięć i rozum, mało go więc obchodziło, jakie rozkazy wydadzą w jego imieniu i w czyje on sam ręce popadnie. Nie rozumiał już nawet, co znaczą te nazwy: hrabia d'Armagnac czy książę Burgundii.

Pan de l'Ile–Adam ze swym królewskim jeńcem skierował się ku Châtalet. Rozumiał, że obecność monarchy pośród Burgundczyków była dowodem upoważnienia królewskiego na wszystko, co się stać miało, oddał więc więźnia panu Lyonnet de Bournouville, rozkazując strzec go pilnie, lecz zalecając zarazem zachowanie wszelkich względów jego królewskiej mości należnych.

Spełniwszy ten czyn polityczny, popędził galopem w ulice Świętego Honoriusza, zeskoczył z konia przy drzwiach pałacu d'Armagnac, w którego wnętrzu rozlegały się krzyki i przekleństwa, a wybiegając na schody, potrącił jakiegoś człowieka tak silnie, że obydwaj zatrzymać się musieli, aby nie upaść. Wtedy poznali się wzajem.

– Gdzie marszałek? – zapytał pan de l'Ile–Adam.

– Szukam go właśnie – odpowiedział Perrinet Leclerc.

– Przekleństwo Ferremu de Mailly za to, że uciec mu pozwolił.

– Marszałek wcale nie wrócił do pałacu.

Obaj jak szaleni wybiegli z bramy, każdy w inną stronę i każdy pobiegł w pierwszą ulicę, jaką po drodze napotkał.

Tymczasem na ulicach miasta krew się lała. Słychać było okrzyki: „Śmierć! Śmierć marszałkowi! Precz z d'Armagnac'iem! Bić, zabijać! Wyrżnąć ich wszystkich!..." Tłumy żaków, mieszczan i rzeźników przebiegały ulice, burzyły domy, o których wiedziano, iż należą do stronników marszałka, a właścicieli zabijano i ćwiartowano mieczem i toporem. Bandy kobiet i dzieci biegły w ślad za bijącym, z nożami zakrwawionymi w rękach i dobijały tych, którzy jeszcze drgali.

Lud, kiedy tylko uczuł się uwolnionym spod jarzma marszałka, mianował pana de Bar prefektem Paryża w miejsce znienawidzonego Duchatela. Nowy urzędnik, którego obowiązkiem było trzymać nadzór nad porządkiem w mieście, widząc paryżan tak rozwścieczonych i tak zaciętych w swej nienawiści, nie śmiał im stawiać oporu i chociaż widział wszystkie nadużycia, powtarzał tylko łagodnie:

– Przyjaciele moi, czyńcie, co się wam podoba!

Pośród rzezi i gwałtów, człowiek jakiś, bledszy niż inni, więcej zdyszany i więcej niż inni potem oblany, rzucał się na wszystkie strony, biegał we wszystkich kierunkach.

– Marszałek! – wołał on. – Gdzie jest marszałek! Czy tu nie ma marszałka?!

– Gdzież on?

– Nie wiadomo, panie Leclerc! Kapitan de l'Ile–Adam ogłosić kazał, że da tysiąc talarów w złocie temu, który znajdzie jego kryjówkę.

Perrinet nie słuchał więcej, dopadł jednej z drabin przystawionych do murów wieży, spuścił się po niej i po chwili znalazł się na ulicy.

Kompania łuczników genueńskich pochwycona została w bliskości klasztoru Świętego Honoriusza i chociaż wszyscy się poddali, choć im przyobiecano darować życie – rozbrojono ich i wymordowano. Nieszczęśliwi śmierć ponosili na klęczkach, błagając zmiłowania. Burnudczycy, jak o zaszczyt, dopraszali się o to, kto ich ma zabijać. Dwóch było takich, którzy nie zabijali wcale, ale każdemu ze skazanych na śmierć zrywali z głowy hełm i przyglądali się pozostawiając innym trud zabijania. Oddawali się tym poszukiwaniom z zaciętością zdradzającą pragnienie nasycenia zemsty. Spotkali się wśród tłumu i poznali się.

– Marszałek? – zapytał de l'Ile–Adam.

– Szukam go właśnie – odparł Perrinet.

– Panie Leclerc! – zawołał w tej chwili głos z tłumu.

Perrinet odwrócił głowę.

– Co takiego, Thibércie – rzekł. – Czego chcesz ode mnie?

– Czy nie mógłbyś mi pan powiedzieć, gdzie się znajduje pan de l'Ile–Adam.

– Jestem tu! – zawołał wódz wyprawy.

Człowiek ten, ubrany w kaftan uwalany wapnem i cegłą, zbliżył się.

– Czy prawdą jest – zapytał – że obiecałeś pan tysiąc talarów w złocie nagrody, temu, kto wyda marszałka?

– Tak, prawdą jest – odparł kapitan.

– Wypłaćcie mi pieniądze– rzekł murarz – a wskażę wam dom i miejsce, gdzie się kryje hrabia d'Armagnac.

– Nastaw fartuch – wykrzyknął pan de l'Ile–Adam.

I garściami począł rzucać złoto.

– A teraz mów, gdzie on!

– U mnie! Chodźcie, zaprowadzę was.

Poza nimi rozległ się wybuch szatańskiego śmiechu. Pan de l'Ile–Adam odwrócił się, chcąc zawołać Leclerca, ale już go nie było.

– Chodź prędzej, człecze – zawołał na Thibérta – prowadź mnie!

– Poczekajcież chwilę – rzekł Thibért – podtrzymajcie pochodnię, niech pieniądze przeliczę...

Pan de l'Ile–Adam, drżący z niecierpliwości, poświecił murarzowi, który powolnie policzył talary jeden po drugim aż do ostatniego. Brakowało pięćdziesięciu.

– Nie ma tyle! – zawołał Thibért.

Kapitan rzucił mu na kupę złota jeszcze łańcuch złoty, który miał na szyi, a który wart był najmniej sześćset talarów. Thibért poszedł naprzód.

Przed nimi jednak przybył na miejsce Perrinet Leclerc. Zaledwie posłyszał targi, które się toczyły pomiędzy wodzem a murarzem, zaśmiał się szatańsko i puścił pędem w kierunku schronienia marszałka. Zatrzymał się przed drzwiami domu Thibérta. Drzwi te były zamknięte; sztylet jego oddał mu i tutaj tę samą usługę, jaką poprzednio na placu Sorbony; drzwi otworzyły się.

Wszedłszy, posłyszał szelest jakiś w drugim pokoju.

– Czy to wy, mój gospodarzu? – szepnął półgłosem marszałek.

– Tak, to ja – odpowiedział Leclerc – ale zgaście światło, panie marszałku, zdradzić was ono może!

Zaraz też spostrzegł przez szparę drzwi, że ciemności ogarnęły izbę, w której marszałek się znajdował.

– A teraz otwórzcie mi!...

Drzwi się uchyliły, Perrinet rzucił się na marszałka, który krzyknął. Sztylet Lecreca przeszył mu prawe ramię. Walka śmiertelna rozpoczęła się pomiędzy tymi dwoma ludźmi.

Marszałek, który czuł się bezpieczny mając słowo Thibérta, był bezbronny i na pół rozebrany. Mimo to byłby z łatwością udusił Leclerca w swych potężnych ramionach, gdyby nie rana, którą mu zadał Perrinet; niemniej jednak zdrowym ramieniem pochwycił młodzieńca i przyciskając go do piersi z całych sił, rzucił go na ziemię w nadziei, że padając na cegłą wyłożoną podłogę, rozbije sobie czaszkę. Upadek był istotnie gwałtowny i stałoby się, jak chciał marszałek, gdyby nie szczęście Perrineta, które sprawiło, iż upadł na materac rozciągnięty na ziemi.

Marszałek krzyknął strasznie. Perrinet bowiem, który w całym tym szamotaniu się nie wypuścił z ręki sztyletu, zadał mu ranę w drugie ramię. D'Armagnac z bólu puścił Leclerca i zatoczywszy się upadł na stół, który znajdował się na środku pokoju. Z ran w obu ramionach krew lała się strumieniem. Perrinet podniósł się, a prawie w tej samej chwili w drzwiach ukazał się rycerz w zbroi z pochodnią w ręku i oświecił tę scenę. Był to pan de l'Ile–Adam.

Perrinet rzucił się znów na marszałka.

– Stój! – zawołał rycerz – stój! Jeśli ci życie miłe, wstrzymaj się!

I chwycił go za ramię.

– Panie l'Ile–Adam, życie tego człowieka do mnie należy – rzekł Leclerc. – Królowa mi je darowała. Oto jej pieczęć!

Wydobył pergamin z kieszeni kaftana i pokazał go rycerzowi. Hrabia d'Armagnac leżał na stole nieruchomy, z powodu ran niezdolny do oporu. Patrzał tylko na tych dwóch ludzi, nie mogąc nawet podnieść rąk zakrwawionych.

– Dobrze – rzekł pan de l'Ile–Adam. – Ja jego życia nie żądam, więc porozumiemy się łatwo.

– Przysięgnij na twoją duszę, że mi go żywego oddasz! – wykrzyknął Leclerc.

– Przysięgam! Ale daj mi spełnić ślub, który uczyniłem!

Leclerc odstąpił, założył ręce i czekał spokojnie, patrząc na to, co się stać miało. Pan de l'Ile–Adam wydobył miecz z pochwy, wziął ostrze w ręce przy samym końcu tak, że tylko na cal wystawało poza wielki palec ręki rycerza i zbliżył się do marszałka. Ten, mniemając, że już ostatnia jego godzina wybiła, zamknął oczy, przechylił głowę w tył i począł się modlić.

– Marszałku Francji – rzekł pan de l'Ile–Adam, zrywając koszulę, która okrywała piersi d'Armagnaca– pamiętasz przysięgę, że nigdy za życia nie będziesz nosił na piersi czerwonego krzyża Burgundii!?

– Pamiętam – odpowiedział marszałek – i dotrzymałem przysięgi, bo oto już śmierć moja nadchodzi.

– Hrabio d'Armagnac – mówił dalej pan de l'Ile–Adam, końcem miecza orząc mu pierś wzdłuż i wszerz – skłamałeś jak pies, gdyż oto żyw jesteś i masz na piersiach czerwony krzyż Brugundii! Tyś nie dotrwał w przysiędze, a ja swoją spełniłem!

Marszałek tylko ciężkie wydał westchnienie. Pan de l'Ile–Adam włożył miecz do pochwy.

– Oto wszystko, czegom żądał od ciebie! – zawołał. – A teraz giń jak pies i krzywoprzysiężca!... Teraz na ciebie kolej, Perrinecie.

Konstabl otworzył oczy i powtórzył tylko słabym głosem:

– Perrinet Leclerc!

– Tak – rzekł ten, rzucając się znowu na nieszczęśliwego hrabiego d'Armagnaca, już prawie konającego. – Tak, Perrinet Leclerc, tak, ten sam, którego ciało kazałeś poszarpać pochwami twoich żołnierzy! Jak widzisz, każdy tu jakąś przysięgę złożył. Słuchaj mnie hrabio – ja złożyłem dwie: przysiągłem powiedzieć ci, zanim umrzesz, że to królowa Izabella Bawarska odbiera ci Paryż w zamian za życie kawalera do Bourdon, któreś ty jej wydarł. Sobie zaś ślubowałem hrabio d'Armagnac, że umrzesz z mojej ręki i oto – dodał, zatapiając mu sztylet w piersi – ślub mój spełniony! Niech w tym i przyszłym życiu Bóg pomaga wszystkim, którzy uczciwie słowa swego dotrzymują!...

VI

Pewnej ciemnej nocy, ku końcowi czerwca, podczas gdy straże czuwały u czterech rogów Bastylii, dwóch ludzi wstępowało po schodach wąskich i kręconych na platformę wieży fortecznej. Pierwszy, który się ukazał na tarasie, był to człowiek lat czterdzieści dwa do czterdziestu pięciu mający. Wzrostu był olbrzymiego, a siły kolosalnej. Był cały okryty ciężką zbroją, chociaż w miejsce broni zaczepnej, zamiast miecza, wisiał mu tylko sztylet krótki i wąski, jeden z tych, które nazywano „sztyletami łaski". Lewa jego ręka z przyzwyczajenia opierała się na tym sztylecie, podczas gdy w prawej trzymał z uszanowaniem czapkę aksamitną futrem przybraną, jaką zwykle w chwilach odpoczynku rycerze zastępowali ciężkie szyszaki wojenne, które ważały nieraz czterdzieści, a nawet i czterdzieści pięć funtów.

Pod gęstymi brwiami widać było oczy ciemnoniebieskie. Nos miał orli, cerę opaloną. Wszystko to razem nadawało jego fizjonomii wyraz surowości i stałości przekonań, a wyrazu tego nie łagodził wcale długi zarost czarny, lekko tylko na samym dole przystrzyżony.

Zaledwie człowiek, którego portret naszkicowaliśmy, wstąpił na platformę, wyciągnął ręce ku otworowi, przez który się wydostał. W otworze tym ukazała się ręka biała, pulchna i delikatna, która pochwyciła silną i żylastą dłoń rycerza i zaraz też z pomocą tej podpory niewzruszonej wyskoczył na taras młodzieniec lat szesnaście lub siedemnaście mieć mogący. Był on cały przybrany w aksamity i jedwabie, włosy miał długie, członki delikatne, postawę wysmukłą. Jak tylko wszedł na taras, począł, jakby tą krótką podróżą bardzo się zmęczył, szukać miejsca, na którym by usiąść mógł i spocząć. Widząc jednak, że sprzęty w rodzaju krzesła, uważane były za zbyteczne na tarasie fortecy, zdecydował się stać, oparłszy się o ramię swego towarzysza.

Tak rozpoczęli przechadzkę po tarasie, którą młodzieniec zdawał się odbywać raczej przez ustępstwo dla starszego i przez łagodność charakteru, aniżeli z własnej woli i inicjatywy, Kilka chwil upłynęło w milczeniu, którego ani jeden, ani drugi przerwać się nie ważył. Małe rozmiary platformy czyniły przechadzkę ową wielce uciążliwą. Kroki tych dwóch ludzi tworzyły razem jeden tylko odgłos, z taką łatwością lekki chód dziecka łączył się i niknął w ciężkim stąpaniu żołnierza. Można by sądzić, że obaj stanowili jedno ciało i jeden cień, i że jeden z nich tylko żył za obydwu.

Nagle rycerz zatrzymał się, stanął twarzą zwrócony ku Paryżowi, zmuszając w ten sposób i swego towarzysza do zatrzymania się. U stóp ich rozciągało się wzburzone miasto. Była to właśnie jedna z tych nocy, pełnych wrzasku i scen burzliwych, jakie staraliśmy się opisać wyżej. Z platformy rozróżnić można było tylko niewyraźnie sylwetki domów, ciągnących się od wschodu na zachód, których dachy zdawały się trzymać jedne drugich, jakby tarcze armii, idącej do szturmu. Czasem, gdy tłum ludzi zagłębiał się między szeregi budynków, światło pochodni oświecając jedną ulicę, zdawało się ćwiartować miasto. Cienie mieszały się w tym świetle z głośnymi okrzykami i ze śmiechem. Potem u pierwszego lepszego placyku, na którym się zbiegało kilka krzyżownic, tłum się rozpraszał w różnych kierunkach, światła niknęły, ale krzyki nie przycichły. Wszystko pogrążało się w ciemność, a zlane w jeden chaos głosy zdawały się być żałośliwymi jękami miasta, któremu wojna domowa rozdzierała wnętrzności ogniem i mieczem.

Widok ten i hałasy sprawiały na żołnierzu silne wrażenie, bo ponura twarz jego bardziej jeszcze posępny przybrała wyraz. Czoło jego się zmarszczyło tak, że brwi końcami łuków się zetknęły, wyciągnął ramię w kierunku Luwru, a usta tak mu się zaciskały, że towarzyszący mu młodzieniec zaledwie usłyszeć zdołał z trudem wymówione wyrazy:

– Oto miłościwy panie, miasto wasze. Czy poznajecie je?

Twarz młodzieńca przybrała wyraz melancholiczny, do którego przed chwilą wydawał się niezdolny. Zwrócił wzrok swój na stojącego obok rycerza i popatrzywszy tak chwilę w milczeniu rzekł:

– Mój drogi Tanneguy, patrzyłem na nie często o takiej samej porze z okien pałacu Saint–Paul, jak patrzę na nie obecnie z tarasu Bastylii. Widywałem je czasami spokojnym, lecz nie sądzę, bym je widział kiedykolwiek szczęśliwym.

Tanneguy zadrżał; odpowiedzi takiej nie spodziewał się od młodego delfina. Pytał go, sądząc, że mówi do dziecka, a on odpowiedział jak człowiek dojrzały.

– Wasza wysokość niech mi przebaczyć raczy – rzekł Duchatel – lecz do tej pory myślałem, że więcej was zajmują przyjemności, niż interesy Francji.

– Mój ojcze (od czasu, jak Duchatel ocalił go z rąk Burgundczyków, młody delfin tak go nazywał), wymówka ta w połowie tylko jest słuszną. Dopóki przy tronie Francji widziałem moich dwóch braci, którzy teraz znajdują się przy tronie boskim, to rzeczywiście w umyśle moim było tylko miejsce na rozrywki i szaleństwa; lecz od chwili, gdy podobało się Najwyższemu powołać ich do siebie w sposób tak nagły i niespodziany, zapomniałem o mej lekkomyślności i pamiętam tylko o tym, że po śmierci najdroższego ojca mego (którego niech Bóg zachowa!) to piękne królestwo Francji nie ma, prócz mnie – innego pana.

– A więc, mój lwie młody – rzekł Tanneguy z widoczną radością – jesteś gotów bronić tego królestwa pazurami i zębami przeciw Henrykowi Angielskiemu i Janowi Bugrundzkiemu?

– Przeciw każdemu z osobna, kochany Tanneguy, lub przeciw obu razem.

– Ach! miłościwy panie, słowa wasze są natchnieniem bożym, aby ulżyć sercu starego przyjaciela. Oto, od lat trzech po raz pierwszy pełną piersią oddycham. Gdybyś wiedział, panie, jakie wątpliwości dręczą serce człowieka takiego jak ja, gdy monarchia, której poświęcił swe życie i honor swój, dotknięta jest tak strasznymi ciosy, jak te, przeciw którym wy dziś ostatnią tarczą jesteście; gdybyście wiedzieli, miłościwy panie, ile razy zapytywałem siebie, czy przyszły już czasy, że dynastia ta ustąpić musi innej i czy dążenia do jej podtrzymania nie są grzechem i buntem przeciwko woli Boga najwyższego, który, zdawało się, sam już ją opuścił. Niech mi Bóg przebaczy, jeżeli bluźnię, gdyż od lat trzydziestu, ile razy zwrócił oczy swe na wasz ród szlachetny, to po to tylko, aby jej cios zadać, a nie po to, aby ją przed ciosami uchronić! Tak – ciągnął dalej – można sądzić, że jest to wróżba fatalna dla dynastii, gdy jej naczelnik chory na ciele i na duszy, jak to się dzieje z naszym panem i królem; sądzić można, że wszystko już upada, gdy się widzi pierwszego wasala korony odcinającego toporem i mieczem gałęzie ze szczepu królewskiego, jak to uczynił ten zdrajca Jan ze szlachetnym księciem Orleańskim, stryjem waszym. Można sądzić wreszcie, że państwo bliskie jest zagłady, gdy się widzi dwóch szlachetnych młodzieńców, starszych braci waszej wysokości, ginących śmiercią nagłą i nienaturalną. Teraz cała nadzieja tylko w waszej wysokości, wy musicie podjąć się ciężkiego zadania i odeprzeć wewnętrznych i zewnętrznych nieprzyjaciół Francji; tylko czy wam na to wątłe, młodociane siły pozwolą?...

Młody delfin, nie odpowiadając rycerzowi, wysunął rękę spod jego ramienia i poszedł wprost do czuwającego u jednej z wieżyczek Bastylii wartownika. W jednej chwili pas, który podtrzymywał kołczan łucznika, opasał wątłe ciało delfina, łuk z rąk żołnierza przeszedł w ręce młodego księcia i cała jego

postawa przybrała jakiś pozór prawdziwej męskości i siły moralnej, jakiej w nim dotąd nikt nie przypuszczał. Tak się przebrawszy, zwrócił się do Duchatela zdziwionego i milczącego, i rzekł:

– Ojcze mój, spodziewam się, że zaśniesz spokojny, chociaż noc ta będzie pierwszą nocą warty twego syna.

Duchatel już miał mu odpowiedzieć, już usta otwierał, gdy nagle scena, która poczęła się rozwijać u stóp Bastylii, zmieniła kierunek jego myśli.

Od kilku chwil hałas jakiś słyszeć się dawał w pobliżu, a wielkie czerwone światło obejmować poczęło ulicę de la Cerisaie. Niepodobna jednak było jeszcze rozróżnić, skąd pochodziły te wrzaski i to światło; ulica bowiem ciągnęła się równolegle do murów fortecy, a domy które ją tworzyły, były zbyt wysokie, aby wzrok mógł się przedostać aż do samej ziemi, nawet z takiej wysokości, na jakiej znajdowali się Tanneguy i młody książę. Krzyki stawały się coraz wyraźniejsze i nagle z ulicy de la Cerisaie na ulicę świętego Antoniego wybiegł człowiek jakiś półnagi, uciekający co sił i wołający ratunku. Za nim, doganiając go, biegło kilku ludzi z mieczami i nożami dobytymi, wołając i wrzeszcząc:

– Śmierć mu! Niech ginie marszałkowski! Bij Armagnaca!

Na czele tych, którzy ścigali nieszczęśliwego, rozpoznać było można mistrza Cappelucha, który od innych odróżniał się mieczem ogromnym, zakrwawionym kaftanem jaskrawej barwy i gołymi nogami; uciekający, którego biegowi strach dodawał nadludzkiej szybkości, byłby może zdołał ujść swym katom, gdyby mógł skręcić zaraz za rogiem ulicy i schronić się za mur pałacu de Tournelle. Nieszczęściem jednak dla niego, nogi zaplątały mu się w łańcuch, którym na noc zamykano ulicę. Zachwiał się biedak, zatoczył i upadł w odległości strzału z łuku od murów Bastylii. Ci, którzy go gonili, ostrzeżeni już jego upadkiem, przeskoczyli przez łańcuch, lub przesunęli się pod nim tak, że gdy ofiara chciała się zerwać do dalszego biegu, nad głową jej zabłysł straszny miecz Cappelucha. Zrozumiał nieszczęsny, że nie było już dla niego ratunku. Upadł więc na kolana wołając: „łaski!", której już od Boga tylko mógł się spodziewać.

Od pierwszej chwili żaden ze szczegółów sceny, którąśmy opisali, nie uszedł uwagi Duchatela ani też delfina. Karol, przyzwyczajony do podobnych widoków, konwulsyjnymi ruchami i niewyraźnymi wykrzyknikami zdradzał ogromne zainteresowanie tym, co się działo przed jego oczyma. Z tą samą szybkością, z jaką Cappeluche podniósł swój miecz nad głową nieszczęśliwego, młody książę wyrwał strzałę z kołczana i założył ją na cięciwę łuku. Łuk wygiął się jak wiotka trzcina. Książę opuścił lewą rękę, a prawą przyciągnął cięciwę do ramienia. Trudno było osądzić wzrokiem, co prędzej do celu przybędzie: czy miecz Cappelucha do karku ofiary, czy strzała delfina do piersi oprawcy, gdy nagle Tanneguy, wyciągając szybko rękę, pochwycił strzałę wpół i złamał ją prawie w ręku królewskiego łucznika.

– Co robisz, Tanneguy? co robisz?! – krzyknął delfin, tupiąc nogą. – Czyż nie widzisz, że ten nędznik zabije jednego z naszych! Że Burgundczyk zamorduje narszałkowskiego!

– Niech raczej wprzód zginą wszyscy marszałkowscy, miłościwy panie, aniżelibyś wasza wysokość splamić miał to żelazo krwią takiego człowieka!

– Ależ Tanneguy! Patrz! Ach, patrz, Tanneguy!...

Na krzyk delfina Duchatel zwrócił oczy ku ulicy. Głowa mniemanego stronnika d'Armagnaców leżała już o dziesięć kroków od drgającego jeszcze tułowia, a mistrz Cappeluche ocierał spokojnie krwią zbroczony miecz swój, gwiżdżąc śpiewkę Burgundów:

Wspaniały, wielki, mężny
Burgundii książę potężny!

– Patrz, Tannegury, patrz – powtarzał delfin, płacząc z bezsilnej wściekłości. – Patrz, co się stało! Ach, gdyby nie ty! gdyby nie ty!

– Mości książę – widzę, co się stało – rzekł Tanneguy – ale powtarzam raz jeszcze, człowiek ten nie mógł zginąć z rąk waszej królewskiej wysokości.

– Ależ na Boga! Któż to jest, ten człowiek?!

– Ten człowiek, mości książę, jest to mistrz Cappeluche, kat miasta Paryża.

Delfin opuścił ramiona i schylił głowę na piersi.

– O, mój kuzynie! Potężny książę Burgundii! – zawołał głosem głuchym. – Nie chciałbym, za cztery największe królestwa chrześcijaństwa, używać ludzi i środków, jakich ty używasz, aby mnie pozbawić tych resztek, które mi pozostają jeszcze z mego królewskiego dziedzictwa!

Tymczasem człowiek jakiś ze świty mistrza Cappelucha, pochwyciwszy za włosy odciętą głowę, podniósł ją i przybliżył do trzymanej w drugiej ręce pochodni. Światło padało na twarz, a śmiertelne kurcze nie tak bardzo wykrzywiły rysy nieszczęśliwego, aby Tanneguy nie mógł rozeznać w nich Henry-

ka de Marle, przyjaciela swego dzieciństwa, najgorętszego i najwierniejszego stronnika Armagnaców. Głębokie westchnienie wydobyło się z jego piersi.

– Niech piorun trzaśnie, mistrzu! – zawołał jeden z ludu pokazując katowi głowę – to z was dopiero tęgi robotnik! Odcinacie głowę pierwszemu kanclerzowi Francji zupełnie tak samo, jakby to był pierwszy lepszy szewc z przedmieścia.

Kat uśmiechnął się pobłażliwie... On także miał swoich pochlebców.

Tejże nocy, na dwie godziny przed brzaskiem, mały oddział dobrze uzbrojony i na silnych koniach wyszedł ostrożnie zewnętrzną bramą Bastylii, w milczeniu zwrócił się ku mostowi pod Charenton, przebył go i przez osiem godzin bez odpoczynku, postępował prawym brzegiem Sekwany. Przez cały ten czas ani jeden wyraz nie został wymówiony, ani jedna przyłbica nie została podniesiona. Na koniec, koło godziny jedenastej przed południem, zbrojni owi ujrzeli miasto jeżące się obronnymi murami.

– Teraz, mości książę – rzekł Tanneguy do rycerza jadącego na koniu tuż obok niego – teraz możecie podnieść przyłbicę i zawołać: „Dzięki Bogu i świętemu Karolowi! Niech żyje Francja!", bo oto biała chorągiew Armagnaców! Znajdujesz się u wrót twego wiernego miasta, które się zowie Melun...

Tak to delfin Karol, któremu historia dała przydomek „Zwycięzcy", odbył pierwszą swą nocną wartę i pierwszy marsz wojenny.

VII

Dnia 14 lipca 1418 roku obudzony Paryż usłyszał radosne głosy dzwonów. Książę Burgundii i królowa Izabella przybyli do wrót miasta i zatrzymali się u przedmieścia Świętego Antoniego. Cała ludność wyległa na ulicę. Wszystkie domy, około których orszak miał podążać udając się do pałacu Saint–Paul, zostały ozdobione dywanami i makatami tak, jakby Bóg miał tędy przechodzić. Wszystkie sienie, bramy, schody, nisze, przystrojone były kwiatami, we wszystkich oknach i na balkonach zasiadały kobiety. Sześciuset mieszczan, ubranych w płaszcze niebieskie i prowadzonych przez panów de l'Ile–Adam i de Giac, wyszło aż przed bramę Świętego Antoniego i oddało zwycięzcom – księciu Burgundii i królowej – klucze miasta. Niezliczone tłumy ludu towarzyszyły orszakowi mieszczan– wszystkie korporacje wystąpiły każda ze swoją chorągwią. Lud krzyczał: „Noël!", zapominając o tym, że wczoraj był godny i że jutro też głodny będzie.

Po powitaniu przybyłych, tłumy rozeszły się z okrzykami: „Niech żyje król! Niech żyje Burgundia!" i dopiero wieczorem wszyscy spostrzegli, że byli głodni tak samo jak wczoraj.

Nazajutrz potworzyły się wielkie zbiegowiska. Ponieważ dzień ten nie był wcale uroczystym świętem ani też nie było żadnego turnieju, ani orszaku, na który by patrzeć można, naród podążył do pałacu Saint–Paul, ale już bez okrzyków radości. Nie wołano: „Niech żyje król! Niech żyje Burgundia!" – ale wołano: „Chleba, chleba!" Książę Jan ukazał się na balkonie i przemówił do ludu, zapewniając go, że dokłada starań, aby zmniejszyć głód i nędzę trapiącą Paryż, ale dodał też, że jest to bardzo trudne z powodu rabunków i gwałtów, jakich się dopuszczali marszałkowscy w okolicach stolicy. Naród uznał słuszność tej relacji i zażądał, aby mu wydano więźniów zamkniętych w Bastylii, gdyż w przekonaniu narodu ci, których trzymają w więzieniu, zawsze się za złoto wykupią, a okup zapłaci lud. Książę odpowiedział im, że stanie się według ich życzenia. W istocie też, zamiast chleba, wydano ludowi siedmiu więźniów. Byli to panowie Enguerard de Marigny, męczennik z męczenników, Hektor de Chartres, ojciec arcybiskupa z Reims i Jan Taranne, bogaty mieszczanin. Historia zapomniała nazwisk czterech innych. Lud ich wymordował i w ten sposób chwilowo się zaspokoił. Książę zaś stracił w tej rzezi siedmiu nieprzyjaciół swoich i zyskał jeden dzień spokoju.

Dnia następnego nowe zbiegowiska, nowe krzyki, wydanie nowej partii więźniów; ale tym razem tłum bardziej był żądny chleba, aniżeli krwi. Przyprowadzono tylko czterech nieszczęśliwych z Bastylii do więzienia Châtelet i oddano ich perfektowi, a naród pobiegł rabować pałac książąt de Bourbon i gdy tam znalazł chorągiew, na której wyhaftowany był smok, kilkuset z ludu poszło z chorągwią tą do księcia

Burgundii, pokazać mu ten nowy dowód związku między marszałkowskimi i Anglikami, a podarłszy chorągiew w szmaty, strzępy te walał w błocie, wołając: „Śmierć marszałkowi! Śmierć Anglikom!" Dnia tego nikogo nie zabito.

Jednakże książę widział, że powoli zbliża się chwila, kiedy na rozjuszony lud żadnego już nie będzie mieć wpływu. Obawiał się, że tak długo czepiając się pozornych przyczyn złego, lud w końcu przetrze oczy i dojrzy przyczyny istotne. Dlatego też nocą sprowadził do pałacu Saint–Paul kilku znakomitych mieszczan Paryża, którzy przyobiecali, że jeśli zechce przywrócić porządek, pokój i dawny ład, oni mu będą pomocni. Książę spokojniejszy już oczekiwał dnia następnego.

Nazajutrz słyszeć można było jeden tylko krzyk, jak jedną była ogólna potrzeba: „Chleba! chleba!"

Książę ukazał się na balkonie i chciał mówić, ale wrzaski zagłuszyły głos jego; zszedł więc, rzucił się bez broni i z odkrytą głową w środek tego zgłodniałego i wynędzniałego ludu, podając rękę wszystkim, rzucając złoto pełnymi garściami. Tłum zamknął się za nim, dusząc go i cisnąc swą masą, przerażając zarówno swą lwią miłością, jak swym tygrysim gniewem. Książę czuł już, że jest zgubiony, jeśli trafnym słowem nie stawi oporu tej przerażającej sile; znowu tedy spróbował mówić, lecz głos jego przebrzmiał nieusłyszany, wreszcie zwrócił się do jakiegoś człowieka, który zdawał się mieć pewien wpływ na masy. Człowiek ten wszedł na kamień i zawołał:

– Uciszcie się! Książę chce mówić, posłuchajmy go!

Tłumy posłusznie ucichły. Książę miał na sobie kaftan aksamitny, złotem haftowany i kosztowny łańcuch na szyi; człowiek ów zaś miał tylko na głowę stary czerwony kapelusz, kaftan koloru krwi i gołe nogi. Jednakże ten oberwaniec uzyskał to, czego uzyskać nie zdołał potężny Jan książę Burgundzki. Kiedy spostrzegł, że cisza już zapanowała, rzekł:

– Rozstąpcie się i stańcie kołem!

Tłum się rozsunął. Książę, gryząc wargi aż do krwi ze wstydu, że musiał uciekać się do takich środków i posługiwać się takim człowiekiem, wszedł znowu na balkon, żałując, że z niego schodził. Zaś ów człowiek szedł za nim, aby się przekonać, czy tłum gotów jest słuchać tego, co chciano mu oznajmić, potem zwracając się do księcia rzekł:

– Mów, mości książę, słuchają was!...

I położył się u stóp księcia, jak pies u nóg swego pana.

W tym samym czasie kilku panów, przychylnych księciu Burgundii, wyszło z wnętrza pałacu Saint–Paul i stanęło za nim w pogotowiu, aby nieść mu pomoc, gdyby tego zaszła potrzeba. Książę zrobił znak ręką; rozkazujące i przeciągłe „pst!" wydobyło się z ust człowieka w czerwonym kaftanie i książę zaczął mówić:

– Moi przyjaciele! – rzekł. – Żądacie ode mnie chleba. Nie mogę wam go dostarczyć, gdyż zaledwie król i królowa mają go na swym stole królewskim. Zamiast nadaremnie przebiegać ulice Paryża, lepiej byście zrobili, gdybyście poszli zdobywać Marcounis i Moutlhéry, gdzie się delfińczycy znajdują; zabralibyście zapasy żywności, której dużo jest w tych miastach, wypędzilibyście wrogów królewskich, którzy pustoszą i rabują okolicę, zuchwale podsuwając się aż pod bramy miasta i żniw dokonać nie dozwalają.

– My nie żądamy niczego więcej! – wrzasnął tłum jednogłośnie – jak tylko walki, lecz niechże ktoś nas do boju prowadzi!

– Panowie de Cohen i de Rupes – zawołał książę, obracając się i patrząc przez ramię na panów stojących poza nim. – Mówiliście, że armii wam potrzeba. Oto ją macie.

– Tak, mości książę, pragnęliśmy i przyjmujemy! – odrzekli zagadnięci.

– Moi przyjaciele – ciągnął książę, zwracając się do tłumu i przedstawiając mu wyżej wymienionych panów. – Czy przyjmujecie tych oto szlachetnych rycerzy za waszych wodzów? Daję wam ich.

– Wszystko nam jedno! Ci lub inni, byleby tylko szli naprzód!

– A więc, mości panowie, siadajcie na koń – rzekł książę głośno. – I nie zwlekajcie – dodał półgłosem

Książę chciał wejść do pałacu, ale człowiek leżący u stóp jego powstał i wyciągnął ku niemu rękę. Książę podał mu swoją.

– Kto jeteś i jakie jest twoje rzemiosło? – zapytał książę.

– Jestem katem miasta.

Książę Jan wyrwał rękę z dłoni Cappelucha, jak gdyby dotknął rozpalonego żelaza, cofnął się dwa kroki wstecz i zbladł straszliwie. Najpotężniejszy książę chrześcijański wobec całego Paryża zawarł przymierze z oprawcą miejskim!...

– Kacie – rzekł książę głosem drżącym i surowym. – Idź do więzienia Châtelet, będziesz mi tam potrzebny.

Cappeluche usłuchał tego rozkazu bez zdumienia, jako polecenia, do którego był przyzwyczajony.

– Dobrze, panie – rzekł.

Potem schodząc z balkonu, dodał głośno:

– Książę nasz jest szlachetnym panem, wcale nie dumny i kocha biedny lud.

– Panie de l'Ile–Adam – rzekł książę, wskazując oddalającego się kata. – Niech kto idzie za tym człowiekiem, gdyż jedno z dwóch nastąpić musi: albo mnie odciąć trzeba rękę prawą, albo jemu głowę.

Tego samego dnia panowie de Cohen, de Rupes i pan Gauthier Raillard wyruszyli z Paryża, zabierając z sobą armaty i różne narzędzia oblężnicze. Więcej niż dziesięć tysięcy najzuchwalszych z pospólstwa poszło z nimi dobrowolnie; potem zamknięto bramy Paryża, a wieczorem zaciągnięto łańcuchy na wszystkich ulicach, jak również po obu brzegach rzeki. Mieszczanie wspólnie z żołnierzami podjęli się wartowania i po raz pierwszy od dwóch miesięcy miasto nie zostało zbudzone okrzykami: „Ratunku! Mordują!" albo też: „Ratunku! Palą!"

Tymczasem Cappeluche dumny, iż książę podał mu rękę i wydał poufne polecenie, skierował kroki swoje ku więzieniu Châtelet, marząc o egzekucji mającej się odbyć zapewne nazajutrz i o wielkim zaszczycie, jaki go mógł spotkać, gdyby – jak się to czasem trafiało – przy wykonaniu wyroku dwór był obecny. Ktokolwiek spotkałby go w tej chwili, byłby odgadł w nim człowieka zadowolonego; ręką prawą przecinał powietrze w rozmaite strony, jakby odbywał próbę przedstawienia, w którym miał tak niezbędną odegrać rolę. Idąc tak ciągle powoli i spokojnie, doszedł wreszcie do Châtelet i zapukał do bramy raz jeden tylko, lecz pośpiech z jakim drzwi się otworzyły, dowodził, że stróż więzienny od razu rozpoznał w pukającym tego, którego oczekiwał.

Dozorca jadł właśnie kolację z rodziną, zaprosił więc Cappelucha, aby się nim posilił; kat przyjął zaproszenie z wyrazem pobłażliwej wyższości człowieka, który przed chwilą ściskał rękę pierwszego wasala korony francuskiej. Położył swój wielki miecz przy drzwiach, a sam zasiadł przy stole.

– Mości Ryszardzie – rzekł Cappeluche po chwili – jak się nazywają najwięksi dygnitarze przebywający obecnie w waszym hotelu?

– Na honor, mistrzu – odrzekł Ryszard – od bardzo niedawna tu jestem, przybyłem tu po śmierci mego poprzednika i jego żony, którzy zostali zabici, gdy Burgundczycy opanowali Châtelet. Wiem dobrze, jaką ilość porcji posyłam więźniom, lecz nie znam nazwisk ludzi jedzących moją zupę.

– A czy znaczna ich jest liczba?

– Jest ich stu dwudziestu.

– A zatem, mości Ryszardzie, jutro będzie ich tylko stu dziewiętnastu.

– Jak to? Czy znowu są rozruchy pomiędzy ludem? – spytał prędko dozorca obawiający się powtórzenia scen, których jego poprzednik padł ofiarą. – Gdybym wiedział, który to nich, uporałbym się z nim naprzód, aby naród nie czekał.

– Nie, nie – rzekł Cappeluche. – Nie zrozumiałeśmnie; naród jest teraz pod murami Marcounis i Moutlhéry, a stąd wnosić można, że tyłem jest zwrócony do więzienia Châtelet. Nie idzie w tej chwili o żadne rozruchy, lecz o egzekucję.

– Jesteś waść pewnym tego, co mówisz?

– Mnie się o to pytasz? – odparł, śmiejąc się, Cappeluche.

– Ach! prawda, otrzymałeś waść rozkaz od prefekta.

– Nie, wiem o tym z lepszego jeszcze źródła, bo wprost z ust księcia Burgundii.

– Księcia Burgundii?

– Tak – ciągnął dalej Cappekuche, przechylając się i niedbale kołysząc na tylnych nogach krzesła – tak, wprost od księcia Burgundii; książę nie dalej, jak pół godziny temu, podał mi rękę i powiedział: „Cappeluche, mój przyjacielu, zrób mi tę przyjemność, idź jak najśpieszniej do więzienia Châtelet i czekaj tam moich rozkazów". Odpowiedziałem na to: mości książę może polegać na mnie, jestem waszym na śmierć i życie! Widocznym jest, że jutro bez wątpienia poprowadzą którego ze znakomitsznych marszałkowskich na plac de la Grève; ponieważ książę ma być obecny na tej hecy, więc chce, aby się to

przyzwoicie odbyło i dlatego mnie wybrał do spełnienia swej woli. Gdyby zaś miało być inaczej, rozkaz byłby przyszedł od prefekta i wtedy poleciłby to memu pomocnikowi Janowi Gorju.

Gdy tych wyrazów domawiał, dały się słyszeć z zewnątrz dwa uderzenia młotkiem we drzwi i dozorca poprosił Cappelucha o pozwolenie zabrania lampy. Cappeluche kiwnął głową na znak zezwolenia. Dozorca wyszedł, pozostawiając współbiesiadników w ciemności. W dziesięć minut powrócił, zatrzymał się na progu pokoju zamykając za sobą drzwi starannie, wpatrzył się z wyrazem szczególnego zadziwienia w twarz gościa swego, wreszcie rzekł doń, nie wracając już na swoje miejsce.

– Mistrzu Cappeluche, trzeba iść za mną.

– Zgoda! – odpowiedział ten, wypróżniając resztę wina ze szklanki i cmokając językiem, jak człowiek, który docenia przyjaciela wtedy, gdy go traci – dobrze, rozumiem, co to znaczy.

Mówiąc to, podniósł się i poszedł za dozorcą; po drodze jednak zabrał swój olbrzymi miecz, który przed chwilą przy drzwiach był położył. Przeszedłszy kilkanaście kroków zimnym i wilgotnym korytarzem, doszli do schodów tak wąskich, że każdy przyznałby, iż budowniczy stawiający więzienie uważał schody za zbyteczne tam dodatki. Cappeluche schodził z łatwością, jak człowiek dobrze znający tę drogę, pogwizdując ulubioną swoją śpiewkę, zatrzymując się na każdym piętrze i mówiąc, gdy dozorca prowadził go jeszcze dalej:

– Tam do diabła! To musi być jakiś wielki dygnitarz.

W ten sposób zeszli w dół jakie sześćdziesiąt stopni. Tu dozorca zatrzymał się, otworzył drzwi tak niskie, że Cappeluche musiał się dobrze nachylić, aby móc wejść do lochu, do którego drzwi te prowadziły. Przechodząc zauważył, że drzwi były mocne i dobrze zamknięte: grube na cztery palce, okute blachą żelazną i łańcuch gruby je zamykał. Widząc to, Cappeluche kiwnął głową na znak, że to dla niego nie nowość – i wszedł. Loch był pusty. Cappeluche spostrzegł to od pierwszego rzutu oka, lecz sądził, że ten, do którego został wezwany, jest teraz w sali badań lub na torturach. Postawił więc miecz swój w kącie z zamiarem oczekiwania więźnia.

– To tutaj – rzekł dozorca.

– Dobrze – odpowiedział krótko Cappeluche.

Ryszard chciał odejść zabierając lampę, Cappeluche prosił, ażeby mu ją zostawił. Ponieważ dozorcy nie wydano rozkazu, aby go bez światła zostawił, uczynił więc zadość temu żądaniu. Cappeluche wziął lampę do ręki i zabrał się do roboty, a w przygotowaniach jakie czynił, nie słyszał, że klucz obrócono w zamku dwa razy i drzwi zamknęły się za nim na dwa spusty. Na łóżku w słomie znalazł to, czego szukał tak pilnie. Był to kamień, który jakiemuś więźniowi służył za poduszkę.

Cappeluche przeniósł kamień na środek lochu, przysunął do niego stary drewniany stołek, postawił na nim lampę, podniósł swój miecz z miejsca, na którym go położył, zwilżył kamień resztką wody znajdującej się w dzbanku, a usiadłszy na ziemi, objął nogami kamień i zaczął z powagą ostrzyć swój miecz, który stępił się trochę w częstych usługach, jakie swego panu od kilku dni oddawał. Robotę swoją Cappeluche przerywał tylko wtedy, gdy próbował ostrza, przeciągając po nim z lekka palec, po czym z nowym zapałem powracał do przerwanej czynności.

Tak był zatopiony w tym małym zatrudnieniu, iż nie spostrzegł nawet, że drzwi otworzyły się i człowiek jakiś zbliżył się do niego, przypatrując się z niemym zdziwieniem. Wreszcie nowo przybyły przerwał milczenie.

– Do diabła, mistrzu – rzekł. – Dziwną, widzę, macie robotę!

– A! to ty, Gorju! – rzekł Cappeluche, podnosząc oczy, które natychmiast spuścił na kamień, całą jego uwagę pochłaniający. – Co tym tam gadasz?

– Mówię, żeście okrutnie poczciwi, mistrzu, kiedy się zajmujecie takimi drobiazgami.

– Cóż chcesz, moje dziecko – rzekł Cappeluche. – Na świecie nic się nie robi bez miłości, a w naszym stanie równie jest ona potrzebna jak w innym. Miecz ten, jakkolwiek wyszczerbiony, mógł jeszcze służyć w rozruchach ulicznych, gdyż tam idzie tylko o to, żeby zabić, a nikogo to nie obchodzi, czy się uderza raz czy dwa razy; lecz czynność, do której ten miecz ma być użyty jutro, nie może się równać z robotą, jaką wykonywał od miesiąca i wszelkie starania moje nie będą tu zbyteczne, bylem się tylko nie powstydził.

Po tych słowach Cappeluche podniósł znowu oczy na swego towarzysza.

– Więc ty nie wiesz o tym, że jutro ktoś ma zostać ścięty?

– Owszem, owszem – odpowiedział. – Wiem doskonale.

– A więc... czemuż się dziwisz?...

Cappeluche znowu wziął się do przerwanej roboty.

– A wy nie wiecie, mistrzu – zapytał Gorju – nazwiska skazanego na śmierć?

– Nie – odpowiedział Cappeluche, nie przestając ostrzyć miecza – to mnie nie obchodzi, byle tylko skazany nie był garbaty. Wtedy trzeba by było żebym wiedział, z powodu trudności pewnych przy wykonaniu wyroku.

– Nie, mistrzu – odpowiedział Gorju. – Skazany ma kark taki, jak ja i wy, i rad jestem z tego, gdyż nie posiadając waszej wprawy...

– Co mówisz?

– Mówię, że ponieważ mianowany zostałem katem dopiero dziś wieczorem. to bardzo by się nieszczęśliwie zdarzyło, gdybym po raz pierwszy natrafił na...

– Ty... katem? – rzekł ze zdumieniem Cappeluche, przerywając mu i opuszczając miecz.

– No, tak! Cóż w tym dziwnego, mój Boże? Przed pół godziną wezwał mnie prefekt do siebie i wręczył mi nominację na to dostojeństwo.

Wymawiając te słowa, Gorju wyjął z kieszeni kaftana pergamin i pokazał go Cappeluchowi.

Jakkolwiek Cappeluche nie umiał czytać, lecz po herbach Francji i pieczęci prefektury poznał, porównując to co widział z patentem jaki posiadał sam, że pergamin ten był zupełnie podobny.

– Ach! – wymówił z przygnębieniem. – W wigilię publicznego wykonania wyroku zrobili mi taki wstyd.

– Ależ niepodobna, byście byli wykonawcą wyroku.

– A to dlaczego?

– Gdyż nie moglibyście wykonać go sami na sobie. Byłoby to prawdziwie ciekawe, ale chyba po raz pierwszy by się wydarzyło.

Cappeluche podniósł zdziwione oczy na swego pomocnika, włosy mu powstały na głowie, a wzdłuż wykrzywionych policzków spłynęły grube krople potu.

– A więc to ja jestem skazany? – rzekł.

– Tak, wy, mistrzu – odpowiedział Gorju.

– Któż taki rozkaz wydał?

– Książę Burgundzki.

– Niepodobna! Przed godzina podawał mi rękę.

– No tak, a teraz – rzekł Gorju – w zamian bierze wam głowę.

Cappeluche podniósł się powoli, chwiejąc się na nogach jak człowiek pijany i poszedł wprost do drzwi, ujął zamek w swe szerokie ręce, wstrząsnął nim tak silnie, iż gdyby drzwi nie były tak mocne, z pewnością wyskoczyłyby z zawiasów. Gorju śledził go oczyma, a wyraz twarzy jego zdradzał politowanie nad losem Cappelucha. Gdy wreszcie Cappeluche przekonał się, że usiłowania jego były bezskuteczne, powrócił na miejsce, na którym go zastał Gorju, podniósł miecz i wziął się znowu do ostrzenia.

– Jeszcze? – zapytał Gorju.

– Jeśli mogą głowę ma ściąć ten miecz – odpowiedział głosem głuchym Cappeluche – to tym bardziej starać się muszę, aby ciął dobrze.

W tej chwili weszli do lochu pan Vaux de Bar, prefekt Paryża, oraz ksiądz i dla formy rozpoczęto śledztwo. Mistrz Cappeluche przyznał się do osiemdziesięciu sześciu morderstw, nie licząc egzekucji dokonanych ze stanowiska swego urzędu; prawie trzecią część między ofiarami okrucieństwa Cappelucha stanowiły kobiety i dzieci.

W godzinę potem prefekt wyszedł, pozostawiając ze skazanym księdza i nowo mianowanego kata.

Nazajutrz, od godziny czwartej rano wielka ulica Saint Denis, ulica aux Fères i plac Pilori, były przepełnione tłumami. We wszystkch oknach pełno było ludzi. Parkan koło Grande–Boucherie i sztachety pałacu, mur cmentarza Saints–Innocents w pobliżu hall, zdawały się załamywać pod ciężarem ciekawych. Godzina siódma wyznaczona była na egzekucję. O wpół do szóstej dreszcz przebiegł wszystkich. Wielki hałas, który się podniósł od strony więzienia Châtelet, uwiadomił zebranych na placu Pilori, że skazany przestąpił próg więzienny. Wyprosił on u swego byłego pomocnika łaskę, by nie wieziono go na ośle, ani też na czarnym wozie. Szedł krokiem pewnym pomiędzy księdzem i nowym katem, i pozdrawiał ręką tych, których poznawał. Na koniec orszak przybył na plac du Pilori i wszedł w koło utworzone przez oddział łuczników królewskich. W środku obok kupy piasku stał pieniek. Koło, które się rozwarło dla skazanego i jego orszaku, zamknęło się za nim. Krzesła i ławki ustawione były dla tych, którzy zanadto oddaleni, widzieć nie mogli przez głowy wcześniej przybyłych. Wszyscy zajęli swoje

miejsca na tym zaimprowizowanym okrągłym amfiteatrze, którego najwyższe piętro stanowiły dachy domów okolicznych i którego środkiem i punktem głównym był ów pień i owa kupa piasku.

Capleluche przystąpił wprost do pieńka, przysunął go do kupy piasku, od której zdawał mu się być zanadto oddalony, popróbował czy dobrze stoi i nie chwieje się na kamieniach bruku, i raz jeszcze ostrość miecza palcem sprawdził. Wszystko to z wielkim spokojem uczyniwszy, ukląkł i począł się modlić po cichu. Ksiądz podał mu krucyfiks do ucałowania. Gorju stał tuż obok skazanego, wsparty na mieczu. Zegar siódmą godzinę wydzwaniać zaczął. Mistrz Cappeluche, podniósłszy ręce do nieba, zawołał: „Łaski, Panie na Niebie!" i położył głowę na pieńku.

Ani jeden okrzyk nie wydarł się z piersi, wszystkie usta były zamknięte, wszyscy stali jak wryci, wstrzymując oddech; całe życie tłumu w oczach ich się skupiło.

Wtem miecz Jana Gorju błysnął w powietrzu. Z ostatnim uderzeniem zegara miecz spadł i głowa byłego kata potoczyła się na kupę piasku, gryząc ją zębami i krwią brocząc. Tułów, jak zwykłe w podobnych razach, ruchem wstecznym się cofnął i upadł z drugiej strony pieńka. Krew tryskała z szyi, jak woda przez sito polewaczki. Z piersi całego tłumu jeden wspólny i jednoczesny wydarł się krzyk. Oddech, przez chwilę zaparty, powracał stu tysiącom widzów tej strasznej sceny.

VIII

W kilka miesięcy po opisanych powyżej wypadkach, książę Burgundii wszedł na salę rady i zasiadł na tronie króla Karola VI, jakby dla wypróbowania roli, którą kiedyś spodziewał się odgrywać. Kiedy książę usiadł, wprowadzono posła z Rouen. Był to ksiądz, siwy staruszek. Przyszedł z Rouen boso i z kijem pielgrzymim w ręku, jak przystoi na człowieka szukającego pomocy. Postąpił na środek i złożywszy głęboki ukłon księciu Burgundii, już miał zdawać sprawę ze swego poselstwa, gdy nagle dał się słyszeć wielki hałas od strony małych drzwiczek pokrytych ciężką firanką i prowadzących do apartamentów króla. Wszysty w tę stronę zwrócili oczy i ze zdziwieniem spostrzegli Karola VI, który wyrywając się z rąk swoich stróżów wszedł nieoczekiwanie do sali i z oczyma pałającymi gniewem postępował krokiem pewnym wprost ku tronowi, na którym przedwcześnie zasiadł książę Jan Burgundzki.

Ten niespodziewany wypadek przejął wszystkich zebranych dziwnym uczuciem trwogi i szacunku zarazem. Książę Bugrundzki szczególnie się przeląkł i w miarę, jak Karol się przybliżał, on podnosił się z tronu, jakby go nadnatrualna do powstania zmuszała siła, tak że gdy król stawiał nogę na pierwszym stopniu tronu, aby nań wstąpić, książę z drugiej strony stawiał nogę na ostatnim.

Wszyscy w milczeniu i przerażeniu trwali, przyglądając się temiu dziwnemu wahadłu władzy.

– Tak, mości panowie, tak, rozumiem – rzekł król. – Powiedziano wam, że jestem szalony, a może nawet, że już nie żyję.

Zaśmiał się strasznym śmiechem.

– Ale tak nie jest, nie, byłem tylko uwięziony, lecz dowiedziałem się, że odbywa się posiedzenie rady i postanowiłem przybyć na nie. Kuzynie mój Burgundzki, spodziewam się, że z przyjemnością przekona cię stan mojego zdrowia, iż mogę jeszcze przewodniczyć sprawom królestwa.

Potem zwracając się do księdza, rzekł:

– Mówcie, moj ojcze, król Francji słucha was.

I zasiadł na tronie.

Ksiądz przykląkł przed królem na jedno kolano, czego nie uczynił poprzednio przed księciem Burgundii i w tej pozycji począł mówić:

– Panie nasz miłościwy – rzekł – Anglicy, wasi i nasi wrogowie, oblegli miasto wasze Rouen.

Król zadrżał.

– Anglicy już w sercu kraju, a król o tym nic nie wie! – zawołał – Anglicy oblegają Rouen!... Rouen, moje miasto!... Jeden z sześciu klejnotów mojej korony!... O, zdrada! zdrada! – wyszeptał głuchym głosem.

Ksiądz mówił dalej:

– Potężny monarcho i panie, polecone mi zostało przez mieszkańców nieszczęsnego miasta, abym ku wam, najjaśniejszy panie, wyciągnął ręce i wielki podniósł lament, i dał wam znać o wielkim ucisku, jakiego od Anglików doznają. Mówią oni przez moje usta i zapewniają was, że jeżeli z waszej winy i z braku pomocy od was będą musieli zostać poddanymi króla Anglii, to w takim razie nie będziecie mieli na ziemi i pod słońcem zaciętszych wrogów, a jeżeli będą mogli, zgubią was i wasz ród.

– Ojcze mój! – zawołał król, powstając. – Spełniliście misję waszą i przypomnieliście mi moje obowiązki. Powracajcie ku szlachetnym mieszkańcom Rouen i powiedzcie im w imieniu naszym, że ocalimy ich siłą lub zgodą. Ocalę ich, choćbym miał dać córkę moją, Katarzynę, w małżeństwo królowi Anglii, choćbym miał stanąć do walki na czele armii przeciw wrogom sam we własnej osobie, choćbym do boku mego powołać miał całą szlachtę królestwa!

– Najjaśniejszy panie – odpowiedział ksiądz z głębokim ukłonem. – Dziękuję wam za waszą dobrą wolę i proszę Boga, aby żadna inna obca wola jej nie zmieniła. Ale, czy to drogą układów, czy siłą miecza ocalić pragniecie, trzeba się spieszyć, panie miłościwy, gdyż tysiące już mieszkańców naszego miasta umarło z głodu, a od dwóch miesięcy żyjemy już mięsem, jakie Bóg stworzył nie dla ludzi. Dwanaście tysięcy biednych, mężczyzn, kobiet i dzieci wyganych zostało za mury miasta, gdzie żywią się w fosach fortecznych korzonkami i wodą, tak że jeżeli która z nieszczęśliwych kobiet matką zostanie, ludzie litościwi muszą wyciągać nowo narodzone niemowlę na sznurach w koszykach i ochrzciwszy je, oddawać matkom, aby przynajmniej biedne dzieciny na łonie kościoła zmarły.

Król westchnął głęboko i zwrócił się do księcia Burgundii:

– Czy słyszycie? – rzekł, rzucając mu spojrzenie pełne niewypowiedzianego wyrzutu. – Nic dziwnego, że ja, król, znajduję się w tak smutnym stanie ciała i umysłu, gdy tylu nieszczęśliwych, sądząc, że nieszczęście ich z mej winy pochodzi, podnosi ku tronowi najwyższego Boga tak głośne złorzeczenia, iż się przed nimi cofnąć musi anioł miłosierdzia. Idźcie, mój ojcze – rzekł zwracając się do księdza. – Wracajcie do waszego miasta, któremu, gdybym mógł, oddałbym własny mój chleb; powiedzcie mieszkańcom, że nie za miesiąc, nie za tydzień, nie jutro, ale dziś, w tej chwili ambasadorowie wyjadą do Pont de l'Arche w celu paktowania o pokój i że ja, król, dziś jeszcze udam się do Saint–D ènis po chorągiew świętą Francji i poczynię przygotowania wojenne.

Zaraz też posiedzenie rady zamknięte zostało.

W dwie godziny później król zażądał od księcia Burgundii, aby mu wskazał rycerza znanego z imienia i z odwagi; książę przedstawił jednego z panów.

– Imię wasze? – zapytał król, oddając w jego ręce świętą chorągiew Francji.

– Zowię się de Montmort – odpowiedział rycerz.

Król chwilę pomyślał, przypominając sobie, do jakiego wielkiego czynu i do jakiego szlachetnego pnia nazwę tę przywiązać by się dało. Po chwili namysłu wypuścił z rąk chorągiew z głębokim westchnieniem. Po raz pierwszy człowiek tak mało sławnego imienia miał sobie powierzony skarb tak drogocenny.

Nie wracając do Paryża, król polecenia swe posłał ambasadorom. Jeden z nich, a mianowicie kardynał des Ursins, otrzymał oprócz tego portret pięknej Katarzyny, który miał pokazać królowi angielskiemu.

Wieczorem 29 października 1418 roku, dwór cały nocował w Pontoise, gdzie oczekiwać miano rezultatu układów w Pont de l'Arche. Do Pontoise też wezwani byli wszyscy rycerze i koniuszowie ze swoimi ludźmi. Pan de Giac był jednym z pierwszych, którzy na to wezwanie stanęli. Ubóstwiał on swoją żonę, a jednak na krzyk rozpaczy, który w imieniu Francji wydał król, wszystko opuścił. Opuścił piękną Katarzynę, opuścił uśmiechające się doń dziecię w kołysce, zamek w Creil, którego każda komnata zawierała rozkoszne wspomnienia, park zamek ten otaczający, którego aleje zaścielać zaczęły zżółkłe liście, pierwszym wietrzykiem jesieni strącane, a których melancholijny szelest tak harmonijny stanowił akrod z jego własnymi marzeniami pełnymi miłości, nadziei i szczęścia.

Książę przyjął go nader przyjaźnie i wydał teoż dnia obiad na jego przyjęcie, na który zaprosił młodych panów i szlachetnych rycerzy. Wieczorem również bawiono się u księcia. De Giac był bohaterem wieczoru, tak jak był bohaterem dnia. Każdy pytał go o piękną i młodą, niedawno poślubioną małożnkę, z domu pannę de Thian, która pozostawiła wspomnienie niezatarte jeszcze w wielu młodzieńczycz sercach.

De Giac, chcąc uniknąć komplementów i niezbyt smacznych żartów oraz odpocząć nieco i ochłonąć, przechadzał się z przyjacielem swoim, panem de Graville, po jednej z komnat, których cały szereg stanowił apartament księcia. W zgiełku i rozruchu jaki w całym pałacu panował, na pokoje książęce zdołał, niepostrzeżony i nie wyprowadzony przez nikogo, wejść wieśniak jakiś, który zwróciwszy się do pana de Giac, zapytał w jaki sposób mogłby doręczyć do własnych rąk księcia Burgundii list jakiś

– Od kogo? – zapytał de Giac.

Wieśniaka zaambarasowało to pytanie, powtórzył więc tylko, że chce widzieć księcia osobiście.

– Jak tedy zrobić, jasny panie? – pytał zakłopotany.

– Dać mi list i czekać tu na odpowiedź.

I zanim włościanin ów namyślić się zdołał, już de Giac uchwyciwszy w dwa palce liścik, wyjął go z rąk nieokrzesanego posłańca i, wsparłszy się na ramieniu de Graville'a, postąpił ku sali gry.

– Do pioruna! – rzekł de Graville. – Sądząc ze sposobu złożenia tego bileciku, z delikatności i zapachu papieru, można by przypuszczać, że to być może bilecik miłosny.

De Giac uśmiechnął się, machinalnie rzucił okiem na list i w jednej chwili stanął jak wryty. W pieczątce, która list zamykała, poznał odcisk pierścionka, który żona jego nosiła jeszcze za panieńskich czasów i o którego znaczenie często bezskutecznie pytał. Na kamieniu wyryta była gwiazda pośród zachmurzonego horyzontu z dewizą: „Taż sama!"

– Co tobie jest? – zapytał de Graville, widząc boleść jego twarzy.

– Nic, nic – odparł de Giac, uspakajając się natychmiast i ocierając czoło, z którego spływały krople zimnego potu. – Nic, to tylko tak... Jakieś osłabienie, znużony jestem... Chodźmy oddać ten list księciu.

I pociągnął de Graville'a za sobą tak raptownie i szybko, że w umyśle jego powstały obawy o zdrowe zmysły de Giaca.

Książę znajdował się w swoich apartamentach. Siedział na pięknym i bogatym fotelu, odwrócony plecami do kominka, na którym palił się ogień. De Giac podał mu list, mówiąc, że przywiózł go człowiek, który czeka na odpowiedź. Książę odpieczętował list. Pewne zdziwienie przemknęło po jego twarzy, gdy czytać począł, ale siłą woli natychmiast powstrzymać je zdołał. De Giac stał nie spuszczając oka z twarzy księcia, na której nic już dojrzeć nie było można, krom zupełnej obojętności. Gdy książę skończył czytać, zwinął niby bezwiednie papier w palcach i rzucił go poza siebie w ogień. De Giac byłby chętnie gołymi rękoma wydobył pismo to z gorejącego ogniska, ale powstrzymać się musiał.

– A odpowiedź? – zapytał głosem, w którym mimo usiłowań przebijał się niepokój, jaki go ogarnął.

Spojrzenie szybkie i badawcze wybiegło z oczu księcia Jana i spoczęło na twarzy de Giaca, jakby zwierciadlane odbicie własnego spojrzenia.

– Odpowiedź? –powtórzył spokojnie. – Graville, idź no, powiedz temu człowiekowi, że odpowiedź zawiozę sam.

Mówiąc te słowa, wziął pod ramię de Giaca, aby go przy sobie zatrzymać i wprowadzić na salę, gośćmi przepełnion. Cała krew szlachetnego rycerza wzburzyła się i zbiegła mu do serca, gdy poczuł rękę księcia opartą na swoim ramieniu. Nie słyszał już nic, oczy mu się zaćmiły, w szale wściekłości byłby chciał zabić potężnego pana natychmiast, pośród tego świetnego towarzystwa, przy blasku świateł, pośród salonów jego własnego mieszkania, ale zdawało mu się, że sztylet jego zrósł się z pochwą! Wszystko kręciło mu się w oczach, pod nogami nie czuł ziemi i był jakby w zaczarowanym ognistym kole, a gdy książę po powrocie de Graville'a puścił jego ramię, upadł na pobliski fotel, nie mogąc się na nogach utrzymać. Gdy mu przytomność wróciła, spojrzał na bogate zebranie, na stroje pełne złota i drogich kamieni, na twarze pełne wesołości i zapomnienia o jutrze, na ludzi bawiących się szalenie i nie pojmujących, że pośród nich znajdować się może taki, który nosi piekło w swym łonie.

Księcia już nie było w salonie.

Jakby sprężyną postawiony na nogi, de Giac zerwał się z miejsca, na które padł przedtem, przebiegł wszystkie komnaty jak szaleniec, z oczyma iskrzącymi się, z czołem zimnym potem zroszonym, pytając wszystkich, czy nie wiedzą, gdzie jest książę Burgundii.

Wszyscy odpowiadali, iż dopiero co widzieli księcia, jak przechodził. De Giac zbiegł ze schodów i zobaczył z daleka człowieka na koniu, owiniętego w obszerny i ciemny płaszcz.

De Giac słyszał tętent konia pędzącego galopem i widział iskry, sypiące się spod jego podków. Pędem wbiegł do stajni.

– Ralff! – wykrzyknął. – Do mnie! Ralff! Gdzie jesteś?!

Wśród wszystkich koni, stojących tam dziesiątkami, jeden zarżał, podniósł głowę i szarpnął się, chcąc zerwać więzy, które go przy żłobie zatrzymywały. Był to piękny koń hiszpańskiej rasy, czystej krwi. Gęsta grzywa, nieco ciemniejsza, jeżyła mu się na karku, a żyły na nogach nabrzmiały i wyglądały jak sieć postronków.

– Chodź, Ralffie! – zawołał Giac, przecinając sztyletem uzdeczkę.

Koń uwolniony, pełen radości podskoczył jak młody jelonek. De Giac tupnął nogą i rzucił straszne przekleństwo. Przelękniony Ralff na głos swego pana stanął jak wryty. De Giac wskoczył mu na siodło, założył uzdę i ubódł go ostrogami, wołając:

– A teraz pędź, jak wiatr, mój rumaku!

Koń pomknął jak błyskawica.

– Dalej! prędzej! Ralffie! Trzeba go doścignąć! – wołał de Giac do konia swego, jakby szlachetne to zwierzę rozumieć go mogło. – Prędzej, prędzej! Jeszcze prędzej!...

I Ralff zdawał się pochłaniać przestrzeń, nie dotykając ziemi, jeno w ciągłych skokach wyrzucając pianę nozdrzami i skry oczyma.

– O! Katarzyno! Katarzyno! Ty, której usta są tak czyste, której wzrok jest tak słodki, a głos tak pieszczący, ty tyle zdrady w głębi serca chować umiałaś!... Powłoko anielska szatańskiej duszy! Dziś rano jeszcze, na wyjezdnym, obsypywała mnie pieszczotami i pocałunkami, dziś rano, głaszcząc twoją grzywę, Ralffie, piękną swoją rączką, dziś ci mówiła: „Ralffie! drogi Ralffie! Przynieś mi ukochanego mego jak najprędzej!”... O przekleństwo jej! To wszystko była złuda i zdrada!... Prędzej, Ralffie! prędzej!...

Uderzał konia zaciśniętymi pięściami w to miejsce właśnie, gdzie rano spoczywała ręka pięknej Katarzyny. Rumak, z którego pot się lał strumieniem, zarżał dotknięty ostrogą. Rżenie innego konia odpowiedziało mu i de Giac dojrzał jeźdźca, jak on pędzącego cwałem. Jednym susem Ralff prześcignął rywala, jak jednym ruchem skrzydeł orzeł prześciga sępa. De Giac poznał księcia. Księciu się zdawało, że jakieś piekielne widmo przemknęło mu przed oczyma.

Tak, książę Jan pędził do zamku de Creil. W kilka sekund rumak i jeździec, który go prześcignął, zniknęli zupełnie w cieniach nocy, a umysł potężnego Burgunda, przepełniony obrazami miłości i namiętnych pragnień, nie zdołał większej nań zwrócić uwagi. Księciu uśmiechała się myśl, że oto znajdzie chwilę spoczynku po walkach politycznych i znojach obozowych.

– Żegnajcie mi – mówił sobie – trudy fizyczne i troski moralne! Spocznę teraz na łonie pięknej mojej kochanki, miłość mi czoło owionie! Tylko lwie serca, ludzie żelazni kochać umieją!

Nareszcie przybył do wrót zamku. Wszystkie światła były pogaszone, jedno tylko okienko błyszczało światłem, a za firankami jego widać było cień ludzkiej postaci. Książę przywiązał rumaka do jednego z pierścieni u wrót przytwierdzonych, a wziąwszy rożek z kości słoniowej, który mu wisiał na piersiach, wydobył z niego kilka tonów. Światło w oknie poruszyło się, opuściło komnatę, i przebiegło długi szereg okien, kolejno je oświecając. Po chwili oczekiwania książę usłyszał z drugiej strony muru drobne i lekkie kroki biegnącej po trawie i suchych liściach kobiety. Słodki i świeży głosik szeptem zapytał:

– Czy to wy, mój książę?!

– Tak, to ja, nie bój się niczego, piękna moja Kasiu! Otwórz, to ja!

Drzwi otworzyły się; młoda kobieta drżała na pół z trwogi, na pół z zimna. Książę zarzucił jej swój płaszcz na ramiona i przyciągnął ku sobie, zawijając się wraz z nią w jego fałdy. Tak przeszli podwórze wśród ciemności. U stóp schodów w lampie srebrnej gorzała oliwa pachnąca. Katarzyna podniosła tę lampę. Nie śmiała wyjść z nią na podwórze, raz dlatego, aby jej kto nie dojrzał, a po wtóre, aby wiatr płomienia nie zdmuchnął i nie pogrążył jej w zupełniej ciemności. Weszli na schody, jedno w objęciach drugiego, lecz aby dostać się do sypialni, przejść trzeba było długi i ciemny korytarz. Katarzyna jeszcze bardziej przycisnęła się do swego kochanka.

– Czy uwierzyłbyś, mój drogi książę – rzekła półgłosem – że sama tędy przejść się odważyłam.

– O! ja wiem, żeś ty, najdroższa, odważna jak rycerz!

– Jak tu nie mieć odwagi, gdy się idzie otworzyć drzwi tobie?

Katarzyna oparła głowę o ramię księcia, który usta przycisnął do jej czoła. Tak przeszli długi korytarz; lampa tworzyła koło nich świetlne kręgi drżące, w których widniała surowa i opalona twarz księcia obok świeżej twarzyczki pani de Giac. Zdawać by się mogło, że to ożywione płótno Tycjana się przesuwa. Doszli tak narszcie do drzwi sypialnej komnaty, z której wydobywały się rozkoszne wonie... Drzwi zamknęły się za nimi, wszystko w ciemność zapadło.

Przeszli o dwa kroki od pana de Giac, ukrytego za czerwoną firanką ostatniego okna, i nie widzieli twarzy jego, zzieleniałej z wściekłości i dwojga oczu zemstą błyszczących. Któż jest w stanie wypowiedzieć, co się działo w sercu tego człowieka, gdy ich widział zbliżających się wzajem! Jakąż zemstę musiał obmyśleć mąż ten zdradzony, kiedy nie rzucił się na nich i nie zamordował ich na miejscu! Gdy już zniknęli, wyszedł zza firanki, zstąpił powoli ze schodów, idąc jak starzec na chwiejących się nogach, z głową spuszczoną na piersi. Szedł tak aż do końca parku, otworzył furtkę, od której on jeden nosił klucz przy sobie. Nikt go nie widział, gdy wchodził i nikt go nie widział, gdy wychodił. Zawołał Ralffa głosem głuchym i drżącym; wierne zwierzę przybiegło doń w lekkich podskokach.

– Cicho, Ralffie! cicho! – rzekł głaszcząc go i siadając ciężko w siodle.

I niezdolny do kierowania koniem, powierzył się jego instynktowi, zarzucając mu cugle na szyję. Zresztą wszystko jedno mu było, dokąd go Ralff zaniesie.

Burza zawisła na niebiosach, deszcz drobny i na pół zmarznięty padać zaczął, ciężkie chmury, jak fale wzburzonego oceanu, toczyły się po niebie. Ralff stąpał powoli i poważnie. De Giac nie widział nic, nie czuł nic, cała jego istota przeszła w jedną, jedyną myśl, myśl strasznej zemsty. Kobieta zdradą wiary małżeńskiej złamała całą jego przyszłość. Dawniej marzył o żywocie prawdziwie rycerskim. Sława wojenna i rozkosze miłości – oto były jego jedyne cele. Ta kobieta piękna, której zostawało jeszcze lat dwadzieścia piękności, była jakby urną, w której młody ten i szlachetny pan złożył szczęście wszystkich dni swoich. A teraz wszystko stracone, miłość zginęła, do wojny już nie miał ochoty. Ta jedna myśl, myśl podwójnej, strasznej zemsty, pożerała go, głuszyła w nim wszystkie inne, do szaleństwa przywodziła. Deszcz padał coraz gęstszy, silne powiewy wiatru gięły potężne, przydrożne drzewa. Woda spływała po obnażonym czole de Giaca, który tego nie czuł nawet; krew, przez chwilę w ścieśnionym sercu uwięziona, teraz buchała mu do głowy, żyły na skroniach jego jak grube sznury nabrzmiewały. Przed oczyma widział rzeczy dziwne: takie, jakie zapewne widzi człowiek w chwili, gdy go szał ogarnia; myśl ciągle ta sama, niezmierna i paląca, wrzała mu w mózgu, łamiąc się i przerabiając i za cały rezultat tej walki dając tylko szał zemsty i zemsty pragnienie.

– O! – zawołał nagle. – Szatanowi oddałybym się chętnie, gdyby mi w zamian dał nasycenie zemstą!

W tej samej chwili Ralff odskoczył w bok i przy blasku rozdzierającej horyzont błyskawicy de Giac obaczył, że tuż obok niego nieznajomy jakiś jeździec kroczy.

Dotąd nie zauważył towarzysza podróży i nie rozumiał, w jaki sposób znalazł się tuż obok niego. Ralff zdawał się być tak samo zdziwiony jak jego pan; rżał ze strachu, a cała skóra na nim drżała, jakby wychodził z lodowej kąpieli. De Giac rzucił raz jeszcze okiem na przybysza i zdziwił się, że w ciemności widzi go tak wyraźnie. Człowiek ten miał u czapki wielkie czarne pióro, które podtrzymywała bogata spinka z opalem. Opal ten dziwny rzucał blask, który pozwalał rozróżnić towarzysza w ciemności nocnej. Pan de Giac na palcu miał pierścień z takim samym kamieniem. Spojrzał na kamień, ale opal bądź dlatego, że był mniej piękny, bądź też dlatego, że inaczej był oprawiony, nie posiadał tych świetlnych własności.

Coraz bardziej zdziwiony, podniósł jeszcze raz oczy na nieznajomego. Był to młody człowiek, o twarzy bladej i melancholijnej, ubrany czarno. Koń jego również był czarnej maści. De Giac ze zdziwieniem spostrzegł, że na koniu nie było ani siodła, ani uzdy i że nieznajomy jechał bez strzemion i bez ostróg. Koń kierowany był tylko kolanami jeźdźca.

De Giac nie miał żadnej ochoty do rozmowy. Myśli jego były bolesnym skarbem, z którego ani źdźbła nikomu oddać nie chciał. Dotknięcie ostrogi spowodowało, że rumak popędził galopem. Czarny jeździec i jego rumak w tejże samej chwili uczynili to samo... po kwadransie jazdy de Giac obejrzał się w przekonaniu, iż daleko poza sobą pozostawił nieproszonego towarzysza, lecz z wzrastającym zdziwieniem spostrzegł, że pomiędzy nim i nieznajomym była taka sama jak wprzód odległość z tą tylko różnicą, że dziwny jeździec zdawał się unoszonym przez rumaka, a nie prowadzącym go. Czarny rumak nie dotykał ziemi, stąpanie jego nie budziło tętentu, kopyta dotykając krzemieni nie krzesały iskier.

De Giac poczuł dreszcz ścinający mu krew w żyłach. To, co się działo przed jego oczyma, wydawało mu się iście nadziemskim. Gdy zatrzymał konia, czarny rumak stanął także. Byli właśnie na zbiegu dwóch dróg: jedna przez płaszczyzny między polami prowadziła do Pontoise, druga zaś zagłębiała się w ciemnym i gęstym lesie de Beaumont. De Giac zamknął na chwilę oczy, myśląc, że jest pod wpływem jakiegoś optycznego złudzenia, lecz gdy je znowu otworzył, zobaczył na tymże samym miejscu czarnego jeźdźca na czarnym rumaku. Cierpliwość jego wyczerpała się.

– Mości panie – zawołał, wskazując mu wyciągniętym ramieniem dwie drogi – wspólnych nie mamy spraw, pewno nie w jedną udajemy się drogę. Wybierz jedną z tych dróg; ta, którą waść nie pojedziesz, będzie moją drogą.

– Mylisz się, de Giac – odparł nieznajomy łagodnym głosem – mamy wspólne sprawy i do jednego dążymy celu. Nie szukałem cię, wezwałeś mnie i oto jestem!

De Giac przypomniał sobie okrzyk, który mu się z piersi niebacznie wydarł i dziwny sposób, w jaki w tejże samej chwili stanął przy nim jeździec nieznany, jakby spod ziemi wyrósł i znowu spojrzał na tego strasznego człowieka. Światło, które rzucał opal u czapki nieznajomego, podobne było do płomyka gorejącego u czoła duchów piekielnych. De Giac był łatwowierny, jak każdy rycerz średniowieczny, ale był równie nieustraszony. Nie cofnął się ani na krok, chociaż włosy zjeżyły mu się na głowie i chociaż Ralff wspinał się i rzucał niespokojnie.

– Jeżeli jesteś tym, którym się mienisz – rzekł de Giac głosem pewnym – jeżeliś przybył na moje wezwanie, to wiedzieć też musisz, po co cię wezwałem.

– Chcesz zemsty nad niewierną żoną i zemsty nad potężnym księciem, ale chcesz także przeżyć ich oboje i znaleźć radość i szczęście między dwoma mogiłami.

– Czy tak być może?

– Może!

De Giac roześmiał się konwulsyjnie.

– Cóż za to chcesz! – rzekł.

– To, coś sam ofiarował! – odpowiedział nieznajomy.

De Giac uczuł gwałtowne ściągnięcie nerwów prawej ręki.

– Wahasz się?! – zawołał czarny jeździec – wołasz: „zemsty! zemsty!" i cofasz się przed nią? Serce niewieście!... Umiałeś wykryć zdradę i hańbę swoją, a nie umiesz kary dla nich znaleźć!

– Czy będę widział śmierć ich obojga? – zapytał de Giac.

– Tak, obojga.

– W moich oczach?

– W twoich oczach.

– I po ich śmierci będę jeszcze miał lata miłości, potęgi i sławy? – pytał dalej de Giac.

– Zostaniesz mężem najpiękniejszej przy dworze kobiety, zostaniesz ulubieńcem, powiernikiem i doradcą króla. Jesteś już jednym z najważniejszych rycerzy armii.

– Dobrze więc! A teraz co mam uczynić? – rzekł de Giac z silnym postanowieniem.

– Pójść, dokąd cię zaprowadzę – odpowiedział nieznajomy.

– Ktokolwiek jesteś, szatan czy człowiek, idź naprzód dokądkolwiek pójdziesz, pójdę twom śladem!

Czarny jeździec puścił się cwałem, jakby rumak jego był skrzydlaty, drogą prowadzącą do lasu. Ralff, szybkonogi Ralff, podążał za nim z trudnością... Wkrótce też konie i jeźdźcy zniknęli, zagłębiając się pod sklepienia stuletnich drzew lasu de Beaumont.

Burza trwała noc całą.

Miasto Rouen musiało w końcu poddać się Anglikom, głównie z powodu tendencyjnej bezczynności księcia Burgundii. Trzeba było zawrzeć pokój, aby ocalić monarchię. Ale Henryk V, król angielski, żądań francuskich nie chciał uwzględnić i podawał bardzo wygórowane warunki. Pomimo to królowa i książę posłali ułożony w myśl Henryka V traktat pokojowy Karolowi VI do Pontoise, przynaglając do przyjęcia go. Król Francji znajdował się w jednej z chwil powrotu do rozumu, porównać się dających do porannych godzin, w których wszystko przedstawia się w kształtach niepewnych i niewyraźnych. Szczyty tylko najwyższych gór rozjaśniają się od promieni słońca, a równina cała znajduje się w cieniu. W tych chwilach przejściowych, następujących zwykle po wielkich wstrząśnieniach i wysiłkach fizycznych, ogarniało monarchę osłabienie umysłowe i opuszczała go wola, tak, że stary Karol VI zgadzał się na wszystko, co mu podsuwano, choćby to było ze szkodą jego interesów własnych lub spraw królestwa. W tych godzinach rekonwalescencji odczuwał przede wszystkim potrzebę opieki i jakiejś słodkiej łagodności. To tylko jedno przez pewien czas mogło by było powrócić organizmowi temu, zużytemu przez troski wojen domowych, wojen z wrogami kraju, swobodę, której w przedwczesnej swej starości tak bardzo potrzebował.

Karol VI znał zło i niemożność zaradzenia złemu. Widział królestwo rozrywane na trzy części, które silna ręka podtrzymać by mogła; czuł, że potrzebna jest silna wola monarchy, a on, biedny starzec,

biedny szaleniec, był widmem zaledwie. Jak człowiek zaskoczony nagle trzęsieniem ziemi, słyszał wokoło trzask walącego się olbrzymiego budynku monarchii feudalnej; a pojmując, że nie ma dość siły, aby sklepienie podtrzymać, ani też nie mogąc uciekać, schylił swą siwą głowę z rezygnacją i oczekiwał strasznych owego wstrząśnienia skutków.

Wręczono mu pismo księcia i warunki pokoju podyktowane przez króla angielskiego; najemni służalcy pozostawili go samego w pokoju, dworzan zaś od dawna już nie posiadał.

Przeczytał fatalny pergamin, który zmuszał prawych dziedziców do paktowania z zaborcą; wziął pióro do ręki, aby go podpisać, potem w chwili, gdy miał już umieścić na nim kilka liter składających jego imię, pomyślał, że każda z nich kosztować go będzie jedną prowincję i rzuciwszy z krzykiem bolesnym pióro z dala od siebie, opuścił głowę na piersi, ścisnął ją obiema rękoma, szepcąc:

– Boże mój! Zbawco i Panie, miej litość nade mną!

Od godziny już siedział tak zatopiony w myślach, nie wiążących się z sobą, starając się pochwycić je siłą woli, jakiej osłabiony umysł jego ani powziąć, ani też utrzymać nie był w stanie. Czuł, że w tym chaosie utracić mu chyba przyjdzie i tę resztę rozumi zdrowego, która mu pozostawała. Ściskał głowę obydwiema rękoma, jakby w ten sposób chciał w niej rozum zatrzymać. Ziemia kręciła mu się pod nogami, w uszach mu szumiało, pod zamkniętymi powiekami przebiegały błyski; czuł, że szał piekielny znowu z całą siłą ogarniał wyłysiałą jego głowę i zęby swe ogniste w mózgu jego zatapiał. W tej stanowczej chwili, drzwi, nad którymi straż powierzona była panu de Giac, otworzyły się cicho, przez nie wsunął się młody człowiek, lekki jak cień, podszedł i usiadł na poręczy fotela starca i, popatrzywszy nań chwilę ze współczuciem i szacunkiem, pochylił mu się do ucha i wymówił dwa tylko wyrazy:

– Mój ojcze!

Słowa te wywarły magiczny wpływ na króla; na dźwięk tego głosu ręce jego rozplotły się, głowę podniósł, pozostał tak chwilę nieporuszony, usta mu drżały, oczy błędne w jednen punkt utkwił, nie odważając się odwrócić z obawy, czy przypadkiem nie myli się i czy mu się tylko zdawało, iż słyszał to, co usłyszeć tak pragnął.

– To ja, mój ojcze – powtórzył raz jeszcze ten głos słodki.

Młody człowiek obszedł fotel i ukląkł na poduszcze, na której starzec wsparte miał nogi. Starzec patrzył nań chwilę wzrokiem błędnym, nagle krzyknął, zarzucił mu ręce na szyję i przytulił do piersi jasnowłosą głowę, przycisnął usta swoje do włosów młodzieńca z miłością do szału podobną.

– Ach! ach! – wołał łkając. – Och! synu mój, dziecię moje, mój Karolu!

I łzy potoczyły mu się z oczu.

– O moje nadroższe dziecię, więc to ty jesteś! ty! W objęciach twego starego ojca! czyż to prawda? czy to być może!? Mów do mnie jeszcze... ciągle... mów, mów!...

Potem obiema rękoma odsunął głowę młodzieńca, wzrok swój jeszcze szałem błyszczący utopił w oczach syna; a młodzian, który ze wzruszenia również mówić nie mógł, płacząc i śmiejąc się na przemian, głową tylko dawał znak, że się ojciec nie myli.

– Jakżeś się tu dostał? – pytał starzec. – Jaką drogą? Na jakie niebezpieczeństwa narażałeś się, aby mnie zobaczyć? Och! Bóg błogosławi ci tak, jak cię twój ojciec błogosławi!

Biedny król porwał znów syna w objęcia i całował go namiętnie.

– Dowiedzieliśmy się w Meaux, iż rozpoczęte zostały rokowania dla zawarcia traktatu między Anglią i Francją – mówił delfin – i równocześnie dowiedzieliśmy się także, że ty, ojcze, jesteś cierpiący i chory, i na tej konferencji nie będziesz obecny.

– Skąd się o tym dowiedziałeś?

– Przez jednego z naszych przyjaciół, oddanego tobie i nam ojcze, któremu powierzono tej nocy straż przy drzwiach twoich.

I wskazał drzwi, przez które wszedł.

– Przez pana de Giac? – zapytał król z przerażeniem.

Delfin potwierdzająco skinął głową.

– Ależ to burgundczyk, stronnik księcia! – mówił król dalej z wzrastającym przerażeniem. – Człowiek ten sprowadził cię tu może po to, żeby cię zdradzić!

– Nie lękaj się, ojcze – rzekł delfin. – Pan de Giac nam sprzyja.

Przekonywający ton mowy delfina uspokoił króla.

– A więc kiedy się dowiedziałeś, że jestem sam?... – zapytał starzec.

– Chciałem cię zobaczyć, ojcze, a Tanneguy, który potrzebował również porozumieć się w ważnej sprawie z panem de Giac, zgodził się towarzyszyć mi; zresztą dla większego bezpieczeństwa, dwóch jeszcze dzielnych rycerzy przyłączyło się do nas. Dziś o godzinie dziesiątej rano wyjechaliśmy z Meaux; do Paryża wjechaliśmy przez Louvres, gdzie zmieniliśmy konie i przy schyłku dnia przybyliśmy do bramy miasta; tam Pothon i la Hire czekali na nas. Mieliśmy od pana de Giac list żelazny, nikt nawet nie domyślał się, cośmy za jedni, i tak dostaliśmy się aż do tych drzwi, które de Giac mi otworzył, i oto jestem, mój drogi ojcze, u nóg twoich, w twoich objęciach!

– Tak, tak – rzekł król, kładąc rękę na pergaminie, który przed przybyciem delfina chciał podpisać, a który zawierał owe uciążliwe warunki pokoju, o których wyżej wpomninaliśmy. – Tak, oto przyszedłeś dziecię, jak anioł stróż królestwa, powiedzieć mi: Królu, nie wydawaj Francji!... przyszedłeś, jak syn mój, powiedzieć mi: Ojcze, zachowaj mi moje dziedzictwo! Och, królowie!... królowie!... mniej oni mają swobody od ostatniego ze swoich poddanych; muszą zdać rachunek przed swymi spadkobiercami, a potem przed Francją ze spuścizny, przeznaczonej im przez przodków. Ach! gdy wkrótce stanę przed ojcem moim, Karolem Mądrym, jakiż rachunek okropny zdawać przed nim będę z królestwa, które pozostawił mi bogatym, spokojnym i potężnym, a które ja pozostawię przy tobie, biedaku, pełne zaburzeń, poszarpane w kawałki! O tak, rozumiem, przyszedłeś powiedzieć mi: „Nie podpisuj tego pokoju!" Nieprawdaż, przyszedłeś mi to powiedzieć?

Delfin przebiegł oczyma pergamin, na którym wypisane były warunki pokoju, i rzekł:

– Tak, ojcze! Pokój ten jest uciążliwy i okropny, prędzej ja i przyjaciele moi połamiemy miecze nasze aż do rękojeści na hełmach Anglików, aniżeli na taki pokój się zgodzimy i polegniemy raczej do ostatniego na tej ziemi, a nie oddamy jej dobrowolnie odwiecznemu wrogowi naszemu... Tak, mój ojcze, prawdę wyrzekłeś, nie można podpisać tych warunków pokoju.

Karol VI drżącą ręką wziął pergamin, popatrzył nań chwilę, potem nagłym ruchem przedarł go na dwie połowy.

Delfin rzucił mu się w objęcia.

– Stało się – rzekł król. – Niech więc będzie wojna; lepsza jest bitwa przegrana, niż tak sromotny pokój.

– Bóg sprawiedliwy w wojnie tej pomagać nam będzie.

– Lecz jeśli książę nas opuści i przejdzie na stronę Anglików?

– Porozumiem się z nim – odpowiedział delfin.

– Wszakże on już nieraz chciał widzieć się z tobą, a tyś zawsze odmawiał.

– Teraz ja sam postaram się o to.

– A cóż powie na to Tanneguy?

– Zgodzi się również, mój ojcze, więcej nawet, bo sam będzie oddawcą mego listu i poprze żądania moje, a wtedy książę i ja zwrócimy się przeciw tym przeklętym Anglikom i wypędzimy ich aż na okręty. Ach! Nie brak nam dzielnych rycerzy, mężną armię też mamy, a przy tym słusznej bronimy sprawy; jest to więcej. niż potrzeba, drogi mój ojcze i panie; oby tylko promyk łaski Bożej, a ocaleni będziemy!

– Oby cię Bóg wysłuchał mój synu!

Król wziął do ręki rozdarty pergamin.

– W każdym razie, oto jest moja odpowiedź królowi angielskiemu.

– Panie de Giac! – zawołał delfin, podnosząc głos.

Pan de Giac wszedł, uchylając zasłonę u drzwi zawieszoną.

– Oto jest – rzekł delfin – odpowiedź na propozycje króla Henryka. Wręczysz ją pan jutro księciu Burgundii, a oddasz do tego i to pismo: mieści się w nim żądanie spotkania i załatwienia zgodnie i uczciwie spraw tego biednego królestwa.

– A teraz, mój ojcze – rzekł królewicz, zbliżając się do starca – teraz któż ci przeszkadza wydobyć się z rąk królowej i księcia? Któż ci zabroni jechać z nimi? Wszędzie, gdzie ty będziesz – będzie Francja. Idź z nami! Znajdziesz między nimi szacunek i życzliwość moich przyjaciół, a z mojej strony miłość i troskliwość synowską. Pójdź z nami, ojcze, posiadamy jeszcze miasta obronne: Meaux, Poitiers, Tours. Orléans; wprzód rozwalą się mury i wały, wprzód wyrżnięta zostanie cała załoga, wprzód padną do ostatniego wszyscy nasi przy progu drzwi twoich, zanim tobie włos jeden z głowy spadnie!

Król patrzył na syna z czułością.

– Tak, tak – rzekł. – Wierzę, iż dotrzymałbyś tego, co obiecujesz... Niepodobna jednak, abym twe propozycje przyjął; pędź orle młody, masz skrzydła mocne i lot twój jest szybki; idź i pozostaw w swym

gnieździe starego orła, któremu lata połamały skrzydła i siłę odjęły. Idź, moje dziecię, niech ci wystarcza to przekonanie, że obecność twoja dała mi jedną noc szczęśliwą, że pieszczotami twymi usunąłeś szał z mej głowy; idź, synu mój, a te dobre chwile, których doznałem przez ciebie, niech Bóg ci nagrodzi!

Po tych słowach król podniósł się, skracając sam rzadką chwilę szczęścia, jaką obecność jedynej ukochanej istoty mu sprawiała. Odprowadził delfina aż do drzwi i przycisnął go raz jeszcze do serca... Ojciec i syn uścisnęli się po raz ostatni w życiu.

Młody Karol wyszedł.

– Bądźcie spokojni, mości Tanneguy – mówił w tej samej chwili de Giac do pana Duchatela. – Przywiodę go pod ostrze waszego miecza, jak byka pod topór rzeźniczy.

– Kogo? – zapytał delfin, nachodząc ich znienacka.

– Nikogo, miłościwy panie – odpowiedział spokojnie Tanguy. – Pan de Giac opowiada mi historię, która się stała przed dawnymi laty.

Tanneguy i de Giac porozumiewawczo spojrzeli na siebie, po czym de Giac wyprowadził ich poza bramy miasta.

Nazajutrz pan de Giac udał się do Meulun, zaopatrzony w dwa listy do księcia Burgundii. Wszedł do namiotu, w którym książę rozmawiał z Henrykiem i hrabią de Warwick. Książę Jan przerwał z pośpiechem jedwabną czerwoną nitkę związującą przywieziony przez ulubieńca list, przy którym wisiała pieczęć królewska. W kopercie tej znalazł podarty traktat: była to jedyna odpowiedź króla, jaką wymógł na nim królewicz.

– Monarcha nasz jest widocznie ogarnięty szałem – rzekł książę, czerwieniąc się z gniewu. – gdyż, niech mu Bóg przebaczy, podarł to, co powinien był podpisać.

Król Henryk spojrzał ostro na księcia, który formalnie już złożył zobowiązanie w imieniu króla.

– Miłościwy pan nasz – rzekł spokojnie de Giac – nigdy nie był zdrowszy na ciele i umyśle, niż obecnie.

– A więc to ja byłem szalony – rzekł, podnosząc się, król Henryk – uwierzyłem w obietnice, dla spełnienia których nie miano władzy, których być może i nie chciano dotrzymać.

Na te słowa książę Jan zerwał się gwałtownie z miejsca. Gniew miotał nim straszny, oczy rzucały błyskawice, nozdrza mu się rozdęły, a jednak milczał, nie znajdując odpowiedzi na tę zniewagę.

– Dobrze, mój kuzynie – rzekł król Henryk, dając księciu Burgundii umyślnie tytuł, który mu nadawał król Francji – dobrze! A teraz miło nam wielce oznajmić wam, iż siłą weźmiemy to, co się nam należy i co chcieliśmy odebrać drogą dobrowolnych układów. Tak! Odbierzemy naszą część tej ziemi francuskiej, zajmiemy właściwe nam miejsce w rodzinie królewskiej! Mieczem zdobędziemy miasta króla Karola, siłą pozyskamy jego córkę i wszystko to, czego przedtem żądaliśmy! Pozbawimy go królestwa, a was waszego księstwa.

– Najjaśniejszy panie – odpowiedział książę Burgundzki tym samym tonem – wolno nam mówić, co chcecie i jak się wam podoba; lecz zanim wyzujecie króla z jego królestwa, a mnie z księstwa mego, dobrze się jeszcze utrudzić będziecie musieli. Nie wątpię o tym, że zamiast zwycięstw, o których marzycie, będziecie mieli wiele jeszcze do roboty, żeby się na waszej wyspie utrzymać.

Kończąc te słowa i nie czekając odpowiedzi, odwrócił się plecami do króla angielskiego i wyszedł przez drzwi prowadzące do namiotów francuskich. De Giac wyszedł za nim.

– Mości książę – rzekł, uszedłszy kilka kroków. – Mam jeszcze drugi list.

– Diabłu go oddaj, jeśli podobny jest do pierwszego – krzyknął książę – gdyż co do mnie, to na dzień dzisiejszy mam dosyć tego jednego.

– Mości książę – mówił de Giac, nie zważając na gniew księcia – jest to list od pana naszego, królewicza Karola, w którym prosi was o wyznaczenie miejsca spotkania dla ustnego porozumienia w sprawach państwa.

– A!... Tym się jeszcze wszystko złe naprawić może – rzekł książę, odwracając się szybko. – Gdzie masz ten list, panie de Giac?

– Oto jest, mości książę.

Książę wyrwał mu list z ręki i czytać zaczął.

– Niech zdejmą namioty i zburzą szańce – zawołał książę do służby i paziów – i niech tego jeszcze wieczora nie zostanie śladu przeklętego z królem Henrykiem spotkania! A wy, panowie – rzekł, zwracając się do panów, którzy usłyszawszy te słowa, powychodzili ze swoich namiotów – na koń, wydobyć

miecze i niech zawrze wojna zniszczenia, wojna na śmierć przeciw tym niedźwiedziom przybyłym zza morza i temu synowi zbrodniarza, który się ich królem mianuje!

W dniu 11 lipca żądane przez królewicza spotkanie z księciem Burgundzkim przyszło do skutki w pobliżu zamku de Pouilly; podano sobie ręce na zgodę i zaprzysiężono wzajemną pomoc i solidarność w każdej potrzebie. Należało teraz przede wszystkim wypędzić Anglików z kraju i oswobodzić francuską ziemię od najeźdźczych pułków króla Henryka V. Książę Jan niewiele dbał o to, pomimo przyrzeczenia danego delfinowi i zemsty zapowiedzianej królowi Anglii; wpadł w stan bezczynności i pozwolił na to, aby miasto Pontoise zdradą dostało się w ręce Anglików, a potem ten sam los spotkał twierdzę Château Gaillard. Oburzano się powszechnie na Burgundów i zarzucano ich wodzowi, że umyślnie tak źle broni kraju i zdradza swoich dla własnego interesu i wyniesienia się. W celu wytłumaczenia się i wzmocnienia zachwianej zgody książę Jan powtórnie miał się spotkać z delfinem, na moście przed miastem Montereau, w dniu 10 września.

Spotkanie to przyszło rzeczywiście do skutku, ale wypadło najfatalniej dla księcia, gdyż skryty jego wróg, pan de Giac, który poprzysiągł mu zemstę za zbałamucenie młodej żony, teraz postanowił dokonać wreszcie krwawego dzieła i z przybocznym królewicza. Tanneguym, ułożył spisek na życie swego rywala. Książę Jan miał być zamordowany; chodziło tylko o zwabienie go z nielicznym pocztem w zasadzkę, a do tego wybornie nadawało się proponowane spotkanie z delfinem. Na środku mostu otoczonego szlabanami, przed miastem Montereau, wzniesiono namiot drewniany, w którym królewicz oczekiwał swego dostojnego kuzyna. Rozmaite znaki ostrzegały księcia przed wyjazdem na owo spotkanie i budziły złe przeczucia, ale cofnąć się już nie było sposobu.

Królewicz umówionego dnia był już od dawna na miejscu. Miał na sobie długą suknię z jasnoniebieskiego aksamitu, przybraną sobolami, na głowie czapeczkę kształtem do myśliwskich podobną. U głowy czapka ta ujęta była w koronę ze złotych lilii. Dno czapeczki było takie jak suknia.

Gdy książę spostrzegł syna królewskiego, wszystkie jego podejrzenia upadły. Postąpił też prosto ku niemu i śmiało wszedł do namiotu. Za nim w ślad weszło dziesięciu towarzyszących mu rycerzy, po czym bariery z obu stron mostu zamknięto. W ciasnym namiocie było tyle tylko miejsca, że dwadzieścia cztery osoby zaledwie stanąć mogły. Burgundzi i Francuzi dotykali się prawie łokciami. Książę zdjął czapkę i przykląkł na jedno kolano przed królewiczem.

– Na rozkazy waszej królewskiej wysokości stawiłem się – rzekł – chociaż wielu z mojej rady mówiło mi, iż żądaliście, miłościwy panie, tego widzenia ze mną, aby mi czynić wyrzuty publicznie. Mam nadzieję, że tak nie jest, albowiem na to nie zasłużyłem.

Delfin złożył ręce na krzyż, nie podnosząc go, ani też nie całując, jak to był uczynił przy pierwszym spotkaniu.

– Mylicie się, mości książę! – rzekł tonem surowym. – Tak jest, ważne przeciw wam podnoszą się zarzuty, gdyż źle dotrzymaliście obietnicy. jakąście nam uczynili. Pozwoliliście Anglikom zająć miasto nasze Pontoise, które jest kluczem Paryża, i zamiast zamknąć się w stolicy, aby jej bronić lub umrzeć z honorem i sławą na jej murach, jakby uczynić winien pierwszy poddany korony francuskiej, wy uciekliście do Troyes.

– Uciekłem, mówi wasza królewska wysokość?! – zawołał książę, który zadrżał na całym ciele, usłyszawszy to obelżywe słowo.

– Tak, uciekliście – powtórzył królewicz z naciskiem. – Wyście...

Książę powstał, nie chcąc słuchać dalej. W pokornej postawie, jaką był przyjął, rękojeść jego miecza zaczepiła się o oczko siatki stalowej. którą miał na piersiach; książę sięgnął tam ręką, aby ją odczepić. Królewicz cofnął się krok w tył, nie wiedząc, z jakim zamiarem książę dotyka miecza.

– Jak śmiecie, mości książę, kłaść rękę na mieczu wobec pana waszego?! – wykrzyknął jeden z towarzyszy królewicza, rzucając się pomiędzy delfina i księcia.

Książę chciał odpowiedzieć. Obecny przy tym Tanneguy pochylił się, podniósł topór wojenny o krótkiej rękojeści, ukryty za fałdami kotary, a podnosząc się zawołał:

– Już czas! – i wzniósł topór nad głową księcia.

Książę spostrzegł niebezpieczeństwo. Chciał lewą ręką zasłonić się przed ciosem, podczas gdy prawą za miecz chwytał, ale nie zdążył go nawet wydobyć. Topór Duchatela spadł, odcinając lewe ramię księcia i tym samym zamachem przecinając mu twarz od kości policzkowej aż do dolnej szczęki. Chwilę jeszcze Jan Nieustraszony stał prosto jak dąb, który upaść nie może. Widząc to, pan Robert de Loize, wraził mu sztylet w gardło i zostawił. Książę wydał krzyk straszliwy i padł u nóg pana de Giac.

Powstała straszna wrzawa i okropne zamieszanie; w ciasnym namiocie, w którym zaledwie dwóch mogłoby walczyć, dwudziestu ludzi rzuciło się na siebie. Przez chwilę ponad wszystkimi głowami widać było ręce, topory i miecze. Francuzi krzyczeli:

– Bij! zabijaj! śmierć zdrajcom!

Burgundczycy wołali:

– Zdrada! zdrada! ratujcie!...

Ze stalowych zbroi, uderzających o siebie, iskry się sypały, z ran krew strumieniem płynęła. Królewicz przerażony przechylił się poza barierę. Na jego krzyki nadbiegł prezydent Leuvet, chwycił go wpół, wyciągnął z tej ciżby walczących i na wpół zemdlonego poprowadził z sobą do miasta. Niebieska suknia młodego delfina cała była krwią księcia Burgundii zbryzgana.

Walka i krzyki nie ustawały, deptano po drgającym jeszcze ciele księcia, którego nikt ratować nie myślał. Burgundczycy, widząc iż wszelki opór byłby bezskuteczny, uciekli przez złamaną barierę. Delfińczycy ścigali ich, a w opuszczonym i zakrwawionym namiocie zostało tylko trzech ludzi. Na ziemi leżał umierający książę Burgundii, przed nim stał z rękoma skrzyżowanymi na piersiach Piotr de Giac i przypatrywał się jego konaniu, trzeci był Olivier Layet, który wzruszony cierpieniami nieszczęśliwego księcia, podnosił na nim koszulkę żelazną, aby pchnięciem sztyletu skrócić jego męczarnie. De Giac nie dozwolił mu jednak spełnić tego miłosiernego uczynku, każde bowiem drgnienie konwulsyjne konającego za swoją własność uważając, wpatrywał się w nie z rozkoszną. Litość Oliviera nad księciem za krzywdę dla siebie poczytując, gwałtownym uderzeniem nogi wytrącił mu sztylet z ręki. Olivier zdziwiony podniósł głowę.

– Do pioruna?! – zawołał śmiejąc się piekielnie de Giac – dajże biednemu księciu skonać spokojnie.

Gdy wreszcie książę wydał ostatnie tchnienie, de Giac przyłożył mu rękę do serca, aby się upewnić, czy istotnie już nie bije, a ponieważ reszta mało go już obchodziła, zniknął natychmiast, nie zwróciwszy na siebie niczyjej uwagi.

Królewiczowscy ścigali Burgundów aż do zamku, po czym wrócili do opuszczonego namiotu. Tu zastali martwego już księcia, leżącego na ziemi. Obok niego klęczał w krwi zakrzepłej proboszcz z Montereau i odmawiał modlitwy za umarłych. Stronnicy królewicza chcieli porwać ciało i rzucić je do rzeki, lecz ksiądz wzniósł w górę krucyfiks, grożąc gniewem boskim każdemu, ktokolwiek dotknąłby tych zwłok nieszczęsnych. Wówczas Coesmerel, syn naturalny pana de Tanneguy, odpiął od buta księcia złotą ostrogę, przysiągając, iż odtąd nosić ją będzie, jako znak rycerski. inni zbrojni ze służby delfina, idąc za przykładem pana de Coesmerel, pozrywali mu pierścienie z palców, jako też i przepyszny łańcuch złoty, który zmarły miał na szyi.

Ksiądz pozostał przy ciele aż do północy, potem z pomocą dwóch ludzi przeniósł je do młyna znajdującego się w pobliżu mostu. Tu złożono zmarłego na stole, a ksiądz modlił się przy nim aż do rana. O godzinie ósmej odbył się pogrzeb; złożono księcia w kościele Matki Boskiej przed ołtarzem świętego Ludwika. Przy chowaniu zwłok żadnych nie było ceremonii, jednakże za spokój jego duszy dwanaście mszy odprawiono podczas trzech dni następnych.

IX

Wspomnieliśmy wyżej, iż skoro pan de Giac przekonał się o śmierci księcia, natychmiast opuścił namiot.

Była już godzina siódma wieczorem, pogoda była chmurna, noc się zbliżała; odwiązał konia, który stał opodal przy młynie i skierował się drogą ku Bray–sur–Seine. Mimo dokuczliwego zimna, mimo ciemności, które co chwila gęstszymi się stawały, de Giac jechał noga za nogą. Pogrążony był w ponurych myślach; krwawa rosa nie orzeźwiła jego czoła, śmierć księcia zaspokoiła tylko połowę jego pragnień, a dramat polityczny, w którym tak czynną odegrał rolę, skończony dla wszystkich, dla niego miał jedno mieć jeszcze rozwiązanie.

Było już wpół do dziewiątej, gdy pan de Giac przybył do Bray–sur–Seine. Zamiast jechać przez wieś, objechał ją wokoło, przywiązał konia do muru opasującego ogród, otworzył furtkę, wsunął się cicho do domu własnego i zaczął wchodzić po ciemku na kręte i wąskie schody prowadzące na pierwsze piętro. Kiedy był już na ostatnim stopniu, przez uchylone drzwi błysnęło światło, wskazując mu pokój jego żony. Zbliżył się i stanął na progu; piękna Katarzyna była sama, siedziała z ręką opartą na małym rzeźbionym stoliczku pokrytym owocami; szklanka, do połowy tylko wypróżniona, świadczyła, iż młoda kobieta zapomniała o swym lekkim posiłku i zatonęła w marzeniu. Widok taki rozkoszny i słodki jest dla oczu człowieka, będącego tych marzeń przedmiotem, piekielny zaś dla tego, komu rzeczywistość, jątrząc rany zazdrości, szepce: „Nie o tobie tu myślą. Nie o tobie myśl słodki uśmiech na tę piękną twarz sprowadza..."

De Giac nie mógł dłużej znieść tego widoku. Zamyślenie Katarzyny było tak głębokie, iż wszedł niesłyszany. Nagle trzasnął gwałtownie drzwiami. Katarzyna krzyknęła, zrywając się z miejsca, jak gdyby ręka niewidzialna podniosła ją za włosy. Poznała męża.

– Ach! To ty? – rzekła.

I przechodząc w jednej chwili z przerażenia do radości, zmusiła jednocześnie twarz swą do uśmiechu. De Giac patrzył z goryczą na tę prześliczną postać, która przed chwilą, zapominając o wszystkim, posłuszna była głosowi serca, a teraz już z całą siłą woli i przytomnością umysłu panować nad sobą umiała. De Giac, nie odpowiadając nic, usiadł przy niej. Nigdy jeszcze nie wydawała mu się tak piękna.

Katarzyna wyciągnęła do niego rękę delikatną i białą, pokrytą pierścieniami, która do łokcia odkryta ginęła dalej w fałdach szerokich rękawów obłożonych futrem. De Giac ujął tę rękę, popatrzył na nią z uwagą i odwrócił jeden z pierścieni, którego kamień znajdował się pod spodem. Był to ten, którego odcisk widział na pieczątce listu pisanego do księcia. Odnalazł na nim gwiazdę niknącą w chmurach i wyczytał słowa wyryte ponad nią:

– „Taż sama" – szepnął, czytając. – Dewiza nie kłamie.

Katarzyna, którą to badanie niepokoiło, starała się odwrócić jego uwagę. Drugą rękę przeciągnęła po czole męża: czoło jego, chociaż blade, było rozpalone.

– Znużony jesteś, panie mój – rzekła – może byś zechciał czymkolwiek się posilić. Może wezwać służbę?... Niewieści ten posiłek – ciągnęła dalej, wskazując na swój stolik – za lekki jest pewno dla zgłodniałego rycerza.

Podniosła się i wzięła mały srebrny gwizdek, chcąc wezwać jedną ze swych służebnych. W chwili, gdy chciała przyłożyć go do ust, mąż zatrzymał jej rękę.

– Dziękuję, pani, dziękuję – rzekł. – Nie potrzeba wzywać nikogo; to, co się na stole znajduje, będziecie wystarczające da mnie, prosiłbym tylko o szklankę.

Katarzyna poszła sama poszukać żądanego przedmiotu. Podczas gdy się oddalała, de Giac wyjął szybko maleńki flakonik, który miał na piersiach i wylał z niego płyn do szklanki pozostawionej na stole. Katarzyna powróciła, nie zauważywszy nic z tego, co się działo.

– Oto jest – rzekła, nalewając szklankę wina i podając ją mężowi. – Pijcie, panie, za moje zdrowie.

De Giac umoczył usta w winie, jakby czyniąc zadość jej żądaniu.

– Dlaczego pani nie kończysz wieczerzy? – zapytał.

– Skończyłam ją zanim przybyłeś.

De Giac zmarszczył brwi i rzucił okiem na szklankę Katarzyny.

– Mam nadzieję, iż przynajmniej nie odmówisz pani wychylenia ze mną toastu, który wznieść zamierzam, jak ja nie odmówiłem propozycji przez panią uczynionej.

Mówiąc to, podał żonie szklankę z winem zatrutym.

– I jakiż to jest ten toast? – spytała Katarzyna, biorąc szklankę z rąk męża.

– Na cześć księcia Burgundii! – zawołał de Giac.

Katarzyna, nie podejrzewając nic, skłoniła głowę z uśmiechem i podniosła do ust szklankę, którą do dnia prawie wypróżniła. De Giac śledził ją z piekielnym wyrazem twarzy. Kiedy pić skończyła, wybuchnął szatańskim śmiechem. Śmiech ten dziwnym dreszczem przejął Katarzynę; spojrzała na męża zdziwiona.

– Tak, tak – mówił de Giac, jakby w odpowiedzi na to nieme zapytanie. – Tak! za prędko trochę usłuchałaś pani mojej propozycji, boś nie zostawiła mi czasu do dokończenia wzniesionego toastu.

– Cóż jeszcze pozostawało do powiedzenia? – zapytała Katarzyna z nieokreślonym uczuciem trwogi. – Czy wzniesiony toast był niedokończony, czy źle go słyszałam? Wszakże mówiliście, panie, na cześć księcia Burgundii...

– Ta, pani, lecz chciałem dodać: I niech Bóg ma większe miłosierdzie nad jego duszą, niż ludzie mieli nad jego ciałem?!

– Co pan mówisz?! – zawołała Katarzyna, patrząc błędnym wzrokiem i blednąc nagle. – Co pan mówisz?! – zapytała po raz drugi z naciskiem.

Szklanka, którą trzymała w ręce, wypadła z zesztywniałych palców i rozprysła się w kawałki.

– Mówię – odpowiedział de Giac – że książę Jan Burgundzki przed dwoma godzinami zamordowany został na moście pod Montereau.

Katarzyna krzyknęła okropnie, osunęła się i padła na fotel, poza nią stojący.

– Nie! to być nie może – zawołała z rozpaczą. – To być nie może!

– Tak jednak jest – odparł zimno de Giac.

– Kto panu o tym powiedział?

– Sam go widziałem.

– Pan?

– Widziałem u nóg moich, słyszysz pani? Widziałem na własne oczy księcia, wijącego się w cierpieniach konania, widziałem krew, z pięciu zadanych mu ran płynącą, widziałem go umierającego bez księdza i bez nadziei zbawienia. Widziałem, jak usta jego miały wydać ostatnie tchnienie i nachyliłem się nad nim, aby się o tym lepiej przekonać.

– Och! I nie broniłeś go? Nie odbiłeś ciosu, nie ocaliłeś?...

– Twego kochanka?! Nieprawdaż, pani? – przerwał de Giac głosem strasznym i patrząc prosto w oczy żony. – Tak! nie broniłem go!

Katarzyna krzyknęła znowu, a nie mogąc znieść wlepionego w nią pożerającego wzroku, ukryła twarz w dłoniach.

– Więc pani nie zgadujesz jeszcze? – zawołał de Giac, podnosząc się z kolei. – Czy to głupota, czy bezczelność! Nie zgadujesz więc, że ten list, który pisałaś do niego, który zapieczętowałaś tą oto pieczęcią, którą nosisz na palcu – zawołał, porywając ją za rękę, którą zasłaniała oczy. – List, w którym wyznaczyłaś mu wiarołomną schadzkę, ja odebrałem; nie wiesz więc, że śledziłem go owej nocy – dodał, spoglądając na swoją rękę prawą – i że tejże nocy tak rozkosznej dla was, a piekielnej dla mnie, zgubiłem moją duszę ? Nie zgadujesz, iż gdy on wchodził do zamku Creil, ja wszedłem tam przed nim, że gdyście w uścisku złączeni, jednym płaszczem okryci oboje, przechodzili ciemną galerią, ja was widziałem, ja byłem tam, dotykałem was prawie? Ach! więc pani niczego się nie domyślasz! Więc wszystko muszę ci powiedzieć?

Katarzyna przerażona upadła na kolana, wołając:

– Łaski! Litości!...

De Giac zdawał się nie słyszeć błagalnych wykrzyków Katarzyny, lecz potrząsając głową, mówił dalej:

–Tyś dobrze ukrywała swoją i moją hańbę, ja równie dobrze kryłem pragnienie zemsty, które mnie paliło! Kto z nas mistrzem jest w obłudzie, osądź pani terez sama!.. Ach, tak! Pan wielki, dumny wasal korony francuskiej, książę udzielny, w którego rozległych posiadłościach ludzie trzema językami mówili, książę Burgundii, hrabia Flandrii i d'Artois, palatyn de Malines i de Salins, władca, na którego jedno skinienie pięćdziesiąt tysięcy ludzi stawało pod bronią w sześciu podległych mu prowincjach! Jemu się zdawało, że będąc tak wielkim, tak potężnym władcą, księciem i panem, może bezkarnie hańbą okryć mnie, Piotra de Giac, prostego rycerza, i uczynił to, szalony! A ja cóż na to? Ja, nic! Milczałem, nie wydawałem grzmiących rozkazów armii, nie zbierałem wasali, giermków, ni paziów nie zwoływałem; nie, zemstę moją zamknąłem w głębi łona i na pastwę jej oddałem serce moje... Potem, gdy nadszedł już dzień, wziąłem nieprzyjaciela mego, jak słabe dziecię, za rękę, zawiodłem go do Duchatela i powiedziałem: „Zabij go, Tanneguy!" A teraz – de Giac roześmiał się konwulsyjnie – teraz ten człowiek, pod którego władzą było tyle prowincji, że można by nimi pokryć połowę królestwa Francji, ten człowiek leży tam we krwi i błocie, opuszczony przez wszystkich i nie znajdzie może nawet sześciu stóp ziemi, w której spokojnie mógłby spocząć na wieki.

Katarzyna, czołgając się na kolanach, kaleczyła sobie o potłuczone szkło ręce i kolana błagając łaski i litości.

– Słyszysz więc, pani – ciągnął de Giac – pomimo wielkości jego imienia, pomimo potęgi, pomimo licznej armii, jaką ten człowiek posiadał, ja dokonałem na nim mej zemsty; osądź pani teraz sama, czy zemścić się potrafię nad wspólniczką jego zbrodni, która jest tylko kobietą bezbronną, którą jednym tchnieniem skruszyć mogę, którą w rękach zdusić mogę.

– Ach! Co chcesz uczynić? – krzyknęła Katarzyna.

– Wstań pani! – zawołał.

Podniósł ją z kolan i postawił na nogi.

– Stój!... – krzyknął.

Katarzyna spojrzała na swoje ubranie: suknia jej biała była cała krwią zbroczona; na ten widok ognie przebiegły jej przed oczyma, głos zamarł w gardle, wyciągnęła ręce i padła zemdlona. De Giac wziął ją bezwładną na ręce, zszedł ze schodów, przebiegł ogród, złożył ciężar na grzbiecie Ralffa, przywiązał do konia jej własną szarfą i wskoczył na siodło przymocowawszy Katarzynę do siebie pasem od miecza. Pomimo podwójnego ciężaru, Ralff, poczuwszy ostrogi pana, popędził galopem.

De Giac puścił się przez pole: przed nim na widnokręgu rozciągały się rozległe doliny Szampanii, a śnieg, który zaczął padać grubymi płatami. pokrywał pola olbrzymim, białym całunem, nadając im widok ponury i dziki stepów syberyjskich. Żadne góry nie rysowały się w oddaleniu, płaszczyzna tylko, ciągła płaszczyzna, wśród której, z dala jedna od drugiej, wznosiły się czarne topole, kołysząc się w wietrze, podobne do widm białymi płachtami okrytych. Żaden głos ludzki nie przerywał tej ciszy, koń po miękkim dywanie ze śniegu biegł coraz prędzej, nie słysząc sam własnych kopyt tętentu; jeździec nawet oddech wstrzymywał, zdawało mu się, że wobec tej zlodowaciałej przyrody wszystko powinno przybrać ponury wygląd i w ciszę śmierci się pogrążyć.

Po upływie kilkunastu minut płaty śniegu spadające na twarz nieszczęsnej, ruch konia, od którego jej delikatne i wątłe ciało, tak silnie skrępowane, strasznych doznało tortur, przejmujące zimno nocy, przywołały Katarzynę do życia. Wracając do przytomności, sądziła, iż dręczył ją tylko jeden z tych snów bolesnych, w których sądzimy, iż jakiś potwór skrzydlaty unosi nas w przestworza. Wkrótce dotkliwy ból w piersiach, ból podobny do tego, jaki by sprawił węgiel rozpalony, przypomniał jej, iż wszystko było rzeczywistością; prawda straszna, krwawa, nieubłagana, stanęła jej przed oczyma; wszystko, co się stało dotąd, przyszło jej na pamięć, przypomniały jej się groźby męża i dreszcz przerażenia przebiegł po jej ciele na samą myśl, iż groźby te nie były płonne i że je już oto w czyn wprowadzić poczyna.

Nagle chwycił ją ból straszny; Katarzyna krzyknęła boleśnie. Krzyk ten przebrzmiał bez echa i utonął w bezgranicznym śniegowym całunie; rumak tylko przerażony zadrżał i przyśpieszył biegu.

– O! Panie mój, jakże ja cierpię! – zawołała Katarzyna.

De Giac nic nie odpowiedział.

– Pozwól mi zejść z konia – prosiła. – Pozwól wziąć w usta troszkę śmiegu, w gardle mnie pali, w piersi ogień gore.

De Giac wciąż milczał.

– Ach! Na Boga w niebiosach, przez litość, błagam cię, panie, łaski i miłosierdzia! Rozpalone ostrza mieczów piersi mi przeszywają! Wody! och! wody kroplę!

Katarzyna szarpała się w więzach, które ją z rycerzem wiązały. Chciała się osunąć na ziemię, lecz szarfa ją powstrzymywała; podobna była do Lenory, przywiązanej do widma; rycerz był milczący jak Wilhelm, a Ralff pędził jak ów fantastyczny rumak Bürgera.

Wtedy Katarzyna, straciwszy wszelką nadzieję na ziemi, zwróciła się do Boga:

– Miłosierdzia! Boże mój, miłosierdzia! – wołała. – Gdyż tak cierpieć może tylko ten, kogo trucizna pożera.

Usłyszawszy te słowa, de Giac szyderczym wybuchnął śmiechem. Śmiech ten straszny, piekielny, nie przeszedł bez echa; inny śmiech, równie straszny, odpowiedział mu, rozlegając się i napełniając sobą tę posępną przestrzeń. Ralff zarżał, grzywa cała najeżyła się na nim z przerażenia.

Młoda kobieta zrozumiała, że nadeszła jej ostatnia godzina. Widziała już, że niczym jej nie opóźni, zaczęła więc modlić się głośno, przerywając co chwila modlitwę krzykiem, który szalony ból z piersi jej wydzierał. De Giac milczał wciąż. Wkrótce jednak głos Katarzyny słabnąć począł, ryczerz czuł to ciało, które niegdyś tysiącami pocałunków okrywał, drgające w konwulsjach konania i mógłby był policzyć dreszcze, które przebiegały jej członki. Stopniowo głos jej przemieniał się w rzężenie chrapliwe i ciągłe; konwulsyjne miotania ustały i czuć się dawały tylko lekkie drgania, wreszcie i to minęło, ciało się wyprężyło, z ust wyszło ciężkie westchnienie: było to ostatnie pożegnanie duszy z ciałem i trup już tylko

wisiał na koniu. przywiązany pasem do Giaca. Trzy kwadranse jeszcze pędził de Giac wciąż dalej, nie wymówiwszy ani jednego słowa, nie obejrzawszy się ani raz w bok, ani poza siebie. Wreszcie stanął nad brzegiem Aube'y, cokolwiek powyżej miejsca, w którym rzeka ta, wpadając do Sekwany, czyni prąd jej głębszym i bystrzejszym. Tu wstrzymał konia, odwiązał węzeł, który łączył z nim trupa Katarzyny, i ciało, które trzymało się już tylko za pomocą szarfy na siodle, upadło w poprzek na grzbiet konia.

Wówczas de Giac zsiadł. Spieniony i potem okryty Ralff chciał wejść do rzeki, lecz pan jego wstrzymał go lewą ręką. Potem wziął w prawą sztylet, spiczastym i ostrym końcem jego poszukał miejsca na szyi Ralffa, w którym biła arteria: krew trysnęła...

Raniony koń stanął dęba, zarżał żałośnie i wyrywając się z rąk swego pana, rzucił się w nurty rzeki, unosząc z sobą zwłoki Katarzyny.

De Giac, stojąc nad brzegiem, patrzał jak koń jego walczył z prądem rzeki, którą z łatwością byłby przepłynął, gdyby nie był raniony. Przebywszy trzecią część szerokości, zaczął płynąć nierówno, oddech jego stał się głośny. Próbował powrócić do brzegu, z którego skoczył, grzbiet jego krył się już pod wodą, a na powierzchni widać było tylko białą suknię Katarzyny; wkrótce koń okręcił się wkoło, jakby się w wir jakiś dostał, przednimi nogami zaczął bić wodę, która tryskała w górę, wreszcie szyja powoli zaczęła się zanurzać; stopniowo niknęła głowa, na chwilę fala ją pokryła, wreszcie w ostatnim wysiłku rumak szlachetny raz jeszcze na jedno mgnienie oka głowę swą wydobyć zdołał, potem już tylko kilka baniek powietrznych ukazało się i pękło na powierzchni wody. Wszystko się skończyło; wzburzona rzeka w kilka sekund później znów stała się gładka jak zwierciadło i płynęła dalej równo, cicho i spokojnie.

– Biedny Ralff!... – szepnął de Giac z westchnieniem.

X

Nazajutrz po śmierci księcia Burgundii wojsko, którym poprzedniego dnia obsadził był książę zamek Montereau, zdało tę twierdzę królewiczowi pod warunkiem zachowania wszystkim życia i mienia. Wodzami wojska tego byli panowie de Jourelle i de Montaigu.

Filip de Charlois, jedyny spadkobierca księcia Burgundii, dowiedział się w Gandawie o popełnionym zabójstwie w Montereau. Ze łzami rzucił się w objęcia żony.

– Michalino, Michalino – zawołał – brat twój, delfin, rozkazał mordować mego ojca!

Wiadomość ta zasmuciła i przeraziła mocno nieszczęśliwa księżnę, gdyż obawiała się, że wypadek ten zmienić może lub oziębić przywiązanie, jakie mąż dotąd jej okazywał. Gdy hrabia de Charlois uspokoił się cokolwiek w swej rozpaczy, przybrał uroczyście tytuł księcia Burgundii, odbył naradę ze znakomitszymi mieszczanami z Gandawy, Burges i Ypres względem dalszego postępowania; objął w posiadanie hrabstwo Flandrii; potem bezzwłocznie udał się do Malines, gdzie odbył długą naradę z kuzynem swym, księciem Brabantu, Janem Bawarskim, wujem swoim, i hrabiną de Hainau, swą ciotką. Wszyscy ci doradcy byli zdania, iż powinien natychmiast zawrzeć związek z Henrykiem, królem Anglii. Wskutek tego wysłano biskupa Arras, panów Athisa de Brimeuse i Rolanda de Heclekerk do Henryka, który w proponowanym związku widział nowy sposób doprowadzenia do skutku małżeństwa swego z królewną Katarzyną, po której żywe pozostało mu w sercu wspomnienie. Małżeństwo to przedstawiało mu się także jako wielce korzystne pod względem politycznym.

Król angielski odpowiedział, iż w jak najkrótszym czasie wyśle do księcia Filipa swych ambasadorów, za pośrednictwem których prześle swoje warunki traktatu. Nie zwlekając, zredagował warunki owe i wkrótce potem biskup Rochester i hrabiowie de Warwick i de Kent, udali się do Arras w imieniu króla Henryka, gdzie najuprzejmiej przez księcia przyjęci zostali.

Traktat pokojowy, zawarty przez księcia Filipa i króla angielskiego, był po prostu wydaniem Francji całej na łaskę i niełaskę Anglii. Księżniczka Katarzyna miała zostać żoną Henryka; Karol VI zatrzymywał jedynie tytuł królewski, ale od rządów miał być zupełnie odsunięty.

Książę Filip ze swej strony żądał, aby jeden z braci króla Henryka zaślubił jedną z sióstr jego i aby mu pozostawiono tyle ziem, by przynosiły 20 000 liwrów dochodu rocznego itd. Rozumie się, iż przeciw królewiczowi Karolowi postanowili obaj sprzysiężeni wspólnie wystąpić.

Oto na jakich warunkach, pod pozorem pomszczenia śmierci księcia Jana, została sprzedana Francja 21 grudnia 1419 roku przez księcia Filipa Burgundzkiego królowi angielskiemu: ojciec zdradził ojczyznę, a syn ją wrogom wydał.

Król Karol zgodził się na małżeństwo swej córki Katarzyny z Henrykiem de Lancastre, przystał na wydziedziczenie królewicza, syna swego i prawego następcy tronu; zniósł wielce rozumne prawo postanowione przez poprzedników jego i odmawiające praw do tronu kobietom; książę Filip wszystko tak urządził, że już 13 kwietnia 1420 roku mógł napisać do króla angielskiego, iż wszystko skończone i że tylko przybyć należało, aby wszystkie plany urzeczywistnić.

W istocie też, dnia 20 maja tegoż roku, przybył król angielski wraz z dwoma braćmi swymi, książętami Glocester i Clarence. W orszaku jego znajdowali się hrabiowie Huntington, Warwick, Kent, na czele tysiąca sześciuset zbrojnych. Książę Burgundii wyjechał naprzeciw Henryka i odprowadził go aż do przeznaczonego dlań mieszkania w mieście, jak to powinien był uczynić przyszły wasal względem swego monarchy. Natychmiast po przyjeździe król poszedł odwiedzić królową i księżniczkę Katarzynę; księżniczka wydała mu się piękniejsza niż kiedykolwiek, i być może w tej chwili Henryk nie wiedział, czego więcej pragnął: czy zostać mężem księżniczki, czyli też królem Francji.

Nazajutrz dwaj królowie podpisali sławny traktat w Troyes; był on hańbą i zgubą królestwa i od tej chwili każdy mógł sądzić, że anioł stróż ojczyzny opuścił ją i skrył się w niebiosach. Tylko królewicz nie rozpaczał; z ręką przyłożoną do serca Francji liczył jego drgnienia i widział, a raczej przeczuwał, że ona żyć jeszcze będzie.

Dnia 2 czerwca obchodzono uroczystość zaślubin Henryka Angielskiego z Katarzyną Francuską. Był to drugi już kwiat, jaki odrywano od królewskiego krzewu lilii, aby nim ozdobić koronę Wielkiej Brytanii. Dwa razy podarunek ten był fatalny dla przyjmujących go; dwa razy śmierć zstępowała do łoża królów angielskich w ślad za pieszczotami cór Francji. Ryszard tylko trzy lata żył po ożenieniu się swoim; Henryk miał umrzeć w osiemnaście miesięcy.

Od tego dnia Francja miała dwóch regentów i dwóch następców tronu; delfin był panem południa, król angielski posiadał północ. Wówczas to rozpoczął się ów wielki turniej, którego nagrodą miało być królestwo całe.

Pierwsze starcie wypadło na korzyść króla angielskiego: po kilkudniowym oblężeniu poddało się miasto Sens; Villeneuvele–Roi szturmem zdobyto, a Montereau podstępem wzięto.

Przy wejściu do miasta tego pierwszą myślą księcia było odprawienie modłów za duszę ojca. Kobiety wskazały mu grób księcia Jana. Z rozkazu księcia pokryto kirem kamień, pod którym złożone były zwłoki, na każdym rogu zapalono gromnicę, całą noc księża śpiewali modlitwy za umarłych, a nazajutrz podniesiono kamień i grób odkopano. Ciało księcia spoczywało jeszcze w zbroi i hełmie, lecz lewa ręka odpadła zupełnie, a w głowie, toporem Duchatela rozciętej, otwarta i głęboka rana czerniła się jak brama, przez którą Anglicy weszli do królestwa Francji.

Zwłoki złożono w trumnę ołowianą napełnioną solami, następnie wystawiono ją w klasztorze leżącym poza miastem Dijon; ciało nieprawego syna de Croy, zabitego przy zdobyciu miasta złożono w miejscu, w którym poprzednio zwłoki księcia leżały.

Gdy dopełniono tego obowiązku, Burgundzi i Anglicy udali się pod Melun. Przypuszczono szturm, lecz miasto broniło się dzielnie. Głównym dowódcą miasta był pan Barbazan, pod jego rozkazami znajdowali się panowie de Préaux, Piotr de Bourbon i niejaki Bourgeois, który podczas całego oblężenia cudów waleczności dokazywał. Król angielski i książę, widząc, że miasto przygotowane jest do obrony, otoczyli je, chcąc głodem zmusić do poddania. Pierwszy, z dwoma swymi braćmi i księciem Bawarskim, stanął od strony Gatinais, drugi w towarzystwie hrabiego Huntington i wielu innych panów i rycerzy angielskich rozbił swoje namioty od strony miasta Brie. Zbudowano most łyżwowy na Sekwanie dla ułatwienia komunikacji jednej armii z drugą, a wokoło rozkazano sypać wały i fosy, wznosić palisady, pozostawiając tylko wejścia i wyjścia zamknięte potężnymi barierami obronnymi. W tym czasie król Francji i dwie królowe opuściły Troyes przeniosły się z całym dworem do miasta Corbeil.

Przez cztery miesiące trwało oblężenie bez wielkich dla oblegających korzyści. Jednakże książę Burgundzki opanował bardzo silny bulwar, który oblężeni wznieśli przed fosami swymi, i z wysokości którego armaty ich i bombardnice wiele szkód w obozie angielskim zrządzały. Król Henryk ze swej stro-

ny kazał kopać wielką minę dla dostania się do miasta. Podkop ów już prawie do murów został doprowadzony, gdy pewnej nocy Juvénal des Ursins, syn adwokata parlamentu, posłyszał jakieś podziemne odgłosy. Zawołał robotników i kazał im natychmiast kontrminę kopać. Sam na czele zbrojnego oddziału dozorował robót, trzymając w ręku wielki topór wojenny o długim drzewcu. Szczęściem przechodził tamtędy właśnie pan Barbazan. Juvénal opowiedział mu rzecz całą, mówiąc, iż chce stoczyć walkę w podziemiach. Barbazan, który go kochał jak syna, obejrzawszy topór jego, wstrząsnął głową i rzekł:

– Ach, bracie! Ty, widzę, nie wiesz jeszcze, co to jest walka w podkopie! Krótszych trzeba, niż ten, oręży, ażeby się bić i bronić było można.

Wydobywszy więc miecz swój własny, obciął nim drzewce topora tak, aby potrzebną długość miało, a potem kazał Juvénalowi przyklęknąć i obnażonym mieczem uderzywszy go trzykroć po ramieniu, ucałował i podniósł, mówiąc:

– A teraz czyń, jak mężnemu i walecznemu rycerzowi przystało.

Po dwu godzinach pracy robotnicy angielscy i francuscy zbliżyli się już do siebie tak, że dzielił ich tylko pas ziemi nie grubszy niż zwyczajny mur. W jednej chwili zapora ta rozbita została i zbrojni rzucili się na siebie, walcząc z zaciętością w tym ciemnym i ciasnym przejściu, w którym zaledwie czterech w szeregu stać mogło. Wtedy to Juvénal przekonał się o słuszności słów Barbazana. Krótki jego oręż szerzył śmierć i spustoszenie dokoła. Anglicy uciekli, a nowy rycerz pozyskał za bohaterstwo i waleczność swoją złote ostrogi.

W godzinę później Anglicy powrócili w większej sile, pchając prze sobą barierę wojenną, którą umieścili w poprzek podkopu, aby w ten sposób zatrzymać delfińczyków w ich zwycięskim pochodzie. Ale i z miasta też nadeszła pomoc i przez całą noc trwały utarczki i kruszyły się kopie. Ten nowy rodzaj walki to miał w sobie szczególnego, że można było ranić, zabijać nawet, ale jeńców brać nie było można, walczących bowiem przedzielała bariera.

Nazajutrz rano herold angielski, poprzedzony przez trębacza, stanął pod murami miasta i ogłosił wyzwanie w imieniu jednego z rycerzy angielskich, który chciał pozostać nieznany. Proponował on turniej, a raczej pojedynek, do którego mógł stanąć ktokolwiek bądź z obrońców miasta, byle tylko był rycerzem szlachetnego urodzenia. Żądał on najprzód starcia na koniach, w którym każdy z walczących miał mieć prawo skruszenia dwu kopii, a następnie walki pieszo z toporem i mieczem w rękach. Rycerz angielski wybierał na miejsce walki podkop podziemny i pozostawiał przeciwnikowi prawo oznaczenia dnia i godziny.

Po wygłoszeniu tego wyzwania herold, zsiadłszy z konia, u słupa najbliższej bramy miasta przybił rękawicę swego pana jako zakład wojenny i znak wyzwania.

Pan de Barbazan zasłyszawszy o tym, z wielkim tłumem przybiegł i z wysokości wałów rzucił swoją rękawicę na znak, że przyjmuje wyzwanie nieznajomego rycerza. Potem rozkazał jednemu z koniuszych, aby podszedł do słupa i zdjął zeń rękawicę, zawieszoną przez herolda.

Wielu z obecnych mówiło głośno, że dowódca twierdzy przyjmować takiego wyzwania nie powinien, ale pan de Barbazan nie zważał na to i przygotowywał się do pojedynku na dzień następny. W nocy usunięto przeszkody, aby nic nie stało na zawadzie koniom i rycerzom. Z obu stron wybito wgłębienia dla trębaczy i przymocowano pochodnie do ścian, aby można było oświecić tę straszną i tak dla obu stron interesującą walkę.

Nazajutrz, o godzinie ósmej rano, przeciwnicy stali u przeciwległych wejść do podziemia. Za każdym z nich postępował trębacz. Pierwszy odezwał się trębacz angielski, drugi odpowiedział mu natychmiast, a gdy ci dwaj skończyli, zagrzmiało jeszcze po czterech trębaczy z każdej strony, nieco dalej stojących. Gdy tylko przebrzmiał ostatni dźwięk pod sklepieniem podziemia, obaj rycerze spiąwszy konie ostrogami, puścili się naprzeciw siebie. Pomimo ciemności dojrzeli się z daleka. Wyglądali jak dwa cienie nacierające na siebie nawzajem w korytarzu piekieł. Ciężki tętent koni okrytych zbroją, napełniając hukiem cały podkop, dowodził, że ludzie owi i rumaki te nie są marami piekielnymi, ale stworzeniami Bożymi, z ciała i kości.

Ponieważ, nie widząc długości szranek, obaj rycerze nie byli w stanie miarkować rozpędu, przeto pan de Barbazan, bądź dlatego, że koń jego był bardziej rączy, bądź też, że odległość od strony miasta była mniejsza, pierwszy przybiegł do bariery. W tejże chwili rycerz nieznajomy nadbiegł pędem błyskawicy. Barbazan zaledwie zdążył odczepić kopię i silnie ją oprzeć o obojczyk, przy czym umocował się sam w siodle i strzemionach. Manewr ten posłużył mu bardzo dobrze; przeciwnik jego, zamiast cios zadać, sam go otrzymał. Rzucił się wprost na kopię Barbazana, która strzaskała się, jakby była ze szkła.

Kopia nieznajomego rycerza okazała się za krótka i nie dosięgła nawet celu, podczas gdy rycerz angielski wskutek uderzenia tego rzucony został na kłęb konia, który cofnął się o trzy kroki, upadając na tylne nogi. Gdy nieznajomy podnieść się usiłował, dostrzeżono, iż ostrze kopii francuskiego rycerza utkwiło mu w samym środku zbroi i zatrzymane zostało tylko przez koszulkę drucianą, którą ów miał pod kirysem. Barbazan, jak statua z miedzi na podstawie z marmuru, ani drgnął w siodle.

Obaj rycerze zwrócili konie i powrócili na pierwotne miejsca. Barbazan wziął nową kopię, trąby zagrzmiały powtórnie, i powtórnie odpowiedziały im trąby angielskie. Dwaj rycerze znowu zagłębili się pod podziemne sklepienie, a za nimi tak z jednej, jak z drugiej strony wpadło mnóstwo ciekawych. Bowiem według warunków walki ta kopia miała być ostatnią; dalej zaś walka trwać musiała pieszo na miecze i topory, w czym widzowie przeszkodą być nie mogli.

Tym razem odległości były tak doskonale wymierzone, że przeciwnicy spotkali się w samym środku drogi. W spotkaniu tym kopia Anglika, uderzając w lewy bok kirysu Barbazana, zsunęła się po gładkiej powierzchni, a natrafiwszy na złączenie zbroicy przy ramieniu, przecięła je i na jeden cel weszła w ramię, lekko je raniąc. Kopia Barbazana zaś trafiła w tarczę rycerza angielskiego z taką siłą, że pękł popręg siodła, a jeździec zbyt zręczny, aby z siodła wypaść, razem z nim upadł o dziesięć kroków od konia.

Barbazan zsiadł ze swego rumaka, rycerz angielski podniósł się również, obaj chwycili topory wojenne z rąk koniuszych i walka rozpoczęła się na nowo z większą, niż poprzednio, zaciętością. Każdy z nich jednak tak w obronie, jak i w natarciu, większą zachowywał ostrożność wskutek tego, iż każdy poznał, zręczność i siłę swego przeciwnika. Ciężkie ich topory przerzynały powietrze z szybkością błyskawiczną, a spadając na tarcze, krzesały z nich tysiące iskier. Walczący, pochylając się w tył dla nabrania zamachu i znów pochylając się naprzód za uderzeniami, podobni byli do drwali drzewo rąbiących. Każdy z tych razów obaliłby dąb stuletni, a jednak oni otrzymawszy razów tych dwadzieścia stali nieugięci. Na koniec Barbazan, znużony tą walką olbrzymów i chcąc ją od razu zakończyć, odrzucił tarczę, która mu nie pozwalała posługiwać się lewą ręką i oparł nogę o leżący w pobliżu kloc bariery. Topór, w obie ręce ujęty, świsnął w powietrzu jak proca, a mijając tarczę przeciwnika, spadł ze strasznym hałasem na szyszak nieznajomego rycerza. Na szczęście machinalny i instynktowny ruch tego zapaśnika, który uchylił głowę na lewo, uratował go; ostrze topora zsunęło się po okrągłej powierzchni hełmu, ale napotkało łącznik przyłbicy i przecięło go, jak nitkę. Podtrzymywana już tylko z jednej strony przyłbica otworzyła się i Barbazan zdumiony poznał w pokonanym nieznajomym... Henryka Lancastra, króla Anglii...

Poznawszy go, Barbazan, z uszanowaniem cofnął się o dwa kroki, upuścił topór, zdjął hełm i uznał się zwyciężonym. Król Henryk zrozumiał dobrze, o ile było szlachetności i rycerskości w tym geście, a zdjąwszy rękawicę, podał rękę staremu wojakowi, mówiąc:

– Od tej chwili jesteśmy braćmi broni! Pamiętajcie o tym zawsze, panie de Barbazan, ja nigdy o tym nie zapomnę.

Barbazan zaszczytne to braterstwo przyjął i ono w trzy miesiące później życie mu ocaliło.

Dwaj przeciwnicy potrzebowali wypoczynku, wrócili też obaj, jeden do miasta, drugi do obozu. Wielu rycerzy i koniuszych naśladując ich, prowadziło dalej ten turniej podziemny, który trwał blisko tydzień cały.

W kilka dni później, gdy miasto poddać się nie chciało, król Anglii sprowadził do swego obozu nieszczęśliwego króla Karola i obie królowe. Te ostatnie umieścił w domu, który kazał zbudować w bezpiecznej odległości, a przed oknami ich codziennie rano i wieczór kazał wygrywać serenady. Nigdy król Anglii tak wystawnego nie prowadził życia, jak podczas tego oblężenia.

Jednak obecność Karola pomiędzy oblegającymi nie skłoniła oblężonych do poddania się. Powiedzieli, że jeżeli ich król chce wejść do swego miasta, niechże wejdzie sam, a będzie przyjęty z miłością i czcią mu należną, ale chociażby on sam szedł na czele nieprzyjaciół, bramy miasta pozostaną dla nich zamknięte. Zresztą wszyscy w armii księcia Burgundii szemrali wielce na opuszczenie, w jakim król Henryk pozostawiał swego teścia i na nader nieliczny dwór, jakim mu się otoczyć pozwolił. Zdobycie innych fortec i zamków, jak Bastylii, Luwru, zamku de Nesle i lasku Vincennes, które wydane zostały Anglikom, pocieszało Henryka i zmniejszało gniew, jakiego doznawał z powodu tak długiego oporu miasta. Do Bastylii posłał on swego brata. księcia de Clarence, z tytułem gubernatora Paryża.

Tymczasem oblężeni od dawna już cierpieli niedostatek żywności. Nie mieli już chleba i jedli konie, koty i psy. Napisali do królewicza, przedstawiając mu położenie swoje i błagając o pomoc. Oczekując odpowiedzi, pewnego poranka zobaczyli na horyzoncie liczne wojsko ciągnące ku miastu. Sądzili, że odsiecz im przybywa, wylegli więc na wały, a podczas gdy w dzwony bito w mieście na znak radości,

oni na oblegających wołali, aby śpiesznie siodłali konie, gdyż niezadługo ze stanowisk swych wyparci zostaną. Wkrótce jednak spostrzegli swój błąd. Była to bowiem armia Burgundczyków, którą pan de Luxembourg, rządca Pikardii, prowadził z Peronny na pomoc oblegającym. Nieszczęśliwi mieszkańcy miasta Melun, rozczarowani pospuszczali głowy i zstąpili z wałów, a dzwonom umilknąć kazali, Nazajutrz doszedł ich list od królewicza, w którym donosił, iż zbyt jeszcze słabe posiada siły, aby ich mógł ratować i upoważnić do pertraktowania z nieprzyjacielem, w celu uzyskania jak najłagodniejszych warunków. Wskutek tego, zaraz za następnym wezwaniem do poddania, rozpoczęto układy i wycieńczona załoga wzięta została do niewoli. Król Henryk jeden tylko przyjął warunek, a mianowicie: zapewnił walecznych, że ich przy życiu pozostawi.

I z tego jednak jedynego warunku wyłączeni byli ci, którzy w morderstwie księcia Burgundii wzięli udział, jak również i ci, którzy będąc przy tym obecni, nie przeszkodzili mu, oraz wszyscy rycerze angielscy lub szkoccy, jacy by się w mieście znaleźli. Na skutek tej kapitulacji panowie Piotr de Bourbon, Arnault de Guilhem. de Barbazan oraz sześćset do siedmiuset szlachetnych rycerzy odprowadzonych zostało do Paryża i uwięzionych w Luwrze, w zamku Châtelet i w Bastylii.

Nazajutrz dwaj mnisi z miasteczka Joy w prowincji Brie i rycerz pewien, zwany Bertrandem de Chaumont, który w bitwie pod Azincourt przeszedł był do Anglików, a następnie znowu powrócił do Francuzów – ścięci zostali na placu publicznym w Melun. Potem, pozostawiwszy w mieści załogę angielską, król Henryk wraz z królem Karolem i księciem Burgundii udali się do Paryża, dla odbycia wjazdu tryumfalnego.

Mieszczanie oczekiwali ich z niecierpliwością, przygotowując im wspaniałe przyjęcie. Wszystkie domy przybrane były chorągwiami i kosztownymi makatami. Dwaj królowie konno postępowali na czele w równej linii. Król Francji jednak, jadąc po prawej stronie, pierwsze trzymał miejsce. Za nimi postępowali książęta Clarence i Bedford, bracia króla angielskiego, a po drugiej stronie ulicy, również na koniu. książę Burgundii, cały czarno ubrany na znak żaloby. Za książętami posuwał się liczny orszak z panów, rycerzy, koniuszych i paziów złożony.

W połowie wielkiej ulicy Świętego Antoniego spotkało królów duchowieństwo miasta Paryża, które wyszło naprzeciw, niosąc relikwie Świętych Pańskich. Król Karol ucałował pierwszy relikwie te, a następnie król Henryk i książęta. Potem księża procesjonalnie wprowadzili królów do katedry Notre Dame, gdzie przed wielkim ołtarzem odmówiono modlitwy, po czym wsiadłszy znowu na konie, ich królewskie moście udali się każdy do przeznaczonego sobie pałacu, a mianowicie: król Francji do zamku Saint–Paul, król Anglii do Luwru, a książę Burgundii do pałacu d'Artois. Nazajutrz wjazd uroczysty odbyły obie królowe.

Zaledwie nowy ten dwór zainstalowany został, gdy książę Filip rozpoczął starania o otrzymanie zadośćuczynienia za śmierć ojca swego. W tym celu odbyło się posiedzenie najwyższego sądu królewskiego w wielkiej sali dolnej zamku Saint–Paul.

Na tej samej ławie, na której siedział król Karol, posadzono także i króla Anglii, a w pobliżu zasiadł kanclerz Francji Jan Leclerc, pierwszy prezydent parlamentu pan Filip de Morvilliers i wielu innych szlachetnych panów, do rady królewskiej należących.

Wówczas pan Mikołaj Rolin, adwokat stający w imieniu księcia i księżnej matki, wdowy po zamordowanym księciu Janie, podniósł się i prosił obu królów o pozwolenie wniesienia sprawy, a gdy je otrzymał, opowiedział ze wszystkimi szczegółami zabójstwo spełnione na osobie księcia Jana i o dokonanie tej zbrodni oskarżał królewicza Karola, wicehrabiego de Narbonne, panów de Barbazan, Tanneguy Duchatela, Wilhelma Bouteiller, Roberta de Loize i Oliviera Layeta, oraz prezydenta Prowansji, Jana Louvetta. Zakończył mowę swoją domagając się sprawiedliwości i kary publicznej dla przestępców. Żądał, aby zbrodniarze owi na wozach więziennych obwożeni byli przez trzy dni po wszystkich placach Paryża i aby w tej pielgrzymce z gołymi głowami, z woskowymi świecami w ręce, wyznawali głośno, iż złośliwie, przez zdradę i karygodne podejście zamordowali księcia Burgundii, i aby następnie zaprowadzeni zostali na miejsce, gdzie mężobójstwo owo spełnione zostało, to jest do Montereau, żeby sami osobiście się oskarżyli i winę swoją głośno wyznali; na moście zaś, w tym samym miejscu, w którym książę Jan oddał ducha Bogu, wzniesiony miał być kościół, przy którym miało znaleźć uposażenie dwunastu kanoników, sześciu kapelanów i dwunastu kleryków, których jedynym zajęciem byłyby modlitwy za duszę „Nieustraszonego". Oprócz tego, kościół ten kosztem oskarżonych i winnych zaopatrzony być miał, we wszystko, a mianowicie: otrzymać miał stoły, ołtarze, przybory kościelne, naczynia, księgi święte, ubiory... Z majątków winowajców żądał adwokat w imieniu rodziny zabitego, wyznaczenia po

dwieście liwrów parisis rocznie dla kanoników, po sto dla kapelanów i po pięćdziesiąt dla kleryków. Chciał także, aby przyczyna fundacji tej świątyni wypisana była literami wklęsłymi na kamieniu pod portykiem, dla podania w wieczną pamięć tej pokuty, i wreszcie, aby podobne świątynie na tę samą intencję wystawione zostały w Paryżu, w Rzymie, w Gandawie, w Dijon, w Saint–Jacques de Compostelle i Jerozolimie na miejscu, gdzie umarł Zbawiciel.

Po wysłuchaniu tego, kanclerz Francji w imieniu króla, który całych tych wywodów słuchał obojętnie, odpowiedział, że z łaski Boga, a przy pomocy i zgodzie brata swego i syna Henryka, króla Anglii, regenta Francji i następcy tronu, wykonanie wypowiedzianych i proponowanych rzeczy za sprawiedliwe uznanych nastąpi według żądania księcia Filipa Burgundzkiego. Po tych słowach posiedzenie zamknięte zostało i obaj królowie, oraz książę Burgundii, udali się każdy do swego pałacu.

Trzynaście lat przedtem o sklepienia tejże sali obiły się też same wyrazy oskarżenia publicznego, lecz w owym czasie książę Burgundii był zabójcą, a Walentyna Mediolańska oskarżycielką. Żądała ona sprawiedliwości i sprawiedliwość jej przyrzeczona została tak, jak w tej oto chwili przyrzeczono sprawiedliwość księciu, i tamtym razem wiatr uniósł obietnicę królewską tak samo, jak to i teraz nastąpić miało.

Tymczasem jednak na podstawie wydanego przez króla wyroku, parlament rozpoczął dnia 3 stycznia 1421 roku postępowanie sądowe przeciw Karolowi de Valois, księciu de Touraine, królewiczowi Francji. Został on wezwany, aby się stawił w przeciągu dni trzech pod grozą banicji. Wezwanie przy dźwięku trąb ogłoszono i na marmurowej tablicy wypisano. Ponieważ zaś królewicz na termin oznaczony nie stanął, został przeto ogłoszony banitą i uznany za niegodnego nie tylko tronu, ale nawet posiadania jakichkolwiek dóbr i majątków.

Królewicz dowiedział się o tym w Bourges, w prowincji Berri. Apelował od tego wyroku do ostrza swego miecza i zaprzysiągł, iż apelację swoją i swoje wyzwanie sam zaniesie do Paryża, do Anglii i do Burgundii.

Przyznać trzeba, że mimo wyroku owego, wielką miał królewicz w sercach wszystkich prawych Francuzów sympatię. Powiększał ją jeszcze stan szaleństwa, w jakim się jego ojciec znajdował. Wiedziano dobrze i rozumiano, że to nie serce ojcowskie odpycha dziecię swoje ukochane. Wszystkie dekrety wydawane w imieniu szalonego króla, w oczach wielu uchodziły za nieważne. Zbytek, jaki roztaczał król Anglii w Luwrze, w porównaniu z nędzą, jakiej doznawał król Francji w zamku Saint–Paul, oburzał wszystkich w okolicy. To opuszczenie dochodziło tak daleko, że w dniu Bożego Narodzenia 1420 roku, gdy królowa, książę Filip i rycerze Francji i Burgundii w świetnie przybranych salonach Luwru bawili się na dworze króla Henryka, stary król Francji w ciemnych i wilgotnych salach Saint–Paul miał za całe otoczenie tylko kilku służących i kilku mieszczan Paryża, którzy mu dochowali wiary i w których sercach szczere dlań gorzało uczucie.

W owej właśnie chwili okoliczność nieprzewidziana oziębiła nieco stosunki króla Henryka z księciem Filipem. Między jeńcami wziętymi w Melun znajdował się, jak powiedzieliśmy, i pan de Barbazan. Rycerz ten oskarżony był o wzięcie udziału w zabójstwie księcia Burgundii. Wedle umowy zawartej pomiędzy Henrykiem i Filipem, wszyscy wspólnicy zbrodni owej winni byli być wydani mściwemu synowi zabitego. Już wszystkie przygotowania do badania Barbazana uczynione były w Dijon, gdzie zasiadła rada książęca, gdy więzień powołał się na braterstwo broni, jakie go z królem Anglii łączyło. Król Henryk nie zawiódł Barbazana. Kazał oznajmić księciu Burgundii, że ten, którego ręki dotknęła jego dłoń królewska, nie może być sądem karany, chociażby nawet sam Ojciec Święty przybył z Rzymu żądać przeciw niemu sprawiedliwości. Książę Burgundii długi czas miał urazę do Henryka o to, a uspokoić go i pocieszyć nie mogły ani kaźń pana de Coesmerel, nieprawego syna Duchatela, ani rozćwiartowanie pana Jana Gaulta.

Ku końcowi maja król Anglii i książę Burgundii rozstali się. Henryk wyjechał do Londynu dla wprowadzenia żony swej do Anglii i koronowania jej. Filip równocześnie wyjechał do miast swoich, których jeszcze dotąd w posiadanie nie objął. Podwójna ta nieobecność szkodliwą się stała dla interesów i księcia, i króla Henryka. Królewiczowscy, którzy po zdobyciu Melun i Villeneuve–le–Roi, stracili odwagę, znowu nabrali otuchy, gdy spostrzegli, że obaj nieprzyjacielscy wodzowie są daleko, jeden w Londynie, drugi w Brukseli. Pobili oni na głowę Anglików pod Beaugy tak, że książę Clarence, brat królewski, i wielu panów i rycerzy angielskich poległo na placu, a wielu innych znakomitych wzięto do niewoli. Ciało księcia Clarence waleczny jakiś rycerz angielski unieść zdołał i do Anglii przewiózł.

Przyłożył się także do pogorszenia spraw Anglików w Paryżu, mianowany po śmierci księcia Clarence gubernatorem Paryża książę d'Exter, którego rządy były ciężkie i trudne do zniesienia. On to pod jakimś błahym pretekstem aresztował marszałka Villiers de l'Ile–Adam, a gdy prowadzonego do Bastylii więźnia lud odbić usiłował, on kazał strzelać do ludu. Anglik, obcy i cudzoziemiec, śmiał to uczynić, na co się nigdy nie odważył nawet w najkrytyczniejszych chwilach książę Burgundii.

O opisanych powyżej wypadkach dowiedział się król Henryk w Londynie, a książę Filip w Gandawie. Obydwaj zrozumieli, że obecność ich w Paryżu była niezbędna, wskutek czego król angielski, chociaż się czuł cierpiącym, udał się w drogę, a książę Burgundzki uczynił toż samo, nie załatwiwszy nieporozmień z kuzynem swym, księciem Janem Brabanckim, i żoną jego, Jacqueliną de Hainau.

Dwaj sprzymierzeńcy doskonale zrozumieli swoje stanowisko. Czas był wielki, aby przybywali. Królewicz oblegał Chartres. Połączone armie księcia Filipa i króla Henryka pośpieszyły na odsiecz temu miastu. Wojska królewicza nie były tak liczne, aby mogły przyjąć bitwę, więc odstąpiły od oblężenia; królewicz cofnął się do Tours. Książę Burgundii zamiast udać się za nim w pogoń, przebył most pod Daint–Remy–sur–Somme i obległ Saint–Riquier, ale tu znowu jego armia była za słaba i stracił nadaremnie miesiąc czasu od murami twierdzy.

Podczas oblężenia dowiedział się, że pan de Harcourt, który przeszedł na stronę królewicza połączywszy się z panem Pothonem de Xaintrailles, idzie przeciw niemu, mając nadzieję podejść go. Szli oni na czele załóg wojennych miast Compiègne, Crespy–en–Valois i innych twierdz, które zaprzysięgły wiarę królewiczowi. Na wieść o tym książę Filip wyruszył potajemnie nocą, przeszedł rzekę Somme i dążył naprzeciw nim z zamiarem przyjęcia bitwy.

Dnia 31 sierpnia, o godzinie 11 rano obie armie się spotkały, a zatrzymawszy się w odległości trzykroć wziętego strzału z łuku, ustawiły się w szyku bojowym. W tej wojnie trzech szwagrów była to pierwsza walna bitwa, w której młody książę, mając zaledwie 24 lata, rycerską pełnił powinność.

Zaraz też przykazał Filipowi de Sareuse, aby wziąwszy chorągiew i stu dwudziestu zbrojnych przeprawił się tak, aby mogli natrzeć na nieprzyjaciela z boku, gdy już bój rozpoczęty zostanie. Innym dowódcom dla zamaskowania tego manewru rozkazał, aby z oddziałami swymi stali nieruchomo i dopiero, gdy królewiczowscy natrą na całej linii, na hasło: „Naprzód", rzucić się mają w wir walki.

Równina, która oddzielała obie armie, w jednej chwili zapełniła się ludźmi i końmi. Pierwsze linie spotkały się z wielkim szczękiem zbroi. Rumak starł się o rumaka, mąż o męża, a żelazo o żelazo. Wielu w tym pierwszym starciu zostało zabitych lub okrutnie ranionych, wielu strzaskało swoje kopie i rozpoczęła się walka olbrzymów na miecze i topory.

Szczególniejsza okoliczność zdawała się przeważać szalę zwycięstwa na stronę królewiczowskich. Sztandar Burgundii przez zapomnienie pozostawiony był w ręku noszącego go służalca. Służalec ów, nieprzywykły do podobnych zapasów i nie będąc rycerskiego ducha, uciekł zaraz przy pierwszym natarciu, a w ucieczce puścił chorągiew. Wielu panów i rycerzy, nie widząc sztandaru swego sądziło, iż sam książę do niewoli wzięty został. Herold Flandrii głosił nawet, że Filip został zabity; ci, którzy widzieli upadający sztandar i słyszeli słowa herolda, nie wiedzieli, co czynić i pięciuset zbrojnych, panicznym strachem porwanych, opuściło pole bitwy. Książę tymczasem z resztą armii swojej cudów waleczności dokazywał, chcąc w oczach ludzi, którzy go otaczali, zdobyć sobie rycerskie ostrogi i stać się godnym synem swojego ojca.

Królewiczowscy widząc to pomieszanie nieprzyjaciół, wysłali za uciekającymi dwustu ludzi pod wodzą Jana Rollet i Piotra de Luppel. Burgundzi uciekali jak szaleni, zrobili sześć mil francuskich nie obejrzawszy się nawet i nie broniąc się wcale, aż do przeprawy przez rzekę Somme pod Pecquigny.

Największe jednak siły walczących pozostały na miejscu zmieszane ze sobą i zawzięte. Książę, który pierwszy był wszędzie, nie ranny prawdzie, dwakroć silnie uderzony został. Kopia nieprzyjacielskiego rycerza przeszyła mu na wylot siodło wojenne, druga zaś utkwiła w tarczy tak głęboko, że nie mogąc jej wyrwać, musiał porzucić i tarczę. W tej samej chwili zbrojny jakiś z królewiczowskich, olbrzymiego wzrostu, pochwycił księcia wpół, chcąc go z konia ściągnąć. Książę miał rumaka wielkiej siły i wzrostu, zawiesiwszy więc miecz u ręki, obydwa ramiona zarzucił na szyję olbrzyma i spiąwszy konia ostrogami, wyrwał nieprzyjaciela ze strzemion, jak huragan wydziera dąb olbrzymi z ziemi i rzucił go między swoich ludzi, którzy go do niewoli zabrali.

Czynny dwóch jeszcze rycerzy tej bitwy podaje nam historia. Byli to: ze strony królewiczowskich pan Pothon de Xaintrailles, który później wsławił się przy oblężeniu Orleanu, ze strony zaś Burgundów nowo pasowany na rycerza pan Jan de Villain, którego imię poza tą bitwą nigdzie wspomniane więcej nie

jest. Ten Herkulesowej był siły, czego miecz jego nie przeciął, to maczuga na ziemię waliła. Przed nim i przed zniszczeniem, jakie szerzył dokoła, uląkł się nawet de Xaintrailles, a gdy w tejże samej chwili Filip de Sareuse natarł z boku na królewiczowskich, rozproszyli się oni i poszli w rozsypkę, ścigani przez księcia Burgundii i dwóch tylko rycerzy, panów de Longueral i d'Erly, którym rączość rumaków na to pozwalała.

Zwycięstwo dnia tego zostało przeto przy Burgundach, którzy straciwszy zaledwie trzydziestu lub czterdziestu ludzi, zabili lub ranili pięciuset królewiczowskich, nie licząc znacznej liczby wziętych w niewolę razem z panem de Xaintrailles. Dzień ten nazwany został w historii „spotkaniem pod Mons–en–Vimeu" i mimo swej uwagi nie otrzymał miana bitwy, albowiem ani z jednej, ani z drugiej strony chorągwie królewskie nie były rozwinięte.

W tym czasie król Anglii przez układ z dowódcą załogi wszedł do miasta Dreux, a kazawszy w Lagny–sur–Marne przygotować maszyny wojenne do oblężenia potrzebne, podszedł z dwudziestoczterotysięczną armią pod miasto Meaux, którego dowódcą był pan de Vaurus, mający pod sobą około tysiąca zbrojnych. Podczas tego oblężenia, które trwało siedem miesięcy, Henryk V dowiedział się, że królowa, żona jego, powiła syna. Dziecię, które wydała na świat, miało być w osiemnaście miesięcy potem ogłoszone królem Francji, pod imieniem Henryka VI.

Meaux broniło się zawzięcie. De Vaurus, który się w mieście tym zamknął, był to człowiek okrutny, ale męstwa doświadczonego. Gdy jednak pomoc, jaką mu miał przyprowadzić pan d'Offemont, nie nadeszła, załoga dłużej już trzymać się nie mogła. Miasto zostało zdobyte szturmem, każdy dom z osobna. Oblężeni, wypędzeni z jednej części miasta, przeprawili się przez rzekę Marne. Król Anglii, ścigając ich z zaciętością, nie dał im ani chwili wypoczynku i nie pozwolił się opamiętać, dopóki wszyscy co do jednego nie zostali wybici lub wzięci do niewoli.

Pomiędzy wziętymi do niewoli znajdował się de Vaurus, który tak dzielnie bronił miasta. Król angielski kazał go zaprowadzić pod wiąz, gdzie on sam okrutne wyroki swoje kazał wykonywać i który dlatego nosił nazwę wiązu de Vaurus. Tam bez procesu i bez sprawy, jedynie prawem mocniejszego i z przywileju zwycięzcy, kazał mu głowę ściąć, ciało powiesić za ramiona, a utkwiwszy sztandar w otwartej po ścięciu głowy szyi, też głowę na okuciu sztandaru zatknąć kazał. Wielu rycerzy nawet z jego własnej armii szemrało przeciw takiej surowości i uważało, że była to kara zbyt okrutna dla tak walecznego rycerza.

Około tegoż czasu pan de Luxembourg, który wzięty do niewoli pod Mons–en–Vimeu znowu przystał do Burgundczyków, zdobył fortece Quesnoy i Héricourt, a na wieść o tych tryumfach miasto Crespy en Vallois i zamki Pierrefonds i Offemont poddały się same. Tak więc zwycięstwo ostatecznie się przechyliło ku królowi Henrykowi, gdy w tym samym czasie zwycięzca zachorował w zamku Vincennes. Choroba czyniła szybkie postępy i król Anglii pierwszy uznał choroby owej śmiertelność. Przywołał do łoża księcia de Bedford, swego wuja, hrabiego de Warwick i pana Ludwika de Robertsaert. Powiedział, iż wolą bożą jest, aby opuścił ten świat i życie utracił. Potem dodał:

– Szwagrze mój, Janie, proszę was i zaklinam na wasz honor i miłość, jaką macie dla mnie, abyście dochowali wiary synowi memu, Henrykowi, waszemu siostrzeńcowi, i upraszam, abyście nie zgodzili się, póki wam życia stanie, na żadne porozumienie z naszym przeciwnikiem Karolem de Valois, dopóty, dopóki księstwo Normandii nie będzie ostatecznie w naszym posiadaniu. Gdyby mój szwagier, książę Burgundii, chciał przyjąć na się regencję królestwa, radzę wam, oddajcie mu ją, jeżeli nie, zatrzymajcie przy sobie. Wam zaś, wuju mój – dodał, zwracając się do księcia d'Exeter, który wszedł właśnie do komnaty – pozostawiam w całości zarząd królestwem Anglii, gdyż wiem, że umiecie dobrze rządy sprawować. Cokolwiek by się stało, nie powracajcie do Francji i bądźcie przewodnikiem mego syna, a dla miłości, jaką mieliście dla mnie, odwiedzajcie go często. Co do was zaś, kuzynie de Warwick, pragnę, abyście byli jego guwernerem i nie opuszczając go nigdy, prowadzili go i nauczyli rycerskiego rzemiosła. Wybierając was do tego, jestem pewny, że lepiej bym wybrać nie mógł. Przy tym proszę was z całych sił swoich, abyście unikali, o ile to być może, wszelkiej sprzeczki i nieporozumienia z kuzynem naszym, księciem Burgundii. Zabrońcie tego samego memu szwagrowi de Humphrey, ponieważ gdyby się wydarzyły jakiekolwiek zatargi, sprawy nasze tak daleko posunięte w tym królestwie mogłyby być wielce narażone. Na koniec zalecam wam, abyście w żadnym razie nie wypuszczali na wolność kuzyna naszego, księcia Orleanu, hrabiego d'Eu, pana de Gancourt, pana Guicharda de Chisay dopóty, dopóki syn mój nie dojdzie do pełnoletności; co do innych zaś, czyńcie według woli waszej.

Gdy już wszyscy przyrzekli spełnić jego wolę, król zażądał, aby go zostawiono samego, a gdy i temu żądaniu zadośćuczyniono, zawołał lekarzy i kazał im, aby mu powiedzieli, ile pozostaje mu życia.

Wahając się z odpowiedzią, chcieli pozostawić mu pewną nadzieję, mówiąc, że Bóg jest panem wszechmocnym i zdrowie powrócić mu może, ale król uśmiechnął się smutno i kazał wyznać sobie całą prawdę, obiecując, że jakakolwiek by ona była, zniesie ją, jak przystoi na króla i wojownika. Cofnęli się więc w głąb pokoju, a po krótkiej naradzie jeden z nich wystąpił i przykląkłszy przy łożu królewskim, rzekł:

– Najjaśniejszy panie, myśl o duszy twojej, albowiem zdaje nam się, iż niepodobna abyś królu żył dłużej na dwie godziny.

Zawołał tedy Henryk spowiednika swego i duchownych, którym kazał czytać siedem psalmów. A gdy doszli do słów dwudziestego wersetu: „*Ut aedificentur muri Hierusalem*" zatrzymał ich, mówiąc głośno, że gdyby nie śmierć, która go przedwcześnie spotyka, miał zamiar po uspokojeniu królestwa Francji udać się na wyprawę krzyżową w celu odzyskania Grobu Świętego i że byłby tak uczynił, gdyby Bóg dozwolił mu życia dłuższego. Po tym oświadczeniu rozpoczęto dalej śpiewać psalmy, ale już przy końcu następnego wersetu król krzyknął strasznie. Święte modlitwy przerwano, król jeszcze jedno wydał westchnienie; było ono ostatnie.

Śmierć ta nastąpiła dnia 31 sierpnia 1422 roku. Nazajutrz wnętrzności Henryka pogrzebane zostały w kościele klasztoru de Saint–Maur, a ciało nabalsamowane złożono w trumnie ołowianej. Dnia 3 września żałobny kondukt wyruszył ku Calais. Trumnę ułożono na wozie, ciągnionym przez cztery piękne czarne konie. Na trumnie położono statuę wyobrażającą Henryka, wielkości naturalnej, z berłem w prawej i jabłkiem w lewej ręce, z koroną na głowie i oczyma w niebo wzniesionymi. Całun tego śmiertelnego łoża był z sukna purpurowego haftowanego złotem. Gdy kondukt dochodził do kolejnych miast, wychodziły naprzeciw delegacje, a czterech ludzi rozwijało nad wozem bogaty baldachim z jedwabiu i złota, jaki w dniach uroczystych nosi się nad ciałem Chrystusa na procesjach pobożnych, Za wozem postępowali książęta z rodziny królewskiej, panowie rycerze i cały dwór. Po obu stronach wozu szli w wielkiej liczbie księża i duchowni, którzy bądź to w drodze, bądź w chwilach odpoczynku, ciągle śpiewali pieśni za dusze zmarłe i odprawiali nabożeństwa we wszystkich miastach, przez które kondukt przechodził.

W Rouen kondukt spotkał królową Katarzynę, która powracała do Francji, do swego męża. Nie wiedziała ona o jego śmierci, więc rozpacz jej była wielka. Nie chciała opuścić ciała i przyłączyła się do konduktu żałobnego, który przybywszy do Calais, udał się zaraz w dalszą drogę do Hawru i w nocy na dzień świętego Marcina stanął w Londynie.

Piętnastu biskupów w strojach pontyfikalnych, wielu opatów i prałatów w mitrach, liczne duchowieństwo i tłumy mieszczan Londynu, przyjęło orszak u bram miasta. Otoczyli ciało, śpiewając egzekwie i przez most Londyński i ulicę des Lombards odprowadzili do kościoła katedralnego Świętego Pawła. Sam wóz żałobny zaprzężony był w cztery rosłe rumaki. Pierwszy miał na piersi zawieszoną tarczę z herbem Anglii, drugi na tarczy miał splecione herby Anglii i Francji, takież same, jakie król za życia nosił na piersi; na tarczy trzeciego rumaka wyobrażony był herb Francji, a czwarty koń miał tarczę z herbem króla Artura, „Niezwyciężonego". Ten ostatni herb wyobrażały trzy złote korony w polu błękitnym.

Po nabożeństwie żałobnym zwłoki zostały złożone w świątyni Westminsterskiej, obok poprzedników Henryka na tronie Anglii. Tak zniknął z widowni świata, na którym tyle narobił wrzawy, Henryk V, król angielski, zwany „Zdobywcą". Zagłębił się on w ziemi Francji dalej, aniżeli którykolwiek z jego przodków. Zdobył Paryż, którego nikt przed nim zbrojnie nie posiadł, i pozostawił następcom swoim tytuł króla Francji, który utrzymali aż do czasu, kiedy w cztery wieki później Napoleon końcem miecza wyskrobał z herbu trzech wysp królestwa, trzy złote lilie francuskie. Henryk V umarł w połowie wieku, który miłosierdzie Boże zwykle śmiertelnikom naznacza. Był to jeden z najwaleczniejszych i w sprawach wojennych najzręczniejszych rycerzy swojej epoki, ale miał dwie wady: był zanadto niezłomny w postanowieniach i zanadto wyniosły i dumny w swej samowoli.

Książę de Bedford zaledwie zdążył oddał ostatnią posługę swemu panu i szwagrowi, gdy poselstwo z Paryża wiadomość mu przyniosło, że go tam oczekuje drugi pogrzeb. Umarł król Karol VI, król francuski. Nieszczęśliwy szaleniec oddał ducha Bogu dwudziestego drugiego października roku 1422. Ostatnia jego godzina była tak smutna i osamotniona, jak i życie całe. Nie było przy nim ani żony jego, pięknej Izabelli Bawarskiej, ani królewicza Karola, ani żadnego z pięciorga dzieci, jakie mu jeszcze pozostały.

Książę de Berri nie żył już, książęta Orleanu, Brabantu i de Bourbon pozostawali w niewoli, książę Burgundii nie śmiał stanąć przy śmiertelnym łożu tego, którego królestwo zaprzedał. Przyjaciół nie miał król opuszczony!... Wojna domowa zdziesiątkowała ich lub trzymała przy królewiczu.

Gdy w strasznej godzinie śmierci, w której człowiek odzyskuje całą swoją siłę na krótką chwilę, jak lampa, która przed samym zgaśnięciem całym światłem błyska, stary król na chwilę odzyskał wzrok i mowę, podniósł się opierając na łokciu na łożu swoim, i blady i wynędzniały począł rozglądać się dokoła, szukając oczyma w starej i ciemnej sali, komu by mógł rzucić ostatnie spojrzenie i kogo pożegnać by zapragnął; zobaczył tylko twarze obojętne i zimne kanclerza swego i szambelana, których obowiązki przy śmiertelnym łożu króla zatrzymywały. Upadł tedy Karol na powrót na poduszki z głębokim westchnieniem, chowając w sobie wyrazy, które bywają pociechą ostatnich chwil umierającego, i zamknął oczy, albowiem tylko tak widzieć mógl upragnione obrazy: rumianą twarz syna swego, Karola, o którym wiedział dobrze, iż go sercem nie opuścił, i poetyczną postać Odetty, młodej zakonnicy, której pieszczoty i miłość stanowiły jedyne w życiu jego prawdziwe rozkoszne chwile. Takim sposobem Bóg, zastępując ludzi, posłał do wezgłowia umierającego starca aniołów, aby mu pomogli umrzeć bez rozpaczy w sercu i bez przekleństwa na ustach.

Co do tych, którzy go otaczali, obojętność ich była tak wielka, że chociaż spostrzegli fakt zgonu królewskiego, jednak nie byli w stanie oznaczyć, o której godzinie dusza oddzieliła się od ciała, które od lat trzydziestu tyle cierpiało.

Panowanie Karola VI, dziwne i jedyne w kronikach narodu francuskiego, było jednym z najnieszczęśliwszych dla Francji, a jednak król ten był jednym z najbardziej żałowanych przez naród. Przydomek „Ukochanego", jaki mu nadał lud, przetrwał i przemógł nazwę „Szalonego", ktorą mu nadawali możni. O ile rodzina okazała się względem niego niewdzięczna, o tyle naród był mu zawsze wierny. W młodości umiał podobać się wszystkim męstwem swoim i uprzejmością, w starości obudził ogólne współczucie nieszczęściem swoim i nędzą. Za każdym razem, kiedy szaleństwo opuszczało go, chwytał w ręce wodze rządu i za każdym razem naród w polepszeniu losu swego czuł obecność jego u steru. Było to słońce, które od czasu do czasu wynurzało się z gęstych i ciemnych chmur, i którego promienie, jakkolwiek słabe, rozradowywały duszę Francji.

Na drugi dzień po śmierci króla otoczyła zmarłego świetność tronu, która go za życia opuściła. Zwłoki złożono w trumnę ołowianą, rycerze i koniuszowie zanieśli je do kaplicy pałacu Saint–Paul, gdzie zostały z wielką uroczystością wystawione na widok publiczny, aż do powrotu księcia de Bedford.

Przez dni dwadzieścia odprawiane były bezustannie msze, śpiewane w kaplicy owej tak, jak to miało miejsce jeszcze za życia króla. Cztery paryskie zakony jałmużnicze na przemian odbywały służbę przy zwłokach, a każdy kto chciał, mógł swobodnie wchodzić i modlić się za duszę zmarłego.

Na koniec, dnia 8 listopada przybył książę de Bedford. Nie mogąc się go doczekać, parlament postanowił przedsięwziąć co należało do pogrzebu. Postanowiono nawet sprzedaż mebli z pałacu królewskiego Saint–Paul, tak wielka była nędza królewska.

Dnia 10 przeniesiono ciało do kościoła katedralnego Notre Dame. Delegacje ze wszystkich kościołów i z uniwersytetu asystowały temu przeniesieniu. Prałaci szli prawą stroną ulicy w ubiorach pontyfikalnych; doktorowie i retorowie, w szatach dla ich urzędów i godności właściwych, postępowali po lewej stronie. Trumnę podtrzymywali z prawej strony koniuszowie i wielcy urzędnicy dworu, z lewej zaś prefekci Paryża, mieszczanie i milicja miejska. Trumna umieszczona była na wysokim wozie, pokrytym suknem błękitnym, haftowanym w złote lilie; nad wozem wznosił się tak samo przyozdobiony baldachim. Na trumnie była złożona statua, wyobrażająca króla Karola, nadzwyczaj podobna, przybrana w koronę złotą. Na rękach owej statuy rekawiczkami białymi okrytych, błyszczały pierścienie z drogocennymi kamieniami. Ubrana była w suknię purpurową ze złotem i płaszcz podobny, bogato gronostajami podbity. Pończochy miała czarne, a trzewiki z niebieskiego aksamitu haftowane złotem.

Całun, który pokrywał szczątki śmiertelne Karola, podtrzymywany był przez prezesów parlamentu; dalej szli paziowie. Potem ubrany czarno, na koniu, w czerwonej zbroi, jechał książę de Bedford, regent państwa.

Litość brała patrzeć na tego króla, tyle razy zdradzanego za życia i tak opuszczonego po śmierci, że żaden z książąt domu złotych lilii nie szedł za jego pogrzebem i że żałobie Francji angielski książę przewodniczyć musiał. Wojny prowadzone od lat dwudziestu tak wyniszczyły kraj i takim huraganem zniszczenia powiały, że rozproszyły wszystkie gałązki dynastii i odłączyły je od pnia rodzinnego.

Poza księciem de Bedford postępował kanclerz Francji, wyżsi dygnitarze koronni, notariusze, mieszczanie, wreszcie ludzie prości, mieszkańcy Paryża, w tak wielkim tłumie, jakiego od dawna za żadnym pogrzebem królewskim nie widziano.

W tym porządku kondukt zaszedł do kościoła Notre Dame. Tylko czoło orszaku mogło wejść do świątyni, tak liczne były tłumy. Mszę wielką odprawił patriarcha konstantynopolitański, po czym kondukt ruszył do Saint–Denis, powracając znowu przez most zwodzony, bo drugi most Notre Dame był tak przez lud zajęty, że pójść przezeń nie było możności.

Na pół drogi do Saint–Danis miernicy soli miasta Paryża, mając każdy lilie złotem haftowane na piersiach, na mocy przywileju, jaki posiadała ich korporacja, odebrali ciało z rąk koniuszych i prefektów, i nieśli je aż do krzyża, który się wznosi na trzy czwarte części drogi do Paryża. W tym miejscu proboszcz Saint–Denis spotkał kondukt. Towarzyszyło mu duchowieństwo, zakony, mieszczanie i lud z mnóstwem pochodzi; noc bowiem już zapadła. Udano się do kościoła, gdzie znowu egzekwie odśpiewano, a ponieważ ciało miało być w grobie złożone dopiero nazajutrz, więc zostało na środku głównej nawy wystawione.

Nazajutrz znowu odprawiono nabożeństwo za spokój duszy króla. Przez całą noc kościół był oświecony tak, że paliło się dwadzieścia tysięcy funtów świec wojskowych, a jałmużnę rozdawano z taką szczodrobliwością, że szesnaście tysięcy ludzi dostało każdy po trzy srebrne monety stempla królewskiego.

Po ukończeniu nabożeństwa i ceremonii, otwarto wreszcie kraty piwniczne. Trumna przy świetle pochodni spuszczona została i ustawiona obok Karola V i Wielkiego Marszałka. Patriarcha konstantynopolitański, wziąwszy w rękę gałązkę bukszpanu i umoczywszy ją w wodzie święconej, zaczął śpiewać *Salve Requina*, a wtedy mistrzowie broni królewscy, złamali swe białe różdżki, rzucili je do grobu wraz z ułomkami królewskiego miecza.

Pierwsza garść ziemi spadła na trumnę królewską, dzieląc ostatecznie dwa panowania i dwie dynastie, a gdy dół został wypełniony, wystąpił wielki herold de Berri, stanął na usypanym kopcu i zawołał wielkim głosem:

– Niechaj Bóg Najwyższy raczy mieć litość i miłosierdzie nad duszą wielkiego i wspaniałego księcia Karola, króla Francji, szóstego tego imienia, naszego pana i władcy!

Łkania wydarły się ze wszystkich piersi, a wielki herold po chwili wyrzekł znowu:

– Niechaj Bóg Najwyższy dać raczy długi żywot Henrykowi z Bożej Łaski królowi Francji i Anglii, naszemu panu i władcy!

Po tych słowach heroldowie spuszczone ku dołowi miecze wznieśli do góry, wołając po dwakroć:

– Niech żyje król! Niech żyje król!...

Tłum został niemy i nieruchomy, i nikt nie powtórzył tego świętokradczego okrzyku. Zginął on bez echa pod ciemnym i ponurym sklepieniem katakumb królów Francji, a popioły królów z trzech po sobie następujących dynastii zadrżały ze zgrozy.

Nazajutrz Henryk VI, król Francji, mający osiemnaście miesięcy, ogłoszony został królem Francji, a regencję powierzono księciu de Bedford.

KONIEC